

ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 347

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Henryk JOZEWSKI

ZAMIAST PAMIĘTNIKA

Zmarły 23 kwietnia 1981 r. w Warszawie Henryk Józewski zostawił maszynopis wielkiej pracy pt. „Opowieść o istnieniu”, którą zaczął pisać w szpitalu więziennym w Rawiczu w 1957 r. Jest to 3-tomowa, licząca ponad 1000 stron praca filozoficzna, zawierająca również wspomnienia osobiste, oceny ludzi, wydarzeń, problemów. Henryk Józewski, który zaszczycał mnie swoją przyjaźnią, przystał mi na maszynopis swej pracy przed kilku laty, upoważniając do wydrukowania książki po jego śmierci.

Ponieważ wydanie całości przekracza chwilowo nasze możliwości, musimy się ograniczyć do zamieszczenia w Zeszytach Historycznych części pamiętnikarskiej, tj. tomu drugiego, zatytułowanego „Zamiast pamiętnika”. Tom ten był napisany w 1960 r.

R e d a k t o r

Cz. II. — K. N. III.

33.

Zjawiskiem charakterystycznym dla życia polskiego na przełomie XIX i XX wieku były tajne organizacje młodzieżowe akademickie i uczniowskie.

Od pierwszych lat gimnazjalnych znalazłem się w szeregach tajnej organizacji uczniowskiej — „Korporacji”, która obejmowała kijowską młodzież gimnazjalną męską i żeńską. Była to organizacja samokształceniowa. Pamiętam nasze roznamiętnienie nauką, bez pośrednictwa starszych, z własnej inicjatywy i o własnych siłach, — ...koła humanistyczne, studia literackie, koła przyrodnicze, nawet filozoficzne — wykładano, dyskutowano, słuchano. Rodziły się w środowiskach młodzieży gimnazjalnej uczniowskie autorytety naukowe.

34.

Przychodzi mi na myśl pewien epizod. Byłem w szóstej klasie, miałem 14 lat. Na lekcji religii wynikła dyskusja pomiędzy mną a naszym prefektem, ks. proboszczem Żmigrodzkim, na temat światopoglądowy, zahaczający o istnienie Boga. Ksiądz zorientował się w bezskuteczności a nawet szkodliwości tego rodzaju pojedynku i zaproponował, żebym przyszedł na dyskusję do niego do mieszkania i przyprowadził z sobą kolegów niedowiarków, o ile tacy są. W oznaczonym czasie wraz z czterema kolegami, których poza figlami i bijatyką nic nie obchodziło, znalazłem się na plebanii. Nadszedł ks. Żmigrodzki i zaprowadził nas do swego mieszkania. Weszliśmy nieco stremowani i jednocześnie przejęci przygodą.

Ksiądz kazał służącemu podać kawę, ciastka, pojawił się nawet gramofon. „Towarzystwo” moje było w „siódmym niebie”. Czekaliśmy na ks. Sawickiego, który przyjechał z Petersburga po ukończeniu akademii duchownej. On właśnie miał z nami rozmawiać.

Niebawem zjawił się młody i sympatyczny ks. Sawicki. Nastąpił drugi akt naszej wizyty. Zasiadliśmy przy okrągłym stole. Zapanowało milczenie. Ks. Sawicki zapytał, kto z nas ma coś do powiedzenia. Moi koledzy bezradnie spojrzeli po sobie i utkwili we mnie wzrok. Zabrałem głos. Zapytałem czy kościół uznaje naukę Darwina, ks. Sawicki odpowiedział, że nie. I tak się zaczęło...

Przez cztery miesiące regularnie raz na tydzień odbywała się parogodzinna dyskusja pomiędzy mną a ks. Sawickim, do której obie strony usilnie się przygotowywały, przynosiły notatki, wypisy, książki, odczytywały teksty. Reszta towarzystwa po początkowym przysłuchiwaniu się dyskusji spędzała czas przy kawie i ciastkach.

Na wiosnę, na ostatnim naszym posiedzeniu ks. Sawicki zwrócił się do ks. Żmigrodzkiego z oświadczeniem, że jestem człowiekiem poważnym, dobrej woli i nie należy mnie zmuszać do wykonywania praktyk religijnych. Z czasem Łaska Boża spły- nie na mnie i wtedy przejrę.

Ks. Sawicki padł mi w objęcia, ucałował i darował mi komplet dzieł du Bois Reymonda. Od tej chwili nie miałem kłopotu z księżmi katechetami. Zostawiono mnie w spokoju. Po dziś dzień myślę ze wzruszeniem o obu księżach i chwilach, które dane mi było przeżyć — księża ci dobrze zasłużyli się Kościołowi.

A wszystko mogło mieć taki właśnie przebieg między innymi dlatego, że ks. Sawicki natknął się w mojej osobie na specjalistę od Darwina w kole uczniowskiej korporacji.

Ofiarą mojej samokształceniowej wiedzy przyrodniczej stał się także nauczyciel fizyki. Moje komentarze do praw Newtona wypowiedziane na jednej z lekcji zrobiły na nim wrażenie. Od tej chwili fizyk stawiał mi piątkę nie kontrolując mojej fizycznej wiedzy obowiązującej w gimnazjum.

Nauczycielowi temu zawdzięczam jedno z największych wzru- szeń jakie w życiu swoim przeżyłem. Było to w roku 1908 w klasie siódmej.

Własnym przemysłem skonstruowałem w domu radiowy apa- rat odbiorczy. Był to największy prymityw. Ale podobnym prymitywem posługiwał się parę lat przedtem Marconi. Mogła być mowa jedynie o sygnalizacji.

Doświadczenia sygnalizowania odbywały się u mnie w domu. Scenę przedstawienia stanowił mój pokój i salon — mieszkanie mieliśmy duże. Przy pojawieniu się sygnału wywołanego iskrą butelki lejdejskiej wpadałem w stan ekstatyczny.

Otóż mój nauczyciel fizyki pozwolił mi korzystać ze wspa- niałego gabinetu fizycznego Pierwszego Gimnazjum a moja uwa- ga koncentrowała się na cewce Ruhmkorffa o dwucentymetrowej iskrze. Była ona szczytem moich marzeń.

Dobrym duchem całej tej imprezy stał się ogólnie lubiany i wykształcony inspektor gimnazjum, Czirjew — dobry fizyk i matematyk. On właśnie rzecz całą zaaranżował.

Pewnego wieczoru, między 10-tą a 11-tą wieczorem znaleź- liśmy się z nim w gabinecie fizycznym w towarzystwie wspo- mnianej cewki Ruhmkorffa i mego odbiornika. Przeprowadzi- liśmy sygnalizację radiową z Kijowską Politechniką odległą od Pierwszego Gimnazjum o dobre parę kilometrów. Przeżywałem niezwykle chwile zachwytu i upojenia. Żaden z najwspanialszych

aparatów radiowych, z którymi się potem spotykałem, nie dał mi tak potężnego przeżycia. Chwile spędzone w nocy w gabinecie fizycznym pierwszego kijowskiego gimnazjum przyświecają mi i dziś.

35.

Tajne organizacje młodzieżowe to temat dla socjologii. Chodzi o stawianie się świata młodzieży, o społeczeństwo młodych w społeczeństwie w ogóle. Temat ten porusza w jednym ze swoich dzieł Znaniecki i zwraca uwagę, że właśnie polskie tajne organizacje młodzieżowe są wyjątkowo interesujące ze względu na intensywność tego zjawiska w polskim społeczeństwie w porównaniu ze społeczeństwami innymi.

Złożyły się na to okoliczności polskiego życia, zrozumiałe same przez się i już przy pierwszym wejrzeniu rzucające się w oczy.

Wskazaliśmy na samokształcenie. Jest to moment uniwersalny, który występuje w tej czy innej postaci na całym świecie — występuje bardziej wyraźnie lub mniej wyraźnie zależnie od systemu nauczania i układu życia w danym społeczeństwie.

Chodzi o ten układ. W Polsce, na przełomie XIX i XX wieku układ ten sprzyjał wyjątkowo tworzeniu się tajnych organizacji młodzieżowych. Polska była w niewoli i w ramach obcej i nienawistnej rzeczywistości. Kompromis, oportunizm i tzw. „rozum praktyczny” podpowiadały pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy. Nie zmieniało to jednak istoty rzeczy. Polskość stawała się w tych warunkach czymś zakonspirowanym, izolowanym od rzeczywistości urzędowej. Działo się to i świadomie i podświadomie. W zaborze rosyjskim, z małymi wyjątkami, próg polskiego domu niełatwo było przekroczyć Rosjaninowi. W tych warunkach tajne organizacje młodzieżowe musiały rozkwitać. Decydowało nie tylko samokształcenie — wiedzieliśmy, że istnieje walka o wolność.

36.

Dzisiejsza młodzież polska — w chwili gdy piszę te słowa — na pewno podlega także prawu konspiracji. Jest to pozycja wysoce aktualna, daje o sobie znać w sposób swoisty. Nigdy społeczeństwo młodzieżowe nie stawało się tak samoczynnie jak

dziś i nigdy wpływ młodego świata na starsze pokolenie nie był tak widoczny i powszechny.

Samoistność świata młodzieżowego i jego samostawanie się nie znajduje, jak się wydaje, wyrazu organizacyjnego. Nie rozporządzam materiałem konkretnym, że tak właśnie jest. Może jest inaczej... Jest to temat „delikatny”. Wątpimy, czy socjologia P.A.N.-u ma tu coś do powiedzenia, czy może mieć coś do powiedzenia. Działa tu niewątpliwie instynkt zachowawczy młodzieży. Do każdego kółka samokształceniowego, popieranego czy nie popieranego przez władze szkolne i uniwersyteckie, może się przedostać „wtyczka” partyjna czy rządowa. W takim „towarzystwie” tajna organizacja jest nie do pomyslenia. A „towarzystwo” to jest wszędzie, usiłuje przeniknąć do każdej szczeliny i zakamarka polskiego życia.

Jak jest naprawdę pomimo nieistnienia tajnych organizacji — pojawia się na powierzchni polskiej rzeczywistości w chwilach wyjątkowych i osobliwych. Tak było w „polskim październiku” — wtedy Polska spoglądała swoimi polskimi oczami i młodzież nie zawiodła.

37.

W roku 1909 zostałem studentem Kijowskiego Uniwersytetu. Zapisalem się na wydział fizyko-matematyczny. Znalazłem się w nowych warunkach. Uległ zmianie mój stosunek do nauki, tzn. do nauki wykładanej na uniwersytecie. Znikł dystans jaki istniał w świecie gimnazjalnym. Tam wszystko co było urzędowe stawało się obce i nudne. Wystarczyło, że moje zainteresowania naukowe wkraczały na tory wykładów gimnazjalnych a zainteresowania pryskały.

W tajnych organizacjach studenckich wysuwał się na czoło moment ideowo polityczny. Poszczególne organizacje reprezentowały odmienne polityczne światopoglądy. Istniała „Polonia” będąca w zasięgu wpływów narodowo-demokratycznych i „Korporacja” o światopoglądzie lewicowym, sympatyzująca z PPS. W życiu polskiej młodzieży na Ukrainie organizacja ta posiadała swą wielką legendę. Gdy się z nią spotkałem, organizacja robiła wrażenie anemiczne, zanikające.

Pod koniec mego pobytu na uniwersytecie, który ukończyłem w maju 1914 roku, w porozumieniu z kolegami powołaliśmy do życia Filarecję na wzór Filarecji Wileńskiej. Wchłonęliśmy więdnącą Korporację i staliśmy się spadkobiercami jej tradycji. Starsi koledzy korporanci weszli do władz nowo utworzonej

organizacji. Życie zabiło żywszym tętnem. Rozwój organizacji następował szybko. Staliśmy się w życiu akademickim pozycją powszechnie znaną.

W pewnym czasie zjechali do Kijowa z Petersburga — jako delegaci akademickiej organizacji młodzieży postępowo niepodległościowej — Tadeusz Hołówko i Juliusz Łukasiewicz w celu nawiązania współpracy z Filarecją. Porozumieliśmy się bardzo łatwo. Oni wzięli nas za swoich, tzn. za młodzież postępowo niepodległościową. Dla nas byli bliscy. Nader cenne było zobowiązanie przysyłania nam odpowiedniej ilości *Głosu Młodych*, wydawanego przez nich w Petersburgu, i ustalenie współpracy redakcyjnej.

Łączyliśmy się z ruchem niepodległościowym, który budził się w całej Polsce, zwłaszcza wśród młodzieży, zespalaliśmy się duchowo z ruchem strzeleckim. Na horyzoncie polskiej rzeczywistości wyrastała postać Józefa Piłsudskiego, która miała się stać symbolem walki o Polskę i zmartwychwstającego Państwa Polskiego.

38.

Polska narodowo-demokratyczna — w ówczesnym stanie rzeczy powszechnie uznawana reprezentacja Polski — stanęła na progu tracenia swego prymatu, sama o tym nie wiedząc. Był to początek wycofywania się jej za kulisy tworzącej się w walce Polski. Z czasem ujrzymy ją w generalnej opozycji do tego, co się w Polsce działo na dalszym jej szlaku historycznym.

Tak było w całej Polsce. Tak było w Kijowie. Oficjalny świat polski był narodowo-demokratyczny. *Dziennik Kijowski*, który powołał do życia Wł. Grocholski, publicyści i działacze: Edward Paszkowski, Stanisław Zieliński, Joachim Bartoszewicz ze swoim nieodłącznym uczniem czy „cudownym dzieckiem”, Zygmuntem Berezowskim i wielu innych, czcigodna i ogólnie szanowana postać Józefata Andrzejewskiego... Potem „Polski Komitet Narodowy na Rusi”...

Znaczenie grup postępowo-demokratycznych sympatyzujących z PPS w porównaniu z pozycją narodowo-demokratyczną było niewspółmiernie małe.

Polski świat narodowo-demokratyczny nie szukał porozumienia z rosyjską lewicą i nielegalnym ruchem, który z biegiem czasu się wzmacniał i dawał o sobie znać coraz wyraźniej. Najbardziej miarodajnie świadczy o stanie rzeczy w tych czasach

polityka i zachowanie się Romana Dmowskiego, męża opatrnościowego, sprawującego rząd dusz.

Życie ukraińskie trwało, pozbawione akcentów politycznych. Mogła być mowa jedynie o pewnych akcentach kulturalnych i artystycznych. Ze światem ukraińskim było się razem na wsi w błogostanie i biegu spraw wiejskich. Ton nadawało ziemiaństwo.

Nad ówczesnym światem polskim zawisła polityczna bierność. Polskie społeczeństwo trwało zanurzone bez reszty w swoich sprawach prywatnych, rodzinnych, środowiskowych, w jego troskach i kłopotach. Tak tworzył się polski świat na ziemiach ukraińskich nad Dnieprem. Był to okres popowstaniowy, okres patriotyzmu obyczajowo uczuciowego.

Rząd carski pomimo zamieszania wprowadzonego przez wojnę japońską i rewolucję 1905 roku, panował bez większych trudności i po swojemu dawał sobie radę. Życie nad Dnieprem toczyło się swym zwykłym trybem, zdawałoby się raz na zawsze. Ludzie „dobrze” i „trzeźwo” myślący czuli się u siebie w domu, wskazywali co czynić należy.

39.

Taki był stan rzeczy w Kijowie w czasach narodzin Filarecji.

Nie jest rzeczą przypadku, że w chwili wybuchu wojny w roku 1914 właśnie młodzież filarecka w porozumieniu z najbardziej ideowym odłamek młodzieży ukraińskiej doprowadziła do wydania wspólnej odezwy polsko-ukraińskiej. Tekst polski był wydrukowany z tekstem ukraińskim na jednym arkuszu. Ślubowano wzajemnie braterską pomoc i braterstwo broni w walce o wyzwolenie spod obcego jarzma Polski i Ukrainy. Ze strony polskiej odezwę podpisał ja, jako prezes Filarecji, — ze strony ukraińskiej podpisał ją Włodzimierz Szulgin, brat znanego potem Aleksandra Szulgina, ministra Spraw Zagranicznych Centralnej Rady, mego starszego kolegi z Pierwszego Gimnazjum.

Włodzimierz Szulgin padł pod Krutami, miejscu dziś historycznym, gdzie kwiat młodzieży ukraińskiej stoczył bohaterską i nierówną walkę z bolszewickimi hordami idącymi na Kijów.

Odezwa ta, ładnie i uroczyście wydrukowana, zginęła w ówczesnym świecie naddnieprzańskim bez echa — jest nieznana, nie trafiła w takt ówczesnego nastroju społeczeństwa polskiego i ukraińskiego.

Dopiero w roku 1920 — gdy Piłsudski szedł na Kijów. Byłem wtedy wiceministrem w rządzie atamana Petlury, słowa wydanej w Kijowie w roku 1914 odezwy ożyły, przemówiły krwią polską i ukraińską.

W życiu organizacyjnym wzorowaliśmy się na wileńskiej tradycji filareckiej. W niedługim czasie zżyliśmy się ze sobą bardzo. Staliśmy się jedną rodziną.

Zgodnie z tradycją filarecką prezes stowarzyszenia pisał listy do wszystkich kolegów. Nabierało to specjalnego znaczenia w czasie wakacji. Pisałem wtedy ponad sto listów miesięcznie. List rozpoczynało filareckie pozdrowienie wileńskie. Poruszał temat obchodzący odbiorcę i autora — to, co obchodziło nas wszystkich. Było nam dobrze. Była cisza przed burzą.

40.

W lipcu 1914 roku korzystając z odwiezienia mojej chorej siostry do Rabki miałem zjechać do Krakowa i w imieniu kijowskiej młodzieży akademickiej — Filarecji — meldować się u Komendanta Piłsudskiego. Komendanta w Krakowie nie zastałem. Zastałem Sławka, którego osobiście wtedy jeszcze nie znałem. Sławek przyjął mnie bardzo serdecznie i zaprowadził na posiedzenie, w którym poza Sławkiem brało udział kilku panów, między innymi Leon Wasilewski i Wacław Sieroszewski. Zreferowałem stan rzeczy w Kijowie. Filarecja stawała do dyspozycji. Przeszło parę dni. Mobilizacja w niepowstrzymanym pędzie rwała naprzód. Wojna była tuż, tuż... Chciałem zostać w Krakowie i wstąpić do Legionów — wyjazd do Kijowa stawał się problematyczny. Sławek był jednak nieugięty. Miałem być pierwszym łącznikiem pomiędzy Legionami a Kijowem.

W przeddzień wybuchu wojny, a raczej wieczorem przed wybuchem, zjawił się u mnie w hotelu oficer legionowy (Śladki) z rozkazem natychmiastowego wyjazdu. Śladki odwiózł mnie na dworzec, wsadził do wagonu, do jakiegoś przepierzenia, kazał się zamknąć i nie otwierać drzwi aż do granicy, nie reagować na dobijanie się. Pociąg ruszył. Po przejechaniu Szczakowej nastąpił potężny wybuch. Dojechaliśmy do granicy. Peron, publiczność, rosyjscy żandarmi. Okazało się, że wybuch, o którym wspominałem, było to wysadzenie przez Austriaków mostu pomiędzy Szczakową a granicą zaraz po przejechaniu mego pociągu. Przy-

jechałem więc do granicy ostatnim pociągiem. Komunikacja została zerwana. Wojna się rozpoczęła.

41.

Znowu miałem przed oczyma mobilizację, tym razem rosyjską. Żołnierze... rodziny... pożegnania... łzy... powszechny wir porywający młodych ludzi. Przygnębiające wrażenie zrobiła na mnie Warszawa. Byłem w niej od pociągu do pociągu, przejechałem z jednego dworca na drugi. Ulicami maszerowało pewne siebie wojsko rosyjskie. Ludność polska przemyciała się milcząc pod ścianami domów. Spostrzeżenia z podróży od granicy do Kijowa zajęłoby niemało czasu. Wspomnę o Korosteniu, węzłowej stacji niedaleko Kijowa. Pociąg mój się zatrzymał. Zdawało się, że nie ma widoku by ruszył. Wpadliśmy w nieustanny zamęt masowej sceny. Dworzec wypełniony ludźmi. Mrowie oficerów i żołnierzy na peronie i wśród pociągów stojących na torach. Gwar... krzyki... nieprzerwanie gra orkiestra wojskowa. Zachodziło słońce. Czerwona łuna zalegała zachód. Co kwadrans ruszał na zachód eszalon, tzn. szedł na front. Rozlegało się wybijające się nad ogólną wrzawę „Ura!”. W miarę oddalania się pociągu stawało się coraz cichsze aż ginęło w czerwieni zachodu. Zapadała noc. Pociągi szły... Coś się kończyło i coś się zaczynało. Wyrastała nieznana ludziom groza. A może było to wieczne to samo... Wreszcie mój pociąg do Kijowa ruszył. Tak dojechałem.

42.

Kijów. W każdym prawie domu mówiono o kimś, kto idzie na wojnę. Z każdym dniem machina wojenna nabierała rozpędu, pochłaniała ludzkie sprawy tak bardzo różne. Mrowisko ludzkie pulsowało innym rytmem niż zwykle. Był tym objęty także świat akademicki i filarecka młodzież.

Dla Filarecji powstawały nowe perspektywy. Walka o Polskę, o Jej niepodległość i nasz w niej udział. Zaczynał się egzamin, do którego przygotowywaliśmy się. Byliśmy wzruszeni i... pewni swoich sił.

Zdałem sprawozdanie z Krakowa. Przywiozłem łączność z Legionami, która nadawała sens praktyczny naszym wysiłkom. Żyliśmy wojną. Chodziło o przysposobienie wojskowe tych, któ-

rych armia rosyjska nie wcielała jeszcze w swoje szeregi. Ale chodziło także i to przede wszystkim o tych, którzy znaleźli się bądź w oddziałach idących na front, bądź zostali skierowani do szkół oficerskich. Staraliśmy się nie tracić z nimi łączności i dotrzeć do wszystkich.

Ci, którzy byli na froncie czy szli na front mieli się przedostawać do Legionów. Trudno mi dziś powiedzieć, ilu się przedostało. Robiliśmy usiłowania, żeby Polacy grupowali się we wspólnym namiocie i wykonywali manewr przejścia do Legionów gromadnie. Nie było to łatwe nie tylko ze względu na warunki obiektywne. Pamiętam epizod...

Jednym z bliskich mi kolegów-filaretów był starszy ode mnie student Jaśkiewicz. Mówiono o nim „Gul”, sam się tak nazywał. Był to człowiek wielkiej wartości i wielkiego uroku osobistego. Gul poszedł na front. Utrzymywałem z nim łączność. Wykonał omówiony plan. Udało się zorganizować namiot polski. Czekano na pierwszą sposobność. Sposobność nadeszła. Grupa polska znalazła się w cofającej się po nieudanym natarciu rosyjskiej kompanii, zaległa i czekała na Austriaków. Austriacy nadeszli. Polacy znaleźli się między żołnierzami austriackimi. Manewr się udał. I oto Jaśkiewicz zobaczył swego dowódcę — oficera rosyjskiego — otoczonego przez Austriaków, rannego i broniącego się resztkami sił. „Gul” z Polakami skoczył na pomoc swemu dowódcy i zginął.

„Polskie namioty” poniosły także straty w Kijowie, tzn. w obozie wojskowym pod Kijowem, gdzie formowały się eszalony na front. Nie potrafiąco zdobyć się na dostateczną ostrożność. Paru Polaków za przygotowywanie dezercji skazano na śmierć i wyrok wykonano. Przypominam sobie nazwiska dwóch Tyszkiewiczów.

Podjęliśmy także wśród polskiego społeczeństwa akcję propagandową. Natrafiliśmy na mur. Polski zbrojny czyn w toczącej się wojnie nie mieścił się w wyobraźni kijowskiego polskiego społeczeństwa, skądinąd patriotycznego, zasługującego na szacunek ale myślącego „trzeźwo”. Tak było nie tylko w Kijowie — tak było w całej Polsce. Jest to akcent pouczający w stawianiu się historii i życia narodu.

Polskie samopoczucie i polski patriotyzm układały się harmonijnie z lojalnością wobec rosyjskich władz i gotowością spełniania obowiązków jakie na Polaków, carskich poddanych, państwo rosyjskie nakładało. Miał tu zresztą niemało do powie-

dzenia światopogląd polityczny stronnictwa narodowo-demokratycznego. Nie był to oportunizm — była to „polityczna teoria”.

Akcent uczuciowy do „naszego” wojska, które wyruszało na front, wzrastał. W wojsku tym byli nasi najbliżsi — bracia, ojcowie, krewni. Po odezwie wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza powstała inicjatywa tworzenia oddziałów polskich u boku armii rosyjskiej, czegoś w rodzaju legionów polskich po stronie rosyjskiej. Skończyło się na legionie Gorczyńskiego, który nie odegrał żadnej roli i zginął w niepamięci.

Ruch propagandowy w tej sprawie był jednak niemały. Idea ta zawitała do niejednej polskiej głowy, czasem do głowy nie byle jakiej. Pamiętam zebranie w mieszkaniu Jordana Pereświat-Sołtana, na którym znalazło się grono śmietanki towarzyskiej: m.in. generał Świdziński, dowódca *in spe* formacji polskich przy wojsku rosyjskim. Pan Jordan zebranie to zaaranżował i zaprosił mnie do zreferowania sprawy. Mam wrażenie, że moje wyjaśnienia odniosły skutek. Generał Świdziński akcji swej nie rozpoczął.

Pamiętam także usilną działalność Romana Knolla, mego starszego kolegi z Kijowskiego Pierwszego Gimnazjum, znanego dyplomaty polskiego za czasów „dwudziestolecia”. Roman Knoll w czasach i warunkach, o których piszę, rozpoczął werbowanie polskiej młodzieży do oddziałów polskich po stronie rosyjskiej. Z akcji tej nic nie wyszło. Wspomniałem o Knollu dlatego, że był to umysł nie byle jaki, świecił inteligencją, był znakomitym kalamburzystą. Taki był stan polskich umysłów, który Knoll charakteryzuje bardzo wymownie.

Sytuację charakteryzuje nie mniej wymownie to, z czym spotkałem się wkrótce po przyjeździe z Krakowa. Zdecydowaliśmy wydać odezwę o treści ideowo-politycznej. W pewnym miejscu wspomnieliśmy o „braciach naszych strzelcach”. Niedługo po ukazaniu się odezwy zostałem wezwany przez p. Więckowskiego, człowieka ogólnie szanowanego i podówczas prezesa Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego, czegoś w rodzaju „Sokoła”. Więckowski zwrócił się do mnie ze słowami pełnymi wyrzutu. Domyślił się, że odezwa powstała z moim udziałem i oświadczył, że całe społeczeństwo polskie jest oburzone... Chodziło o słowa „bracia nasi strzelcy”. Społeczeństwo polskie w Kijowie poczuło się dotknięte. Jak można kijowską młodzież polską łączyć węzłami braterstwa z jakimiś ciemnymi typami jakimi są niewątpliwie strzelcy. W końcu Więckowski dodał, że cieszyłem się w jego oczach jak najlepszą opinią i wyraża żal, „że syn takiego ojca” mógł popełnić podobną rzecz.

Po pewnym czasie po moim powrocie z Krakowa zjawił się w Kijowie Józef Bromirski. Spędził on pewien czas w Legionach i razem z Daniłowskim powrócił do zaboru rosyjskiego. Był on drugim z kolei emisariuszem Legionów na teren kijowski i Ukrainy naddnieprzańskiej. Poczuliśmy się pewnie, podniesieni na duchu.

Bromirski to jedna z najbardziej wzruszających postaci, jakie w życiu spotkałem. Był to człowiek o cechach ewangelicznych, nieograniczonej dobroci, ofiarności, odwagi. Wszystko poświęcał dla walki o Polskę. Był wśród nas jedynym starszym panem. Jego autorytet nie wypływał z zajmowanego w życiu stanowiska ani jakichś imponujących walorów intelektualnych — był skromnym urzędnikiem bankowym, starym kawalerem pędzącym skromne życie w niewielkim mieszkanku, o ile sobie przypominam, w okolicy Mało-Wasilkowskiej (miał parę ulubionych piesków, o których lubił opowiadać). W jego mieszkaniu bywaliśmy wszyscy, nawiedzaliśmy je ciągle. Było czymś w rodzaju miejsca urzędowego. Wielkość Bromirskiego nie mieściła się w ogólnie przyjętych schematach wielkości. Był to urzekający akcent ludzkiego „Jestem”, nie potrzebujący dekoracji i ogólnie uznanych rekwizytów wielkości. Młodzież kochała go i czciła i tak obywatel Józef Bromirski — Jot — przejdzie do historii.

Z przybyciem Bromirskiego poczuliśmy jeszcze bardziej grunt pod nogami — staliśmy się najdalej wysuniętą na wschód placówką ruchu legionowego. Zjawił się także delegowany przez komendę Legionów oficer wyszkolenia wojskowego, który rozpoczął szkolenie. Pełnił swą służbę sumiennie ale innych wartości nie posiadał.

Wydarzeniem historycznym było utworzenie w Kijowie Komendy Naczelnej III Polskiej Organizacji Wojskowej. Rozkaz powołujący do życia komendę przyszedł za pośrednictwem Żulińskiego, komendanta K.N.I.P.O.W. Z Żulińskim już przedtem byliśmy w łączności.

Tak pojawiły się w życiu każdego z nas na Ukrainie naddnieprzańskiej i w całej Polsce słowa — K.N. III, symbol, który pozostanie na zawsze. Przeszliśmy z nim przez życie, jest naszą żołnierską nominacją na walczącego o wolność żołnierza.

Od tej chwili zaczęła się regularna współpraca z komendantem Żulińskim, Komendą Główną P.O.W. i sztabem Legionów. Pomiedzy Kijowem a Warszawą zorganizowano stałą łączność. Wysyłaliśmy do Warszawy broń, amunicję, materiały wybuchowe, wiadomości i pojedynczych ludzi. Ludzie byli potrzebni w Kijowie. Rozrastaliśmy się na prowincji, rośliśmy w siłę.

W związku z organizacyjnymi osiągnięciami K.N. III i rozwojem wydarzeń ob. Żuliński sygnalizował, że chce się przenieść do Kijowa. Nie przyszło to jednak do skutku.

Wydarzeniem, które poruszyło nas bardzo, podniosło na duchu i wywołało entuzjazm, było przybycie do Kijowa ob. Sławy — sztabowej legionowej łączniczki. Był to znak, że Komendant o nas wie, o nas myśli i jest z nami. Sława przywiozła nam rozkazy, mieliśmy także pomoc jej w wykonaniu poleceń jakie otrzymała.

Poza tym, poza oficjalnym łącznikiem, była to jeszcze Sława — śliczna, elegancka, młoda. Ona pierwsza uczyła nas piosenek legionowych, opowiadała o życiu w legionach. Opowiadań tych nigdy nie było dosyć. Zżyliśmy się z nią bardzo. Nie sposób myśleć o K.N. III nie myśląc jednocześnie o niej.

Mniej więcej w tym samym czasie stanął do pracy z nami starszy od nas Jarosław Skarżyński, kijowski mecenas, żonaty z Marylą Jaroszewiczówną, siostrą mego gimnazjalnego kolegi, Tadeusza Jaroszewicza, przyszłego pułkownika szwoleżerów a w owym czasie stałego łącznika pomiędzy komendą kijowską i warszawską. Dom pp. Jarosławostwa był do naszej dyspozycji. Miały tu miejsce konferencje, odbywały się spotkania. Tu właśnie powstała inicjatywa powołania organizacji „Dniepr”, która by obejmowała sfery sympatyzujące z P.O.W., zorientowane postępowo i stojące na gruncie współpracy polsko-ukraińskiej. Organizacja ta do skutku jednak nie doszła. Raz jeszcze sądzono mi się ze sprawą „Dniepru” spotkać. Było to na śledztwie w Mokotowie 1953 roku. Przez dłuższy czas nie dawano mi spokoju. Wzmianka o „Dnieprze” figurowała w materiałach polskiego sztabu generalnego, które znalazły się w posiadaniu U.B. Śledztwo interesowało się nie tylko „Dnieprem”, był to drobny przyczynek do sprawy K.N. III. Sprawę tę badano szczególnie. Dane mi było przeżyć niemało nużących godzin — K.N. III nie da się z polskiego życia wykreślić, stała się pozycją historyczną.

Zbliżała się jesień 1915 roku. Pożar wojny wzmagał się z dnia na dzień. Nasza praca peowiacka przybierała na sile.

W listopadzie otrzymałem urzędowy nakaz wyjazdu do Saratowa jako poddany austriacki. Mój ojciec urodził się w Krakowie. Zdecydowano poddanych austriackich wysłać na wschód. Mnie wypadł Saratów.

Po rozejrzeniu się w sytuacji postanowiłem wykonać nakaz władzy. W Kijowie byłem za bardzo znany i w pewnej mierze politycznie skompromitowany. Miałem parę niepokojących dowodów. Pozostawanie w Kijowie nie miało w tych warunkach sensu. Moja obecność kompromitowałaby organizację. W połowie listopada 1915 roku wyjechaliśmy z ojcem do Saratowa. Miałem zorganizować okręg saratowski K.N. III i utrzymywać łączność z Naczelną Komendą w Kijowie. Kijów został pod opieką Bromirskiego. Z wyjazdem do Saratowa zakończył się mój pierwszy kijowski okres. Do Kijowa powróciłem w czerwcu 1917 roku.

45.

Po powrocie do Kijowa w pierwszej chwili nie mogłem zorientować się w stanie rzeczy. W związku z zaszłymi zmianami członkowie organizacji bądź udali się do kraju bądź zawieruszyli się w różnych przygodach, trwali w rozproszeniu. K.N. III przestała funkcjonować. W Kijowie pojawiali się ludzie ze świata legionowo-peowiackiego, osoby wybitne, powszechnie znane. Mówiono mi, że był Smigły, Wieniawa, Hołówko i inni. Przez pewien czas komendantem Naczelnym K.N. III był Bogusław Miedziński.

Był to okres przejściowy. Na pewien czas pojawiały się zarysy organizacji zabarwionej elementem legionowym, potem zanikały... Organizacja nie dawała znaku życia. Znaki co prawda od czasu do czasu były. Pamiętam, jak przez pewien czas zjawiał się u mnie Schaetzel po referat o sytuacji politycznej. Pamiętam przybycie do Kijowa Barthel de Weydenthała. Zostałem wezwany na odprawę. Zebrani wysłuchali słów Barthla inscenizowanego na wodza. Grupa peowiacka kijowska stała na uboczu. Tak upływały dni. Tak toczył się świat kijowski. Tak było do chwili mego spotkania z Lisem-Kulą.

46.

Którejś niedzieli na „przeglądzie katolickim”, w tłumie ludzi zebranych przed kościołem św. Aleksandra po sumie pokazano

mi smukłą, dość wysoką młodzieńczą postać o promiennym, młodym wejrzeniu. Był to Lis-Kula.

Po pewnym czasie doszło do spotkania z Lisem. Toczyła się sprawa Murmańska. Lis, ówczesny komendant K.N. III, prowadził akcję propagandowo-organizacyjną, wysyłał młodzież do Murmańska, gdzie miały powstawać formacje polskie.

Ani mnie ani moim kolegom peowiakom nie trafiało to do przekonania, patrzyliśmy na to krytycznie i nie robiliśmy z tego sekretu. Doszło to do Lisa. Zostaliśmy wezwani na konferencję, tzn. na odprawę wojskową, bo tak rzecz całą Lis przeprowadził.

Odbył się to w mieszkaniu Bromirskiego, w znanym nam salonie ob. Jota. Przyszło nas kilku. Lis zjawił się w majestacie dowódcy. Przemówił krótko, surowo, po wojskowemu. Było coś o łamaniu subordynacji, nawet o sądzie polowym. Lis skończył. Zapanowała cisza. Lis oświadczył, że daje nam pięć minut do mówienia i czekał... Zabrałem głos. Powiedziałem, że w ciągu pięciu minut nie jestem w stanie przedstawić sprawy i dlatego mówić nie będziemy. Lis ponownie wspomniął o sądzie polowym. Milczeliśmy. Sytuacja stawała się dziwaczna i denerwująca. Nerwy Lisa nie wytrzymały i padło słowo „mówcie”... Wtedy się zaczęło. W krótkim czasie stało się jasne, że w pojedynku słownym Lis jest partnerem słabym i bezbronnym. Zakrawało na druzgocącą klęskę Lisa. Ale Lis zwyciężył. Znikła gdzieś groźna mina, zamilkł głos dowódcy. Lis z rozbrajającym zażenowaniem przyznał, że nie jest w możności prowadzenia dyskusji i że sam nie bardzo rzecz całą rozumie, ale jest żołnierzem i dostał rozkaz. Do tego wszystko się sprowadza. Rozkaz musi wykonać bez względu na to, jak to wygląda, i prosi, żebyśmy zrozumieli jego sytuację i nie mieli w pogardzie jego osoby.

Wtedy stanęliśmy na baczność. Lis stał się naszym komendantem.

Od tej chwili widywałem się z Lisem. Nadszedł czas formowania batalionu, z którym Lis miał prowadzić operacje na Wołyniu. Nie była to mobilizacja normalna. Wszystko działało się w ukryciu, własnymi sposobami. Transport ludzi nie był rzeczą łatwą. Lis zagarnął sporą garść kijowskiej młodzieży, między innymi zabrał Sułkowskiego — studenta kijowskiego uniwersytetu, mojego w swoim czasie adiutanta, człowieka o wybitnych zdolnościach. Lis padł w bitwie pod Torczynem, Sułkowski także zginął.

Pewnego dnia Lis zaprosił mnie na dłuższą rozmowę. Było to w przeddzień jego wyruszenia na Wołyń. Mówił mi o sobie,

o sytuacji, planach i zadaniach, — oświadczył, że będzie spokojny, jeżeli przyrzeknę mu zajęcie się sprawami K.N.III i że Komendę Naczelną zostawia pod moją opieką. Uścisnęliśmy się. Nigdy już więcej Lisa nie zobaczyłem.

Komendantem naczelnym został Stefan Bieniecki, mój starszy kolega z kijowskiej studenckiej korporacji, student politechniki. Rozpoczął się następny okres mojej pracy w Komendzie Naczelnej. Byłem zastępcą Komendanta Naczelnego i kierownikiem wydziału politycznego. 23 sierpnia 1919 roku, po odejściu Wiktora Czarnockiego do kraju, zostałem mianowany Komendantem Naczelnym i byłem nim do końca istnienia K.N.III.P.O.W. W okresie rozwiązywania organizacji i prac demobilizacyjnych zostałem przewodniczącym Rady Komendantów Naczelnych. W skład Rady wchodził: Józef Bromirski, Wiktor Czarnocki, Stefan Bieniecki, Tadeusz Schaetzel, Bogusław Miedziński.

47.

W biegu zmieniających się ustawicznie wydarzeń nasuwał się na Ukrainę bolszewicki mrok — stabilizacja bolszewickiej władzy, tzn. autokratycznej władzy moskiewskiej występującej na ten raz w purpurze bolszewickiej rewolucji i grozie odrażającego terroru.

48.

Przed ostatecznym zapadnięciem bolszewickiego mroku dane nam było przeżyć rzeczy wzniosłe, podnoszące na duchu. Rewolucja nazwana *wielikaja bezkrownaja rewolucja* — niosła falę entuzjazmu, zapowiedzi lepszego jutra.

Już w pierwszych dniach rewolucji powstała sprawa wolnej Ukrainy. „Wybuch Ukrainy” był czymś olśniewającym i niesłychanym. Ukraina stała się błyskawicznie... W mgnieniu oka pojawiło się państwo ukraińskie, wyposażone we wszystkie państwowe atrybuty. Inaczej nazwać tego nie można.

Najśmielsze przypuszczenia nie były w stanie przewidzieć, że w ciągu paru lat od chwili wybuchu wojny na ulicy Włodzimierskiej w dawnym Muzeum Pedagogicznym będzie urzędował ukraiński parlament wolnej i niepodległej Ukrainy, a mój serdeczny przyjaciel, kolega-korporant Władysław Korsak będzie posłem i razem z Kazimierzem Domosławskim i innymi wejdzie w

skład grupy posłów polskich. Czy mogłem przypuszczać, że zgodnie z wprowadzoną przez Ukraińców autonomią kulturalną w Kijowie będzie urzędować minister do spraw polskich w rządzie ukraińskim. Był nim kijowski adwokat, Mickiewicz.

Ulicą Włodzimierską chodziłem osiem lat do Pierwszego Kijowskiego Gimnazjum a potem do uniwersytetu. Znałem każdy kamień. Każdy kamień był rosyjski, był stanem posiadania Rosji, mówił tylko po rosyjsku. Pierwsze gimnazjum było zbudowane za pieniądze ziemiaństwa polskiego „*dla obrusienija jugo-zapadnawo kraja*”, jak opiewał carski dekret.

W potoku wydarzeń fakty pojawiały się i gasły. W roku 1918 widzę powódź chłopskich furmanek zalewających kijowskie jezdnie w dzielnicach centralnych i reprezentacyjnych. Furmanki te zjawiały się razem z kozakami Petlury. Tak wchodził do Kijowa Ataman Symon Petlura, jedna z największych postaci Ukrainy. A potem *zapowit* na placu przed kijowską operą śpiewana przez wielotysięczny tłum, śpiewana na cztery głosy, spontanicznie, bez dyrygenta — tak jak to Ukraińcy potrafią.

Komiczna była „operetka hetmańska” wyreżyserowana i wystawiona przez Niemców. Był to jeszcze jeden przyczynek ilustrujący beztalencie polityczne niemieckie.

Widziałem pułki niemieckie maszerujące grzmiącym krokiem w takt pułkowych piszczałek przez tę samą ulicę Włodzimierską i inne kijowskie ulice, sentymentalne postacie niemieckie w okularach marzące nad urwiskami Cesarskiego Ogrodu... Hełmy niemieckie były w Kijowie i znikły, — nie tylko z Kijowa ale z całej Ukrainy. Mignęły pułki czeskie zbuntowane w marszu na Syberię. Szły we wzorowym porządku, dobrze wyekwipowane. A Denikin... Żołnierze armii gen. Bredowa we wspaniałym ekwipunku angielskim, dobrze odżywieni i wspaniale się prezentujący na rewii na placu Sofijowskim pod pomnikiem Bohdana Chmielnickiego. Bredow wyrzucił z Kijowa bolszewików...

Wydarzenia wrywały się w życie ludzkie. Lała się krew, kotłowało kłębowski przygód. Coraz to zmieniał się układ życia, pojawiały się nieznane przed tym kłopoty i komplikacje, powstawały ofiary.

Okres ten zasługuje na najbardziej szczegółowe i wszechstronne opracowanie. Były to czasy osobliwych i przejmujących doświadczeń — często straszliwych i tragicznych.

Mieliśmy do czynienia, poza okresem początkowym, ze zjawiskami, faktami, tendencjami, w których tkwiliśmy po uszy,

braliśmy w nich udział a raczej one brały udział w naszym życiu i decydowały o nim, nadawały naszemu trwaniu taką a nie inną postać. W większości wypadków były to zjawiska i akty nam wrogie.

Musieliśmy się im przeciwstawiać.

Front walki zarysował się wyraźnie. Była to walka z Rosją. Rosja, która na początku ustąpiła z „ulicy Włodzimierskiej”, powracała znowu, deptała i miażdżyła wszystko. Niemcy odegrali rolę epizodu, byli przyczynkiem na marginesie manewru, który miał decydować o wszystkim. Akcja Denikinowska pomimo walki z bolszewikami była w swej istocie nie mniej *istotno ruską*. I tu duch rosyjski zostawał wierny sobie a może zoologiczna *nienawiść do walki* o wolność Ukrainy i żandarmski stosunek do Polski zabarwiony niepokojem i obrzydzeniem...

Front rosyjski w walce z ukraińskim ruchem wyzwoleniczym przybierał różne postacie, by z czasem stać się ortodoksyjnym bolszewickim. W bolszewizmie akcent rosyjskości w odniesieniu do Ukrainy znalazł swe żywiołowe, największe, na jakie Rosję stać, wypełnienie. W walce ze wszystkim co ukraińskie Rosja rozporządzała potężnymi atutami, którym w warunkach ówczesnych nie można było się przeciwstawić.

Atutem takim była powszechna demoralizacja milionowej masy żołnierskiej, która po samowolnym porzuceniu frontu wracała rozbewziewiona i zanarchizowana do domu, — wracała jak sama chciała i robiła co chciała, dekomponowała życie, uniemożliwiała jakikolwiek konstruktywny wysiłek, stabilizację, wszędzie tam, gdzie się znalazła. Była to „woda” na młyn bolszewików, żywioł zalewający wszystko — *spiritus movens* bolszewickiego panowania i zwycięstwa.

Bolszewicy szli z hasłem bolszewickiej rewolucji socjalnej. W hasłach rewolucyjnych nie dali się nikomu prześcignąć. W warunkach ówczesnej rzeczywistości każdy, kto do licytacji z bolszewikami stawał, musiał przegrywać i przegrywał. Bolszewizm potrafił wykorzystać energię rozbewziewionych, zanarchizowanych tłumów dla budowania własnej, bolszewickiej siły. Tu właśnie bolszewicy godni są podziwu — należy uznać ich talent.

Ruch wyzwoleniczy ukraiński w warunkach, o których piszemy, i biorąc pod uwagę ukraińską improwizację błyskawicznie powstałego państwa, nie był w stanie zapanować nad podsycaną systematycznie przez bolszewików anarchią i przeciwstawić się moskiewskiej, bolszewickiej nawale.

Atutem w ręku bolszewickiej Rosji była niedojrzałość polityczna Europy i Ameryki w orientowaniu się w życiu wschodniej Europy, obszarów międzymorza bałtycko-czarnomorskiego i nieznajomość zagadnienia rosyjskiego. Dosadnym tego dowodem był manewr interwencyjny państw zachodnich i Ameryki w walce z moskiewskim światem bolszewickim w czasach walki wyzwolenczej Ukrainy.

W krótkim czasie skutki okazały się straszliwe. Rosja „sprawę ukraińską” wygrała. Ruch niepodległościowy ukraiński został zdeptany. Ostatnią krwawą pieczęć przyłożył Nikita Chruszczow 1930-1933.

Nie jest tajemnicą, jest znane całemu światu wymordowanie dziesięciu milionów ukraińskiej ludności w związku z zaprowadzeniem na Ukrainie kołchozów.

49.

Nad Dnieprem, poza Ukrainą i Rosją, zarysowała się obecność Polski: 1. miejscowa polska ludność osiadła na Ukrainie naddnieprzańskej z dziada pradziada, związana z masą ukraińską pokrewieństwem i wzajemnym promieniowaniem kultur. 2. Tradycje historyczne polsko-ukraińskie. 3. Zmartwychwstałe i niepodległe państwo polskie — Rzeczypospolita Polska, suwerenny twór państwowy na scenie tworzących się dziejów.

Trzy te czynniki, tzn. akcenty ukraiński, polski i rosyjski, tworzą różne kompozycje, układy, zjawiska i fakty. Różnie się przejawiają na scenie dziejów. Tak tworzyła się i tworzy po dziś dzień historia Ukrainy.

W czasach, o których mowa, akcent ukraiński — ukraińskie „Jestem” — w pewnych chwilach wybija się na czoło. Walka o wolność i własne państwo ma swe dni zwycięskie. Potem przychodzą dni klęski i dni niewoli. Zwyciężyła Rosja. Polska ukazała się nad Dnieprem w roku 1920, nad Dnieprem stanął żołnierz polski w braterstwie broni z walczącą o wolność Ukrainą. Była to chwila osobliwa — wielkiej wagi i znaczenia, niedoceniana przez polityków, opinię polską i opinię świata. Fakt ten pozostanie na zawsze i nie będzie starty z oblicza życia w miarę stawiania się historii jak tyle innych faktów.

Nie jest rzeczą przypadku ani wynikiem doraźnej inicjatywy politycznej, że w pierwszych dniach przywrócenia swego państwowego bytu Polska stanęła zbrojnie nad Dnieprem i miała pomóc Ukrainie w jej walce o wolność i niepodległość.

W tym, co się w czasach tych działo, K.N. III brała czynny i ofiarny udział. K.N. III była nie tylko ekspozyturą Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich w Warszawie, była czymś poza tym, czymś więcej, — była najprawdziwszą Polską, polskim Jestem. Polska mogłaby przejrzeć się w K.N. III jak w lustrze.

To właśnie stanowiło o naszej postawie, samopoczuciu, autorytecie we własnych oczach. Byliśmy żołnierzami polskimi na froncie straszliwych zmagających, w ogniu bolszewickiego terroru, świadomi niezwyklej wagi zadania, jakie dano nam do spełnienia.

Chodziło o wyczerpujące wiadomości, co się na Ukrainie dzieje, o systematyczne ich dostarczanie.

Do wykonania tych zadań stanęliśmy nieprzygotowani, nie byliśmy przeszkoleni i, co najważniejsze, nie mieliśmy wrodzonych predyspozycji do wywiadu. Wolelibyśmy walczyć na froncie z bronią w ręku. Jak się jednak okazało, wywiązywaliśmy się z powierzonego nam zadania nad podziw dobrze.

Po moim przyjeździe do Warszawy w końcu stycznia 1920 roku, będąc w sztabie na placu Saskim, widziałem nasz ostatni raport powielony w dziesiątkach egzemplarzy, wykorzystywany jako materiał informacyjny dla sztabów sojusznicznych i rządów europejskich.

Wrażenie największe miało nastąpić podczas meldowania się u Komendanta.

Pamiętam, jak pewnego dnia, a było to w lutym czy marcu, jechałem do Belwederu przez Aleje Ujazdowskie sankami około 10-tej wieczorem. Zostałem przyjęty przez Komendanta o wyznaczanej godzinie, tzn. o 10-ej wieczorem.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Józefa Piłsudskiego. Byliśmy sami w małym gabinecie na piętrze. Mój meldunek i rozmowa trwały do 5-ej rano. Powtarzało się to przez kilka nocy. Rozmowy miały miejsce w tym samym gabinecie i o tym samym czasie. Podziwiałem Piłsudskiego i jego niezmożoną energię.

Właśnie tu, w Belwederze, w gabinecie na piętrze, gdy byłem sam na sam z Piłsudskim, padły z jego ust słowa uznania dla K.N. III. Pamiętam gabinet... Noc — zima... belwederskie drzewa... postać Komendanta. On „widział” swymi widzącymi oczami i wiedzącym duchem, czym był wysiłek i służba żołnierska młodzieży polskiej nad dalekim Dnieprem. Potem od czasu

do czasu widywałem się z Komendantem w sprawach Polski i w sprawie K.N. III. W jednej z rozmów o K.N. III, a raczej podczas mego służbowego meldunku o K.N. III, Komendant miał wilgotne oczy a może było tak, jakby Komendant miał w oczach łzy... Było to największym naszym odznaczeniem, jakąś prawdą, która wyciągnęła do nas rękę.

Słyszałem bicie serca Polski.

52.

Dałem zarys sytuacji politycznej. Należy słów parę powiedzieć o warunkach życia i warunkach pracy.

W każdej chwili byliśmy narażeni na niebezpieczeństwo wkroczenia bolszewickiej władzy, wydania na pastwę szalejącego terroru Cze-ka. Śmierć snuła się nieustannie poprzedzana cierpieniem fizycznym i moralnym. Panowała niewola, o jakiej „nie śniło się” filozofom. Co noc i co chwila człowiek był świadkiem przemocy, rozbestwienia, deptania godności ludzkiej, zbrodni, zadawania męczarni. W każdej chwili świadek mógł się stać obiektem i ofiarą. W każdej chwili władza mogła porwać człowieka w swe tryby i robić z nim co się jej podoba. Nazywało się to walką z reakcją i kontrrewolucją. Na widok najmniejszego oporu władza wpadała w szal i stosowała bestialskie środki.

Dnie wlekły się beznadziejnie w skurczu udręki, panował niemy krzyk. Poza oficjalną propagandą i propagandą ludzi usiłujących walczyć o swe człowieczeństwo, panowała wszechobecna, samorzutna, przez nikogo nie organizowana propaganda przekleństwa istnienia.

Bytowanie człowieka, jeżeli chodzi o warunki materialne, trwało na opłakanie niskim poziomie. Pamiętam, jak w roku 1919, w okresie rządów bolszewickich, głodowaliśmy. W szpitalach leżało kilkunastu peowiaków chorych na wyczerpanie głodowe. Mówiono o „tyfusie głodowym”. W pewnym okresie, kiedy szedłem ulicą, dla pewności musiałem się czepiać płotów albo słupów. Brakowało sił. Moje uposażenie było takie jak wszystkich. Z wieloma mniej odpornymi na głód, albo nie posiadającymi jakichś wyjątkowych warunków odżywiania było tak samo albo jeszcze gorzej.

Ubrania i buty były w stanie opłakanym. Mój wygląd robił wrażenie człowieka zdeklasowanego, w skrajnej nędzy.

Pewnego dnia dałem się sfotografować na ulicy. Była to Marjinsko-Błagowieszczeńska. Postać moja wysuwała się na jakiejś obdrapanej żaluzji zamkniętego sklepu. Fotografia była potrzebna dla zrobienia dokumentu. Byłem nieogolony, nosiłem brodę.

Fotografię tę udało się przechować. Pokazałem ją kiedyś przy widzeniu Komendantowi. Komendant przyglądał się jej przez czas dłuższy i prosił bym mu ją darował. *Nu i oprosteli* — powiedział. Piłsudski lubił czasem w bliskim sobie towarzystwie cytować słowa rosyjskie.

W Kijowie było niełatwo, np. komunikacja. Warunki jazdy pociągami wymagały od pasażera nie lada ekwilibrystyki. Dostawano się do wagonu drzwiami i oknami. Poza tym trzeba było mieć cierpliwość. Rozkład jazdy nie był tym, co się zazwyczaj nazywa rozkładem jazdy. Trzeba było posiadać zdolność wytrzymywania straszliwego tłoku i oddychania trudnym do oddychania powietrzem. Trzeba było mieć niejedną zdolność — przede wszystkim niczym niezwalczony upór. Trzeba było odpowiednio wyglądać... i wyglądaliśmy. W końcu przepustki, dokumenty, zaświadczenia — oczywiście fałszywe.

Życie w Kijowie posiadało niejedną osobliwość powstałą w czasach nieustannych politycznych i militarnych przemian.

Np. „Komitety Domowe”. Były one czymś w rodzaju żytych z sobą załóg poszczególnego domu, zespołów towarzyskich ludzi, którzy czują się ze sobą dobrze. Pełniły od zapadnięcia zmierzchu służbę wartowniczą przez całą noc. W wielkich kamienicach zaznajamiały się tą drogą poszczególne mieszkania zazwyczaj izolowane i nie komunikujące się z sobą. Nocne dyżury były to dość liczne zebrania towarzyskie będące atrakcją nużącego i zamkniętego w sobie bytowania. Zwłaszcza pokolenie młode. Pilnowano zaryglowanych drzwi wejściowych. Nie wpuszczano nikogo. W razie niepokojącego dobijania się niepożądanych gości, którzy zjawiali się niekiedy w dość licznym towarzystwie, dyżurujący zespół podejmował niesamowity wrzask. Napastnicy nie wytrzymywali nerwowo i odchodzili. Czasem w nocy dawały się słyszeć oddalone wrzaski poszczególnych domowych komitetów. Wrzaski nasilały się i cichły. Było to zjawisko oryginalnie kijowskie.

Kiedy ważyły się losy miasta a na ulicach odbywały się zbrojne natarcia, strzelanina karabinowa, granaty i artyleria, — drzwi wejściowe domów zamykały się, mieszkańcy czując pismo nosem zawczasu uzupełniali zapasy pożywienia i gromadzili wodę w

wannach i nadających się do tego naczygniach. Walki ucichały. Drzwi domów otwierano i patrzono, jaka jest sytuacja, kto jest gospodarzem miasta, czy nastąpił *piereworot*, albo może pozostali dawni, te same postacie i oblicza. Mówiono wtedy — *niedoworot*, a życie toczyło się dawnym szlakiem.

Komitety domowe, jak się przekonałem, pozostawiły po sobie wdzięczną pamięć. Po przyjeździe do Warszawy w styczniu 1920 roku spotkałem się na bruku warszawskim z kijowiakami. Byli rozanieleni urokiem normalnego życia. Brakowało jednak „komitetów domowych”. Nosili się nawet z zamiarem zwrócenia się w tej sprawie do władz.

Kijów przechodził szereg razy z rąk do rąk. Różnie się to odbywało. Olbrzymia większość mieszkańców zachowywała się biernie. Siły walczące załatwiały swoje porachunki i walczyły na ulicach Kijowa. Ludność kijowska przyglądała się walce przez szpary swoich mieszkań i czekała.

Takie były okoliczności naszego bytowania. Musieliśmy nabierać umiejętności przystosowywania się do warunków, warunki nie były łatwe. Zwłaszcza terror. Bywały wypadki, kiedy peowiaci K.N. III wyjeżdżali na urlop na front polski żeby postrzelać do bolszewickiego wojska — i w ten sposób wypocząć. Czasem przysłany do K.N. III legionista — chłopiec na schwał — wracał z powrotem. Nie mógł wytrzymać warunków naszej pracy. Stawał się nerwowy.

53.

W roku 1919 K.N. III doszła do właściwych sobie ram organizacyjnych i systemu pracy.

Komenda Naczelna urzędowała w Kijowie — było to jej stałe miejsce pobytu. Mieliliśmy okręgi: Kijowski, Żytomierski, Winnicki, Berdyczowski, Odeski, Charkowski. W pewnym czasie powstały placówki w Rostowie i Noworosyjsku. Myśleliśmy o Moskwie. Przydzielono do nas Białoruś, ale do systematycznej współpracy z okręgiem tym nie doszło. O ile wiem, Białoruś komunikowała się z Warszawą na własną rękę. Faktycznie peowiaci z Białorusi weszli w skład K.N. III dopiero na gruncie warszawskim.

Komendy Okręgów były z Komendą Naczelną w Kijowie w stałej łączności. Szły raporty, sprawozdania, różne materiały, które składały się na treść dekadowych raportów K.N. III do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich w Warszawie. W zwią-

ku z tym mieliśmy stałe wiadomości z Warszawy, polecenia, informacje.

W każdej chwili Komenda Naczelna miała wyczerpujące dane o tym co się działo w terenie, a w terenie często działy się rzeczy niesamowite.

Zadaniem K.N. III było: 1. informowanie o sytuacji wojskowej na prawobrzeżnej i lewobrzeżnej Ukrainie, 2. informacja polityczna, 3. wykonywanie zadań specjalnych. Stanowiliśmy jedyną, stale funkcjonującą łączność z krajem.

Byliśmy nieumundurowanym wojskiem polskim nad Dnieprem, które pełniło wyjątkowo odpowiedzialną i ciężką służbę.

Byliśmy prawdziwymi żołnierzami — służba w K.N. III liczyła się jak służba na froncie. W okresie demobilizacji zrównano K.N. III z dywizją, a ja, pomimo że nie miałem stopnia oficerskiego, stałem się dowódcą dywizji, która liczyła wówczas około 30-50 ludzi. Liczba poległych była o wiele większa. Była to dziwna dywizja — o wszystkim zadecydował Józef Piłsudski — mieliśmy wszystkie agendy demobilizującej się dywizji — odznaczenia, weryfikację, nadział ziemi itd.

W związku z demobilizacją, w soborze na Placu Saskim odbyło się uroczyste nabożeństwo za poległych peowiaków K.N. III. Na zawiadomieniach o nabożeństwie i klepsydrach było sto dziewiętnaście nazwisk poległych. Major Maciesza w imieniu Józefa Piłsudskiego przypiął na trumnę order „Virtuti Militari”. Na nabożeństwo zjawili się liczne grono oficerów z gen. Rydz-Śmigłym na czele. Kazanie wygłosił ks. Tokarzewski, kapelan Belwederski, Sobór wypełniły rodziny peowiaków i tłum społeczeństwa. Po nabożeństwie, przy asyście wojska, gen. Rydz-Śmigły, Komendant Główny P.O.W. dekorował nas orderem Virtuti Militari. Dekorowanych było mało — odznaczenia dostali poegli.

54.

Z tego co zostało już powiedziane, zarysowuje się obraz K.N. III i naszego peowiackiego wojska. Ośrodkiem, w którym wojsko to się narodziło, była Kijowska Filarecja — polska studencka młodzież. Z biegiem czasu wokół tego ośrodka grupowały się elementy młodzieży bliskie nam duchem, gotowe walczyć o Polskę w każdych warunkach.

Był to element miejscowy. Każdy peowiak posiadał wrośniętą w życie lokalne rodzinę, krewnych, przyjaciół, znajomych, brał

udział w stawaniu się życia, które łączyło wszystkich. Był to przyrodzony punkt oparcia dla peowiackiej akcji, szansa pracy i możliwość pracy. Akcent „miejscowy” utrudniał penetrację Czecha i czynników, których musieliśmy się obawiać, dawał najlepsze alibi.

W Kijowie, w każdym okręgu i punkcie organizacyjnym istniały żyte ze sobą rodzinne i koleżeńskie środowiska nie rzucające się w oczy, wrosnięte w grunt. Każde z takich środowisk zasługuje na monografię i opis nie tylko historyczny, np. Żytomierz, w którym życie polskie i peowiackie tak bujnie się krzewiło i było tak bardzo polskie — tradycyjnie, po żytomiersku polskie. Albo Winnica... Albo Odessa ze swoimi odeskimi osobliwościami albo...

Wszystko to było takie, jakim było na Ukrainie życie polskie, jak rosło, toczyło się, stawało zgodnie z tradycją wrosniętą w Ukrainę i wyrosłą z niej.

Było to życie inne niż w Warszawie, Krakowie, Poznaniu ale nie mniej polskie.

Płynęło niezmaconym, spokojnym nurtem, przewijało się niepostrzeżenie. Gdy nadchodziły czasy osobliwe, dnie wielkie i tragiczne, wybuchało walką o polskie „Jestem”, zakwitało za Polską krwią i ofiarą. Ludzie stawali się na miarę Fidiasza. Byli także tacy co przykucali, nie podnosili głowy, udawali, że nic nie widzą i o niczym nie wiedzą — w ludzkim mrowisku jest tak zawsze.

Nasze środowisko peowiackie znajdowało na ogół życzliwe a nieraz ofiarne ustosunkowanie się społeczeństwa, pomimo że w wielu wypadkach musieliśmy się przed niejednym Polakiem konspirować.

55.

Środowisko peowiackie... Jeszcze będąc w Kijowie, patrząc na polską młodzież, zastanawiałem się niejednokrotnie jak się to dzieje, że chłopcy i dziewczęta, zdawało się niczym się nie wyróżniający, przesuwający się przez życie niepostrzeżenie, w chwilach tragicznych i wielkich zdobywali się na bohaterstwo ofiary, olbrzymieli w walce, zakwitali przedziwnymi, cudownymi kwiatami i tak szli na śmierć. Zginęło wielu. Ci, którzy zostali, znowu zanurzyli się w potoku normalnie płynącego życia, niezauważeni, nie różniący się od innych. Ukazywali się na scenie, kiedy padały gromy.

Z tymi co zostali spotykałem się od czasu do czasu w różnych okolicznościach. Pozostało ich niewielu, może paru, może kilku-nastu... Nie liczę rodzin, krewnych, przyjaciół związanych z K.N. III wspomnieniem i udziałem w sprawach K.N. III.

56.

.... Albo nasze łączniczki. Przez parę lat spotykałem się z nimi w Warszawie. Były wszędzie, walczyły na różnych frontach. Trzymamy się razem. Muszę się od czasu do czasu u nich meldować. Obchodzimy raz do roku święto pułkowe.

57.

Kiedy mowa o łączniczkach, muszę coś o nich powiedzieć.

Przez cały najcięższy okres pracy K.N. III mieliśmy systematyczną — co 10 dni — łączność z Warszawą. Aby to ocenić należy sobie zdać sprawę z warunków, w jakich przebywaliśmy.

Byliśmy najbardziej gruntownie odcięci od Polski i świata. Znaleźliśmy się w zamkniętym kotle bolszewickiego terroru. Przychodziło mi nieraz na myśl, że znajdujemy się na dnie oceanu. Nad naszymi głowami przelewają się olbrzymie masy wody — nie do przebycia — dopiero nad nimi unosi się firmament ludzkiego wolnego świata. Przychodziło mi na myśl, że jesteśmy jak żaby na dnie głębokiej studni, z której wydobyć się nie podobna. Czasem widzieliśmy pojedyncze gwiazdy. Takie były myśli Komendanta Naczelnego P.O.W. w Kijowie.

W takich warunkach i w takim stanie rzeczy komunikacja, i to systematyczna, ze światem i Warszawą mogła wydawać się marzeniem ściętej głowy.

Na Ukrainie wybuchła i przygasła krwawa zawierucha, każdemu groził terror Cze-ka. W samym Kijowie liczyliśmy do 20.000 agentów, którzy kręcili się w tłumie złamanych moralnie jednostek, ludzi przerażonych do ostatnich granic, łatwych ofiar czekistów. Zwróciłem już uwagę na komunikację kolejową w tych czasach.

Łączniczki Komendy Naczelnej zwłaszcza w swych podróżach służbowych do Warszawy musiały często przechodzić przez różne fronty, które wciąż na Ukrainie powstawały, przedzierać się przez wyprowadzone z równowagi ludzkie tłumy, przedostawać się przez sytuacje wyjątkowo niebezpieczne, mieć do czynienia

z coraz to innymi władzami, mając w ręku fałszywe dowody osobiste, przepustki, zaświadczenia, często musiały iść piechotą i korzystać ze wszystkich możliwych środków lokomocji, narażały się na nieprawdopodobne i ponure przygody.

Robiły to polskie studentki czy maturzystki, nasze koleżanki. Dawały sobie radę. Raporty do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich szły co 10 dni i dochodziły na Plac Saski w Warszawie.

Jest to jeden z fenomenów polskiej rzeczywistości, nieodłączny atrybut walki o Polskę prowadzonej w warunkach najbardziej tragicznych — przedziwne bohaterstwo kobiety polskiej.

Temu „przedziwnemu bohaterstwu” zawdzięcza K.N. III, że mogła się wywiązać z zadania, które na nią nałożono, — zawdzięcza Polska, że była wyczerpująco informowana o tym, co się na Ukrainie dzieje, otrzymywała materiały do decyzji i posunięć w okresie poprzedzającym rozgrywkę polsko-bolszewicką.

Co 10 dni szedł raport, tzn. szła z raportem łączniczka na niebezpieczeństwo, na śmierć.

Instytucja poczty polskiej musi być dumna, że w Polsce istniała swego czasu taka „poczta”.

Z tym „przedziwnym bohaterstwem kobiety polskiej” spotkałem się w moim życiu po raz pierwszy w Kijowie za czasów K.N. III.

Po raz drugi spotkałem się z nim za czasów okupacji niemieckiej, kiedy fala tego „przedziwnego bohaterstwa” przeniknęła całe polskie życie i stała się wzruszającym akcentem w walce o wolność Polski, w warunkach wyjątkowo tragicznych i krwawych.

Dawno już przyszedłem do przekonania o konieczności wzniesienia pomnika „Łączniczce” w Warszawie, w żywym sercu Polski. Nie chcę usuwać łączniczki z kręgu towarzyszy broni, z wieńca chwały polskiej. W wieńcu tym łączniczka jest kwiatem wyjątkowo uroklivym i tak bardzo swoim — jest na swoim miejscu, ale pomnik łączniczki na pewno będzie, bo taka jest Polska.

Ograniczam się do ogólnej charakterystyki środowiska K.N. III. W naszych warunkach nie mogło być mowy o normalnej ewidencji peowiaków za cały czas istnienia K.N. III.

W ostatnim okresie naszej pracy panowała posunięta do ostatnich granic konspiracja. Była ona *conditio sine qua non*

naszej pracy i naszego istnienia. Nie było nazwisk — były pseudonimy, liczby, kryptonimy, szyfry.

Każdy okręg był zakonspirowany wobec innych okręgów. Działała tylko ustalona organizacyjnie łączność. Nawet przed komendą Naczelną okręg był w znaczeniu personalnym w znacznej mierze zakonspirowany. Spotkania służbowe i technika spotkań ujęte regulaminowo ograniczano do niezbędnego minimum spotykających się stron.

W tym stanie rzeczy specjalnego znaczenia nabrała łączność i technika łączności. Ludzie w większości wypadków nie widywali się i nie znali.

W takich warunkach powstawało środowisko oddanych sobie na śmierć i życie ludzi, oddanych na śmierć i życie sprawie. Nic koleżeńskiej bliskości i braterstwa broni przewijała się własną, jej tylko wiadomą drogą, nie szła śladem techniki organizacyjnej łączności. Rzecz cała polegała na osobistym zaufaniu, odpowiedzialności i inicjatywie jednostek.

Obliczenie naszego peowiackiego wojska nie jest łatwe ze względu na to, że w różnych okresach działania K.N. III różnie bywało, różne były zadania, warunki pracy i warunki życia.

Okres „legionowy” wprowadził tak gruntowne zamieszanie i zamęt w personaliach, że o jakiejś przytomnej ewidencji mowy być nie może, zważywszy na panujące w tym czasie poruszenie w życiu polskim, na liczne i masowe wyjazdy do kraju, zważywszy wreszcie na brak wyraźnego zadania, jakie miała wypełniać K.N. III.

W okresie następnym zapanowała organizacyjna stabilizacja, ale, jak już wspomniałem, wszystko było objęte nieubłaganą konspiracją. W okresie pierwszym, „filareckim”, personalia K.N. III w wielkim stopniu pokrywały się z personaliami Filarecji. Tą drogą można by je odtworzyć.

Trudności ewidencyjne w całej okazałości wystąpiły w czasie demobilizacji — działania Komisji Likwidacyjnej K.N. III. Zaczęli na gruncie warszawskim pojawiać się peowiaci z różnych okresów. Byli tacy co przygodnie znaleźli się na Ukrainie i „coś robili”... Byli rodzice, krewni, przyjaciele, sympatycy, którzy do K.N. III się szczerze garnęli. Były nawet osoby nikomu nie znane a nawet znane ze swego negatywnego na gruncie kijowskim do nas stosunku.

Po roku 1927 — daty ścisłej nie pamiętam — kiedy urzędowałem już na Wołyniu, zjawiała się w Łucku delegacja peowiaków z zaproszeniem na uroczystość inauguracyjną „Zrzeszenia

K.N. III" — jeszcze jednej historycznej organizacji byłych wojskowych.

Nie brałem udziału w jej powstawaniu. Do podobnych instytucji nie byłem entuzjastycznie usposobiony. Nie mogłem jednak odmówić jako prezes Komendantów Naczelnych K.N. III.

Kiedy znalazłem się za stołem prezydyjnym, miałem przed sobą tłum ludzi w ogromnej większości mi nie znanych, a wśród nich twarze kijowskie, między innymi takie, których na gruncie kijowskim nie można było posądzić o sympatię i życzliwość do nas, wręcz przeciwnie. Jest to jednak los wszystkich organizacji historycznych poczynawszy od weteranów 1865 roku.

Istnieją jednak także nie mniej realne fakty uczuciowego ustosunkowania się do K.N. III społeczeństwa polskiego na Kresach — do tradycji kijowskiej peowiackiej. Trudno to obliczyć, zweryfikować, objąć ewidencją.

Na bankiecie wydanym przez „Zrzeszenie K.N. III” znalazł się koło mnie pułkownik Bończa-Uzdowski, zwany „Pietia”. Zameldował się mnie jako swemu dowódcy z K.N. III. Był w grupie Lisa-Kuli w batalionie K.N. III. Takich wypadków było wiele.

Nigdy nie byłem na zebraniach Kijowiaków organizowanych w Warszawie przez szereg lat — nawet w latach ostatnich — znalazłbym tam na pewno sympatyków K.N. III a może moich kolegów-peowiaków.

59.

Akcję K.N. III, zwłaszcza w okresie ostatnim, bolszewickim, ilustruje niejeden efektowny manewr, który przyniósłby zaszczyt najbardziej fachowej instancji wywiadowczej, wyposażonej we wszystkie środki działania i w pierwszym rzędzie — pieniądze. U nas pieniądze nie grały żadnej roli, pieniędzy nie było, nie były potrzebne. Mieliśmy do czynienia z bardzo skromnym żołdem, który bronił nas przed śmiercią głodową — każdy poza tym miał środki własne albo ich nie miał.

Byliśmy zespołem młodzieży studenckiej albo młodzieży zaraz po ukończeniu wyższych uczelni, byli także maturzyści. Nie posiadaliśmy fachowego wykształcenia wywiadowczego ani potrzebnych w takich wypadkach środków. Nie mieliśmy predyspozycji do służby wywiadowczej.

Okazuje się, że w pewnych wypadkach wystarcza inteligencja, intuicja, pasja przygody i nie licząca się z niczym pasja walki.

Naszym atutem było to, że stanowiliśmy element miejscowy, zakorzeniony i wyrośnięty z terenu. Nasza obecność nie zwracała uwagi. Jednak największym atutem była świadomość, że służyliśmy Polsce i biliśmy się za Polskę i to jeszcze jak...

W okresie, w którym pracowaliśmy owocnie, nie mogła na terenie Ukrainy utrzymać się żadna sieć wywiadowcza, organizowana z zewnątrz. Sztaby zachodnie były bezsilne.

Dla charakterystyki działania K.N. III przytoczę kilka epizodów:

Było to za urzędowania Rakowskiego, bolszewickiego komisarza Ukrainy. Denikin już się ruszył i zajął Charków. Rodzina Rakowskiego nie zdążyła z Charkowa wyjechać. Chodziło o skomunikowanie się Rakowskiego z rodziną przebywającą w konspiracji w Charkowie. Tak się stało skądinąd, że listy Rakowskiego do rodziny miała przewieźć do Charkowa jedna z naszych sztabowych łączniczek. Było to niepozbowione wdzięku. Łączniczka K.N. III wybrała się w podróż z pocztą Rakowskiego, wyposażona w najbardziej autentyczne dokumenty i polecenia najwyższych bolszewickich władz. Frontowa Cze-ka przetrzymała naszą łączniczkę przez parę tygodni w areszcie za to, że dokumenty były za dobre...

Po swej „podróży służbowej” łączniczka, która niejedną raz odbywała trasę Kijów - Warszawa wioząc raporty K.N. III do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich zameldowała, że nigdy już z autentycznymi dokumentami nie pojedzie a jedynie z papierami wydanymi przez biuro paszportowe K.N. III.

Jesienią 1919 roku postanowiłem wysłać list do mojej narzeczonej. Chodziło o klimatyczną miejscowość Sosnówka pod Czerkasami. Moi teściowie mieli tam swoją willę. Ordynował w niej szereg lat w okresie letnim mój teść — doktor Henryk Bolewski. Narzeczona moja spędzała lato razem z rodzicami.

List przesłałem drogą bardzo efektowną i w całym tego słowa znaczeniu niezwykłą — mianowicie przez ob. Dragomira. W tym właśnie czasie ob. Dragomir, człowiek wyjątkowego sprytu, inteligencji i najbardziej nieoczekiwanych pomysłów, był ni mniej ni więcej tylko najwyższym komisarzem bolszewickim instytucji nadzoru nad wszystkimi czerezwyczajkami jakie znajdowały się na terenie Ukrainy, miał swój sztab z nieograniczoną władzą karania czekistowskich przewinień, które w czasie swych inspekcji ustalał, miał prawo puszczania *w razchod*. Poza tym ob. Dragomir miał do swej dyspozycji przydzielone samochody, pociąg i nawet statek na Dnieprze.

Pewnego dnia statek ten wyruszył z przystani kijowskiej z towarzyszem komisarzem, tzn. ob. Dragomirem, na pokładzie. Celem rejsu były Czerkasy.

Po przyjeździe do Czerkas tow. komisarz przeprowadził inspekcję i *pustił w razchod* niejednego. Możemy sobie wyobrazić, co się działo w Czerkasach.

Po tak owocnym urzędowaniu tow. komisarz udał się do Sosnowki odległej od Czerkas o parę kilometrów. Tu zaczyna się następny obraz filmu. Przed willę doktora Bolewskiego zajechało auto Cze-ka, najbardziej urzędowe i w sposób najbardziej urzędowy. Wysiadł komisarz z czerwoną gwiazdą na skórzanej kurtce. Tow. komisarz wszedł do pokoju przyjąć doktora Bolewskiego i oświadczył, że ma sprawę do pani doktorowej. Na dom padł cień grozy. Kiedy tow. komisarz znalazł się sam na sam z matką Bolewską, skłonił jej się pięknie, pocałował w rękę i oświadczył, że chce zobaczyć się z jej córką. Cień straszliwej niepewności trwał dalej. Weszła moja narzeczona i... wszystko się wyjaśniło. Narzeczona moja знаła osobiście ob. Dragomira i wiedziała kim jest. Ob. Dragomir zameldował z rozradowaną twarzą swoją obecność i wyjął z kieszeni mój list. W domu doktorostwa Bolewskich Dragomir zjawił się jeszcze parę razy, spotkał się z ukrywającym się u Bolewskich ob. Rejmanem, komendantem okręgu Odeskiego K.N. III, który w podróży służbowej z Kijowa musiał przesiedzieć przez pewien czas w Sosnowce w związku z sytuacją wojskową i zbliżaniem się denikinowskiego frontu.

Dla porządku rzeczy należy wspomnieć o dalszej części filmu — tym razem z udziałem wojsk denikinowskich. Tak się nie-szczęśliwie dla Dragomira stało, że kiedy sprawował w Czerkasach swe rządy, do Czerkas podchodziły oddziały gen. Bredowa. Wybuchła bitwa. Ob. Dragomir, jako najwyższy rangą, musiał dowodzić wojskiem bolszewickim. Zażądał dla siebie konia i stał się dowodzącym wodzem. Bolszewicy byli zmuszeni do wycofania się z Czerkas. W pewnej chwili wódz-komisarz rzucił się konno do ucieczki i jak najszybciej wiał brzegiem Dniepru do Kijowa. Przygoda jeszcze się jednak nie skończyła. Dragomir nie mógł wyminąć wiosek i chłopów, których trudno było posądzić o sympatię dla bolszewickiego komisarza. Został ściągnięty z konia, aresztowany i zamknięty w jakiejś chłopskiej przybudówce. Postawiono straż. Udało mu się uciec w samej bieliźnie i tak nocami biegł do Kijowa. Pewnego dnia otrzymałem od Dragomira kartkę z zawiadomieniem, że siedzi w Kijowie na przed-

mieściu i nie ma ubrania. Posłałem po niego i w parę godzin uścisnęliśmy się.

W związku z Dragomirem wskażę na manewr o wyjątkowym znaczeniu, który K.N. III okrył chwałą. Niestety ta nasza „chwała” peowiacka nie znosi światła dziennego, jest zakonspirowana i ukryta przed ludzkimi oczami. Jest to specyficzna okoliczność sytuacji K.N. III — okoliczność towarzysząca wywiadowi nawet najbardziej ideowemu, najprawdziwшему bohaterstwu człowieka walczącego w najcięższych do zniesienia warunkach. Od czasu do czasu błysnie w oczy oślepiające światło ludzkiego wyczynu i „zamilknie”. Tak tworzy się legenda o bohaterstwie wywiadu. Tajemnice K.N. III nie nadają się do publikowania i to stwarza wyjątkowe warunki dla historii K.N. III a raczej zamyka jej usta.

O epizodzie, który miał dla Polski olbrzymie znaczenie i spowodował realne skutki polityczne, mówić mogę nie narażając się na złamanie nakazu milczenia po prostu dlatego, że epizod ten znany jest U.B.

Podczas śledztwa, gdy siedziałem w więzieniu w Mokotowie, prowadzący śledztwo oficer dał mi do przeczytania materiały naszego Sztabu Generalnego, które znalazły się w posiadaniu Ministerstwa Bezpieczeństwa. Moje śledztwo objęło okres od roku 1905, tzn. od trzynastego roku mego życia. Uderzyła mnie ilość posiadanych przez U.B. materiałów. Specjalnie interesowano się K.N. III. Właśnie z jednego z przedstawionych mi dokumentów — mam na myśli wniosek nadania mi orderu *Virtuti Militari* — dowiedziałem się, że dzięki materiałom nadesłanym z K.N. III sprawa przyłączenia do Polski wschodniej Galicji została pomyślnie dla Polski rozwiązana, pomimo że przez dłuższy czas mocarstwa zachodnie słyszeć o tym nie chciały.

A było tak... W pewnym momencie, gdy w Galicji zapanovał Petruszewicz, który reprezentował sprawę ukraińską galicyjską wobec całego świata, rozpoczęły się pertraktacje Petruszewicza z bolszewikami. Do Kijowa przybył pełnomocnik rządu bolszewickiego dla pertraktacji z Petruszewiczem — Joffe.

Rzecz cała sprowadzała się do tego, że taśmy Huges’a rozmów bolszewicko-petruszewiczowskich, prowadzonych przez pełnomocnika bolszewickiego rządu przysłanego do Kijowa z Petruszewiczem otrzymywałem „jeszcze ciepłe” i natychmiast drogą służbową wysyłałem do Warszawy.

Nie były to raporty i referaty sugerujące niebezpieczeństwo aliansu ukraińsko-bolszewickiego, — był to realny dowód two-

rzenia się aliansu, materiał najbardziej autentyczny, był to głos faktów i polityków. I to ostatecznie przesądziło sprawę galicyjską — Galicji Wschodniej — na korzyść Polski.

Taśmy Huges'a przynosił mi ob. Dragomir.

Sprawa Bagdatiana — Jerzy Kowalewski. Okręg Charkowski zorganizował w pewnym czasie placówki w Rostowie i na Kaukazie. Ob. Junosza V z Komendy Charkowskiej, niewątpliwie najwybitniejszy z tego zespołu, doszedł do Bagdatiana, wielkiego dygnitarza bolszewickiego — głównego komisarza do spraw przemysłowych na teren Kaukazu. Zdumienie moje było niemałe, kiedy w poczcie okręgu znalazło się podanie Bagdatiana do K.N. III, w którym Bagdatian staje do dyspozycji K.N. III i Polski i oświadcza, że gotów jest wyjechać do Polski i służyć Polsce w zakresie wiadomości o przemyśle naftowym i brać udział w pracach, jakie Polska mu wyznaczy.

Sprawę zreferował mi Junosza V wezwany do Komendy Naczelnej. Akceptowałem plan wyjazdu do Polski Bagdatiana pilotowanego przez Junoszę. Trasa prowadziła przez Odessę, gdzie pewnego dnia znaleźli się obaj panowie. W Odessie sprawy się skomplikowały. Zajęli ją wówczas denikinowcy, z którymi Junosza V miał do czynienia, występując jako oficer polski, co dawało mu możliwość manewrowania. Oficer polski był dla oficerów denikinowskich pewną atrakcją, był dobrze widziany i respektowany. Junosza V był niewątpliwie człowiekiem wybitnym ale posiadał jednocześnie bujny temperament. W pewnej sytuacji doszło do scysji z oficerami denikinowskimi, wybuchł skandal: w czasie jakiegoś uroczystego obiadu Junosza, doprowadzony do pasji i dotknięty na honorze, wysmarował siedzącemu obok oficerowi twarz musztardą i wylał na głowę talerz barszczu. Potem musiał uchodzić. Nie obyło się bez strzałów. Junosza ukrył się i zakonspirował. Tak się stało, że denikinowcy wpadli na trop Bagdatiana i Bagdatian zniknął. O wszystkim meldował mi Junosza w Kijowie.

Prowokator. — Pewnego dnia zjawił się w Kijowie oficer polski z Warszawy, tzn. z Placu Saskiego, znany osobiście ówczesnemu komendantowi K.N. III, który spotykał się z nim w Warszawie. Oficer miał polecenie przeprowadzenia inspekcji K.N. III z ramienia naszego Sztabu Generalnego. Komendant Naczelny urządził odprawę, na której byli obecni naczelnicy wszystkich oddziałów, w tej liczbie i ja, jako naczelnik wydziału politycznego i zastępca Naczelnego Komendanta. Był obecny

także ów oficer. Komendant zwrócił się do nas z wezwaniem, że mamy odpowiadać na wszystkie pytania zadawane przez oficera. Odprawa trwała parę godzin. Oficer skrzętnie notował. Po paru tych godzinach wiedział wszystko. Miał najbardziej autentyczny obraz naszej organizacji i pracy, miał adresy, pseudonimy, nazwiska. Po skończonej odprawie oficer zwrócił się do mnie, że chce ze mną odbyć dłuższą konferencję u mnie w domu. Dałem mu adres. Mieszkałem wtedy u doktorostwa Bolewskich. Dałem mu moje nazwisko. O tym, że byłem Przemysławem, dowiedział się na odprawie. Miał do mnie przyjść nazajutrz przed południem. Nie przyszedł. Następnego dnia przed ósmą rano, gdy leżałem jeszcze w łóżku, zjawił się Komendant Naczelny i oświadczył, że ów znany mu z Warszawy oficer, którego poznał w naszym drugim oddziale, jest czekistą — ma na to niezbite dowody. Został ostrzeżony przez kogoś z najwyższych sfer partyjnych bolszewickich, którego znał bardzo dawno.

Chodziło o bezzwłoczne i błyskawiczne działanie. Po pierwsze — udajemy, że o niczym nie wiemy i urzędujemy z „oficerem” najbardziej normalnie. Po drugie — Komendant Naczelny natychmiast wyjeżdża do Kraju i znika z Kijowa pilotowany przez nasze łączniczki. Po trzecie — obejmuję całą akcję i odpowiadam za dalszy przebieg wydarzeń.

Od tej chwili „oficerem” widywałem się stale. Przydzieliłem mu łącznika do jego dyspozycji dla kontaktowania się ze mną. Widywaliśmy się w ustalonym lokalu, spacerowaliśmy po ulicach Kijowa — czułem się wtedy bardzo głupio. Chodziło o czas przeprowadzenia generalnego odwrotu i oderwania się od nieprzyjaciela. Część kolegów miała z Kijowa wyjechać, inni zmienić adresy a wszyscy dowody osobiste i pseudonimy. Chodziło o przeniesienie składów broni, archiwów. Trwało to około tygodnia. Po skończonym manewrze miała nastąpić likwidacja „oficera”. Miałem dokonać jej osobiście. Pod koniec tego okresu „oficer” zaczął zdradzać nerwowość. Widywaliśmy się coraz rzadziej. Zaczął mnie unikać. Zrobił ostrą wymówkę, że jest przez nas śledzony. Wy tłumaczyłem, że to Komendant Miasta z własnej inicjatywy wysłał ochronę, którą, zgodnie z jego życzeniem, kazałem zdjąć.

Nadszedł czas likwidacji „oficera”. Niestety sprawa się nie udała... „oficer” znikł.

Po pewnym czasie natrafiliśmy na jego ślad w Berdyczowie, gdzie wyspał naszą placówkę. Zaczęło się polowanie na „oficera”, które trwało parę tygodni. „Oficer” zmieniał ciągle swe

miejsce pobytu. Wreszcie dostałem meldunek, że został zastrzelony w Równem.

W życiu moim miałem paru prowokatorów. Były to zawsze osoby z zewnątrz. Doświadczenie moje wskazuje, że prowokator nie daje swej władzy wszystkich zdobytych materiałów a rozkłada to na raty, i nie śpieszy się. Jest w ten sposób stale potrzebny i honorowany. Gdyby wywalił wszystko co posiada od razu, nie wyszedłby na tym dobrze. Tej właśnie okoliczności zawdzięczam, że piszę wspomnienia o K.N. III.

Kilka przytoczonych epizodów daje pojęcie o warunkach naszej pracy. Nie wspominałem o wywiadzie wojskowym *sensu stricto*, który wymagał wielu ludzi i wielkiej ilości systematycznie prowadzonych obserwacji. Dopomagali K.N. III kijowscy harcerze. Stanowili oni oddział wydzielony, który spełniał nakazane zadania.

Była to praca nerwowa. Najbardziej nerwową była siłą rzeczy w okresie bolszewickim. O innych okresach także dałoby się niejedno powiedzieć. K.N. III ma na swoim koncie niejedną sprawę godną uwagi nie tylko z zakresu wywiadu. Na przykład batalion K.N. III, którym Lis-Kula dowodził na Wołyniu, na przykład wysadzenie 14 mostów na trasie wycofywania się Niemców z Ukrainy.

60.

K.N. III w okresie „bolszewickim” poniosło duże straty, zapanowało zmęczenie i wyczerpanie. Zawiadomiłem o tym Warszawę. Nie widziałem możliwości zasilenia K.N. III nowymi siłami. Nie mogło być mowy o uzupełnieniu z zewnątrz. Nie mogło być mowy o zrobieniu z K.N. III typowej i fachowej organizacji wywiadowczej II Oddziału. Na ten temat, będąc w Warszawie, przeprowadziłem rozmowy z miarodajnymi czynnikami, które musiały przyznać mi rację.

Uważałem, że K.N. III spełniła swoje zadanie i obowiązek wobec Polski. Zbliżała się zbrojna rozgrywka polsko-bolszewicka. W jej przygotowaniu odegraliśmy niemałą rolę — zrobiliśmy wszystko na co było nas stać, zasłużyliśmy na uznanie, którego nam nie skąpiono.

Moje raporty o ciężkiej sytuacji K.N. III nie odniosły skutku, zdecydowałem się więc na wyjazd do Warszawy by osobiście rzecz przedstawić. Kierownictwo na miejscu oddałem kpt. Radomskiemu, przysłanemu do nas w swoim czasie legionście, i

liczyłem na Jerzego Bolewskiego, ówczesnego komendanta okręgu kijowskiego. Wydałem polecenie by akcji nie forsować, nie porywać się na trudne i niebezpieczne manewry, oszczędzać siły, dotrwać do przyjścia polskich wojsk.

Do Warszawy przyjechałem 26 stycznia 1920 roku. Jeszcze w Tarnopolu spotkałem się z moim serdecznym przyjacielem, kpt. Wiktorem Czarnockim, byłym Komendantem Naczelnym K.N. III, po którym objąłem dowództwo.

W Warszawie sprawa K.N. III została wyjaśniona. Prowadzimy swoją akcję do chwili wkroczenia wojska polskiego na Ukrainę — to znaczy, prowadzimy akcję do wiosny.

Z chwilą mego pobytu w Warszawie raporty z Kijowa szły do moich rąk, a nie jak przedtem do II Oddziału. Urzędowałem z sztabem przydzielonych mi oficerów przy ulicy Świętokrzyskiej, gdzie dano mi lokal. W ten sposób raporty K.N. III szły na Plac Saski z ulicy Świętokrzyskiej.

Raporty szły jednak mniej regularnie niż przedtem, z przerwami. Chodziło o przetrwanie.

61.

Kiedy wojsko polskie zajęło Kijów, z K.N. III pozostał krwawy strzęp. Nie mogłem w chwili tej przyjechać do Kijowa. Z rozkazu Komendanta zostałem wiceministrem spraw wewnętrznych w rządzie atamana Petlury, urzędowałem w Kamieńcu, a potem w Winnicy, miałem zadanie niezwykle ważne i odpowiedzialne.

Z wkroczeniem wojska polskiego do Kijowa znalazł się w Kijowie pułkownik Adam Koc, zastępca Komendanta Głównego P.O.W., delegowany do zajęcia się sprawą K.N. III, tzn. organizacją pomocy pozostałym przy życiu peowiakom a zwłaszcza pomocy rodzinom peowiackim, które pomocy tej najbardziej potrzebowały — po stracie najbliższych i w większości wypadków bez środków do życia.

Ofiary. Na klepsydrze żałobnego nabożeństwa za poległych peowiaków K.N. III było sto dziewiętnaście nazwisk. Prawie wszyscy zabici w okresie „bolszewickim”. Może gdzieś w archiwach, listach, czyichś papierach egzemplarz zaproszenia na nabożeństwo pozostał, w zaproszeniu nazwiska te były wydrukowane. Dziś nazwisk tych nie jestem w stanie odtworzyć. Wymienię tylko dwa:

Okręg Kijowski: Komendant Okręgu Kijowskiego — Jerzy Bolewski ukończył politechnikę kijowską ze złotym medalem, człowiek o wybitnych i nieczęsto spotykanych zdolnościach; Jadwiga Goszczycka, kijowska studentka, postać ujmująca i bohaterska. Nazwiska innych, a było ich kilkunastu, zatarły się w mojej pamięci — nie zatarła się ich obecność w życiu moim i życiu Polski — „widzę” ich, są zawsze ze mną po wszystkie czasy i poza czasem jak i tych stu dziewiętnastu i tych, których nazwisk na klepsydrze żałobnej nie wydrukowano a którzy za Polskę nad Dnieprem ginęli.

Grupę kijowską z Jerzym Bolewskim i Jadwigą Goszczycką przewieziono do Charkowa i rozstrzelano po pewnym czasie w Czeka.

Nieznany mi drogami i w nieznany sposób zjawiła się z Charkowa legenda, że ostatniej chwili, gdy ciszę miała przeciąć salwa czekistów, rozległ się głos Jerzego Bolewskiego... „Jeszcze Polska nie zginęła”. Opowiadali o tym Polacy, mówili czekaści. Legenda ta zameldowała się w Warszawie.

Upřednio jeszcze w Winnicy zginął podobną śmiercią Komendant Okręgu Winnickiego, Gnatkowski, wraz z grupą swoich peowiaków. Pamiętam Trętowskiego.

Z Odessy przyszły imiona braci Węgrzynowskich i innych.

62.

Z wkroczeniem na Ukrainę polskiego wojska, akcja K.N. III została zakończona. K.N. III stała się pozycją historyczną.

W polskich wydawnictwach historycznych historia K.N. III jednak się nie ukazała i zapewne się nie ukaże.

O K.N. III nie można mówić ani pisać jak o innych momentach walki o Polskę. Dziejów K.N. III nie można publikować, nie można pisać, jak pisze się o czynie legionowym albo poszczególnych legionowych formacjach, pomimo że K.N. III w istocie rzeczy była legionową placówką — emanacją Legionów nad Dnieprem, a walkę, którą toczyła, należy zaliczyć do najbardziej ofiarnych, wymagających osobliwego hartu ducha.

O K.N. III nie można mówić ani pisać, ponieważ nad K.N. III zawiśł nakaz milczenia respektowany przez życie — obowiązujący i uznany przez wszystkich protokół.

„Nakaz milczenia” sprawia, że o historii K.N. III nie ma nawet wzmianki w pismach Józefa Piłsudskiego, a przecie w pismach

tych są poruszane najprzeróżniejsze fakty i zagadnienia walki o Polskę.

Stosunek Komendanta do K.N. III jest znany. Komendant K.N. III cenił i wyróżniał, na co miałem wzruszające dowody. Było to nasze największe odznaczenie — Komendant był z nami.

Kiedy w roku 1920 znalazłem się w Warszawie, nie zapomnę przyjęcia, jakie zgotowała mi jako Komendantowi Naczelnemu K.N. III legionowa starszyna. Byłem wzruszony i oszołomiony. Legioniści wzięli mnie za swego, a K.N. III za swoją, z ducha legionowego powstałą formację.

Kiedyś zebrało się w Belwederze na pogawędkę kilka osób. Był Sławek i Prystor. Na propozycję Sławka każdy z nas miał opowiedzieć jakiś epizod ze swego życia, epizod walki, w której brał udział. Proszono, bym opowiedział coś o K.N. III. Opowiadałem o naszym życiu, przytoczyłem charakterystyczne dla K.N. III obrazki naszej walki na Ukrainie w warunkach bolszewickiego terroru. Kiedy skończyłem, zabrał głos Sławek i oświadczył, że to, co się działo w K.N. III przerasta wszystko, co Sławek ma do powiedzenia ze swej przeszłości i w zebranim w Belwederze towarzystwie pierwszeństwo należy się K.N. III.

A jednak o K.N. III nie można mówić ani pisać. Tak każe „nakaz milczenia”.

Nie jest to zabobon ani jakaś magia, ani nieprzynosząca człowiekowi zaszczytu konwencja. Inaczej być nie może, bo chodzi o wywiad. Historia wywiadu nie nadaje się do publikacji. Tak już jest i nie ma na to rady.

O wywiadzie pisze prasa brukowa, puszcza wodze niezdrowej i zakłamaney wyobraźni, budzi podłe instynkty. Prasie za to płacą... Są to sprawy brudne i żałosne. Nie możemy na nie zwracać uwagi.

Od czasu do czasu z mrocznego świata wywiadu pojawia się jakiś błysk, jakieś imię, przed którym chylimy głowę, jakieś bohaterstwo i męczeństwo! czasem mówi się o wywiadzie ideowym. W swoim czasie wspominano o ideowym wywiadzie japońskim w czasie wojny japońsko-rosyjskiej.

Przytoczę pewien niecodzienny fakt, który wzruszył mnie bardzo. Było to w roku 1920 a może 1921. Mieszkaliśmy w Bristolu. Pewnego dnia zjawili się oficerowie japońscy i najstarszy z nich, zdaje się pułkownik, złożył na moje ręce wyrazy podziwu dla K.N. III.

W okresie ostatnim, „bolszewickim” byliśmy może najbardziej ideowym wywiadem na świecie.

Pieniądże, które w wywiadach fachowych i zawodowych grają tak przemożną rolę, nie miały u nas znaczenia, były niepotrzebne — pieniędzy nie było. Był niezwykle skromny żołd żołnierski taki sam dla wszystkich szarż, który chronił niejednego z nas od głodowej śmierci czy ostatecznego wyczerpania fizycznego. Taki był „styl” K.N. III. Nie mieliśmy przeszkolenia fachowego — mieliśmy żarliwy patriotyzm peowiacki, patriotyzm K.N. III jako instancji samoistnej, pokrewnej Legionom. Byliśmy wpatrzeni w Komendanta i w zmartwychwstającą Polskę.

To właśnie tłumaczy nasze sporadyczne konflikty z Oddziałem II Sztabu, który mimowoli traktował nas „fachowo”, miał za „fachowców” czy zawodowców. Powstawały pomysły by K.N. III przekształcić w zawodową organizację wywiadu. Na miejsce „Polskiej Organizacji Wojskowej” powstawałaby „Polska Organizacja Wywiadowcza”. Na ten temat miałem parę rozmów z Ignacym Matuszewskim.

Taka polityka II Oddziału doprowadziła do sytuacji dramatycznej. W pewnym momencie zostałem wezwany przez pułkownika Adama Koca do sztabu na Placu Saskim. Koc był zastępcą Komendanta Głównego P.O.W., a w czasie, o którym piszę, szefem oddziału V sztabu. Liczono na moje przyjacielskie z Kocem stosunki i autorytet moralny Koca.

Po moim pojawieniu się, kilku słowach powitania i przyjacielskiej pogawędki Koc wręczył mi urzędowe pismo szefa sztabu zaadresowane na moje imię.

W piśmie tym szef sztabu poleca mi przekazać komendę nad K.N. III wskazanemu przez szefa sztabu oficerowi.

Nie namyślałem się ani chwili. Podarłem pismo i rzuciłem na podłogę. Koc się przeraził — „coście zrobili?” — „czy zdajecie sobie sprawę, czym to grozi?”. Odpowiedziałem, że może wezwać żołnierzy i kazać mnie aresztować.

Koc był postacią ewangeliczną, nazywano go „szlachetnym”. Przemawiał do mnie przez pewien czas. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Tak rzecz się skończyła.

Dla charakterystyki sytuacji należy wspomnieć o moim zarządzeniu zabraniającym peowiakom K.N. III udawania się do II Oddziału służbowo. Były to czasy, kiedy znalazłem się w Warszawie i miejscem pobytu Komendy Naczelnej była Warszawa.

Nie wpływała na to okoliczność, że w II Oddziale urzędowali ludzie nam bliscy, legionieści, że był tam legionista a jednocześnie nasz peowiak, Tadeusz Schaetzel, cieszący się powszechnie autorytetem moralnym.

Niezwykłe wymowne jest to, że po zdemobilizowaniu K.N. III do Oddziału II weszło tylko 2-3 peowiaków, pomimo że peowiacz z K.N. III byli tam chętnie widziani.

Broniliśmy się przed piętnem wywiadu zawodowego a jednak byliśmy wywiadem i to nie byle jakim. Oddaliśmy Polsce niejedną przysługę, — nigdy jednak nie zatraciliśmy z oczu, że jesteśmy żołnierzami, którym kazano prowadzić wywiad i prowadziliśmy go z największym poświęceniem.

Tak należy rozumieć akcent wywiadu w istnieniu K.N. III okrywający K.N. III chwałą, a jednocześnie pociągający za sobą skutki tragicznych nieporozumień, współczynnik tragicznych i ponurych komplikacji. Czymże jest wspomniany przeze mnie „nakaz milczenia”, nie pozwalający nazywać po imieniu tego, czym Polska powinna się szczyć, co nadaje przedziwny i tak bardzo przejmujący patos bohaterstwa, stwarza niekiedy tragizm na miarę największą?

Pamiętam moją rozmowę z matkami poległych peowiaków. Rozmów takich miałem kilka. Nie przypominam sobie, by ktoś o podobnych rozmowach pisał i przyznawał się do nich. Nie wiem, czy wielu w takiej sytuacji się znalazło. Czasem matki nie mówią, ale milczenie może być bardziej jeszcze wymowne.

Matka patrzy w oczy dowódcy swego poległego syna czy córki i może mówić wszystko. Matce wolno wszystko i może mówić wszystko. Matce wolno wszystko a dowódca nie ma prawa rozminąć się ze wzrokiem matki, musi „stać na baczność” bez względu na jej słowa.

Matka może powiedzieć, że ma do dowódcy żal a nawet że go przeklina. Inaczej byłoby, gdyby syn padł w boju jako żołnierz z bronią w ręku — żołnierz w mundurze. Największa żałoba i rozpacz są bezsilne wobec śmierci żołnierskiej. Inaczej jest, jeżeli syn zginął jako szpieg. Dowódca jest w oczach matki za to odpowiedzialny. Matka mówi o swojej męce i przeklina tych, którzy jej dziecku zgotowali śmierć szpiega. Dowódca musi „stać na baczność” i nie rozmijać się ze wzrokiem matki.

Na ogół matki tak nie postępowały. Była jedna, która mówiła o córce, i była jeszcze druga...

Czyżby słowo „wywiad” nie dało dojść do słowa temu, co w życiu polskim nad Dnieprem zakwitło bohaterstwem młodzie-

ży, z czego Polska musi być dumna, w czym dała o sobie znać Jej wielkość?

K.N. III zyskała przywilej tragizmu nieznanego innym walczącym o Polskę — przywilej walki nie liczącej się z powszechnie przyjętymi dekoracjami i rekwizytami bohaterstwa żołnierza, z protokołem czci i wzruszenia dla poległych za ojczyznę.

O nazwiskach poległych żołnierzy K.N. III nie usłyszymy na uroczystych werblach za poległych żołnierzy polskich, nie padną słowa — „poległ na polu chwały”.

W pewnym sensie wielkość K.N. III stała się wielkością znieważoną i właśnie dlatego tym większą, bo pozbawioną „skazy uznania”.

Wielkość ta ma swoje pseudonimy. Jednym z nich są litery — K.N. III.

64.

Z taką wielkością miałem zaszczyt i szczęście spotkania się. Byłem założycielem i ostatnim Komendantem Naczelnym K.N. III.

Jest to najbardziej zaszczytne stanowisko, jakie w życiu zajmowałem. Było to narodzenie się Polski, którą żyję i istnieję po dzień dzisiejszy. Tak było i tak jest nie tylko ze mną. Tak było ze wszystkimi walczącymi pod sztandarem K.N. III.

Ani słowo „wywiad”, ani słowo „szpieg”, ani słowa, które zazwyczaj im towarzyszą, nie mają tu nic do powiedzenia — znajdują się poza granicami tego, co miało miejsce i tego, co działo się naprawdę.

Trudno pogodzić się z myślą, że „to, co miało miejsce i co naprawdę się działo”, zostało usunięte z toczącego się życia i przebywa poza ramami historiografii. Trudno pogodzić się, by było nieobecne wśród nas i nieobecne wśród tych, którzy po nas przyjdą. Trudno pogodzić się z nieliczącą się z niczym dyktaturą „nakazu milczenia”. Trudno pogodzić się z przemilczeniem Polski swej wielkości.

65.

Nie piszę historii K.N. III — nie mogę jednak o K.N. III nie pisać i nie dać świadectwa temu, „co miało miejsce i co naprawdę się działo”.

K.N. III wyszła z Kijowskiej Filarecji — ideowej organizacji studenckiej powstałej w przeddzień pierwszej wojny światowej. Filarecja stanęła do walki o Polskę jako ruch ideowy i z czasem przybrała postać K.N. III.

W dniu wkroczenia wojsk polskich na Ukrainę K.N. III była już „krwawym strzępem”.

To właśnie miało miejsce i to naprawdę się działo. Nad tym nie można przejść do porządku, a „nakaz milczenia” jest bezsilny. Melduję o tym Polsce jako prezes Filarecji i Komentant Naczelny K.N. III.

66.

Meldunek ten składałam w chwili osobliwej i warunkach osobliwych. Jeżeli pierwsza wojna światowa była dziejowym kataklizmem, który zmienił oblicze świata — druga wojna światowa była nim po dwakroć, a walka o wolność Polski i o polskie Jestem dosięgła niewidzianych dotychczas szczytów.

Mówię o K.N. III w obliczu A.K. — dwóch liter, które świecić będą w życiu polskim przez wieki. Mówię o K.N. III w obliczu Powstania Warszawskiego.

Pomimo że K.N. III była dawno, a skala jej i skala dokonań była niewspółmiernie mniejsza — K.N. III była tym samym i wiem, że zaświadczyłyby tu „szare szeregi”.

Dobrze by jednak było, żeby tam, gdzie Polska modli się za poległych w walce o Polskę — modliła się także za poległych peowiaków K.N. III.

III. — DWUDZIESTOLECIE

Odzyskanie wolności

67.

Rzeczy największej wagi w życiu człowieka i narodu ześlizgują się niekiedy z pola naszego widzenia, istnieją jakby nominalnie. Reminiscencje takie nadchodzą, gdy myślę o „wybuchu Polski”.

Życie każdego z nas znalazło się na innej orbicie istnienia, stało się inne, — znikło obce, wrogie, nie było przenikającej nasze dnie niewoli. Stawaliśmy się sobą inaczej niż przedtem.

Patos tego co się stało nie dawał się utrzymać. Życie ma swój sposób bycia i toczy się po swojemu. Wspomnienia niedawnej przeszłości spoglądały często wzrokiem niewidzącym na to, co się działo, rośło, oddychało, parło naprzód, snuło się po Polsce rozradowane, było z nami. Polska przechodziła do porządku nad tym co było, często czepiała się tego kurczowo, tak stawiała się sobą, była sobą.

Każdy brał udział w ogarniającej cały kraj improwizacji. Tyśiące ludzi zaczęło wykonywać czynności, którymi nigdy się nie zajmowało. Zaczęto pełnić najprzeróżniejsze funkcje państwowe, organizacyjne, administracyjne, społeczne. Stawano się dygnitarzami, urzędnikami różnych resortów, kierownikami, podwładnymi.

Polityka personalna tych czasów nasuwa niejedno zastrzeżenie. Jest to zagadnienie, o którym nikt jeszcze nic nie powiedział. Ogrom doświadczeń nie został wykorzystany. Poza nauką miałyby tu coś do powiedzenia literatura, a nawet teatr. Dla teatru mogłoby to stać się istną kopalnią.

Temat ten obchodził mnie zawsze. Udało mi się niejedno zaobserwować. Na przykład profesor... Spotykałem się z nimi w urzędowaniu.

Z zadziwiającą łatwością profesor przenosi swój autorytet naukowy na inne dziedziny jak polityka, organizacja, sprawy gospodarcze, administracja. Nie znaczy to, bym potępiał działalność profesorów na stanowiskach rządowych. Bywało jednak różnie. Albo mentalność inżyniera, doktora, nauczyciela, prawnika. Wszyscy oni posiadali związany ze swoim fachem sposób myślenia i zachowania się. Znajdowało to swój wyraz w urzędowaniu. Zagadnienie „fachowości” urzędowania, fachowe przygotowanie urzędnicze, jest to temat mało uchwytny, trudny do ujęcia. Rzecz jest skomplikowana.

Wiele osób „spada z księżycy”. I ja także „spadłem z księżycy”. Nigdy nie myślałem o pracy administracyjnej. Interesowały mnie inne sprawy. Nie uchroniło to mnie jednak od zajmowania eksponowanych stanowisk administracyjnych, od brania udziału w polityce, odgrywania roli w sprawach wyznaniowych.

To, co się działo w Polsce, miało w sobie coś z rewolucji, kiedy życie wprowadza nową władzę, nowych ludzi, improwizuje, nie legitymuje się fachowym przygotowaniem. Miało to swoje jasne i ciemne strony. Były wypadki mało imponujące, ale na ogół „egzamin zdawano”.

Polska była sobą, sobą dysponowała, stawała się sama z siebie. Nie było obcej inwencji, zależności, terroru obcej władzy. O blaskach i cieniach polskiej rzeczywistości stanowiła sama Polska — taka, jaka była. Rządziliśmy się sami.

Jakże wyraźnie staje to przed nami dzisiaj, po okupacji niemieckiej i sowieckiej, po sowieckim „wyzwoleniu”. Szliśmy wtedy ręka w rękę z wolnością. Nie wyobrażamy sobie, byśmy mogli zadowolić się czymś innym. Nie wyobrażamy sobie wolności, jaka nie wyrastałaby z samostającej się treści polskiego życia. Wolnością taką było „dwudziestolecie”. To, co się wtedy działo, jest w nas żywe po dzień dzisiejszy.

68.

1. — *Przyjazd do Warszawy i pierwsze lata w Warszawie*

Do Warszawy przyjechałem 26 stycznia 1920 roku. Moje pierwsze spotkanie z Warszawą odbyło się w atmosferze, o jakiej przed chwilą wspomniałem. Była to radosna fala olśnienia i niekończących się na każdym kroku wzruszeń. Śniłem sen na jawie. Polska była inaczej niż w Kijowie i na moim peowiackim froncie. Tam także byłem razem z Polską, ale owo „razem” zakwitowało w Warszawie nieznanym mi rozradowaniem.

Największym wydarzeniem było poznanie Komendanta i długie z nim w Belwederze rozmowy. Starszyzna legionowa przyjęła mnie do swej rodziny jako Komendanta Naczelnego P.O.W. K.N. III.

Tym jednak, który wprowadził mnie w świat Warszawy, był Stanisław Stempowski — człowiek niezwykle o przedziwnym uroku osobistym. Od chwili spotkania, w parę dni po moim przyjeździe, już nie roztawaliśmy się. Szliśmy razem. Byliśmy razem we wszystkich momentach stawania się Polski i walki wyzwolenczej Ukrainy. Nazywałem go ojcem, zresztą nie tylko ja. Dzięki niemu poznałem świat intelektualny Warszawy, ludzi wybitnych i ogólnie znanych.

Niebawem nastąpił pochód na Kijów — epopea ukraińska. I znowu Polska ukazała się oczom moim inaczej, — wystąpiła z brzegów i stanęła nad Dnieprem razem z walczącą o wolność Ukrainą. W tym „wystąpieniu Polski z brzegów” było coś bardzo polskiego. Nad tworzącą się rzeczywistością polską powiał dech historii. Polskie „jestem” dało o sobie znać na obszarach międzymorza bałtycko-czarnomorskiego.

Trzecim akcentem stającej się Polski była zwycięska walka stoczona z nawałą bolszewicką pracą poprzez Warszawę na Zachód.

Te trzy polskie „akordy” wprowadzały mnie w świat polskiej rzeczywistości — Polski XX wieku na progu Jej zmartwychwstania.

69.

Podobnie jak wielu innych znalazłem się w zasięgu spraw państwowych, politycznych, społecznych, wojskowych. Moje aspiracje naukowe i artystyczne bez sprzeciwu usunęły się z pola widzenia, ustępując miejsca zagadnieniom i czynnościom, które mnie pochłaniały. Nie czułem się pokrzywdzony. Byłem w swoim żywiole. Aspiracje naukowe i artystyczne czekały cierpliwie w ukryciu, gotowe się pojawić przy pierwszej sposobności — nie czuły się zdradzone, niepotrzebne. Miałem świadomość, że biorą one udział w nowym układzie mego życia, stwarzają specjalne możliwości.

70.

Okres — „pierwsze lata w Warszawie” trwał od chwili mego przyjazdu do Warszawy do „przewrotu majowego” w roku 1926. W okresie tym moja pozycja w Polsce była dość osobliwa, różniła się od ogólnie przyjętych norm i szablonów. Pełniłem czynności wyjątkowe. Taką czynnością „wyjątkową” było za czasów kijowskich stanowisko Komendanta Naczelnego K.N.III. P.O.W. — stanowisko najbardziej zaszczytne ze wszystkich stanowisk, jakie w Polsce miałem.

Potem nadeszła „epopea kijowska” i mój w niej udział. Kiedy wojska bolszewickie stanęły na przedpolu Warszawy, z rozkazu Komendanta objąłem dowództwo nad dywersją w razie zajęcia Warszawy przez bolszewików. Wszystko to nie było „normalnym urzędowaniem”, a ja nie byłem jednym z tysiąca urzędników pełniących taką czy inną funkcję państwową, nie byłem działaczem politycznym z ramienia jakiegoś stronnictwa, ani połem. Pełniąc czynności wojskowe nie nosiłem munduru. To właśnie nadawało charakter układowi mego życia. Kiedy formowała się w Polsce ukraińska emigracja, byłem z nią nie tylko jako Polak, ale zarazem jako ukraiński minister. Moja sylwetka była tajemnicza i osobliwa... Do tego dochodził akcent malarstwa, które w „chwilach wolnych” uprawiałem. Przez pewien czas gospoda-

rowałem na swojej działce osadniczej na Wołyniu koło Wiśniowca. Nadeszły lata odejścia Piłsudskiego od sprawowania władzy oficjalnej — czasy Sulejówka. Kiedy zbliżał się maj 1926 roku, zostałem powołany przez Sławka do sztabu przygotowującego akcję majową. Poznałem tam Jędrzeja Moraczewskiego i bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Nasze posiedzenia często i systematycznie odbywały się w mieszkaniu Sławka na ostatnim piętrze narożnej kamienicy przy rogu Chopina i Alej Ujazdowskich. Po paru miesiącach wziąłem urlop i zacząłem malować. Zobowiązałem się, że w chwili kiedy się „zacznie”, stanę do dyspozycji. Sławek zgodził się na to. Moje malarskie perspektywy zarysowywały się bardzo zachęcająco. Miałem stypendium na wyjazd do Paryża, a w Warszawie mogłem korzystać z pracowni śp. Konrada Krzyżanowskiego. Właśnie 12 maja 1926 roku jechałem na Koszykową z Żoliborza, gdzie z żoną mieszkaliśmy u Cezarostwa Popławskich. Miałem z sobą kasetę. W tramwaju uderzył mnie gwar namiętnie dyskutujących głosów. Padały słowa... Witos... Piłsudski... Sulejówek... wojsko... strzelają... Właśnie owo „strzelają” kazało mi zmienić kierunek mej trasy, zamiast na Koszykowej znalazłem się w Sztabie Generalnym na Placu Saskim.

Już pierwsze wrażenie, jakie odniosłem wchodząc do gmachu Sztabu, dało mi do myślenia, że „coś się dzieje”. Dotarłem do płk. Macieszy. Na moje zapytanie Maciesza zawiadomił mnie o stanie rzeczy. Komendant ruszył na Warszawę... Stałem więc do dyspozycji. Maciesza przydzielili mi jako łączniczkę tak dobrze mi znaną jeszcze z czasów kijowskich ob. Sławę — obecnie pułkownikową Macieszynę, i skierował pod gmach Rady Ministrów, gdzie miałem czekać na Komendanta i meldować się.

Pędzle, farby, kaseta pozostały na zawsze w Sztabie Generalnym.

Późnym wieczorem byłem już w Komendzie Miasta w dyspozycji Komendanta.

71.

2. — Warszawa — maj 1926 - czerwiec 1927

W Komendzie Miasta „urzędowałem” parę dni i nocy. Byłem w najbliższym otoczeniu Komendanta. Obok na klatce schodowej mieścił się sztab operacji wojskowych z gen. Orlicz-Dreszerem. Stamtąd mieliśmy dane o froncie. Mieliśmy do dyspozycji kilka pokoi. Największy miał balkon od strony hotelu Euro-

pejskiego. Tam najczęściej przebywałem. Komendant miał pokój obok, czasem z niego wychodził do pokoju z balkonem. Przyjmował tu różne osoby. Pamiętam Komendanta chodzącego w zamyśleniu. Potrafił robić to godzinami. Pewnego razu marsz swój przerwał i udał się do siebie. Siadłem na fotelu i od razu zasnąłem. Nie wiem, jak długo to trwało. Gdy otworzyłem oczy, Komendant chodził...

Przez cały czas, z małymi wyjątkami, panowała w Komendzie Miasta cisza. Od czasu do czasu ktoś się pojawiał, nadchodziły wiadomości, wykonywałem dane mi zlecenia.

Przesuwały się dnie i noce. Front przysuwał się coraz bliżej. Słyszałem jego oddech, był tuż tuż. Miałem wrażenie, że to ulica Mazowiecka. W nocy strzały stawały się bliższe i wyobrażenia działała bardziej intensywnie. W każdej chwili mogły otworzyć się drzwi, mogli stanąć w nich witosowi żołnierze, stanąć przed Komendantem. Wtedy zamykały się oczy...

Następnego dnia zameldowała się przybywająca z Wilna dywizja legionowa. Sprawa została przesądzona. Wyszedłem do domu żeby parę godzin się przespać. Wracałem bardzo zmęczony z piaskiem bezsenności w oczach. Szedłem ulicami Warszawy jak senny. Udawałem się do swego mieszkania na Wronią. Ulica była spokojna, pomimo że wyczuwało się zdenerwowanie. Towarzyszył mi huk artylerii. To pułki poznańskie pod Ożarowem dawały o sobie znać. Przed moim domem na Wroniej spotkałem stróża Franciszka, z którym byliśmy w przyjaźni. I tu zarysował się nastrój warszawskiej ulicy. Pan Franciszek był niezwykle poruszony. Wygrażał pięścią i wołał z wściekłością, że warszawiacy rozprawią się z wojskiem poznańskim. Huk artylerii nie przerażał go, tylko podjudzał. Huk artylerii wołał o zakończeniu „dni majowych”, o zwycięstwie Józefa Piłsudskiego i sprawy, w imię której podjął walkę. Pamiętam, jak w pewnym dniu toczącej się walki zobaczyłem na Nowym Świecie batalion robotników maszerujących do Komendy Miasta, umajony gałązkami zieleni. Widzę go jeszcze, jak wchodził na podwórze Komendy Miasta.

Kiedy wszedłem do domu na Wronią, miałem pewność, że węzeł tragizmu bratobójczej walki rozwiążą ręce Komendanta, jedyne ręce w Polsce ku temu powołane.

Od chwili przesilenia, tzn. pewności zwycięstwa, Komenda Miasta zaczęła się ożywiać. Pojawiało się coraz więcej postaci stających do dyspozycji — postaci ze świata politycznego i społecznego. Cień grozy znikł.

Nie wiem, czy dni Komendy Miasta doczekają się swej monografii. Zapewne żyje jeszcze kilka osób co miałyby coś do powiedzenia.

Jeżeli chodzi o mnie, zaznaczyłem już, że nie piszę historii, ograniczam się do moich osobistych przeżyć, uwag i spostrzeżeń.

Gdy myślę o Komendzie Miasta, powracam jeszcze do warszawskiej ulicy. Był to obraz jedyny w swoim rodzaju. Na ulicach Warszawy walczyły ze sobą oddziały polskiego wojska. Ulica przypatrywała się z ciekawością i w walce udziału nie brała. Życie płynęło „normalnie”. Policja urzędowała jak zawsze, ostrzegała przechodniów, uprzedzała o miejscach pod obstrzałem, o rogach i odcinkach ulic, gdzie gwizdały kule. Jedni się do tego stosowali, inni nie, i w rezultacie narażali się na kule. Taki był obraz ogólny.

Pamiętam czasy kijowskie — walki uliczne i zmiany władzy. I tam również biło się wojsko, ale ludność trwała zamknięta za drzwiami swoich domów i czekała na wynik walki. Nikomu nie przychodziło do głowy spacerować po ulicy, kiedy strzelają. Warszawa spacerowała... Ludzie zaspakajali swą ciekawość. Życie „płynęło normalnie” — jeżeli nie liczyć pewnych komplikacji z tytułu prowadzonej przez wojsko walki. Nie było obawy, że panujący tryb życia ulegnie zmianie, zależnie od tego kto wygra.

Robiło to na mnie niesamowite wrażenie. Świat polski jest inny. To, na co patrzyły moje oczy, nie dawało się porównać z moim dotychczasowym doświadczeniem, — było tak bardzo polskie. Były oczywiście wyjątki. Były to jednak zjawiska sporadyczne, nie wpływające na ogólny stan rzeczy.

W pewnej chwili mego „urzędowania” w Komendzie Miasta, Komendant polecił mi zorganizowanie komitetu obywatelskiego Warszawy. Omówiliśmy personalia. Miałem zacząć od Artura Śliwińskiego.

Dostałem otwarte auto wojskowe. Koło kierowcy siadł żołnierz z karabinem i tak wyruszyliśmy. O ile sobie przypominam, Śliwiński mieszkał na Pięknjej.

W czasie jazdy przeżyłem nieoczekiwaną sensację. Do mego auta parę razy strzelano z dachów domów koło których przejeżdżaliśmy. Była to może samorzutna inicjatywa jakichś nieznanych osobników, a może akcja walczących z nami żołnierzy. Przyznaję, że byłem zaskoczony i wyraźnie zawstydzony. Odbijało to od zachowania się ówczesnej warszawskiej ulicy.

Przeżycia bardziej tragiczne czekały mnie w domu Artura Śliwińskiego. Kiedy zadzwoniłem do mieszkania, drzwi otworzył

mi sam pan Artur. Podniósł rękę i prosił o ciszę. Postać jego wyrażała jakieś wstrząsające przeżycie. Skinął na mnie, bym się za nim udał. Zaprowadził do salonu i nie mówiąc słowa, wskazał na drzwi balkonu. W szybie zobaczyłem otwór od kuli karabinowej. Na szybie ślady krwi. Na podłodze rozlana krew. Pan Artur głosem ściszym powiedział... matka. Okazuje się, że w związku ze strzelaniem z domów, czego sam na sobie doświadczyłem, maszerując ulicą oddziały wojskowe dawały salwy do okien na wyższych piętrach, jeżeli w oknie pojawiała się ludzka postać. Z domu p. Śliwińskiego strzelano. Matka p. Artura stanęła w oknie balkonu...

Gdy myślę o Komendancie Miasta, stają mi przed oczami różne sceny. O jednej z nich chcę wspomnieć. Pewnego dnia zjawia się ze sztandarem w rękę oficer. Był to sztandar Belwederu. Belweder, siedziba Prezydenta, został zdobyty. Zameldowano Komendantowi. Otworzyły się drzwi pokoju, w którym przebywał. Stanęła przed nami postać Komendanta. Oficer wyprężył się i ze sztandarem w rękę chciał meldować. Komendant zdecydowanym ruchem wyciągniętej ręki powstrzymał słowa meldunku. Zapanowała cisza. Nie łatwo było trwać w jej towarzystwie. Wreszcie padło słowo „mówcie”. Oficer meldował o zajęciu Belwederu, o udaniu się Prezydenta wraz z otoczeniem w kierunku Siekierok.

Przypomnę także scenę po ukończeniu walki. Do Komendy Miasta przyszli dziennikarze z Wojciechem Stpiczyńskim na czele. Spodziewano się deklaracji dyktatorskiej, słów na miarę Mussoliniego, — tymczasem dziennikarze usłyszeli słowa — „za dużo nieprawości”. Te kilka słów wypowiedzianych ściszym głosem zmęczonego człowieka, zamiast oczekiwanej tyrady zwycięskiego dyktatora, wywołały w dziennikarzach odruch sprzeciwu. Nie tego się spodziewali i nie na to czekali. Z moim przyjacielem Stpiczyńskim musiałem przez dłuższy czas rozmawiać, by go ostatecznie uspokoić.

72.

Prezydium Rady Ministrów

Po „dniach majowych” zostałem powołany do gabinetu premiera Bartla. Była to instytucja jeszcze w Polsce nieznaną — instytucja na wzór francuski. We Francji premier ma grono bliskich sobie ludzi, którzy są jego mężami zaufania, działając w jego imieniu, nie są urzędnikami w ścisłym słowa tego znacze-

niu. Na czele tego zespołu stoi szef gabinetu prezesa rady ministrów. Stanowisko szefa gabinetu objął Wacław Grzybowski. Każdy z nas miał polecony sobie dział pracy. Stefan Starzyński — ministerstwo skarbu, Janusz Jędrzejewicz — ministerstwo W.R. i O.P., ja miałem ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Byli jeszcze: Wincenty Jastrzębski, Jerzy Stempowski i na początku, przez krótki czas, Krystyn Ostrowski. Był jeszcze Sławek.

Każdy z nas miał w gmachu Prezydium swój własny gabinet i do dyspozycji prezydialne auta. Do obowiązków szefa gabinetu należało przygotowywanie materiału do posiedzeń Rady Ministrów, sporządzanie porządku dziennego posiedzeń Rady Ministrów, asystowanie na posiedzeniach bez prawa głosu. Szefowi gabinetu podlegał dyrektor administracyjny urzędu Prezydium. Szef gabinetu komunikował się z biurem prawnym Prezesa Rady Ministrów i Biurem Uzgodnień.

Gabinet Premiera był więc instytucją o wielkich kompetencjach i możliwościach działania. Ministerstwa i naczelne urzędy z nim się liczyły. Praca w Gabinetcie wprowadzała *in medias res* życia państwowego, stosunków parlamentarnych, politycznych, gospodarczych, społecznych, pozwalała poznawać personalia warstwy rządzącej, zaznajamiać się z biegiem urzędowania i w pewnej mierze na urzędowanie wpływać.

W ramach zleconych mi przez Premiera zadań i nadanych mi uprawnień współpracowałem z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Ministrem był wtedy Młodzianowski. Poza bieżącymi zadaniami zleconymi mi przez Premiera, powziąłem inicjatywę, która doprowadziła do ukazania się podstawowego dekretu „o zakresie działania władz administracji ogólnej”.

Premier Kazimierz Bartel — profesor politechniki lwowskiej — był człowiekiem o niepospolitej energii, zdolnościach organizacyjnych i czystości intencji. Z podziwem graniczącym z szacunkiem patrzyłem na jego współpracę z Józefem Piłsudskim. Oddany mu całą duszą gotów był spełniać każde polecenie Komendanta, co w wielu wypadkach bywało rzeczą niełatwą.

Pamiętam jedną, tak bardzo charakterystyczną scenę. Na konferencjach z Piłsudskim zostało ustalone rozwiązanie sejmu. Nadszedł dzień wykonania decyzji. W pewnej chwili znalazłem się z towarzyszącymi premierowi osobami w westibulu Prezydium. Ubrani już zdążaliśmy do drzwi wyjściowych. Auta czekały. Premier wyruszał do sejmu z dekretem rozwiązania sejmu. W ostatniej chwili, gdy Premier brał już za klamkę, w drzwiach ukazał się nieoczekiwanie płk Beck. Przybywał z Belwederu

z dekretem dymisji rządu. Po krótkiej konferencji z Beckiem Premier Bartel udał się do sejmu i dymisję Rządu ogłosił.

Albo historia z „Radą Pułkowników”. W pewnej chwili, gdy urzędującym premierem był wierny Komendantowi Kazimierz Bartel, Piłsudskiemu zaświtała myśl powołania „Rady Pułkowników”. W opinii ogółu było to jakiś ekstra wtajemniczony rząd.

Byli to ludzie Komendanta — paru zaufanych pułkowników ze Sławkiem na czele. Tak się stało, że i ja do tej rady zostałem powołany. Było to w czasie kiedy Wacław Grzybowski został powołany na ambasadora Polski w Pradze, a ja po nim objąłem gabinet.

Posiedzenia „Rady” odbywały się w mieszkaniu Sławka. O „Radzie” krążyły nieprawdopodobne wieści, plotki, domysły i wymysły. Bartłowi to ciążyło. I tak trwało... Pewnego dnia Bartel dowiedział się, że szef jego Gabinetu — Henryk Józewski — jest członkiem „Rady” i bierze udział w jej posiedzeniach. Wezwał mnie do swego Gabinetu w Prezydium, po czym nastąpiła ożywiona rozmowa. Moja sytuacja była co najmniej dwuznaczna. Chodziło o lojalną współpracę z Bartlem, którego szanowałem i byłem mu wierny, i współpracę z moim serdecznym przyjacielem, Sławkiem. Na moją prośbę Sławek i pozostali pułkownicy przyjęli moje oświadczenie, że w mojej obecności nie będą mówili o Bartlu, a ja nie będę informował co u Bartla się dzieje, — profesora prosiłem o to samo, tzn. żeby w mojej obecności powstrzymywał się od krytycznych uwag o osobie Sławka i nie wymagał ode mnie informacji o posiedzeniach „Rady Pułkowników”. Na moje słowa Bartel wpadł w furję. Jego monolog był bardzo intensywny, nie pozbawiony akcentów lwowskiej gwary. Mój monolog był nie mniej dobitny. Pozwoliłem sobie, nie przebiegając w słowach, na kwalifikację jego osoby. Stał się naprzeciwko siebie w urzędowym gabinecie Prezesa Rady Ministrów. — Premier Bartel i szef jego gabinetu. Rozdzielało nas biurko. Miałem pewność, że moja kariera w prezydium jest skończona. Czekałem na dymisję. Stało się jednak inaczej. Rzecz niespodziewana — Bartel wypadł zza biurka i wziął mnie w objęcia. Od tej chwili stał się dla mnie kimś bardzo bliskim. Przez pewien czas urzędowałem z Bartlem i Sławkiem.

Bartel miał całkowite zaufanie Marszałka i zaufanie Prezydenta Mościckiego. W tym układzie rzeczy nie mogło być mowy o intrygach, o nieszczerości. Intrygi partyjne w czasach majowych były bezsilne, nie mogły mieć znaczenia ani pola do popisu. Nie podejmuję się oceny poszczególnych ministrów, ale rząd jako całość szedł drogą prostą, pełnił swą pracę uczciwie, w wielu

razach z nie byle jakim wysiłkiem i dobrą wolą. Wpływy obcych agentur nie miały nic do powiedzenia. Nie miał zastosowania klucz partyjny w składach osobowych rządów. Rola B.B.W.R. była raczej dekoracyjna.

73.

Wspomniałem już uprzednio o polityce personalnej w ogóle przy ustalaniu stanowisk rządowych i administracyjnych, jako o temacie niezwykle aktualnym a zarazem mało uchwytnym. Najbardziej wymownie dawało to o sobie znać, gdy trzeba było tworzyć nowy rząd. Kryteria zazwyczaj były dość zawodne. Chodziło o zdolności, charakter, zdolności realizacyjne, fachowość, zdolność pobierania decyzji, słowem o kwalifikacje „ministerialne”. Mimo woli nasuwa się myśl o dzisiejszym stanie rzeczy we Francji, w której akcentem górującym nad francuską rzeczywistością jest osoba gen. de Gaulle’a. W czasach, o których piszę, o stanie rzeczy decydowała osoba Piłsudskiego. Polska, jeżeli chodzi o politykę personalną, miała trudności większe niż dzisiejsza Francja, i nie posiadaliśmy takiej ilości ludzi związanych ze sprawowaniem władzy, tzn. kandydatów na ministrów o różnych odcieniach politycznych i ministerialnym doświadczeniu. We Francji jest z czego wybierać. O Polsce nie da się tego powiedzieć.

Poza najbardziej skrupulatną analizą i głębokimi przemyśleniami miała miejsce improwizacja, „górny wąż”, instynkt trafnej oceny spraw ludzkich, wartości i przydatności człowieka.

W kalejdoskopie przesuwających się przed moimi oczami ministrów ukazywały się najprzeróżniejsze postacie, w ogromnej większości zasługujące na zaufanie, pełne przeróżnych cech i osobliwości. Czasem mignęła sylwetka ziemianina trąca anachronizmem, zresztą w pewnych wypadkach rozbijając sympatycznie, jak np. Karol Niezabitowski — minister rolnictwa.

Przesuwały się sylwetki profesorów, świata inteligencji o różnych specjalnościach i fachach, mignęła postać Jurkiewicza, pepeesowca — ministra opieki społecznej. Udział tzw. „ludzi Komendanta” był w zespołach ministerialnych nieliczny, tylko premierzy: Sławek, Jędrzejewicz, Świtalski, Kościakowski, Składkowski.

Przewrót majowy funkcję rządzenia niewątpliwie usprawnił, usunął szereg niepożądanych momentów, wzmocnił państwo polskie, co przyznał w jednej ze swych wypowiedzi nawet Stalin, mówiąc o przewrocie majowym.

Przychodzi mi na myśl w tym miejscu moja inicjatywa akceptowana przez premiera Bartła. W moim służbowym gabinecie w Prezydium zaczęły się odbywać systematyczne posiedzenia zespołu wiceministrów poszczególnych resortów, dyrektorów banków państwowych, dyrektorów departamentów i paru osób z najbliższego otoczenia Marszałka, jak Sławek i Prystor. Omawiano aktualne bieżące sprawy w pracy Rządu. Nie zapadały jakieś obowiązujące uchwały, nie głosowano — chodziło o wymianę zdań i wspólne porozumiewanie się, o wzajemną informację.

Po pewnym czasie premier nazywał to drugą radą ministrów, na której niejedno się decyduje i niejedno wyjaśnia. Nieraz dawał polecenie przedyskutowania pewnych spraw. Wpływało to korzystnie na debaty w Radzie Ministrów, ułatwiało podejmowanie decyzji. Zaproponował mi pewnego dnia, żeby moje posiedzenia odbywały się w sali posiedzeń Rady Ministrów. Podziękowałem Premierowi, ale nie skorzystałem z propozycji.

Pomimo najlepszych stosunków z Premierem Bartlem i całkowitego z nim porozumienia, posiedzenia moje, jak się przekonałem, sytuację moją komplikowały, stwarzały jakby jakieś dodatkowe, nieprzewidziane kompetencje Szefa Gabinetu Prezesa Rady Ministrów. Toteż zgodziłem się od razu na projekt opuszczenia Warszawy i udania się na Wołyń w charakterze wojewody wołyńskiego. Odpowiadało mi to ze względu na moje zainteresowania sprawami Wschodu i zagadnieniami polsko-ukraińskimi, w których przez szereg lat brałem udział. — Może była to inicjatywa Komendanta...

74.

Praca w Prezydium Rady Ministrów dała mi bardzo wiele i pochłaniała bez reszty. Był to mój chrzest na polu pracy państwowej. Miałem do czynienia z aparatem rządowym, poznałem sejm i sprawy z sejmem związane.

Z pracy tej wyniosłem przyjaźń do prof. Bartła. Zostałem jej wierny przez całe życie. O ile wiem, to samo miało miejsce ze strony profesora. Było to dla mnie wyjątkowo drogie.

Moje stosunki z premierem Bartlem nie były monotonią nieustannej zgody, od czasu do czasu powstawała różnica zdań w tym lub owym zagadnieniu, różne pojmowania poszczególnych sytuacji i kroków, które należało uczynić. Nie znaczy, żebym wobec premiera był nielojalny i nie wypełniał ściśle jego poleceń. Profesor nie był uosobieniem opanowania, spokoju i flegmy — był

człowiekiem wybitnie żywym i ekspansywnym. Czasem gniewał się na mnie i patrzył podrażnionym wzrokiem. Potem stan ten przemijał i tak szło...

Żywość i bezpośredniość reakcji profesora były czasem rozbijające, nie pozbawione swoistego uroku. Polityka nie była mocną stroną Bartla, co nie pomniejszało wielkiej wartości tego człowieka i wartości jego państwowej pracy.

Dla ilustracji panujących między nami stosunków i charakterystyki profesora, pozwolę sobie przytoczyć, poza wspomnianą sceną „Rady Pułkowników”, jedno jeszcze wydarzenie, które miało miejsce już za moich czasów wołyńskich.

Urządowałem w Łucku. Profesor w tym czasie przestał być premierem i wykładał we Lwowie na politechnice. Pewnego dnia zjawił się u mnie Adam Loret — Główny Dyrektor Lasów Państwowych, i oświadczył, że przyjeżdża do mnie ze Lwowa na polecenie profesora. „...powiedźcie Józewskiemu, że miał rację... gdybym się jego słuchał, kiedy był u mnie szefem Gabinetu, wyszedłbym o wiele lepiej i nie popełnił niepotrzebnych głupstw”. Jakże bardzo jest to do profesora podobne i jak bardzo jest w tym cały Bartel. Loret był nie tylko moim przyjacielem, ale także przyjacielem Bartla i to tłumaczy dlaczego podjął się podobnej misji.

Kiedy żegnałem się z Warszawą w przededniu mojego wyjazdu na Wołyń, zdawałem sobie sprawę z zarysowującego się wyraźnie układu rzeczy mającego cechy trwałej stabilizacji. Wyraźnie zarysował się trójkąt: Belweder - Zamek - Prezydium Rady Ministrów. Akcentem decydującym był Belweder. Zmodyfikowany sejm miał ten stan rzeczy akceptować i pracować w zarysowanych z góry granicach. Tak było przez szereg lat do dnia śmierci Józefa Piłsudskiego.

75.

Warszawa — Grudzień 1929 - Czerwiec 1930

W końcu grudnia 1929 roku zostałem wezwany z Łucka do Warszawy. Miałem stawić się niezwłocznie. Bartel spotkał mnie bardzo serdecznie i z miejsca oświadczył, że będę ministrem Spraw Wewnętrznych w gabinecie, który tworzy. Stanowisko ministra nie odpowiadało mi. Bartel wpadł w podrażnienie, powołał się na moją przyjaźń. W końcu zapytał, czy na moją decyzję wpłynie rozkaz Komendanta. Pojechaliśmy do Belwederu.

Bartel wszedł przede mną do gabinetu. Po chwili ukazał się Komendant i zwrócił się do mnie ze słowami — „zróbcie to dla mnie”. Sprawa została załatwiona. Moim głównym zadaniem miało być uchwalenie przez sejm budżetu ministerstwa. Prosiłem, bym po załatwieniu powierzonych mi spraw mógł powrócić na województwo wołyńskie. Tak się też stało.

Po objęciu ministerstwa przystąpiłem od razu do pracy nad budżetem. Wszystko inne znalazło się na planie dalszym. Do aparatu ministerstwa, tzn. do stanu rzeczy, jaki zastałem, prawie się nie wtrącałem.

Jeszcze w Prezydium zauważyłem pewne zdenerwowanie ministrów, gdy trzeba było stawać przed sejmem, nawet przed sejmem po zmianie majowej. Sejm budził w ministrach osobliwy dreszcz niepokoju. Od tego stanu obroniła mnie wrodzona mi lekkomyślność i ciekawość przygody. Rząd nie miał w sejmie większości, B.B.W.R. — dyponował stu kilkunastoma głosami. Na czele tej prorządowej grupy stał poseł Polakiewicz, legionista i ludowiec. Nie łączyły mnie z nim bliższe stosunki. Poza tym pomimo tak drogiej mi przyjaźni Sławka, do B.B.W.R. nie należałem. Z innymi stronnictwami żadnych stosunków nie miałem. Nie orientowałem się, na co w sejmie można liczyć. Bywając na posiedzeniach zauważyłem dwóch „cwiszenruferów”, którzy w sejmowym koncercie posiadali ustalone role. Głos ich górował nad sejmowym gwarem — donośny tenor Strońskiego i bas Diamanta. „Bas”, jak się wkrótce zorientowałem, akcentował życzlwy do mojej osoby stosunek.

Nie był to sejm jak za dawnych czasów sejmowych. Sejm pomajowy zachowywał się ze spokojnym umiarem, w porównaniu z tym, co kiedyś było. Na ławach rządowych wysiedziałem się niemało. Były przemówienia bardziej lub mniej ostre, ale do tak dobrze znanych skandali sejmowych nie dochodziło.

Razu jednego wybuchnął skandal w związku z moją osobą, ale o tym powiem niebawem. Brałem także udział w posiedzeniach Komisji budżetowych Sejmu i Senatu. Dla ministra, a zwłaszcza dla ministra Spraw Wewnętrznych, był to chrzest bojowy. Komisja budżetowa Sejmu od dawna stała się trybuną dla przemówień politycznych panów posłów, przemówień przeznaczonych dla wyborców i szerokiej opinii społecznej. Musiałem więc wysłuchiwać energicznych tyrad, deklaracji, siarczystych krytyk Ministerstwa. Zorientowałem się prędko, że mówcom chodziło o polityczny efekt ich przemówień — efekt poza murami Sejmu. Momenty budżetowe *sensu stricto* nie bardzo panów posłów

obchodziły. Posiedzenia Komisji trwały przez cały dzień do późnej nocy. Nie mało posłów musiało się wygadać i spełnić swój obowiązek wobec wyborców. Kiedy kończyły się mowy, zabierał głos minister. Audytorium pod koniec posiedzeń było znakomicie przerzedzone. Często nie miałem komu odpowiadać, bo interpelant poszedł do domu.

Na początku, w dobrej wierze słuchając przemówień, obmyślałem swoje odpowiedzi, a towarzysząca mi ekipa urzędników przygotowywała materiał. Nie orientowałem się jeszcze, że w czasie moich wyjaśnień w wielu wypadkach posłów interpelantów na sali nie było. Chodziło im o wygłoszenie mowy, co zrobiwszy wychodzili, nie czekali na ciągnące się w nieskończoność godziny urzędowania Komisji. Rzecz ułożyła się sama przez się. Moje repliki były krótkie i lakoniczne. Ku ogólnemu zadowoleniu dostosowałem się do trybu urzędowania. Wywierało to dobre wrażenie.

W Komisji Budżetowej Senatu, mniej interesującej i atrakcyjnej, referentem budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych był senator Boguszewski z Wyzwolenia, człowiek miły i uprzejmy. W Komisji Budżetowej Senatu wiele się nie działo. Nie mogę jednak nie wspomnieć o pewnej scenie tuż po rozpoczęciu debaty. Siedzieliśmy przy wielkim podłużnym stole, przykrytym sukniem. Dano mi miejsce pośrodku. Prawie naprzeciwko mnie ujrzałem znaną postać senatora Stronnictwa Narodowego Głębińskiego, a obok niego senatora Makucha, Ukraińca, znanego jeszcze z parlamentu austriackiego. Uwiecznił go w jednym ze swych wierszy Boy-Żeleński, jak Makuch w jakiejś awanturze parlamentarnej grał na trąbie... Zdaje się, chodziło o puzon. Poza tym Makuch, jako drugi wiceminister w ukraińskim rządzie Petlury, był moim kolegą.

I oto ujrzałem Makucha przed sobą w Komisji Budżetowej Senatu jako senatora Rzeczypospolitej. Senator Makuch, wierny sobie, wniósł do debaty nad budżetem ministerstwa pewne ożywienie. Zabrał głos i powiedział: „Panowie senatorowie pewno myślą, że na widok pana ministra Józewskiego wpadnę w radość, jaka powinna opanować każdego Ukraińca mającego przed sobą przyjaciela Ukrainy i Ukraińców, b. ministra rządu U.R.L. Panowie senatorowie zdziwią się zapewne, gdy powiem, że większego czorta dla Ukrainy nie ma. Jest to człowiek, który dąży nie tylko do zyskania sympatii Ukraińców, ale do tego aby naród Ukraiński miał go za swego. Z czcigodnym kolegą Głębińskim porozumiemy się zawsze — Głębiński rozpułnął się w błogim uśmiechu — z tym panem nie dogadamy się nigdy”.

Zachowanie się senatora Makucha jest wymownym przykładem mentalności ukraińskiej z Małopolski. Mentalność ta nie układa się w pejzażu polskim i, co może ważniejsze, w pejzażu Ukrainy Naddnieprzańskiej. Niejednokrotnie spotykałem tego potwierdzenie.

Jest rzeczą zmienną, że bardziej intensywne przeżycia za moich ministerialnych sejmowych czasów łączą się z akcentem ukraińskim.

Scena z Makuchem niepozbowiona jest swoistego wyrazu, ale to, co miało miejsce na plenum sejmu było bardziej wymowne i bardziej drastyczne, nosiło klasyczne cechy sejmowej awantury. Wzburzenie umysłów ogarnęło cały sejm.

Miało to miejsce bezpośrednio przed wygłoszeniem mojego *exposé*. Okoliczności były następujące. Z sejmowej trybuny przemawiał poseł — Ukraińiec z Małopolski Wschodniej. Jego nazwisko wyleciało mi z pamięci. Pamiętam tylko, że nie był to undowiec. Wiele razy przemówienia w Sejmie posłów — Ukraińców z Małopolski musiały budzić zastrzeżenia. Dziwiłem się nieraz, że posłowie Polacy w czasie takich przemówień nie reagowali na słowa posłów ukraińskich i siedzieli spokojnie.

Poseł-Ukraińiec, o którym mowa, przemawiał w furii i wielkim podrażnieniu, wywijał pięścią, krzyczał. Siedziałem na ławach rządowych i patrzyłem na to, co się dzieje. Byłem sam. Moi koledzy ministrowie spóźniali się. W pewnym momencie przemawiający z trybuny sejmowej Ukraińiec zwrócił się w stronę ław rządowych i wywijanie pięścią skierował w moją stronę. Pamiętam stale powtarzany refren o ucisku ludności ukraińskiej przez Polskę i wykrzykiwane pytanie, kto odpowiada za stan ukraińskich umysłów i ferment w ukraińskim społeczeństwie. W pewnej chwili w odpowiedzi na napastliwe słowa poparte bezczelnym gestem wypowiedziałem głośno słowo — Berlin.

Zdawałem sobie sprawę z akcji Niemiec judzenia Ukraińców przeciw Polsce i Polakom i ich wydajnej pomocy w antypolskiej akcji. Wiedzieli o tym nie gorzej ode mnie posłowie ukraińscy zasiadający w Sejmie.

Gdy padło słowo — Berlin, Ukraińcy wpadli w szal, krzyczeli i z Kostią Lewickim na czele zerwali się do ataku. Powstał cały Sejm. Posłowie Polacy także dobyli głosu. Zapanowała straszliwa wrzawa. Trwałem nieruchomo w ławach rządowych i czekałem na to, co się stanie. Otóż stała się rzecz niezwykła. Gdy Ukraińcy ruszyli do ataku na ławy rządowe, tzn. na mnie, poseł Stroński znalazł się nieoczekiwanie przed barierą oddzielającą ławy rządowe od sali sejmowej, rozkrzyżował ręce i swoją

własną endecką piersią mnie zastonił. Marszałkowi udało się przerwać posiedzenie. Burza zaczęła ścichać.

Znalazłem się w pokoju przeznaczonym dla ministrów. Za chwilę miałem ukazać się na sejmowej trybunie i wygłosić *exposé*. Ułożyłem tekst oświadczenia w związku z „Berlinem” i byłem gotów.

Kiedy wreszcie ukazałem się na mównicy sejmowej, po zarządzeniu przez Marszałka Sejmu dalszego ciągu przerwanej sesji, panowała przejmująca cisza — cisza wywołana burzą. To właśnie nadało jej osobliwą wymowę. Sala posiedzeń wypełniona była po brzegi. Oczy posłów trwały we mnie wpatrzone. Tak zapewne patrzy znak zapytania w chwili niepewności.

Odczytałem krótkie oświadczenie w związku z „incydentem”. Oświadczenia wysłuchano w zupełnej ciszy nieprzerwanej niczym, po czym rozpocząłem moje *exposé* — ministra Spraw Wewnętrznych na posiedzeniu budżetowym Sejmu. Sejm słuchał w panującej w dalszym ciągu niczym nieprzerwanej ciszy, jakby z ciszą tą nie chciano się rozstawać. Może właśnie owemu „incydentowi” zawdzięczałem wyjątkowo pomyślne warunki dla mego ministerialnego przemówienia.

W ostatecznym wyniku Sejm proponowany przeze mnie budżet Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przyjął z drobnymi poprawkami.

W pierwszym głosowaniu nad budżetem klub sejmowy B.B.W.R. głosował przeciwko rządowej propozycji. W dalszym głosowaniu B.B.W.R. głosowało za projektem rządowym. Do chwili obecnej nie mogę sobie wytłumaczyć zachowania się prorządowej grupy. Było ono dość nieoczekiwane i zastanawiające. Może bardziej jeszcze nieoczekiwana była scena, jaka miała miejsce w moim urzędowym gabinecie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W przededniu ostatecznej decyzji Sejmu pojawili się w moim gabinecie posłowie Liberman i Trąmpczyński — b. marszałek Sejmu. Przyszli w imieniu sejmowej większości — lewicy i prawicy — z oświadczeniem, że Sejm gotów jest uchwalić fundusz dyspozycyjny Ministra Spraw Wewnętrznych w wysokości sześciu milionów złotych, jeżeli ja, jako Henryk Józewski, oświadczę z trybuny sejmowej, że suma ta zostanie wydatkowana wyłącznie na zwalczanie działalności antypaństwowej. Odpowiedziałem, że jestem ministrem Rzeczypospolitej, a nie osobą prywatną i tylko w tej roli mogę na Sejmie występować. Inaczej uchyłiłbym stanowisku, które piastuję.

Po wysłuchaniu mojej odpowiedzi panowie oświadczyli, że w takim razie fundusz dyspozycyjny zostanie uchwalony w wy-

sokości trzech milionów złotych. Rozmowa była pełna kurtuazji. W ten sposób dowiedziałem się o ustosunkowaniu się do mnie stronnictw politycznych zasiadających w Sejmie. Było to swego rodzaju votum zaufania.

Na Sejm narzekać nie mogłem. Wywiązałem się z poleconego mi przez Komendanta zadania. Chcę jeszcze dodać moje spostrzeżenie dość niezwykle. Stwierdziłem w sposób dla siebie dotkliwy, że sala plenarnych posiedzeń sejmowych posiada fatalną akustykę. Przemawiałem niejednemu raz pod gołym niebem do setek i tysięcy ludzi, przemawiałem w różnych salach, ale przemawiać w Sejmie w roku 1930 było męczarnią. Z trudem słyszałem wymawiane przez siebie słowa.

76.

W okresie mego ministerialnego urzędowania przeprowadziłem dziesięciodniową inspekcję Lwowa i Województw Małopolski Wschodniej. Do Lwowa miałem zawsze sentyment. Ulica lwowska była wypełniona swoistym ludzkim tłumem — pełnym czaru, jedynym na świecie życiem i tak powszechnie znanym lwowskim humorem. Na zawsze pozostały mi w oczach postacie lwowian i echa lwowskiej gwary.

W gmachu Lwowskiego Urzędu Wojewódzkiego odbyłem szereg posiedzeń i konferencji z lokalnymi władzami cywilnymi i wojskowymi. Spotkałem się z przedstawicielami lwowskiego społeczeństwa, wystąpiła na jaw niejedna lwowska tradycyjna osobliwość. Te właśnie spotkania dały mi najwięcej do myślenia.

Stały przede mną niezwykle wymowne tradycyjne — sięgające jeszcze czasów austriackich, polsko-ukraińskie stosunki. Podrażnienie, nieufność, nieustępliwość przybierające niekiedy ogólnie znane drastyczne akcenty. Mówiąc o społeczeństwie, mam na myśli społeczeństwo polskie. Chodziło mi w danym wypadku o postawę tego społeczeństwa. Nie będę przeprowadzał analizy istniejącego we Lwowie stanu rzeczy. Uwagę moją przykuł moment w przekonaniu moim najbardziej istotny i doniosły. Odniosłem wrażenie, że polskie społeczeństwo chroniło się i trwało bezpiecznie za murem władzy państwowej. Nie było mowy o własnej inicjatywie i manewrze zbliżenia się na własny rachunek z ukraińską rzeczywistością, z ukraińskim życiem takim, jakim było, ze staniem z nim oko w oko o własnych siłach. Zdawałem sobie sprawę z tragicznej i bohaterskiej walki tego społeczeństwa o Lwów — *semper fidelis*. Należało to jednak do

przeszłości. Teraźniejszość wymagała wysiłku zbliżenia bezpośredniego. W moich konferencjach w gmachu wojewódzkim usta przedstawiciele polskiego świata mówiły tylko o krzywdach, o ukraińskim niebezpieczeństwie, o ochronie polskości, która jest obowiązkiem władzy. Chwilami odnosiłem wrażenie, że wszystko ma się sprowadzać do działalności władz, a polski patriotyzm do „słusznego” nastawiania ich w rozgrywce polsko-ukraińskiej. Własnej roli społeczeństwo jakby się wyrzekało.

W czasie mojego pobytu we Lwowie złożyłem także wizyty dygnitarzom kościelnym, w tej liczbie metropolicie Szeptyckiemu. Moja kurtuazyjna wizyta zmieniła się nieoczekiwanie w parogodzinną konferencję. Były poruszone tematy w zakresie układu pomiędzy Rzymem a Wschodem. W pewnej chwili, gdy od głównego tematu odbiegliśmy, metropolita poruszył zagadnienie ułożenia się stosunków polsko-ukraińskich w Małopolsce Wschodniej. Metropolita oświadczył, że wymaga to dłuższego czasu, a do Polski nie ma żadnych pretensji; wyrażał pewność, że sprawa z czasem się ułoży i nie można wymagać natychmiastowego jej załatwienia. Tego rodzaju oświadczenie Metropolity zrobiło na mnie niemałe wrażenie.

Poza tym Metropolita oświadczył, że zawsze mogę na niego liczyć. Po pewnym czasie Metropolita rewizytował mnie w Warszawie. W naszych rozmowach wypłynął projekt widzenia się Metropolity z Marszałkiem Piłsudskim. Poinformowałem o mojej rozmowie Komendanta i Komendant wyraził zgodę na odbycie rozmowy z Metropolitą w Belwederze. Konferencja ta jednak do skutku nie doszła — nie dopuścił do niej minister Beck.

Z inspekcji terenowej nie wyniosłem jakichś szczególnych spostrzeżeń. Miejscowa administracja była nieco zaniepokojona, czy w czasie mej podróży nie zajdą grożące memu życiu incydenty. Wszystko odbyło się spokojnie. Rozmawiałem z ludnością polską i ukraińską, zaszedłem nawet na trasie do Rohatyna do jednej z „Proswit”. Złożono mi informacje o pracy „Proswity”, obejrzałem bibliotekę i salę dla przedstawień. Z kierownikami „Proswity” rozstałem się serdecznie.

Nie mogłem się oprzeć urokowi i malowniczości Małopolski Wschodniej, bogactwu wspaniałej przyrody.

W administracji sprawy szły normalnie. Personel administracyjny pracował jak mógł. Czasem mignęły dość dziwaczne postacie urzędników o tradycjach austriackich. Pamiętam naczelnika wydziału samorządowego w województwie lwowskim, pracującego już dawno i cenionego. Osobliwością tego dobrego

urzędnika było, że nie opuszczał swego urzędowego krzesłka i nigdy nie wyjeżdżał w teren.

Wojewodą lwowskim był Wojciech Gołuchowski, tarnopolskim — Kazimierz Moszyński, stanisławowskim — Bronisław Nakonecznikow-Klukowski.

Z tego co obserwowałem, stan administracji w okresie po-majowym wyraźnie się polepszył. Znikła zhora politycznych wpływów i intryg politycznych stronnictw. Znikły interwencje poselskie, ich wpływ na urzędowanie i personalną obsadę urzędów. B.B.W.R. zachowywał się z rezerwą. Stwarzało to warunki normalnej pracy administracyjnego aparatu. Urzędnicy wiedzieli, że zależą tylko od swoich władz przełożonych a nie od ubocznych czynników politycznych. Tak było w pracy rządu, urzędów wojewódzkich, starostw, gminach.

77.

Mój wyjazd inspekcyjny do Małopolski Wschodniej był pewnego rodzaju dodatkiem do urzędowania w Ministerstwie. Drugim „dodatkiem” stała się moja inicjatywa, a następnie akcja w zakresie uregulowania spraw Kościoła Prawosławnego w Polsce. Zdawałem sobie sprawę z olbrzymiej, na skalę historyczną, doniosłości tej sprawy. Pomimo wysiłków polskich mężów stanu w różnych okresach historycznych Polski, sprawy tej nie udawało się pomyślnie załatwić, ze względu na panujące wówczas układy państwowo-polityczne. Sprawa ta zawierała w sobie wyraźny akcent zależności Polski od Moskwy. Tą właśnie drogą idąc, Moskwa interweniowała w sprawie obywateli Rzeczypospolitej wyznania prawosławnego, jako nadrzędna hierarchia prawosławna. Była to utarta przez wieki droga moskiewskiej interwencji. Jedynie autokefalia kościoła prawosławnego w Polsce i uporządkowanie prawnych stosunków pomiędzy kościołem a państwem mogły ten stan rzeczy radykalnie zmienić i w ten sposób drogę moskiewskiej interwencji raz na zawsze przekreślić.

Jak w wielu sprawach, rzecz cała zaczęła się od przypadku. Pewnego dnia odwiedził mnie w ministerstwie minister W.R. i O.P. Ludomir Czerwiński. Przyszedł, by się ze mną poradzić, jak ma się zachować Ministerstwo W.R. i O.P. wobec urzędowego zgłoszenia Metropolity Dionizego o zwoływaniu przez niego Soborze Kościoła Prawosławnego w Polsce. Ministrowi Czerwińskiemu chodziło o procedurę postępowania w takich wypadkach, o reprezentację Ministerstwa w Soborze itd.

Odpowiedziałem, że w tej sytuacji może być tylko mowa o ukaraniu Metropolity za samowolny i niełojalny wobec państwa krok, niezgodny z tradycją cerkwi prawosławnej. Minister Czerwiński był wyraźnie zaskoczony. Moje stanowisko było raczej intuicyjne. Po paru dniach odbyło się w moim gabinecie posiedzenie międzyministerialne, w którym poza mną jako inicjatorem i przewodniczącym wzięli udział Minister Sprawiedliwości, minister Spraw Zagranicznych i minister W.R. i O.P. Po uzyskaniu materiału z uniwersytetu przekonałem się, że zajęte przeze mnie stanowisko posiada murowane podstawy i w ten tylko sposób rzecz może być ujmowana. Na konferencji tej sprawa została rozstrzygnięta zgodnie z referowanym przeze mnie stanowiskiem.

Powołałem komisję z przedstawicieli zainteresowanych ministerstw pod przewodnictwem Tadeusza Hołównki. Komisja ta zapoczątkowała systematyczne konferencje z Metropolitą i św. Synodem Biskupów.

Chodziło mi o stanowisko Marszałka Piłsudskiego. Na konferencji z Marszałkiem w Belwederze przedstawiłem stan rzeczy. Zwróciłem uwagę Marszałka, że właśnie teraz istnieją po temu warunki, by sprawa kościoła prawosławnego w Polsce została raz na zawsze uregulowana. Mielśmy do czynienia z Czerwoną Moskwą. Prawosławna cerkiew została doszczętnie rozbita i wdeptana w ziemię. W Rosji, jak długa i szeroka, panowała orgia jawnego, popieranego przez władze „bezbożnictwa”.

Gdy skończyłem, zapanowała cisza. Komendant wpadł w trans rozmyślenia. Wreszcie przemówił. Powiedział, że to, o czym mówię, jest sprawą wielkiej wagi, wyraził wątpliwość czy zdaje sobie sprawę z jej ogromu i trudności jej przeprowadzenia. W końcu oświadczył, że siły jego są ograniczone, że podjął szereg ważnych dla Polski spraw i nie wystarczy mu energii, by sprawą prawosławia się zająć. Odpowiedziałem, że jeżeli Komendant prawosławiem się nie zajmie, uczynię to ja. Komendant przyjrzał mi się uważnie i nic nie odpowiedział. Postanowiłem akcję rozpocząć.

Tak się zaczęło. Zostałem przewodniczącym delegacji rządowej do uregulowania spraw Kościoła Prawosławnego w Polsce. Po ośmiu latach całą rzecz doprowadziłem do pomyślnego wyniku. Autokefalia Kościoła Prawosławnego w Polsce stała się faktem. Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej ustalał stan prawny Kościoła Prawosławnego i organizację wewnętrzną władz kościelnych.

Jest to pozycja dominująca w mojej pracy państwowej — pozycja o wymiarze historycznym. Gdy dawałem Prezydentowi tekst do podpisu, usłyszałem, że Prezydent ma świadomość podpisywania aktu przewyższającego swym znaczeniem akt Konstytucji.

Gdy na polecenie Komendanta godziłem się na objęcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nie zdawałem sobie sprawy, że budżet ministerstwa, który był głównym moim zadaniem, stanie się w mojej pracy pozycją skromną, marginesową. W całym majestacie wyszła sprawa prawosławia. I dlatego błogosławię ministerstwo.

78.

Łódź

W końcu kwietnia 1938 roku objąłem Województwo Łódzkie. Na drugi czy trzeci dzień po przyjeździe spotkałem się ze świętem 1 Maja. Tłumy robotników defilowały w pochodzie pierwszomajowym, niosły transparenty z wypisanymi hasłami, wznosiły okrzyki. Niektórzy szli z „gazurkami” w rękę. Policja urzędowała fachowo i taktownie. Podziwiałem jej sprawność. Wszystko odbywało się bez zakłóceń i poważniejszych incydentów. Gdy patrzyłem z okien starostwa wychodzących na ulicę Piotrowską, ogarnęły mnie wspomnienia saratowskie, kiedy szedłem w czołowej partii stutysięcznego pochodu pierwszomajowego w roku 1917. Oczywiście zachowałem to dla siebie i nie zdradziłem się przed asystującymi mi urzędnikami.

Tak przyjęła mnie Łódź... miasto nieznane, nieładne, nawet w wielu wypadkach odrażające, brudne, zadymione, ze sterzącymi na każdym kroku fabrycznymi kominami, zatruwającymi powietrze. Domy łódzkie były ponure, nijakie. Odniosłem wrażenie, że przy powstawaniu Łodzi chodziło o fabryki i fabrykantów. Nie było mowy o jakiejś inwencji urbanistów. Łódź to były gromady bastionów fabryk, obmurowanych wysokimi murami. Powstawały one same dla siebie, nie licząc się z otoczeniem, ani przemysłowym planem miasta.

Rola reprezentacyjna przypadała ulicy Piotrkowskiej. Tu był nerw miasta. Przewalały się przez nią tłumy przechodniów, na ogół postaci mało zachęcających — komiwojażerów, handlarzy, pośredników ludzi interesu. Nie zawsze jednak tak było. W godzinach wczesnego ranka, gdy wszystko jeszcze spało, ulicę Piotrkowską zalegał tłum inny — szli robotnicy i robotnice do fabryk. Był to świat inny, nie mający nic wspólnego z jazgotliwym

hasłem urzędującej w dzień ulicy. Szli w milczeniu. Panowała cisza i przyciszony pogwar głosów. Śpieszyli do pracy — byli pracą przesuwaną się ulicami Łodzi. Patrzyłem na to z respektem i wzruszeniem. Sens ludzkiego istnienia i godność ludzka miały tu swój osobliwy wyraz.

W Łodzi spotkałem świat inny, niż ten z którym byłem na Wołyniu. Już samo zestawienie Łodzi i Łucka demonstruje tę niewspółmierną inność. Zresztą, wszystko było inne. Była to ta sama Polska, ale inna. Nie było zagadnienia ukraińskiego, ukraińskiej ludności, zwyczajów, obyczajów kresowego życia. Miałem przed sobą kraj rdzennie polski i jednolicie polski — Łowicz, Łęczyca, Sieradz... Po raz pierwszy miałem do czynienia z rdzenną polską wsią. Nie znałem jej dotąd. Opanowywało mnie wzruszenie, gdy wsie zwiedzałem. Zza węglów chat migały mi twarze polskich dzieci, jak z obrazów Wyspiańskiego. Starsza ludność stawiała się bliska, swoja. I przyroda była inna, inne niebo, pejzaż, horyzont. Pomiędzy wsią a mną zrodziła się jeszcze jedna racja mojego istnienia, tak bardzo bliska i obecna.

Po raz pierwszy spotkałem się oko w oko ze światem wielkiego przemysłu, do którego jeszcze się w moim życiu nie dożyłem.

W ten sposób wyłoniły się trzy podstawowe pozycje wypełniając treść mojej świadomości i działania:

1. — Świat robotniczy,
2. — Wielki przemysł i świat fabrykantów,
3. — Wieś.

79.

Sprawy administracyjne bieżące płynęły znanym mi od dawna trybem. Nie było to dla mnie czymś nowym. Dawałem sobie z tym radę. W kręgu moich zainteresowań nie była to pozycja pierwszoplanowa. Skład personalny urzędu wojewódzkiego i administracji terenowej nie budził podejrzeń i niepewności. Z czasem zorientowałem się, że mam na ogół dobry i ofiarny zespół ludzi, z niektórymi współpracownikami bardzo się zżyłem.

W tych warunkach, bez szkody dla urzędowania, mogłem poświęcić wiele czasu interesującym mnie sprawom. Niemało czasu poświęcałem wsi. Często na wieś wyjeżdżałem i „urzędowałem” na wsi. To samo dotyczyło świata robotniczego, tzn. niemało dni spędziłem na „urzędowaniu” w fabrykach. Zaprowadziłem zwyczaj odwiedzania fabryk. Było to czymś nowym i nieznanym. Na początku wywoływało to zdziwienie. Nie

orientowano się, co to ma znaczyć. Z czasem sprawa się utarła i powstał pewien protokół zwiedzania.

Moje pierwsze „wizyty” wywoływały konsternację... Po uprzednim zawiadomieniu dyrekcji, wojewoda z towarzyszącym mu naczelnikiem wojewódzkiego wydziału przemysłowego zjawiał się w biurze Dyrekcji fabrycznej. Spotykano mnie ostentacyjnie. Był obecny właściciel fabryki i dyrekcyjny zespół. W biurze informowano mnie o charakterze i organizacji produkcji. Było to dobrze i wyczerpująco przygotowane. Myślano, że rzecz na tym się skończy. Po wysłuchaniu referatów zgłaszałem chęć zwiedzenia fabryki. Wtedy, jakby odruchowo, padały propozycje zwiedzenia fabrycznych instytucji kulturalno-społecznych, oświatowych, sportowych. Po pobieżnej wizytacji zaproponowanych instytucji zwracałem się z prośbą o możliwość zwiedzenia fabryki „od dołu do góry”. Powstawało wtedy pewne zakłopotanie. Wyruszaaliśmy więc do hal fabrycznych, które obchodziłem systematycznie. Towarzyszył mi zarząd z właścicielem fabryki na czele. Trwało to parę godzin. Wszędzie chciałem zajrzeć i zobaczyć jak robotnicy pracują. Poza tym interesowały mnie maszyny. Zawsze robiły na mnie wielkie wrażenie. Nie mogłem się od nich oderwać — od tych przedziwnych stworów poszerzających we właściwy sobie sposób zasięg ludzkiego „Jestem”.

Na początku nie wiedziano, co miano o moich odwiedzinach myśleć. Może chodziło tu o jakąś złośliwą inspekcję... i niepożądane jej skutki. Potem się przyzwyczajono. Mam wrażenie, że wywarło to pozytywny skutek w nawiązaniu dobrych stosunków ze światem przemysłowym. Świat ten był mile poruszony zainteresowaniem wojewody życiem fabrycznym. Na te „wizyty” poświęciłem wiele godzin.

Zwiedzanie to dało mi wiele. Uderzyły mnie twarze robotników i robotnic — twarze ludzi skazanych na schorzenia nieuniknione w warunkach fabrycznej pracy. Kolor skóry i wyraz oczu, ruchy i postacie ludzkie. Bywało lepiej i gorzej, ale na ogół cień tego „niezdrowia” panował wszędzie. Była to impresja, która zjawiała się, gdy przestępowałem próg fabrycznych hal. Do niej doszło jeszcze niejedno. Kilka razy przeżyłem chwile nieoczekiwane żenujące. Wchodziłem z towarzyszącym mi orszakiem do hali z pracującymi robotnikami. Nasze wejście przerywało pracę, przyglądano się mojej osobie w milczeniu. Uchylałem melonik i witałem się z obsadą sali. Robotnicy nie reagowali. Mój gest powtarzałem czasem dwa lub trzy razy. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Wreszcie robotnicy domyślali się, że im

się kłaniam. Zapanowywało ożywienie i powitanie. Robotnikom nie przychodziło do głowy, że wojewoda się im kłania w ich miejscu pracy. Potem to ustało. Przyjmowano mnie życzliwie. Odniosłem wrażenie, że zachowanie się moje było wbrew fabrycznej tradycji. Robotnicy nie czuli się gospodarzami. Byli dodatkiem do maszyn. Nie zdawali sobie sprawy, że wojewoda przychodzi do nich, właśnie do nich, kiedy stoją przy warsztatach.

Tak nawiązywał się wzajemny nasz stosunek. Z czasem doszło do tego, że przedstawiciele wojewódzkiej organizacji pepeesowskiej stale „urzędowali” w Województwie. Mieliśmy do omówienia różne sprawy, nie kończące się nigdy. Podjąłem zagadnienie dwutygodniowych urlopów robotniczych, które uzgodniłem z łódzkim wielkim przemysłem. Realizacja urlopów została załatwiona pomyślnie. Poza stroną organizacyjno-prawną udało się uzyskać potrzebne środki materialne.

Udało mi się rozpocząć szkolenie robotników na majstrów. Przy fabrykach i sumptem fabryk powstawały dwuletnie kursy, na które robotnicy mogli uczęszczać za zgodą administracji fabrycznej. Praca na kursach była honorowana jako praca robotnicza normalna. Po ukończeniu kursu robotnikowi przysługiwał awans, który fabryka zobowiązała się honorować. Przemysłowcy szli mi na rękę.

80.

Nie zapomnę dnia jubileuszu wielkiego łódzkiego przemysłu. Dowiedziałem się, że ma się odbyć uroczyste posiedzenie. Na posiedzenie zaproszenia nie dostałem. Zwróciłem się do Roberta Gayera z zapytaniem dlaczego tak się stało. Gayer oświadczył, że popełniono gaffę, za którą przeprasza. Na swoje usprawiedliwienie powiedział, że dotychczasowi wojewodowie łódzcy nie przekraczali progu przemysłu i przemysłowcom nie przyszło do głowy, że wojewoda może się uroczystością zainteresować. W końcu dodał, że zjawi się u mnie zarząd z zaproszeniem. Nazajutrz zarząd *in corpore* zjawił się i zaprosił na tę uroczystość.

To, co miało miejsce potem, pozostało mi na zawsze w pamięci. Gdy przybyłem na uroczystość, spotkano mnie przy wejściu do gmachu i wprowadzono na salę obrad. Znalazłem się z zarządem przy stole prezydialnym. Miałem przed sobą świat łódzkich milionerów, postacie trudne do określenia, chociażby z tytułu swej narodowości. Po oficjalnym powitaniu mojej osoby i powitaniu zebranych przeze mnie jako przedstawiciela rządu

i państwa w Województwie Łódzkim, zabrał głos Gayer i przemówił mniej więcej w tym sensie: „Świętujemy naszą uroczystość, którą zaszczylił swoją obecnością pan wojewoda Henryk Józewski. Jesteśmy ludźmi realnej pracy. Nie mamy zwyczaju manifestować swych uczuć uroczystościowych. Wiemy, że pan wojewoda Henryk Józewski podjął sprawę urlopów robotniczych i przywiązuje do nich wielką wagę. Proponuję w dniu naszego święta przekazać na ten cel do dyspozycji p. Wojewody 3.000.000 złotych (trzy miliony)”. Wniosek Gayera uchwalono przez akklamację.

Stała się rzecz nieoczekiwana. Byłem oszołomiony. Wpadłem nawet w pewne rozczulenie. Uzyskałem sumę astronomiczną w porównaniu z tą, jaką mogłem uzyskać ze środków państwowych. Serce moje zabiło sympatią dla łódzkich przemysłowców.

Z czasem ustalono pieniężne zaangażowanie się łódzkiego przemysłu w zakresie różnych poczynąń społecznych, które podejmowałem. Przykładem tej akcji była suma 600.000 zapłacona za dom przeznaczony dla „dzieci ulicy” na wzór podobnej instytucji w Warszawie. Niestety wojna przerwała całą akcję.

81.

Tak zarysowywały się moje stosunki ze światem przemysłu i światem robotniczym. Co do ostatniego, wspomnę jeszcze o innych sprawach przeprowadzonych w porozumieniu z delegatami robotników.

Chodziło o Widzewską Manufakturę. Działo się tam niedobrze. Stary Uszer Kon manewrował z całym swym sprytem i doświadczeniem na niekorzyść widzewskich robotników. Ferment w masach robotniczych wzrastał się i nie zapowiadało się, że stan rzeczy może się poprawić.

Zdecydowałem się więc na podjęcie kroków mających na celu przejęcie Widzewa przez zarząd państwowy. Akcji tej towarzyszyło wiele ciekawych i godnych opisanie momentów. W pewnej chwili interweniowała Warszawa — interweniowała na rzecz Uszera Kona. Nie będę ujawniał nazwisk korowodu dygnitarzy różnego typu, który w czasie tym przesunął się przez mój wojewódzki gabinet. Czasem rozmowy były najbardziej nieoczekiwane i bardzo interesujące. Pogłębiły one moją wiedzę o człowieku.

Podjętą przez mnie akcję pomimo piętrzących się trudności doprowadziłem do pomyślnego końca. Już same trudności finansowe wydawały się nie do przezwyciężenia, ale i one w końcu dały się „zaurzędować”.

Staje mi w pamięci końcowa scena tej, zdawałoby się, niekończącej się batalii. Pewnego dnia pojawił się stary, doświadczony i „kuty na cztery nogi” Kon i oświadczył na wstępie, że postanowił zastosować się do mojej decyzji i tego co mu powiem. Było to bardzo wymowne i nieoczekiwane. Kiedy wyjawilem swą decyzję przekazania fabryki pod zarząd państwowy, Uszer Kon z powagą oświadczył, że podporządkuje się temu z wiarą, że inaczej być nie może. Wyjechał wkrótce na Zachód.

Ani on, ani ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co się stało. Było to, jak się wkrótce miało okazać, dobrą gwiazdą w jego życiu. W ten sposób Kon uniknął pieca krematoryjnego albo śmierci z rąk Gestapo. Wszystko bowiem działo się u progu wojny.

82.

Pozycją niemałej wagi były dla Łodzi wybory samorządowe i osoba prezydenta miasta. W Łodzi panowała od dawna ustalona prawidłowość i kolejne zwycięstwo w wyborach endeków i pepeesowców. W czasie mego pobytu miała nastąpić passa pepeesowska. Tak się też stało. Kandydatem na prezydenta miasta był Jan Kwapiński. Chodziło o zatwierdzenie tej kandydatury przez Warszawę. Miałem z tym pewien kłopot, ale w ostatecznym wyniku dyplomacja moja zwyciężyła i Kwapiński jako prezydent Łodzi został zatwierdzony. Teraz z kolei chodziło o pomoc Kwapińskiemu w opanowaniu zagadnień samorządu łódzkiego i dania sobie rady z kierownictwem tak wielkiego aparatu. I ta rzecz została pomyślnie załatwiona. Lojalną i fachową pomoc znalazł Kwapiński w Wydziale Samorządowym Województwa.

83.

Dla pełnego obrazu mojej łódzkiej sytuacji należy wspomnieć o Biskupie Jasińskim, który stał się moim bliskim przyjacielem i niejednego od niego doznałem. Stosunki przyjacielskie łączyły mnie z gen. Thommé — Dowódcą D.O.K. w Łodzi. Nawiązałem także stosunki z łódzkim światem literackim i artystycznym.

Miałem dobre stosunki ze społeczeństwem żydowskim. Nie zapomnę mojej konferencji z Żabotyńskim w okresie świąt 38-39 roku. Żabotyńskiego przyjąłem w moim prywatnym mieszkaniu, o co prosił. Człowiek ten zrobił na mnie niezwykle wrażenie. Była to postać ujmująca. Dowiedziałem się od niego, że

przyjechał do Polski w celu zorganizowania masowego wyjazdu Żydów. Twierdził, że jest to sprawa największej wagi i nie cierpiąca zwłoki. Zwróciłem uwagę, że w sprawie tej należy się zwrócić do Premiera i Ministra Spraw Zagranicznych. Odpowiedział, że już to uczynił i jednocześnie oświadczył, że chodzi mu o mnie. Rozmowa z Żabotyńskim była niezwykle interesująca. Po pewnym czasie stało się dla mnie jasne, że miałem zaszczyt gościć u siebie apostoła świata żydowskiego, który przed tym, co miało się stać, wołał o ratunek... Jego postać zapadła w mojej pamięci na zawsze.

84.

W moim łódzkim urzędowaniu przewijały się różne, nowe dla mnie sprawy. Z jedną z nich spotkałem się wkrótce po przyjeździe do Łodzi. Mówię o bezrobociu. Chodziło o parę tysięcy bezrobotnych. Normalne urzędowanie w oparciu o Ministerstwo Pracy nie załatwiało sprawy, która się jątrzyła. I oto przyszedł mi z pomocą okólnik premiera Składkowskiego — swego czasu wydany okólnik o płotach. Z największym zapałem podjąłem akcję walenia murów wokół fabryk i zastępowania ich płotami niezwartymi. Chodziło o niemałą ilość kilometrów. Akcja ta zahamowała bezrobocie. W związku z waleniem fabrycznych murówanych płotów zjawiała się u mnie delegacja zarządu wielkiego łódzkiego przemysłu. Oświadczyła, że na mocy uchwały zarządu ma wyjechać ze skargą na mnie do Premiera, ale jednocześnie dodała, że jeżeli tego sobie nie życzę, delegacja nie pojedzie. Zapewniłem delegację, że chodzi mi o jej wyjazd. Dziwne to były moje łódzkie stosunki. Po kilku dniach zostałem wezwany do premiera, który mnie poinformował o złożeniu na mnie skargi przez łódzkich przemysłowców. Czułem, że w powietrzu wisi dezaprobata mojej działalności. Zająłem jednak murowaną pozycję. Bronilem okólnika Premiera, który obowiązuje i ma doniosłe znaczenie dla Polski. Premier poddał się, machnął ręką i nie dał mi poleceń. Wróciłem do Łodzi i w dalszym ciągu waliłem murowane fabryczne ogrodzenia.

85.

Przytoczyłem parę moich przeżyć i spraw dotyczących przemysłu i świata robotniczego. Teraz chcę dodać kilka słów o wsi, trzeciej z kolei podstawowej pozycji otaczającego mnie świata.

Jak już wspomniałem, wieś polska była dla mnie czymś nowym i nieznanym. Ze światem robotniczym wszedłem w komitywę w czasach rewolucji 1917 roku, co prawda ze światem nie-polskim, ale posiadającym niejedną wspólną cechę.

Do dnia objęcia Województwa Łódzkiego miałem do czynienia z ukraińską wsią naddnieprzańską, o której pisałem, że „patrzyliśmy sobie w oczy i było nam dobrze”. Na Wołyniu spotkałem również wieś ukraińską, dominującą masę ukraińską w życiu wsi.

W ten sposób wieś z natury rzeczy łączyła się z akcentem ukraińskim. Była to wieś moich lat dziecińczych, bliska, rodzinna.

Po raz pierwszy wieś spojrzała na mnie polskimi oczami i wpatrzyła się we mnie tak jak umie, jak patrzy z obrazów Chełmońskiego i Wyspiańskiego. Doznałem nieuniknionego wstrząsu. Buchnęła fala uczuć, wzruszenia, rozczulenia.

Na widok polskiej wsi zabłysła we mnie jeszcze jedna jasność.

Niemало godzin poszło na odwiedzanie fabryk. Na pewno więcej poświęciłem wsi.

I tu także, jak tam, powstał swoisty protokół mego pobytu. Wieś była o moim przyjeździe zawiadomiona. Spotykano mnie, udawaliśmy się do szkoły. Byli obecni przedstawiciele wszystkich organizacji społecznych różnego typu działających we wsi. Kółka rolnicze, Koła Gospodyń Wiejskich, Młodzież Wiejska, Spółdzielczość, Młodzież Katolicka itd.

Po kolei zdawano sprawę z pracy poszczególnych organizacji, osiągnięć stanu liczbowego. Zauważyłem, że wszystkim się to podobało. Zarysowywała się pewna rywalizacja, nie przekraczająca jednak granic patriotyzmu wspólnoty danej gromady. Sprawiedliwość każe stwierdzić, że najżywsze i najbardziej wyczerpujące sprawozdania wygłaszały delegatki Kół Gospodyń Wiejskich.

Po ukończeniu konferencji w szkole, wysłuchaniu sprawozdań i po przeprowadzeniu dyskusji wyruszyliśmy gremialnie na wieś. Pokazywano mi osobiowości — to, z czego wieś była dumna i to, co wymagało poprawy czy naprawy. Największą dumą Gospodyń Wiejskich były z reguły magle. Rozmowy były ożywione. Poruszano różne bolączki gromady, wskazywano sprawy, które powinny być załatwione.

Tak dawała o sobie znać gromadzka inicjatywa, aktywna afirmacja gromady jako gospodarza wsi, wiejska wspólnota typu rodzinnego — ważne i realne ogniwo w świecie wiejskim. Był to akcent samostawiania się wsi. Robiłem wszystko, by z tym

współdziałać w zakresie danych mi środków i możliwości. W wielu wypadkach chodziło o środki materialne, które starałem się dostarczyć w granicach istniejącego ustawodawstwa samorządowego i obowiązujących przepisów.

Zaobserwowałem ogromną różnorodność skali świata poszczególnych wsi, skali wiejskich urzędów. Np. lokal spółdzielczości kredytowej w jednej ze wsi w Opoczyńskim i siedziba podobnej spółdzielni w Królowej Lipie w Łęczyckim. W wypadku pierwszym był to skromny pokój w mizernej chałupie — we wsi Łęczyckiej, o której wspominam, był to imponujący gmach banku z dyrektorem, biurem, urzędnikami. Albo mleczarnie, albo... Wieś polska jest niejednorodna. Nie jest to tylko moje spostrzeżenie. Są to rzeczy ogólnie znane.

Po pewnym czasie powstało pismo *Gromada* wydawane przez Wojewódzką Radę Samorządową. W redagowaniu pisma brałem udział osobiście. Na redaktora zaangażowałem młodego łódzkiego publicystę ze świata postępowo-demokratycznego. Pismo miało powodzenie. Najbardziej cieszyły mnie korespondencje wiejskie, które rosły jak na drożdżach. Wśród korespondentów objawiały się postacie wybitnie utalentowane. Pewnego dnia oni objęli redakcję.

86.

Rozwijającej się sprawie Gromady towarzyszyły różne zjawiska. Na akcję tę patrzyły krzywym okiem centrale organizacji społecznych. Zarysowywał się konflikt pomiędzy patriotyzmem organizacyjnym członków a ich patriotyzmem lokalnym — gromadzkim. Było to nieporozumienie. I jedna i druga pozycja posiada swoją rację. Racje te nie mogą być sobie przeciwstawiane. Może być jedynie mowa o układzie rzeczy przyznającym rację jedną i drugą. Centrale organizacji obawiały się o dyspozycyjność swoich członków. To samo dałoby się powiedzieć o rodzinie. Gromada jest rodziną wiejską. Wzmoczenie autorytetu tej rodziny nie jest wbrew stawianiu się wiejskiego życia, ale jest twórczym i realnym stawianiem się wsi.

Sprawa Gromady wywołała echo w Sejmie. Zaczęto mówić o nowelizacji samorządowej uwzględniającej gromadę jako jeszcze jeden stopień samorządu poza wojewódzkim, powiatowym, gminnym.

Sprawa gromady spowodowała także jak najbardziej nieprze-

widziany rikoszet. Pewnego dnia zjawili się w moim wojewódzkim gabinecie kilku niemieckich profesorów, którzy przyjechali do Polski w celu zaznajomienia się z zagadnieniem gromady w Województwie Łódzkim. Zaznaczyli, że sprawa ta niezwykle ich interesuje i pilnie śledzą to, co się w Województwie Łódzkim dzieje. Miałem polecenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przyjęcia profesorów z całą kurtuazją i zapewnienia możliwości zapoznania się z interesującymi ich sprawami.

Gdyby nie wojna, zagadnienie gromady wiejskiej znalazłoby się na warsztacie pracy rządowej i sejmowej, stałoby się sprawą ogólnopolską.

87.

Obok zagadnienia gromady wiejskiej, spółdzielczości, polityki zmiany ustroju rolnego, spraw gospodarczych i fachowo rolniczych, oświatowych i kulturalnych, pozycją wyjątkowej wagi była „Młodzież Wiejska” — ruch młodzieży na wsi powstały na własny rachunek. Dwie organizacje „Młodej Wsi” — „Wici” i „Siew” — liczyły ponad 400.000 członków.

W Województwie Łódzkim miałem do czynienia z „Wiciami”. Prezes „Wici” był w moim gabinecie wojewódzkim częstym gościem. Niejedną odbyłem z nim rozmowę. Zaczęło się od wyraźnego zdumienia, że urzędujący wojewoda szuka kontaktu z „Wiciami” i nie tylko szuka kontaktu, ale chce „Wiciami” się zaopiekować i pomóc w ich pracy, nie stawiając żadnych politycznych warunków. Jak się orientowałem, Ignar, pomimo najlepszych chęci, nie był w stanie w to uwierzyć.

Zabrałem się do roboty. Nie było to łatwe. Tu i ówdzie musiałem przełamywać uprzedzenia, niedobre nawyki, administracyjną apatię.

Z biegiem czasu plan mój zaczął dawać wyniki. Podejrzliwość Ignara słabła. Pewnego dnia zjawiała się u mnie w wojewódzkim gabinecie delegacja Zarządu Głównego „Wici”. Panowie ci przyjechali z Warszawy. Nie przyjechali bezpośrednio. Przez dwa tygodnie badali stan rzeczy w Województwie Łódzkim. Chcieli się przekonać, jak wygląda w terenie owa proklamowana współpraca administracji z „Wiciami”.

Inspekcja wypadła pomyślnie. Od przedstawicieli Zarządu Głównego otrzymałem podziękowanie i wyrazy uznania. Delegaci stwierdzili, że jest to wypadek jedyny w swoim rodzaju, jak Polska długa i szeroka. Rozstaliśmy się w przyjaźni.

Świat chłopski nie jest zdolny do akcji politycznej. Takie są moje spostrzeżenia, ale świat ten w stawianiu się polskiej rzeczywistości spełnia rolę fundamentalną. Pełni ją po swojemu. Widzimy chłopów w samorządzie, spółdzielczości, akcji gospodarczej, kulturalnej. Pozycją niezwykle wymowną jest wspomniany już ruch Młodzieży Wiejskiej.

Jakże jaskrawo odbija od świata chłopskiego ziemiaństwo. Poza nielicznymi wyjątkami było poza tym, co się działo, poza dźwiganiem się zorganizowanego społecznego wysiłku.

Dwory ziemiańskie robiły „przyjemny wyraz twarzy” i nic poza tym; zadawały się swoim prywatnym życiem, niepozbawionym swoistego uroku. Był to krąg zamknięty, formacja wyraźnie schyłkowa. I dlatego gdy mówię o wsi, mam na myśli świat chłopski.

W stosunkowo krótkim czasie zorientowałem się w sytuacji. Z ziemiaństwem nie łączyło mnie nic. Jedynym akcentem dodatnim były zarysowujące się tu i ówdzie dobre warsztaty produkcji rolnej, np. Kutnowskie. Ze światem chłopskim i robotniczym byłem w ścisłej współpracy, wzmagającej się w miarę czasu. Z wielkim przemysłem łódzkim łączyły mnie dobre stosunki. To samo ze środowiskiem inteligencji.

Pozycja ziemiaństwa była nijaka. Z resztą, o których wspominałem byliśmy razem. Moimi wrogami byli komuniści, endecy i... O.Z.N. Na pomoc ich liczyć nie mogłem. Nie ma w tym nic dziwnego, że Wojewoda Łódzki w okresie lat 1938-1939 był zwalczany przez endeków i komunistów. Pewną atrakcją był O.Z.N. — obóz prorządowy posiadający na prorządowość monopol.

Jak było, tak było... Nie mam zamiaru o tym się rozpisywać. Wspomnę tylko, jak premier Składkowski opowiadał mi o wystąpieniu szefa O.Z.N., płk. Wendy. Pułkownik ten w mundurze i wszystkich odznaczeniach stanął jako szef O.Z.N. przed premierem i zażądał dymisji Henryka Józewskiego ze stanowiska Wojewody Łódzkiego, grożąc, że w przeciwnym razie składa dymisję z prezesury O.Z.N.

Urzędowanie w Łodzi nie było łatwe, ale czułem się pewnie i dobrze. Ze strony moich władz przełożonych miałem aprobatę i uznanie.

Układ rzeczy w Województwie Łódzkim był w przekonaniu moim typowy dla całej Polski i polskiej ówczesnej rzeczywistości. Życie szło właśnie w tym kierunku i szukało ogólnopolskiej sank-

cji. Już w bliskim czasie zarysowywał się manewr prowadzący do realnych rozstrzygnięć. Ale przyszła wojna. Moje łódzkie dzieje zamykają mobilizacja i wojna.

89.

„Dwudziestolecie” obejmuje okres od dnia wskrzeszenia Państwa Polskiego do okupacji niemieckiej na początku drugiej wojny światowej. Jednak wojnę 1939 roku należałoby traktować jako temat sam w sobie, inny od innych, pomimo że na scenie widzimy dalsze „urzędowanie” tego samego zespołu ludzi. Dlatego „wojnę” ujmuję jako osobny rozdział.

Temat „dwudziestolecia” nie jest do dnia dzisiejszego opracowany w mierze na jaką zasługuje. Dorywcze publikacje, wspomnienia, przyczynki, wyczyny publicystyki nie załatwiają sprawy, wprawiają tylko umysły w stan podniecenia. Nie mówię o akcji nieprzyjaźnie dla Polski usposobionych politycznych czynników, które z pomniejszania „dwudziestolecia” zrobiły opłacający się dla nich proceder.

Czasem odnoszę wrażenie, że jakby obowiązkiem każdego z nas stało się krytyczne ustosunkowanie do „dwudziestolecia”. Jest to nieodzowne w zachowaniu się „myślącego Polaka” czy „dobrego Polaka”, albo takiego, jakim powinien być. Daje to poczucie dobrze spełnionego wobec ojczyzny obowiązku.

Czytałem ostatnio pracę Poboga-Malinowskiego. Jestem z największym uznaniem dla autora za podjęcie tak wielkiego trudu. Jest to pierwsza poważna publikacja o „dwudziestolecu”, z jaką się spotkałem. Jest to materiał, z którym w opracowywaniu tych czasów nie można się rozminąć.

Za czasów „dwudziestolecia” były osiągnięcia, na które nikt nie zwracał i nie zwraca uwagi do dnia dzisiejszego. Jest to poza świadomością jednostek niekiedy nawet bardzo wybitnych i poza świadomością polskiej opinii społecznej. Nie jestem w stanie dać pełnego obrazu tego, co się w Polsce za czasów „dwudziestolecia” działo. Ograniczę się do paru pozycji, z którymi miałem do czynienia na Wołyniu.

1. Nigdy nie spotkałem się, aby uważano za potrzebne podanie do wiadomości, że w dniu, w którym Wołyń znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, tzn. w 1919 roku — miał on 15.000 dzieci w szkołach ludowych (*prichodskich*) a w roku

1938 na tym samym terenie uczęszczało do szkół ludowych 250.000 młodzieży. Niezwykłość tego zestawienia nie wymaga komentarzy. Osiągnęła to Polska o własnych siłach. Polska powracająca z gruzów powojennych i długoletniej niewoli, w czasach ekonomicznych kryzysów wstrząsających światem.

2. Nikogo nie interesowało i było rzeczą nieznaną, że za polskich rządów na Wołyniu scalono i zmeliorowano milion hektarów ziemi. Ale społeczeństwo polskie wiedziało, pisała o tym prasa, że Mussolini osuszył Błota Pontyjskie — liczące kilkadziesiąt tysięcy hektarów.

3. Nie uważano za stosowne podać do publicznej wiadomości, że plony zbóż na Wołyniu wzrosły czterokrotnie.

Skrętnie i z uporem godnym lepszej sprawy konspirowano sukcesy hodowli bydła czerwono-polskiego, hodowlę koni i szereg pozycji gospodarczych przynoszących zaszczyt Wołyniowi i Polsce.

„Wołyńską litanię” można by snuć dalej, ale dla poparcia tego na co wskazujemy, przytoczone fakty są dostatecznie wymowne. A czy nie jest wymowna sprawa prawosławia? W „dwudziestolecu” zostało zrealizowane to, o co walczone przez wieki, o co walczyły najlepsze polskie umysły, znane historyczne postacie. Cerkiew prawosławna w Polsce stała się samodzielną i samostanowiącą w zakresie kanonicznym i prawnym. Autokefalia polskiej cerkwi prawosławnej.

A jak tę sprawę potraktowała polska prasa, polski świat polityczny, inteligencja polska? Nad tym historycznym aktem panowała doskonała cisza — nikt się tym nie zainteresował a prasa milczała. Życie polskie toczyło się po swojemu jakby nigdy nic.

Miał za to o czym mówić premier brytyjski MacDonald. Przysłał swego przedstawiciela do Warszawy na rozmowę ze mną i zaproszenie do Londynu na konferencję o prawosławiu z rządem brytyjskim. Byłem wtedy ministrem Spraw Wewnętrznych.

Miał coś do powiedzenia w tej sprawie minister Spraw Zagranicznych Niemiec — Curtius. Przemówienia w parlamencie. Mieli coś do powiedzenia inni — oczywiście Watykan. Tylko Polska nie miała nic do powiedzenia — ani sfery rządowe, ani polityczne. Taka już Polska jest. Nie pomniejsza to znaczenia historycznego faktu, który został dokonany, daje tylko do myślenia o „biegu polskich myśli”. Może gdyby żył Piłsudski, byłoby inaczej... Sprawę prawosławia zakończono w 1938 roku.

.....

IV. MYŚLI O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

91.

Rok 1960... Kiedy wchodzę do Belwederskiego parku od strony Łazienek, poprzez drzewa spoglądają okna i kolumny dobrze mi znane. W Alejach siadam na ławce najbliższej belwederskich sztachet. Jestem wtedy koło Komendanta, którego nie ma. W belwederskich pokojach mieszka moskiewski agent. Patrzę na belwederskie sztachety, na kawałek muru i belwederskiego dachu. Trzeba napisać o Komendancie.

92.

Gdy mowa o wielkim człowieku — o postaci historycznej, zjawiają się zazwyczaj oczekiwane i niezastąpione zdawałoby się słowa. Mamy do czynienia z tradycyjnym „umundurowaniem” historycznej postaci. „Mundur”, w który ubrano Józefa Piłsudskiego, przypomina ogólnie przyjętą historyczną modę.

Słowa te dotkną zapewne niejednego, zwłaszcza legionistów i tradycyjnych piłsudczyków. Spotkać mnie może zarzut, że łatwo krytykować i nie doceniać wypowiedzi, którym nie można odmówić talentu i natchnienia. Staję w niekorzystnym dla siebie świetle. Nie mogę jednak nie wspomnieć o „mundurze” i urzędowej wersji o Józefie Piłsudskim.

93.

W latach mojej młodości legenda Piłsudskiego przysła nad Dniepr do Kijowa. Piszę o tym w rozdziale K.N. III. Od tego czasu Piłsudski stał się moim Komendantem. Tak było przez całe moje życie. Tak jest obecnie.

Piłsudski to nie tylko walka o niepodległość Polski. Byłem przy Nim i dane mi było być z Nim po osiągnięciu niepodległości. Otwierały się moje oczy na wielkość i małość polskiego życia. Tego co się działo pomiędzy mną a Piłsudskim nie można nazwać zgodnością programu politycznego, nie ograniczało się to do wierności żołnierskiej i ubóstwiania wodza — było to wzajemne wejście w swoje życie, coś, z czym nie można się rozstać. Mówię o sobie, ale podobnie działo się z innymi. Piłsudski był „bliski” w jemu tylko właś-

ciwy i jakiś bardzo polski sposób. Mówią o tym słowa Marii Dąbrowskiej z *Elegii* na śmierć Piłsudskiego:

„Trumna Piłsudskiego, która przez tydzień widzialnie ciążyła nad Polską, stała jednocześnie w domu każdego z nas. Póki nie przeżyto się tego ciosu, trudno było wyobrazić sobie, że śmierć tak najdoskonalej publiczna, śmierć wodza, wskrzesiciela i odnowiciela państwa może być do tego stopnia wstrząsającym przeżyciem prywatnym i osobistym. I jeśli w wiecznej tragedii zgonu jest do pomyślenia jakiś triumf ziemski, to nigdy idea, że społeczność i jednostka są tożsamością, nie znalazła wyrazu bardziej triumfalnego niż w tej żałobie narodu, którą miliony jednostek obchodziły niby żałobę własną”.

To właśnie wskazuje, czym był Piłsudski dla Polski i kim był w Polsce. Racja Piłsudskiego była czymś więcej niż programem stronnictwa politycznego. Racja ta sprawiała, że przychodziło do głosu to, co podnosiło człowieka we własnych oczach i jednoczyło z Polską.

94.

Byliśmy świadkami sytuacji osobliwego rodzaju. W tłumie stronnictw politycznych i politycznych postaci wypełniających scenę polskiego życia ukazała się postać Józefa Piłsudskiego inna od innych, zachowująca się inaczej niż całe towarzystwo. Racja Piłsudskiego przenikała w życie polskie inaczej niż racje politycznych stronnictw, zjawiała się przed Polakami i w „cztery oczy” załatwiała sprawę. Tak zapalały się umysły i serca. Racja ta niosła w sobie tajemnicę polskiego Jestem. Nie można było zejść jej z drogi, kiedy się z kimś spotkała „w cztery oczy”.

95.

Dzieje Piłsudskiego to szereg następujących po sobie scen od wydziału bojowego P.P.S. począwszy, kończąc na pogrzebie Marszałka w roku 1935. Odsłoną pierwszą było P.P.S., odsłoną drugą Piłsudski wśród swoich strzelców... Oleandry... wymarsz... Pierwsza Brygada. Było to czymś nieprawdopodobnie innym, niepodobnym do tego, co się w ówczesnym polskim życiu działo.

Ogólnie znanym i uznanym politykom nie przychodziło do głowy, że scena w Oleandrach mogłaby się w życiu polskim pojawić. Było to poza ich wyobraźnią, poza możliwością rozumienia.

Miedzy nimi byli ludzie różni, niepodobni do siebie, o odmiennych światopoglądach. Ludzie ci byli jednak do siebie podobni w ramach obowiązującego protokołu zachowania się, zwyczajów i obyczajów ówczesnego politycznego świata, powszechnie przyjętej konwencji. Piłsudski konwencję tę przekroczył, znalazł się poza nią, jakby „na zewnątrz” ówczesnej polskiej politycznej rzeczywistości, przełamał obejmujące wszystkich „podobieństwo”. Nie obowiązywały Go ogólnie przyjęte metody działania, był poza rachunkiem praktycznych osiągnięć ówczesnych politycznych instancji i politycznych osobistości, był inny od innych, inny od wszystkich, niepodobny do nikogo, sam w sobie, sam w Polsce.

Polska opinia polityczna tego nie dostrzegała. Fakt — Piłsudski — sprowadzano do rzeczy zwykłych, do których się przyzwyczajono, znanych i zrozumiałych dla każdego. Wystarczały ogólnie przyjęte etykiety, np. sztyl P.P.S. i to przesądzało sprawę. Tak wkładało się nieporozumienie. Mówiło się także o Piłsudskim jako o dziwaku. Każdy wiedział, że istnieją dziwacy, nie wytrącało to nikogo z równowagi. Wszystko było w porządku, tak, jak zawsze... Byli ludzie o swoistej predyspozycji psychicznej, którzy twierdzili z całą pewnością, że Piłsudski to agent sztabu austriackiego albo niemieckiego. Wszyscy oni bronili się jak umieli przed niezwykłością, która w życiu polskim wyrastała.

96.

Niezwykłość Piłsudskiego... Każdy człowiek jest niezwykły, niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju, a jednocześnie jest podobny do innych, jest taki sam — jest zwykły. Cały świat składa się z milionów zwykłych ludzi. Niezwykłość ich nie zwraca na siebie uwagi. Mówimy o zwykłości i tylko o niej. Poza niezwykłością zwykłą istnieje jednak „niezwykłość niezwykła”. Mówimy wtedy o jednostkach wybitnych, wielkich, twórczych. Jednostki takie promieniują osobiwym światłem. Jest tak, jakby światło to nie zjawiało się z zewnątrz, a było przez ludzi dostrzegane w sobie samych jako własne, jako coś co się w nas pali i wzbogaca istnienie. Tak właśnie się dzieje, kiedy człowiek niezwykły pojawia się wśród ludzi. Takie jest stawianie się społeczności ludzkiej. Tak toczy się świat.

Pisanie o ludziach wielkich nie jest łatwe. Historiografia ma z tym niemało kłopotu. Okazuje się jednak, że rozprawę „o niezwykłej niezwykłości”, tzn. o wielkości człowieka, „pisze” samo życie na stronicach swoich dni. Tak objawia się prawda zrozumiała sama przez się, dostępna dla każdego.

O „niezwykłej niezwykłości” Józefa Piłsudskiego mówią stronice polskiego życia ustami „prostych ludzi”, gawędą żołnierską, milczeniem słów niewypowiedzianych. Pamiętam, jak mówiły o tym młode polskie usta. W konspiracyjnej ciszy padało słowo — Komendant tam, nad Dnieprem, w Kijowie. Nikt z nas Józefa Piłsudskiego nie widział, mieliśmy o Nim jakieś niedomówione wiadomości, a „racja” Piłsudskiego wyzwała w nas rację naszego istnienia, stawiała się nią.

Nie będę omawiał całej kompozycji scenicznej: — Piłsudski w Polsce — wskażę tylko na pewne akty i sytuacje. Mówiłem już o okresie P.P.S., wspomniałem Oleandry, wymarsz Pierwszej Kadrowej, Legiony. Jak powiedziałem, był to fakt w ówczesnym polskim życiu niesamowity, inny od innych.

Sceną nie mniej a może bardziej jeszcze niesamowitą był powrót Józefa Piłsudskiego do Warszawy z więzienia w Magdeburgu. O ile Oleandry były czymś nieprawdopodobnym i nie dającym się pomieścić w ówczesnych politycznych polskich głowach, scena przekazania w ręce Józefa Piłsudskiego władzy nad Polską była może bardziej jeszcze niesamowita. Polska — cały jej oficjalnie istniejący świat polityczny zdobył się na manewr niezwykajny. Do Piłsudskiego wyciągnęły się ręce całego ówczesnego polskiego politycznego świata. Nie było to już spotkanie się Piłsudskiego z życiem polskim „w cztery oczy”, poza drogami ówczesnej politycznej tradycji i obowiązującej konwencji, sposobu bycia. Był to akt uroczystego uznania przez polski świat polityczny racji i osoby Józefa Piłsudskiego, akt poddania się tej racji bez zastrzeżeń i stawiania jakichkolwiek warunków.

Od tej chwili sytuacja Piłsudskiego uległa zasadniczej zmianie. Powstał jakby dwutorowy układ pomiędzy Piłsudskim a Polską. Piłsudski w dalszym ciągu spotykał się z Polską „w cztery oczy”, a jednocześnie był z Nią i miał z Nią do czynienia poprzez polski świat polityczny taki, jaki był i jaki się kształtował w miarę czasu. Są to dwa różne akcenty dające się zauważyć i ustalić. Jest to temat, do którego jeszcze powrócę. Na razie ograniczam się do konstatacji.

O niezwykłości Józefa Piłsudskiego i Jego racji uznawanej przez Polskę świadczyły swą tragiczną wymową wypadki majowe 1926 roku. Można by je nazwać zamachem stanu, targnię-

ciem się na prawowitą władzę Rzeczypospolitej. Na ulicach Warszawy walczyły z sobą oddziały polskiego wojska. W polskim życiu pojawił się upiór walki bratobójczej.

Dni majowe mogły wywołać ogólne potępienie, mogły być wyklęte. A jednak nie wpłynęły na zmianę stosunku Polski do Piłsudskiego. Stanowisko Piłsudskiego zostało wzmocnione. Racja Piłsudskiego w okolicznościach łatwych do oskarżenia została przez życie polskie uznana. Znowu władza nad Polską, nie wbrew Polsce ale z Jej woli, znalazła się w ręku Piłsudskiego.

Sceną, która przerasta inne, był pogrzeb Marszałka. Był to akt ostatecznej afirmacji osoby Józefa Piłsudskiego. Cała Polska jak długa i szeroka, bez różnicy wyznań i narodowości, stanęła u trumny Marszałka przejęta żalem jak u trumny kogoś najbliższego. Była to najbardziej wstrząsająca rozmowa Piłsudskiego z Polakami w „cztery oczy”. Racja Piłsudskiego zajaśniała niezmiślnym i najbardziej polskim blaskiem.

97.

Jedną z podstaw dla zrozumienia „dwudziestolecia” jest właśnie owa „dwutorowość” układu między Piłsudskim a Polską. Autorytet Piłsudskiego wyrastał z Jego rozmów z Polską „w cztery oczy”. To dawało mu pozycję nadrzędną, górującą nad oficjalnym politycznym światem. Było to respektowane mniej lub bardziej jawnie bez względu na takie lub inne ustosunkowanie się poszczególnych stronnictw do osoby Marszałka. Najwięksi wrogowie Marszałka wiedzieli nie gorzej od innych, jak stoją sprawy.

Z układu „dwutorowości” wynikały dwie wyraźne konsekwencje: rola Piłsudskiego jako czynnika o samoistnym autorytecie nadającym mu nadrzędny polityczny akcent i — rola Piłsudskiego jako czynnika polskiego politycznego świata.

Z natury rzeczy było to dość skomplikowane. Świat polityczny musiał się liczyć i uzależniać swoje kroki od Marszałka, a Marszałek nie był w stanie świata politycznego wyminąć. Stąd układ pomiędzy Piłsudskim a światem polskich stronnictw politycznych przekracza znane i ogólnie przyjęte szablony. Stąd wyrasta rola Piłsudskiego i rola polskiej politycznej reprezentacji.

Świat polityczny musiał mieć z Piłsudskim niemało trudności — Piłsudski miał z nim trudności nie mniejsze. Świat ten doskonały nie był. Życie po wojnie dopiero się formowało

w ogólnym zamieszaniu i rozgardiaszu. Taka była polska rzeczywistość. Bywały momenty, a nawet okresy, kiedy ten świat usiłował wyzwolić się spod władzy Piłsudskiego. Były próby różnych rządów. Były czasy, kiedy Roman Dmowski objął Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Był Sulejówek. Nikt i nic nie było jednak w stanie usunąć Piłsudskiego od sprawowania nad Polską władzy — władzy faktycznej. Jest to fakt, który najbardziej rzuca się w oczy.

Przez całe „dwudziestolecie” Piłsudski sprawował nad Polską władzę bez względu na to, czy urzędował oficjalnie w takim lub innym charakterze, czy przebywał w Sulejówku. Władza Piłsudskiego nie wypływała z tytułu zajmowanego urzędu — decydowała Jego *obecność* w Polsce, nawet — jak to miało miejsce w Sulejówku — obecność prywatna. Właśnie ta „prywatna obecność Piłsudskiego”. W tym leży istota rzeczy. Ta „prywatna obecność” nie była mu przez nikogo nadana, stało się to samo przez się. Takiej „prywatnej obecności” nikt w Polsce nie posiadał — w tym właśnie kryje się „sekrety” Piłsudskiego, tłumaczy stan rzeczy w „dwudziestolecu”.

Byli także inni politycy, ludzie opatrnościowi, mężowie stanu. Był Daszyński, Dmowski, Witos, za którymi stały wielkie stronnictwa, były różne osoby „na świeczniku”. Wszyscy oni mieli niemałe ambicje, wpływy, wielkie możliwości. Byliśmy świadkami walk podejmowanych w różnych czasach i okolicznościach, konwentyklów, manewrów, pomysłów, metod działania. Życie polskie pulsowało, snuło tkaninę polskiej rzeczywistości. Było to normalne, „krew z krwi, kość z kości”, polskie — materiał i temat dla historiografii. Film ten mienił się różnymi sytuacjami, faktami, wyczynami spodziewanymi i niespodziewanymi.

Niemało zamętu i trudności w organizowaniu polskiego państwowego bytu przysparzały nie tylko polskie „zaległości”, ale w mierze nie mniejszej istniejące warunki w Europie i świecie. Dość wspomnieć o ekonomicznych kryzysach powojennych. W takich warunkach dźwigał się polski państwowy organizm i formował polski świat polityczny. Piłsudski musiał w tym być, przyjmować w tym udział, zajmować stanowisko. Zyskiwał przyjaciół i wrogów. Stanowisko Piłsudskiego, jak powiedziałem, było osobliwe i wyjątkowe. Jego władza nie była wynikiem układu stronnictw, nie zawdzięczał jej stronnictwom albo jakiemś poszczególnemu stronnictwu. Władza ta wypływała z jego „obecności prywatnej”, wypływała z racji nadrzędnej, decydu-

jącej ostatecznie. I to było niepisaną konstytucją „dwudziestolecia”.

98.

Życie Piłsudskiego pomimo odniesionych triumfów nie było łatwe. Były momenty tragiczne. Wokół Piłsudskiego majaczył krąg nienawiści. Krąg ten trwał, obrzydzał życie, budził wątplenia, podrywał siły. Na czele fali nienawiści widzimy Stronnictwo Narodowe zwalczające Marszałka zajadłe, nieubłagane. Miały miejsce fakty odrażające, plugawe, zbrodnicze. Zabójstwo pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza... Endecy nie cofali się przed niczym. Wojna, rok 1920. Piłsudski zmagał się w śmiertelnej walce z klęską, która stanęła na progu Polski i sięgała ręką po Warszawę. Wtedy właśnie mój bliski przyjaciel, Witold Jodko-Narkiewicz, późniejszy ambasador Polski w Konstantynopolu — dostarczył mi dokument. Miałem go w rękę i niezwłocznie udałem się do Belwederu. Był to memoriał czołowych osobistości Stronnictwa Narodowego skierowany do Marszałka Focha. Panowie ci wzywali o pomoc, a zarazem donosili, że Józef Piłsudski — Marszałek Polski jest płatnym bolszewickim agentem.

Dziś jeszcze stoją mi w oczach zadrukowane karty czerpanego papieru łączone jedwabną czerwoną wstążką. Gdy pismo to wręczałem Wieniawie, usłyszałem słowa: „wiemy już o tym”... Tak urzędowali panowie endecy, gdy bolszewickie wojska stały u progu Warszawy. Daje to miarę tego, co w głowach endeczek może się dziać. Nie wspominam o plotkach, oszczerstwach, inwektywach dotyczących prywatnego życia Piłsudskiego. Przychodzi na myśl, że tak dawały o sobie znać *endeckie imponderabilia*... Pamiętam jedną z rozmów, jaką miałem z Komendantem. Było to w roku 1930. Marszałek był premierem. Ja po swoim ministrowaniu wróciłem na Wołyń. Przedstawiłem Komendantowi stan rzeczy i prosiłem o dyrektywy. Chodziło o szalejące wówczas ataki na moją osobę i moją politykę wołyńską. Osaczyła mnie endecka nienawiść. Stałem się obiektem endeckiej i oenerowskiej prasy atakującej brutalnie i zawzięcie. Groźne pomruki nadchodziły z pewnych kół wojskowych. Miano mnie za zdrajcę Polski, za jakiegoś bolszewika. Przyszedłem do przekonania, że jak na urzędującego wojewodę staje się zbyt „sławny” i może w tych warunkach moja obecność na Wołyniu nie jest ze względów państwowych wskazana, zresztą chciałem się bronić i rozrachunek z wrogami przeprowadzić. Wywiązała

się dłuższa rozmowa. Między innymi Komendant powiedział: „tylko się nie brońcie, bo wtedy zawsze przegracie, bierzcie przykład ze mnie...”. Wziąłem przykład i wróciłem do Łucka.

Nie mogę nie wspomnieć o rodzajowej scenie w gabinecie premiera dobrze mi znanego z czasów mego urzędowania w Prezydium Rady Ministrów. Stało w nim uroczyste mahoniowe biurko, dywan, meble, gobeliny — słowem uroczysty gabinet największego w Polsce dygnitarza. Dygnitarz ten siedział w znanej w całej Polsce kurtce strzeleckiej. W pewnym momencie uchyliły się drzwi. Stała w nich na baczność postać sierżanta Wójcika z menażką w ręku. Potem menażka powędrowała na wspaniałe biurko i spoczęła pełna wymowy. Była to najbardziej pospolita menażka o trzech kondygnacjach. Na wierzchu znajdowało się na talerzu pół kwaszonego ogórka. Był to obiad premiera Piłsudskiego.

99.

... Piłsudski od czasu do czasu wspominał o imponderabiliach. Słowo to, jak widać, było mu potrzebne. Definicja imponderabiliów nie jest łatwa. Chodzi o to, żeby się zbliżyć do tego, co poza tym słowem się kryje. Obecność tego odczuwamy najbardziej realnie. Wymieniamy przy tym różne słowa, np. charakter ludzkiego stawiania się taki a nie inny, albo charakter danego narodu.

Imponderabilia są różne, jak różni są ludzie, ludzkie środowiska, jak różne są narody. Może być mowa o imponderabiliach drobnomieszczańskich, ziemiańskich, chłopskich, robotniczych. Systematyka tych pozycji może się w miarę obserwacji rozrastać, przybierać różną treść i skalę. Istnieją także imponderabilia ogólnonarodowe dla danego narodu charakterystyczne. I tu także mamy różne pozycje. Istnieją imponderabilia wielkości narodu i imponderabilia małości — takie, które potęgują istnienie narodu i takie, które istnienie to pomniejszają.

Na przykład imponderabilia Niemiec hitlerowskich. Było to zjawisko niemieckie ogólnonarodowe. Jakże wymownie, z przedziwną sugestią mówi o tym „Doktor Faustus” Tomasza Manna. Katastrofą byłaby przegrana Niemiec w drugiej wojnie światowej, ale katastrofą o wiele większą byłaby wygrana Niemiec hitlerowskich — katastrofą dla Niemiec. Takie jest stanowisko Manna. Imponderabilia typu Niemiec hitlerowskich nie wyczer-

pują treści imponderabiliów niemieckich chociażby dlatego, że istniał Tomasz Mann i jego słowa. Niemcy pomimo wszystko nie są tylko hitlerowskie.

Nie mniej wymowny jest casus Rosji Sowieckiej. Imponderabilia sowieckie nie wyczerpują imponderabiliów rosyjskich i pomimo że są krew z krwi, kość z kości rosyjskie. Są to imponderabilia odwiecznego rosyjskiego niewolnictwa i rosyjskiego samodzięzawia, pomimo momentu rewolucyjnego i niemałych gospodarczych i oświatowych osiągnięć. Poza treścią tych imponderabiliów istnieje rosyjskie stawanie się, inne, i inne rosyjskie wartości i one są wielkością Rosji. Profil tej wielkości wyrztał na świat w dniach *wielkiej bezkrownej Rewolucji*, dawał o sobie znać za naszych czasów i w pewnych momentach historii Rosji w postaci demokratycznych dążeń rosyjskiego społeczeństwa. Tak się jednak stało, że zwycięzcami okazali się Lenin - Stalin. Wykorzystali oni imponderabilia rosyjskiego niewolnictwa. Przychodzi na myśl Tomasz Mann i Niemcy hitlerowskie, które odniosły zwycięstwo.

Przykładów na poruszony temat można by przytoczyć więcej, wspomnę jeszcze o Francji. W okresie drugiej wojny światowej — już w pierwszych dniach wojny, Francja się załamuje. W krótkim czasie dochodzi do zupełnego poniżenia. Francuska rzeczywistość budzi odrazę. Wielkość Francji, tak dobrze znana światu, przestaje istnieć, ginie z oczu. Za okupacji niemieckiej zalewa francuskie życie fala imponderabiliów francuskiej małości. Głos de Gaulle'a wzywający do walki przechodzi prawie bez echa. *Maquis* było zjawiskiem marginesowym. Po wycofaniu się Niemców i zakończeniu wojny Francja przedstawia się mało imponująco, życie jej upływa w zgiełku politycznych poczynañ, w uprawianiu takiej lub innej polityki, w powszechnej demoralizacji, wzmagają się pięta sowiecka kolumna — francuska komunistyczna partia. Migają mężowie stanu różnego autoramentu, postacie wybitne o różnych poglądach politycznych. Tradycyjny francuski demokratyzm bez przerwy odmawia swą litanię, i tak toczy się życie Francji a raczej francuska beznadziejność. Narasta tęsknota do imponderabiliów francuskiej wielkości. Pojawia się de Gaulle. Zaczyna się nowy okres. Francja otrząsa się ze swej małości. De Gaulle rozmawia z Francją „w cztery oczy”. De Gaulle zostaje prezydentem Francji. Francja z nim maszeruje — maszerują razem w takt wielkości Francji, w takt tego co we Francji wielkie. Tak dokonał się francuski „przewrót majowy”. Gdy myślę o Piłsudskim, mimo woli przychodzi mi na myśl Francja i de Gaulle.

Imponderabilia wielkości Francji i imponderabilia wielkości Polski... A może imponderabilia wielkości są te same u wszystkich ludzi i narodów, we wszystkich czasach i wszystkich okolicznościach.

Gdyby tak było, nie można eliminować w każdym poszczególnym wypadku akcentu narodowego, właściwego każdemu narodowi. Gdy mowa o Józefie Piłsudskim, chodzi o akcent Polski, właśnie o polskie imponderabilia wielkości, którym Piłsudski przez całe swe życie służył, a więc chodzi o wielkość Polski, o to co jest w Niej wielkie i nie przemija pomimo różnych czasów i okoliczności. Na temat ten napisano już niejedno. Nie podejmuję się oceny istniejącego już dorobku ani pisania wyczerpującego traktatu. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na pewne momenty i fakty, z którymi Piłsudski się sprzymierzył i szedł przez życie.

... Widzimy Piłsudskiego w robotniczych szeregach — trybuna polskiej rewolucji, walczącego o wolność człowieka i sprawiedliwość społeczną, o lepszą przyszłość robotniczego świata, o zapewnienie mu miejsca w polskiej rzeczywistości. Za czasów caratu robotnicy stali się żołnierzami walczącymi o wolność i niepodległość Polski. Lała się robotnicza krew, wyrastały mury więzienne, spoglądała bezkresna dal zesłania. Nie były to tylko rozważania programowe i propaganda, — było to czymś więcej, czymś bardziej realnym i inaczej realnym. To, co się działo, nie było skutkiem namowy ani takiej lub innej teorii, trzeba było chcieć. Wszystko inne było w pewnej mierze pretekstem. Byli Polacy, którzy chcieli. Piłsudski był jednym z nich, temu służył na miarę swego „Jestem”, stał się wodzem walczącej Polski. Ktokolwiek, kto by pisał o tym co się wówczas w Polsce działo i nie dostrzegł tej walki, albo zepchnął ją na margines polskiego życia, ten nie spotkał się ze wzrokiem właśnie takich a nie innych polskich imponderabiliów — był ślepy, nie dostrzegł polskiego „Jestem”.

Te same „polskie imponderabilia” ubrane w mundur strzelecki maszerowały z Pierwszą Kadrową, z polskim czynem zbrojnym na scenie pierwszej wojny światowej, maszerowały z żołnierzem, który na czapce nosił polskiego orła. Poza mundurem legionowym innego polskiego munduru nie było. Na ogół Polacy — wielkie ich rzesze — wypełniali szeregi armii zaborczych, ginęli w mundurach rosyjskich, niemieckich, austriackich — ginęli za swoją sprawę.

Polskie imponderabilia, które stały się głosem narodu, kazały ówczesnym polskim czynnikom politycznym obwołać Piłsudskiego Naczelnikiem Państwa, podporządkować się Jego woli. Dzień powrotu Piłsudskiego z Magdeburga stał się świętem narodowym dziwnym i niezwykłym.

Imponderabilia wielkości Polski podały rękę walczącej o wolność i byt niepodległy Ukrainie. Żołnierz polski razem z żołnierzem ukraińskim stanęli nad Dnieprem we wspólnej walce z Moskwą. Imponderabilia te sprawiły, że największa postać historyczna Ukrainy za czasów naszych i jedna z największych w historii Ukrainy — Symon Petlura — łączył się z Polską, był z Polską razem, a Polska stała się nieodzowna w walce Ukrainy o niepodległość.

Imponderabilia polskie zadecydowały o polskim zwycięstwie w roku 1920 — rozbiciu armii Tuchaczewskiego, wymiotły bolszewików poza granice Rzeczypospolitej. A potem w maju 1926 roku przeszły zwycięsko przez tragiczne dni majowe. Wreszcie z całym narodem stanęły na baczność u trumny Józefa Piłsudskiego. Taka jest Polska.

100.

Mówiąc o imponderabiliach ogólnonarodowych — wielkości i małości — nie należy zapominać, że odmiany ich mogą być bardzo różne.

W rzeczywistości polskiej mamy do czynienia z imponderabiliami małości, które należałoby nazwać „imponderabiliami endeckimi”. Gdy o nich myślę — *toute proportion gardée* — przypominają się imponderabilia Niemiec hitlerowskich i imponderabilia rosyjskiego nacjonalizmu. Wszystkie one prowadzą do katastrofy, każda na swój sposób, i mają wspólne cechy.

Obóz Narodowy — narodowa demokracja — tzn. „imponderabilia endeckie” miały oparcie w środowisku małomieszczańskim, w ziemiaństwie i w kołach katolickiego kleru. Poza tym są oparcia niewyraźne i ogółowi bliżej nieznanne. Socjologiczne oparcia świata endeckiego zanikają. Ziemiaństwu ziemia usunęła się spod nóg. Świat ten przestał istnieć. Pogrobowiec ziemiańsko-mieszczański, O.N.R., jest epizodem nie przynoszącym Polsce zaszczytu. Drobnomieszczaństwo w dawnej swej wersji nie jest siłą tworzącą jutro. W końcu, endecki kler katolicki nie ma widoków na ugruntowanie swej endeckiej postawy w dzisiejszej rzeczywistości katolickiego Kościoła.

Zwróciłem już uwagę na „dwutorowość” władzy Piłsudskiego, co musiało znaleźć swój wyraz w metodach rządzenia i atmosferze politycznej otaczającej Marszałka. Na atmosferze tej odbijały się także pewne polskie właściwości. Mam między innymi na myśli polskie narzekania i krytyczną postawę do wszystkiego, co się w Polsce dzieje. I tu także prym trzymały rzesze endeckie. Jeżeli chodzi o Zachód, postać Piłsudskiego „kłuła w oczy”. Nie układała się w ramach ówczesnych zachodnioeuropejskich demokratycznych obyczajów. Były niemałe różnice pomiędzy Piłsudskim a zachodnioeuropejskimi mężami stanu — różnice dotyczące pojmowania aktualnych politycznych zagadnień w Europie Środkowej i Wschodniej, a zwłaszcza sprawy Niemiec i Rosji. Przez naszych politycznych partnerów racja polska pojmowana była różnie. Na przykład „przewrót majowy”. Demokratyczne czynniki zachodnie były dalekie od aprobaty. Tymczasem po trzydziestu latach zjawiał się na scenie Francji de Gaulle i zrobił „przewrót majowy” w wydaniu francuskim. Albo inicjatywa Piłsudskiego dotycząca wojny prewencyjnej z Niemcami hitlerowskimi... albo zwycięstwo nad bolszewikami w roku 1920. To także „kłuło w oczy”. Pamiętam depeszę gratulacyjną Lloyd George’a skierowaną do Stalina z powodu rzekomego wkroczenia armii do Warszawy. Piłsudski nie był popularny na Zachodzie. Inaczej być nie mogło. Obraz Polski Piłsudskiego nie miał nic wspólnego ze schematami, jakimi posługiwali się dyplomaci Zachodu i europejscy mężowie stanu. Każdy z nich widział Polskę taką, jaka była mu potrzebna w aktualnej grze politycznej. Nie oglądano się na takie lub inne skutki swego postępowania. Nie zdawano sobie sprawy z konsekwencji międzynarodowych już nie tylko względem Polski, ale wobec samych siebie. Druga wojna światowa obnażyła niejedno.

Wszystko należy mieć na względzie, gdy mowa o polityce Piłsudskiego. Należy sobie uprzytomnić, jak dalece Polska mogła liczyć na swoich zachodnich sojuszników, — na ich pomoc i zrozumienie.

102.

Piłsudski rządził Polską po swojemu. Niejeden widział w Nim urzędującego dyktatora typu Mussoliniego, a jego rządowi przypisywał cechy faszystowskie. Jakże mówiący tak byli dalecy od tego, co było — powrót Piłsudskiego z Magdeburga... zwołanie sejmu ustawodawczego... Komenda Miasta w maju 1926 roku i zachowanie się Piłsudskiego po „przewrocie majowym”.

Przypomnę jeszcze scenę ogółowi nieznaną, w której brałem udział. O ile sobie przypominam, było to jakie dwa lata przed śmiercią Komendanta. Sławek mieszkał na rogu Alei Ujazdowskich i Alei Chopina — na ostatnim piętrze. Na konferencję, na którą mnie zaprosił, uzyskał salon właścicieli domu, którzy mieszkali na wysokim parterze. Godzina 10-ta wieczór. Czekamy na Komendanta. Poza Sławkiem był obecny Prystor i ktoś jeszcze z bliskich Komendantowi. Po pewnym czasie wchodzi Komendant. Usiadł na kanapie. Oddycha zmęczony. Zapala papierosa. Znowu przede mną szara strzelecka kurtka. Rozpoczyna się rozmowa a raczej monolog Komendanta o Polsce i aktualnym w tej chwili stanie rzeczy. I oto słyszę słowa — testament. Nie można inaczej tego nazwać. Słyszę głos Komendanta:

„Polską nie może rządzić jeden człowiek. To już się skończyło. Polska już zmądrzała i rządy takie nie są już do pomyślenia. Ja przez pewien czas potrafiłem to robić. Niech nikt nie próbuje mnie naśladować. Rządy jednostki się skończyły. Polską może rządzić jedynie prawo ustalone przez Polaków”.

Słowa te zadają kłam domysłom, plotkom, domniemaniom — mówią kim był Piłsudski.

103.

Ujęcia historyczne wymagają dystansu czasu. Jednak i współcześni mają coś do powiedzenia. Mają do powiedzenia „stronice pisane przez życie” i ci, co żyli za czasów Piłsudskiego, byli z nim w różnych chwilach i okolicznościach. Prawda o Piłsudskim przebywa w głębi polskiej rzeczywistości. Obecność jej, gdy Piłsudski w Polsce się stawał, nie była mniejsza ani mniej realna niż wtedy, gdy ukazuje ją historia. W życiu bieżącym, codziennym zalewała ją fala ludzkiego rozgwaru, uwielbienia, nienawiści, podejrzliwości, skomplikowanych uczuć i akcentów krytycznych. Pogrzeb Marszałka obnażył nurt polskiej świadomości, był może najbardziej uroczystym i powszechnym aktem afirmacji wielkości Józefa Piłsudskiego. Nurt ten był zawsze obecny. Nie zawsze dostrzegano go, nie zawsze zdawano sobie z tego sprawę. Niemaloby się powiedzieć o ludzkiej pewności siebie w sprawach politycznych. Każdy ma tu coś do

powiedzenia, każdy wie, co należałoby zrobić i to wie na pewno, gotów jest podjąć zbawienny w jego przekonaniu manewr.

104.

W roku 1925 mieszkałem pod Wiśniowcem na Wołyniu. Byłem osadnikiem wojskowym pogrążonym bez reszty w zagospodarowywaniu mojej działki. W Wiśniowcu bywałem często. Tu koncentrowały się sprawy życiowe. Miejscem eksponowanym, górującym nad malowniczym wiśniowieckim rynkiem, była apteka. W aptece królował aptekarz — pan Raszowski. On właśnie nadawał aptece blasku. Pan Raszowski, niewielkiego wzrostu, dość korpulentny, był człowiekiem bystrym, obrotnym, znającym się na niejednej rzeczy, leczył na własną rękę chorych, którzy cisnęli się do apteki. Pan Raszowski przebywał w świecie przeróżnych interesów, miał wierzchowca, pisał poematy, uwielbiał płęć piękną, był bardzo towarzyski, interesowała go polityka... Z wielką pewnością siebie analizował stan rzeczy, wyciągał wnioski i wiedział na pewno, co należy robić. Pamiętam, jak mówił: „Panie Henryku, gdyby mi dano władzę, w ciągu tygodnia zrobiłbym w Polsce porządek”.

Na pewno było to jego najgłębsze przeświadczenie. Nie miał wątpliwości, że tak jest. Nie wątpił w swoje siły i kwalifikacje. Był pewny siebie.

Tak w Wiśniowcu w roku 1925 objawił mi się w pełni ekspresji „kompleks Raszowskiego”. Od tego czasu widzę go wszędzie, w różnych środowiskach — w świecie inteligencji najwyższej rangi, np. w świecie profesorskim (mam wrażenie, że z pokrewnego źródła pojawiły się w swoim czasie słowa Heinego: *„sechshundsechzig Professoren — Deutschland, du bist verloren”*...), w świecie zawodowych polityków, wśród dziennikarzy (tu „kompleks” daje niekiedy wspaniałe koncerty wstrząsające sumienia i wyobraźnię czytelników). „Kompleks” jest wszędzie. Gdy mówię o „dwudziestoleciu” i czasach Józefa Piłsudskiego, nie można nie brać go pod uwagę.

Poza twórczością naukową czy artystyczną istnieje ludzkie działanie — konkretne, realne, stanowiące o biegu rzeczy.

Główną cechą Józefa Piłsudskiego jest właśnie realne działanie. Tu właśnie najwyraźniej zarysowuje się profil Piłsudskiego. Mimo woli przychodzi na myśl Roman Dmowski. Stworzył on obraz Polski przemysłany, poparty wiedzą — obraz, w który wpatrzone były oczy rzesz narodowo-demokratycznych i który dla

niejednego był najprawdziwszą prawdą o Polsce. Po uzyskaniu niepodległości Polska poszła nie za Dmowskim, a za Piłsudskim. I oto w pewnym czasie Dmowski zostaje ministrem spraw zagranicznych. Czekałem na jakieś *novum* w polityce zagranicznej Polski. A jednak obecność Dmowskiego nie zaznaczyła się niczym. Wpływało to z charakteru Dmowskiego jako zjawiska. Jakże jaskrawo odbija od tego Piłsudski...

106.

Życie płynie mieniącą się falą. Nie było chwili by nie zastanawiano się, czy Piłsudski ma rację, czy się nie myli, postępuje mądrze i roztropnie, albo działa z jawną szkodą dla Polski.

Pozwolę sobie przytoczyć scenę, która miała miejsce w Polsce w roku 1960. W jednym z uniwersyteckich miast siedział przy stoliku w kawiarni dwóch profesorów. Towarzyska rozmowa. Wreszcie jeden z nich — znany autorytet naukowy — zwraca się do kolegi. Padają słowa: „i do tego wszystkiego co się w Polsce obecnie dzieje, co dane nam jest przeżywać, doprowadził Piłsudski...”.

Rozmowy i rozmówki o Piłsudskim można by przytaczać bez końca.

Uczestnicy ich są bardzo różni, podobnie jak miejsce, czas i okoliczności, w których rozmowy te się odbywają. Istnieją wypowiedzi o Piłsudskim na piśmie, w prasie i książkach. Tutaj także mają miejsce niespodzianki. Są wśród nich takie co oburzają, albo takie, które wywołują wzruszenie ramion, albo takie co zastanawiają i budzą niewesołe myśli. Do tych ostatnich zaliczam „niespodziankę”, z którą spotkałem się przy czytaniu „Rodzinnej Europy” Czesława Miłosza. Na str. 46-ej czytamy:

„Ruchoma wojna, w której główną bronią była szabla i karabin, toczyła się o dużą stawkę. Niepoślednia, a nawet główna rola przypadła w niej wodzowi Polaków, Piłsudskiemu. Zdaje się, że wiele światła na jego osobę rzuciłaby paralela z jego duchowym kuzynem, Feliksem Dzierżyńskim. Obaj pochodzili z niezamożnych rodzin szlacheckich, urodzili się w niewielkiej odległości jeden od drugiego na Litwie historycznej, obaj zostali zawodowymi rewolucjonistami, akcje bojowe i pobyt w carskich więzieniach urozmaicając lekturą polskich poetów romantycznych. Kto wie, może obaj byli bardziej poetami niż

politykami, ale poetami używającymi krwi zamiast atramentu. Drobne początkowo różnice w orientacji socjalistycznej miały się wskutek wiru wydarzeń zaakcentować: jedno ziarno decyduje czasem o kierunku, w jakim toczy się lawina czyjegoś losu. Kiedy jeden dążył przede wszystkim do wyzwolenia się od Rosji carskiej czy nie carskiej — drugi stawiał na rewolucję w skali całego globu i jako prawa ręka Lenina posiadał nieograniczoną władzę nad ciałami i duszami mieszkańców olbrzymiego państwa”.

Niespodzianką jest dla mnie zestawienie imion: Piłsudski - Feliks Dzierżyński, ujęte w klamrę swoistego podobieństwa z zaakcentowaniem przypadkowości losu tych dwóch ludzi i ich „duchowego kuzynstwa”. W tekście Czesława Miłosza spotykałem się z czymś innym, nie jest to tylko „kompleks Raszewskiego”. Jest to brak skromności cechujący intelektualistów nawet największej miary. Jest to owo „wiem na pewno”, zdobyte w sposób dający pewność siebie i to nie byle jaką pewność siebie. Miłosz „wie” bardzo wiele. W tym jednak razie brakuje mu potrzebnej „wiedzy”. W czasie czytania „Rodzinnej Europy” nabrałem przekonania a nawet pewności, że w jego kompozycji obrazu Polski są dosadne luki. Właśnie u Miłosza, zgodnie z jego światopoglądem, luki te trudno dają się wytłumaczyć i rozgrzeszyć. Miłosz tak pięknie i przekonująco mówi o przeszłości, o tej dalszej, bliższej i najbliższej, o „korzeniach” wspominanych u Simone Weil. Miłosz „nie wie” — do tego jeszcze swym świetnym umysłem nie doszedł — czym jest polska walka o wolność i niepodległość, jaka jest jej wartość dla Polski i świata. Miłosz nie dostrzega, tzn. nie docenia polskiej walki o wolność za czasów pierwszej wojny światowej. A przecież była to dominanta polskiego „Jestem”.

Miłosz nie dostrzegł także, czym był polski ruch oporu za czasów okupacji niemieckiej, tzn. nie docenił AK jako zjawiska polskiego istnienia i stawania się. A przecież walka AK była polską wielkością, polskim „Jestem” na arenie świata.

Jest to dalszy ciąg jego „niezauważenia” w Polsce czegoś najbardziej istotnego — rzeczywistości, którą do dziś naród oddycha i oddychać będzie bez względu na to, co się o tym mówi i pisze. Walka o niepodległość wypełniła swoją przedziwną treścią życie mego pokolenia i tak domaszerowaliśmy do Polski niepodległej — do Państwa Polskiego. Zanurzyliśmy się w czasy pokoju. Patos walki i bohaterstwo żołnierskie odchodzą za

kulisy. Polską rzeczywistość wypełniała budowa państwa i organizowanie się polskiego życia.

Przed Piłsudskim stało nowe zadanie. Nie chodziło już o podważenie mas polskich do walki zbrojnej o niepodległość — chodziło o udział w dźwiganiu się polskiego życia w niepodległej Polsce, o wysiłek twórczy we wszystkich dziedzinach na miarę polskich możliwości. Tego nie można było robić „na wyrost” — trzeba by przyjąć stan rzeczy, jaki był.

Akcent własnej polskiej państwowości był dla polskiego życia czymś nowym, niezwykłym, znanym tylko z historii. W życiu Polski ówczesnej było to czymś najbardziej istotnym, stanowiło o sposobie zachowania się, myślenia, odczuwania. W polskim systemie planetarnym było to słońcem. Z biegiem czasu następował proces automatyzowania się życia i słońce znikało za chmurą krzątliwości dni codziennych.

Piłsudskiego otoczył gwar życia. Piłsudski w tym tkwił. Mieliśmy Piłsudskiego „na codzień”, w towarzystwie bieżących zagadnień i spraw. Głos jego ginął w rozgwarze tego, co się w życiu polskim działo. Piłsudski przebywał jakby za mgłą. Czasem ta „mgła” nie pozwalała Go dostrzec, nie pozwala czasem dostrzec do dziś. Klasycznym tego przykładem jest Miłosz — dzisiaj czołowy polski intelektualista.

.....
(Paragraf 107 skreślony przez Autora).

108.

Polska była częścią świata europejskiego, trwała między Wschodem a Zachodem. Słowa te nabrały właściwej sobie treści dopiero w chwili obecnej. Teraz dopiero wiemy, czym jest Wschód i Zachód i jak słowa te należy rozumieć. Polska „dwudziestolecia” została przez ówczesną Europę pozostawiona samej sobie, pomimo że w skład Europy wchodziła. W ówczesnej Europie „nic się nie działo”. Wyłom zrobił tylko Hitler. Nie była to jednak przygoda europejska ale ściśle niemiecka, przygoda, która wstrząsnęła całym światem i między innymi obnażyła europejską „drętwość”, brak twórczej myśli i realnego poglądu na bieg rzeczy. Faszysta-Mussolini był niewinną włoską igraszką.

Ze słów Miłosza odnoszę wrażenie, że można mieć pretensję do Polski, że nie postępowała jak należy. Polska nie zdobyła się na jakąś ideę ogólnoludzką, inną niż komunizm rosyjski i kapitalizm amerykański. Trudno przesądzać sprawę czy Polska miała

się na to zdobyć i była w stanie na to się zdobyć. W tym właśnie czasie stuletniej niewoli musiała odbudowywać od fundamentów gmach własnego państwa i to ją przede wszystkim pochłaniało.

Tu Piłsudski odgrywał wielką i niezastąpioną rolę. Polska stawiała się najbardziej autentyczną Polską, wierną swym historycznym tradycjom pomimo otaczających ją warunków i ówczesnego stanu polskich umysłów, który w wielu razach nie był imponujący. Przykładem bardzo wymownym była reforma rolna. Uchwalono ją w chwili wyjątkowej i wzniosłej za czasów Rządu Jedności Narodowej. Warto skonstatować, że uchwalona została przez Sejm większością jednego głosu, a realizacja jej szła jak z kamienia. Znajdowała przyrodzony opór ze strony ziemiaństwa. To charakteryzuje ówczesne polskie możliwości budowy życia w odrodzonym i zmartwychwstałym polskim państwie. W takich właśnie warunkach Piłsudski Polsce przewodził, miał z Polską do czynienia i był w niej obecny. „Obecność” Piłsudskiego przybierała takie lub inne widoczne postacie, chwilami nie dawała się dostrzec w biegu wydarzeń absorbujących ludzi. Czasem „obecność” ta stawiała się wspaniale widoczna. W „dniach majowych” Piłsudski był burzą, która przeszła przez Polskę. Tak tworzył się powojenny polski świat.

109.

Odnoszę wrażenie, że akcent polskiej państwowości nie przenikał do głów polskich intelektualistów, nie widzimy go w pejzażu ich wyobraźni, w świecie ich potrzeb. Słyszymy monotonny i nieustający poszum krytycznego stosunku do polskiej rzeczywistości. Wiecznie trwający monolog o istotnych potrzebach ludzi i ducha ludzkiego, nawiązywanie do świata zachodu, rozważania, rozważania, konstatacje niepozbawione pewności siebie — „kompleks Raszowskiego” w dekoracjach nauki, sztuki, filozofii.

110.

Stawanie się Polski szło swoją polską drogą. Nie można było być poza tym, na to się obrażać albo odwracać do tego plecami. W wielu razach można było polskiej rzeczywistości mieć za złe to i tamto, podobnie jak się ma za złe sobie samemu. Nie można jednak było nie brać udziału w tym, co się w Polsce działo, jak nie można nie brać udziału w stawianiu się samego siebie. Rzecz

cała sprowadza się do tego, jaki jest ten udział. Kryterium to nie omija żadnego z nas. Ludzie są różni. „Udziały” są nieporównywalne i przedziwnie inne, np. udział w stawianiu się Polski państwowego urzędnika administracyjnego i udział artysty albo uczonego, albo przejmujących postaci społeczników polskich po miastach i wsiach, robotników, chłopów, inteligencji, udział księży, wojska — żołnierzy i oficerów. Udział ten waha się między postacią czynną i bierną, ofiarą i poświęceniem i znieruchomiłą obojętnością.

111.

Prawda o Polsce wyłania się sama przez się w wysiłku, ruchu, niepokoju, daje o sobie świadectwo na stronicach historii pisanych przez życie. Taką np. prawdą Polski jest walka Polski o wolność, w pewnych chwilach jak pożar obejmująca polskie życie. Taką prawdą Polski jest duch tolerancji i zespalandia się z tym, co polskim z urodzenia nie jest. Taką prawdą jest samorzutny i ofiarny wysiłek społeczny, który jest jednym z fundamentów istnienia ludzkiego. Są jednak pozycje, które tamują oddech. Na przykład endecki nacjonalizm, egoizm i krótkowzroczność polskich klas posiadających, hałaśliwa i brutalna bezmyślność drobnomieszczaństwa, nuda powszedniości.

112.

Wszystko to działo się w Polsce „dwudziestolecia”, wypełniało polskie dnie, nadawało rzeczywistości polskiej wyraz. My wszyscy byliśmy tym, stanowiliśmy kompozycję istnienia — Polska na miarę swoich możliwości, walorów twórczych — na miarę obiektywizacji każdego z nas.

Jest rzeczą oczywistą i bezsporną, że miara obiektywizacji Józefa Piłsudskiego przerastała skalę obiektywizacji Polaków żyjących za czasów „dwudziestolecia”, nawet postaci znanych i cieszących się w społeczeństwie wielkim autorytetem. Nikogo nie można z Piłsudskim porównać. Skala Piłsudskiego to skala wielkiego człowieka, wielkiego nie tylko w okresie „dwudziestolecia”, ale wielkiego na przestrzeni polskich dziejów.

Nie podejmuję dowodu tej prawdy. Przytoczyłem spostrzeżenia i myśli. Mamy do czynienia z oczywistością. Oczywistość nie wymaga dowodu, można o niej mówić, opisywać, dawać jej obraz.

Wyliczanie talentów Piłsudskiego, jego przewag i osiągnięć nie prowadzi do tego, co jest najbardziej istotne i realne, nie jest drogą, którą chciałbym iść. Nie mogę jednak nie wspomnieć o talencie wojskowym Piłsudskiego. Jest rzeczą zdumiewającą, że człowiek bez fachowego wojskowego wykształcenia zdał egzamin na jednego z największych wodzów naszych czasów, wygrywając wojnę z bolszewicką Rosją, wygrywając bitwę o Polskę i Europę w roku 1920. Dowodził armią, którą sam w ówczesnych polskich warunkach stworzył. Bitwę z armią Tuchaczewskiego lord Abernon nazwał „osiemnastą bitwą świata”. Już tylko z tego tytułu Piłsudski był postacią przedziwną, sięgającą szczytu wielkości.

Nie chodzi o wyliczanie talentów i osiągnięć Piłsudskiego w różnych dziedzinach państwowego i zbiorowego polskiego życia — chodzi o temat w przekonaniu moim najbardziej istotny; mam na myśli „bliskość” Piłsudskiego do Polski, bliskość do Jej wielkości. Przez ową bliskość Polska przychodzi do nas „jak ktoś do domu wchodzący własnego”. Tak można by to określić. Są ku temu urzekające podstawy. Mówią o nich rozmowy Piłsudskiego z Polską „w cztery oczy”, jego „prywatna” obecność w Polsce, o której już wspominałem.

W tym leży wielkość Piłsudskiego.

113.

Rozważania o Józefie Piłsudskim nie mogą nie zatrać o temat tyle razy podejmowany, jakim jest znaczenie jednostki w stawianiu się życia zbiorowego i rola wielkich ludzi w stawianiu się historii. Historia wyrzała na nas w nieznaną dotąd postaci i inscenizacji. Magia historii stała się wszechobecna — do niej wszystko się sprowadza. Jesteśmy zażenowani... Dochodzi tu jeszcze pełna ekspresji postawa sowieckiej Rosji, odsądzająca od czci i wiary tzw. „kult jednostki”. To stanowisko Rosji Lenina, Stalina a ostatnio Nikity Chruszczowa jest pełne swoistej kokieterii...

Nie mam zamiaru przebijać się w pogoni za prawdą przez gąszcz światopoglądów wywoływanych potrzebą okoliczności i chwili, albo taką lub inną predyspozycją filozoficznego myślenia. Jest rzeczą jasną dla milionów Polaków, że wokół „obecności” w Polsce Józefa Piłsudskiego krążyły sprawy wielkiej dla Polski wagi, coś się dokonywało i stawało i my byliśmy w tym, braliśmy

udział, sami stawaliśmy się dzięki tej „obecności”, zbliżaliśmy się do Polski.

114.

Z politowaniem patrzyłem i patrzę na ludzi, którzy za życia Piłsudskiego w Polsce niepodległej nie byli razem z Piłsudskim, znaleźli się poza głównym nurtem polskiego wysiłku. Wszyscy oni byli „przegranymi” w ten czy inny sposób, pomimo tupetu, jaki w wielu razach reprezentowali, pomimo najwznioślejszych haseł przez nich głoszonych w rodzaju: „Bóg i Ojczyzna”, albo haseł postępowo-rewolucyjnych, albo łabędziego śpiewu czarnej reakcji, albo innych jeszcze. Były to postacie w istocie rzeczy żałosne. Były nieporozumienia różnego rodzaju, czasem subtelne i zastanawiające.

115.

Gdy myślę o Piłsudskim, Jego w Polsce obecności i trudnościach, które Go otaczały, z którymi toczył walkę, nie chcę pominąć trudności, których sprawcą i źródłem był sam Piłsudski. Każdy człowiek ma właściwości charakteru, które znajdują swój wyraz w sposobie bycia, pracy, wysiłku, twórczości — a cóż dopiero człowiek wybitny, człowiek wielki. Przychodzi na myśl powiedzenie żydowskie: „Miał się Pan Jezus od Żydów, ale mieli się Żydzi od Pana Jezusa...”.

Postać Piłsudskiego była postacią o ogromnym uroku osobistym, olbrzymim temperamentem, poczuciu własnej wartości górującej nad otoczeniem, błyskotliwym humorem i tak typowym dla Kresów sposobie bycia. Piłsudski miał zdolności literackie, co ujawnia się w Jego przemówieniach, pismach, pogawędkach, miał sposób zachowania się sobie tylko właściwy, swój styl we wszystkich okolicznościach i sytuacjach, w jakich się znajdował, jakby samo przez się narzucał swą wolę i nie znosił sprzeciwu... Piłsudski lubił dzieci, lubił z dziećmi ten groźny Marszałek o nastroszonych brwiach rozmawiać. Czynił to z ożywieniem, wzruszająco, bezpośrednio. Dzieci miały Go za swego. Piłsudski umiał rozmawiać ze swoimi żołnierzami i tymi, którymi dowodził. Poza groźnymi słowami, pomrukami i błyskawicami gniewu w oczach Komendanta przebijało wielkie, najczystszej wody uczucie, które chyliło się, obejmowało, brało w niewolę wpatrzone w Komendanta oczy i dusze. Piłsudski był ogromem uczucia. Były chwile, kiedy patrzyły na mnie oczy Komendanta, właśnie takie.

W życiu człowieka chwile takie znaczą wiele, rozradowują istnienie w sytuacjach tragicznych, trudnych do wytrzymania, zdawało się — beznadziejnych.

116.

Może jestem pierwszy, który o uczuciowości Piłsudskiego mówi tak wyraźnie, demonstracyjnie, niejako programowo, jak o jednym z głównych akcentów osobowości tej historycznej postaci. Nie była to Jego sprawa prywatna, na własny jedynie użytek — wpływało to na układ rzeczy, na to, co się w Polsce działo, wpływało na miarę wzrastającego znaczenia Piłsudskiego w rzeczywistości polskiej. Legenda Piłsudskiego w milionowych polskich masach zjawia się przystrojona w ten akcent, snuje się po Polsce urokliwa na ścieżkach życia jak ktoś bliski i tak bardzo swój.

Wydobyłem na jaw akcent uczucia, by nie zeszedł z oczu w tłumie innych akcentów osobowości Piłsudskiego, jak siła woli, zdolność wytrwania, odwaga, nieugiętość i stanowczość, jasność myśli, zdolności organizacyjno-polityczne, wojskowe, upór, potrzeba jasnych wyników...

Wielkość nie mieści się jednak w jakimś uniwersalnym, powszechnie obowiązującym schemacie. Pomimo akcentów uniwersalnych i ogólnie przyjętych, melodia wielkości ma w każdym poszczególnym wypadku akcenty własne, nie objęte ogólną statystyką, nie mniej ważne i realne.

Właśnie uczuciowość jest jednym z takich swoistych akcentów osobowości Piłsudskiego. Nie mniej realnym i swoistym akcentem jest gotowość podejmowania walki w najtrudniejszych okolicznościach. Piłsudski nieraz mówił o sobie jako o „wielkim ryzykancie”. Nie mogło to robić dobrego wrażenia na ludziach „trzeźwo”, „rozsądnie” i „logicznie” myślących, na instancjach rozważa, logiki, nieomylnego buchalteryjnego rachunku. Różne powagi polityczne nieraz miały Piłsudskiemu „za złe”...

Tak działo się i dzieje nie tylko w Polsce, tak było we wszystkich czasach i w różnych miejscach ziemskiego globu. Kalkulacje nieraz rozmijały się z istniejącą naprawdę i stojącą się rzeczywistością w świecie ludzkim. Mówią o tym wymownie pierwsza i druga wojna światowa. Ileż razy najwspanialsze o największej tradycji sztaby generalne trafiały kulą w płot... Nie znaczy to, że jestem przeciwnikiem sztabów i nie widzę konieczności ich istnienia, niemniej jednak to, o czym mówię, zdarza

się i zapewne nieraz jeszcze się zdarzy. Czasem posiada kartę wstępu to, co nazywamy improwizacją, tak sarkastycznie i obelżywie traktowaną przez ludzi „poważnych”, umundurowanych i nieumundurowanych. Wiele przemawia za tym, że improwizacja była w zgodzie z Piłsudskim, nie bratała się, jak często widzimy, z przegraną i katastrofą.

Wśród swoistych akcentów Piłsudskiego, poza już wymienionymi, wysuwa się pozycja „imponderabiliów” tak bardzo dla Piłsudskiego charakterystyczna, o której już wspominałem. Nie znaczy to, by Piłsudski nie uznawał autorytetu rozumu teoretycznego, przed którym głowy się chylą i mają za gwiazdę przewodnią w istnieniu człowieka i stawaniu się ludzkości, a który umożliwia interwencję człowieka w świat zjawisk.

117.

Ludzie zazwyczaj skłonni są padać ofiarą nieporozumienia — wykluczać racjonalizm z chwilą pojawienia się akcentu irracjonalnego, albo wyrzekać się irracjonalizmu z chwilą ukazania się na scenie rozumu teoretycznego, autorytetu naukowego albo instancji logiki.

Tymczasem rzecz przedstawia się inaczej. Prawo obywatelstwa posiadają oba te czynniki — samoistne i nieporównywalne. Gdy pojawiają się oba, mamy optimum ludzkiego istnienia i stawania się. Jest to prawda empiryczna. Jej oczywistość jest bezsporna. Jak to się dzieje i jaki jest układ między tymi czynnikami, trudno odpowiedzieć. Nie podejmuję wywodu filozoficznego, konstatuje jedynie bezsporny fakt tego układu. Istnienie człowieka jest tym wspanialsze, potężniejsze i bogatsze, tym bardziej autentyczne, im potężniej występują oba te czynniki. Tu właśnie mieści się najbardziej istotny i realny akcent wielkości Piłsudskiego, który stanowi o jego twórczych realizacyjnych możliwościach, o potęgę obiektywizacji Jego „Jestem”, o tworzeniu się polskiego „My”, obrazu polskiej rzeczywistości.

118.

Warunki, w których żył, działał i tworzył Piłsudski były takie, jaka była ówczesna polska rzeczywistość z całym „dobrodzieństwem inwentarza”. Były tu niewątpliwie pozycje budujące i podnoszące na duchu, ale istniały także, które nie przynosiły

zaszczytu, obniżając życie w zmartwychwstałej Polsce. Taką pozycją była np. „trójjaborowość”. Nie były to akcenty regionalne, wzbogacające treść życia danego kraju — były to właściwości pozostałe po zaborach, po życiu w różnych systemach niewoli, różnych metodach władzy i ucisku i, co za tym idzie, różnych sposobach przystosowania się do narzuconej z zewnątrz władzy obcej i wrogiej. Przystosowanie się Polski do życia niewolnego nie było pożądanym posagiem w Polsce wolnej. Niełatwo było od razu je wypenić. Niewola — każda polityczna niewola — demoralizuje. Osad tej demoralizacji kurczowo czepia się życia.

119.

Polska w przededniu historycznych wydarzeń, które przyniosły jej wolność, była endecka. Trzeba sobie to wyraźnie powiedzieć. Przedstawicielem Polski *pro foro externo* i *pro foro interno* była Narodowa Demokracja.

Imię Piłsudskiego kojarzy się ze zmierzchem endeckiego panowania, z detronizacją endecji jako reprezentanta Polski. W Polsce niepodległej endecja stała się jednym ze stronnictw, co prawda nie małym, ale nie tak wielkim, by mogła o Polskę w swoim imieniu decydować. Fala polskiego życia wzbierała i potężniała poza nią. Powstawał inny obraz polskiego politycznego świata — endecja odchodziła na coraz dalszy plan. Jednak ślady endeckie tu i ówdzie pozostawały.

W pewnej mierze dzieje Piłsudskiego to dzieje Jego walki z endecją, a raczej walki najbardziej zajadłej endecji z Józefem Piłsudskim.

120.

Zagadnieniem trudnym do rozwiązania była organizacja państwowego aparatu. Nie było przygotowanych ku temu ludzi, nie było tradycji wczorajszego dnia. Chodziło o tysiące ludzi dla obsadzania tysięcy najrozmaitszych stanowisk. Trzeba było improwizować, brać ludzi niekwalifikowanych, obsadzać stanowiska od góry do dołu. Wreszcie brak ustawodawstwa... co zmuszało do gwałtownej, masowej produkcji ustaw, dekretów, zarządzeń, okólników. Polska pomimo wszystko jakoś stosunkowo szczęśliwie z tego wybrnęła. Sprawy administracyjne, gospodarcze, społeczne, oświatowe trzeba było organizować od początku. Wreszcie wojsko — najbliższe Piłsudskiemu i tak bardzo z Nim zwią-

zane. Chodziło o armię polską nie na wzór armii rosyjskiej, niemieckiej, austriackiej, chodziło o żołnierza na wzór polski, który to wzór należało stworzyć i z niebytu wywołać. Siłą rzeczy Piłsudski oparł się o Legiony. Tu pulsował akcent polskości, własny, o żywej a nawet żyjącej tradycji powstałej na naszych oczach. Sprawa była wyjątkowo delikatna i trudna. Należało się liczyć, że polski żołnierski patriotyzm chadzał w mundurach wojsk zaborczych. Należało to zmienić — dojść do „munduru” własnego, polskiego. Piłsudski tego dokonał. Nie jest to przesada. Wojsko polskie miało swoje morale i tradycje bojowe, tradycje zwycięstwa 1920 roku. Tak powstawało prawdziwe wojsko polskie z natchnienia i wojskowego geniuszu Piłsudskiego.

121.

Prywatne życie Piłsudskiego było nad miarę skromne. Był to styl swoisty. Niejeden miał za złe, że tak właśnie jest, nikt jednak nie ośmieliłby się zwrócić Marszałkowi uwagę. Styl Marszałka można by nazwać pewnego rodzaju dziwactwem, nie można jednak odmówić mu szacunku. Albo ta maciejówka — właśnie maciejówka... Nakrycie głowy skądinąd chłopskie i bardzo polskie w swej jakiejś poczciwości. Maciejówka była obecna wszędzie tam, gdzie był Piłsudski — na rewiach i uroczystościach przeróżnych w Polsce, w Rumunii na spotkaniu z rumuńską parą królewską, w Paryżu w czasie uroczystości przyjmowania Piłsudskiego przez prezydenta Francji, dekorowaniu marszałka Focha... przedtem była w Oleandrach, w Kielcach, pod Polską Górą na Wołyniu. Ostatni raz widziałem ją na aksamitnej amarantowej poduszce na nabożeństwie pośmiertnym w Katedrze Warszawskiej — na pogrzebie Marszałka.

122.

Marszałek nie lubił i unikał uroczystości — nie lubił ukazywać się tłumom i żadnej Jego widoku publiczności. Zjazdy legionowe raz do roku były to zebrania zamknięte typu koleżeńskie. Brało w nich udział nieliczne grono żyte legionowymi wspomnieniami. Komendant parę godzin spędzał wśród swoich żołnierzy. Bardzo charakterystyczne dla Marszałka było Jego zachowanie się w rocznicę wymarszu Legionów. W całym kraju odbywały się uroczystości strzeleckie, ćwiczenia, marsze, sztafety. Zawodnicy

meldowali swą obecność przed zamkniętymi drzwiami Belwederu. W Belwederze Marszałka nie było — ten dzień spędzał zawsze poza Belwederem. Trzeba mieć nie lada autorytet i jakieś zaczarowane istnienie, by sobie na to pozwolić... Przychodzą na myśl inni wodzowie i autorytety znane na cały świat. Patrząc na Mussoliniego odnosiło się wrażenie, że Duce nie omija żadnej sposobności, by ludziom się ukazać, czarować sobą, przemawiać do wyobraźni tłumów. Była to nieustanna, wymagająca wysiłku gra aktorska od rana do wieczora. Kreacje Mussoliniego zadowalały wszystkie gusta. Inni mężowie opatrnościowi także robili co mogli. Piłsudski wycofał się ze wszystkiego, przebywał sam z sobą, nieobecny a zarazem bardzo obecny. Nie kolidowało to z Jego ożywieniem, towarzyskim urokiem jaki roztaczał.

123.

Jak wiemy, Piłsudski był w Polsce największym wrogiem Rosji. Całe swe życie z Rosją walczył. Trudno było Go posądzać o sympatie do Rosji. A jednak w rozmowach z przyjaciółmi, z ludźmi Mu bliskimi, gdy był w dobrym humorze, nie mógł się powstrzymać od wtrącania rosyjskiego słowa, powiedzenia, przypowieści. Jakże serdecznie śmiał się z rusycyzmów oficerów polskich z armii carskiej.

Znał te słowa, spotykał je jak dawnych, dobrych znajomych. W Belwederze, w wysuniętym na czoło antyrosyjskim szańcu, słowa rosyjskie w pewnych okolicznościach miały prawo obywatelstwa, gospodarz spotykał je z uśmiechem. W jednym z moich z Komendantem spotkań, wchodząc do gabinetu Piłsudskiego, zapytałem bezmyślnie o zdrowie Komendanta. Mówiąc to struchlałem — było wiadomo, że Komendanta o zdrowie nie można pytać. Tak ustalał się belwederski protokół obowiązujący podkomendnych i najbliższych współpracowników. Byłem przygotowany, że zostanę ostro skarcony — tak jak umiał to robić Komendant. Miałem jednak szczęście. Zamiast groźnej miny i groźnych słów spotkał mnie uwodzicielski uśmiech. Do dnia dzisiejszego słyszę słowa: „oto powiem wam, jak jest”... „*nie smotria na niemiedlenno okazannuju pomoszcz wracza, bolnoj wyzdrowieł*”. Po czym rozmowa się rozpoczęła.

124.

Tak się złożyło, że nie należałem do najbliższego otoczenia Komendanta. Widywałem się z Nim od czasu do czasu w spra-

wach politycznych. Najbliższe otoczenie znałem dobrze. Byłoby wielką szkodą, żeby ktoś z tego otoczenia nie dał Polsce wersji o Piłsudskim, o Jego życiu codziennym i Jemu tylko właściwej postawie w życiu urzędowym. Chodziłoby oczywiście nie tylko o dobre intencje, ale i o wartości twórcze. Zarys sylwetki Komendanta pojawia się czasem w wierszach czołowych polskich poetów, mówią o tym legionowe pogwarki, rozmowy kolegów i towarzyszy broni prowadzone w cztery oczy, w towarzystwie najbliższym — oficjalna, urzędowa wersja o Piłsudskim, pomimo doniosłości głosu i wyposażenia w środki propagandowe, jest w istocie rzeczy niema... Tylko stronicie „pisane przez życie” mają coś do powiedzenia i mówią. Jest wielką szkodą, że nie udało się doprowadzić do końca portretu Józefa Piłsudskiego pędzla Konrada Krzyżanowskiego. Pozostały tylko wstępne szkice.

125.

Jedną z przeszkód i to nie byle jakich w stawianiu się Polskiego Niepodległego Państwa była bolszewicka akcja skierowana przeciwko zmartwychwstającej z niewoli Polsce. Była to akcja nieustająca, nasilająca się z dnia na dzień, z roku na rok, było to działanie *ad usum* Rosji Lenina, Stalina, Chruszczowa w duchu *istunno* rosyjskim, zgodne z tradycją zaborczego imperializmu Rosji carskiej. Z biegiem czasu i w miarę wydarzeń historycznych akcja ta doprowadziła do tego, że Polska znalazła się w kleszczach rosyjskiego komunizmu — dziś zagrażającego nie tylko Polsce, ale całemu światu. Dziś dla każdego staje się jasne, czym jest rosyjski komunistyczny imperializm, z którym Polska od pierwszych chwil swego istnienia państwowego miała do czynienia. W czasach, o których piszę, nikt o niczym nie wiedział, nie zdawały sobie sprawy mocarstwa zachodnie — ignorancja ich była rozpaczliwa. Moskwa nie szczędziła energii i środków, zdobywała się na najprzeróżniejsze pomysły i akcje. Bolszewickie agentury w różnych dziedzinach polskiej rzeczywistości, SDKPiL, komunistyczne partie — polska, ukraińska, białoruska — wszystko to defilowało przed polską krótkowzrocznością. Zadowalały slogany, naiwne schematy, dobre chęci, przechodzono do porządku nad siłą, przed którą zadrzał dziś świat.

Piłsudski wiedział... Gdyby nie On, tzn. Jego inicjatywa i energia, nie byłoby sojuszu polsko-ukraińskiego, roku 1920. Nie zdawano sobie z tego sprawy — przypisywano Piłsudskiemu nadmierny niepokój, mówiono o Jego urazie antyrosyjskim. Demon-

strowano trzeźwość, rozsądek, panowało poczucie bogoojczyźnianej prawości gęsto zakrapiane pieniactwem. Niemą było pewności siebie. Poznaniacy patrzyli z daleka, byli poza tematem rosyjskim. Wyjątkowo żałośnie przedstawiała się Małopolska. Wydaje się, że „panowie krakowscy” z czasów Kazimierza Wielkiego i Jagiełły zapadli bezpotomnie w niebyt. W Warszawie i na Kresach było lepiej, ale nie dużo lepiej.

Dzisiaj, po przejściach jakie dane było Polsce przebyć i doświadczeniach jakich doznała, świadomość czym jest Rosja zespoliła najszerze warstwy narodu. Nigdy Polacy nie byli tak zjednoczeni w oporze wobec Rosji.

126.

Sejmokracja. Słowo to wyszło od Piłsudskiego i z czasem zaczęło przybierać akcent coraz bardziej gwałtowny. Zwołanie sejmu ustawodawczego i uznanie w nim zwierzchniej władzy zostało przez Piłsudskiego proklamowane jako czołowa pozycja programu działania w chwili powrotu Jego z Magdeburga, tzn. w chwili nadania Mu władzy nad Polską. Zrobiono wszystko, aby parlamentaryzm polski był z ducha demokratyczny, zgodny z kanonami demokracji europejskiej i tradycją.

Po ukonstytuowaniu się sejmu i senatu z biegiem czasu zaczęły pojawiać się cienie. Coraz wyraźniej dawały o sobie znać braki w tej entuzjastycznie kreowanej przez Polaków instytucji. Sejm nie był w stanie sprostać nasuwającym się jak lawina zadaniom w tym „pierwszym dniu” tworzenia się Polskiego Państwa. Gromada poselska budziła wątpliwości, nie dawała rękojmi normalnej parlamentarnej pracy, brak jej było parlamentarnej kultury, cech i właściwości nabywanych zazwyczaj przez lata. Było to „towarzystwo” improwizowane, niosło w sobie wszystkie właściwości i braki ówczesnej politycznej rzeczywistości polskiej. Najlepsze chęci nie wystarczały. Łatwiej wychować personel urzędniczy albo korpus oficerski niż posłów do parlamentu... Świat poselski chwilami robił wrażenie zbiegowiska jednak o nadmiernie rozpalonej ambicji i pewności siebie, świadomego swego wielkiego posłannictwa i wagi swego urzędu. Wśród posłów było także grono ludzi niewątpliwie wybitnych o niemałym stażu politycznym i tradycji społeczno-politycznej pracy. Ludzi takich było jednak mało. Byli także „Bogu ducha winni” pocziwcy o najlepszych intencjach, czystych sercach i doskonałym braku kwalifikacji, gubiący się w zawiłościach poli-

tycznych i sejmowych osobliwościach. Byli także „spece”, zawodowi manipulanci, specjaliści od partyjnych intryg, pieniacze, awanturnicy. Przeważała przeciętność i analfabetyzm polityczno-parlamentarny. Nad sejmem unosił się duch władzy. Sejm dorwał się do władzy i rozwijał w tym względzie wszystkie swe zdolności... Narastała atmosfera demoralizacji. Przypominać się zaczął upiór „szlachetczyzny” — tej śmiertelnej choroby Rzeczypospolitej Polskiej.

Piłsudski użył słowa — sejmokracja. Toczyły się dni, miesiące, lata. W pewnym momencie doszło do wstrząsu. Nadeszły „dnie majowe”. Piłsudski przeciwstawił się „sejmokracji”. Na bruku warszawskim połała się krew polska w walce bratobójczej.

Polska stanęła po stronie Piłsudskiego. Tak „dnie majowe” należy rozumieć.

127.

Gdy mowa o Piłsudskim, nie można tracić z oczu „kresowości”. Pozwala to niejedno zrozumieć. Tak się stało, że za naszych czasów został powołany do odegrania dominującej roli w Polsce Polak z Kresów — ziemi Wileńskiej, ziemi Matki Boskiej Ostrobramskiej. Już nie raz Polska powoływała kresowych Polaków do panteonu postaci historycznych, działających i tworzących w imieniu całej Polski i sprawujących nad Polską władzę. Świadectwem tego jest za naszych czasów Józef Piłsudski. Gdy władzę nad Polską sprawował, naród szedł z nim. Z Jego osobą kojarzył się właściwy i przyrodzony Polsce kierunek rozwoju.

Nadeszły czasy dzisiejsze. Nie zabieram głosu w tłumie publikacji omawiających temat naszych czasów. Zwracam uwagę na pewien szczegół godny zanotowania. Oto jesteśmy świadkami sugestii Moskwy usiłującej przekonać nas, że przyrodzonym Polsce modelem istnienia jest Polska Piastowska. Z drugiej strony i jednocześnie Niemcy Adenauera produkują dzieła naukowe o wspaniałości Polski Jagiellonów, o tych właśnie tradycjach tak cennych dla świata współczesnego. Nie podejmuję w sprawie tej dyskusji, oceny stanowiska Moskwy i Bonn. Jest dla mnie jasne i bezsporne, że istota Polski nie pozwala się zasklepić tylko w polskim żywiole. Jej istota to stawianie się Polski w środowiskach nie polskich i wzbogacanie istnienia nie-polskiego w świecie polskim.

Wydaje mi się, że właśnie Polacy z Kresów mają sprzyjające ku temu właściwości; są oni bliscy tej prawdy, którą sta-

rałem się nazwać. Nie znaczy, bym nie umiał doceniać Polaków z innych ziem polskich. Ale to, o czym piszę, przeżyłem osobiście i spotykałem się z tym na Kresach — spotkałem się z tym, gdy byłem z Piłsudskim.

128.

Rzecz o Piłsudskim dzieli się wyraźnie na dwa okresy:

- 1) Piłsudski w walce o niepodległość Polski i
- 2) Piłsudski w polskim „dwudziestoleciu”.

Okres pierwszy stał się legendą przyjętą przez polską rzeczywistość. Tu Piłsudski jest już pomnikowy, w majestacie swym odbiera hołd historii i narodowi.

Okres drugi przysłania mgłą niedawnej codzienności, gmatwina stosunków i spraw ludzkich, rosgwar budowy gmachu polskiego państwa. Oczy ludzkie pozbawione zostały widoku błyskawic odwagi i heroizmu walki orężnej. W czasach pokoju i stabilizowania się życia nie ma bohaterstwa żołnierza. Powszedniość i nuda włóczą się po kątach. Zmagania się człowieka, wysiłki i ofiary płyną nurtem podziemnym w głębinach życia, nieostrzegane, niezauważane na niefrasobliwej powierzchni codziennego stawania się. A jednak bohaterstwo „nieumundurowane” człowieka nie jest mniejsze i wymaga nie mniejszych ofiar, sił, poświęceń i zdolności niż bohaterstwo „umundurowane”, wymaga nie mniej odwagi w walkach, zdawałoby się beznadziejnych, wymaga niemało osobliwej wytrzymałości i cierpliwości.

„Nurt podziemny” decyduje w stopniu nie mniejszym o istnieniu państwa i narodu niż klęski i zwycięstwa na wojnie. Dzieje Polski są w tym względzie pouczające i tragiczne... Czymże jest w dziejach naszych „szlachetczyzna”, w miarę czasu anarchizująca się coraz bardziej, osławiona polska „demokracja szlachecka”. Ona właśnie sprawiła, że „nurt podziemny” dźwiganie się Polski ponosił klęskę za klęską: Polska staczała się w przepaść.

W pierwszych latach po odzyskaniu Polskiego Państwa nie należało o tym zapominać. Co prawda niejedno się zmieniło. Miały miejsce wydarzenia, które Polskę wywyższały, — Konstytucja 3 Maja, polskie powstania. Przeorywały one polskie życie i wydobywały na powierzchnię polskie wartości, wyrzywały ducha narodowego z odrętwienia i znikczemnienia. Przemaszerowała legionowa garstka, nieostrzegana, ale w pewnym momencie dostrzeżona przez cały naród i całą polską rzeczywistość.

Niejedno się zmieniło — powstawały i dochodziły do samowiedzy ruchy robotnicze i chłopskie. Zmieniał się układ życia. Niejedno się zmieniło, ale niejedno trwało związane ze smutną przeszłością z czasów przedrozbiorowych i z czasów niewoli. Uśmiechał się tępo zdawkowy patriotyzm albo tak dekoracyjny w pewnych środowiskach snobizm.

Drugi okres w „rzeczy o Piłsudskim” jest nie mniej ważny, bohaterski, a chwilami tragiczny niż okres pierwszy — walki zbrojnej o Polskę. Trzeba było mieć nie lada siły i kwalifikacje by wzbogacać „nurt podziemny”, potęgować wolę istnienia, kształtować polskie „Jestem” w warunkach tak bardzo trudnych. Trzeba było mieć nielada siły, natchnienie i zdolności realizacyjne, by poruszyć masy polskie do marszu ku polskiej przyszłości nieznaney jeszcze, ale wolnej od historycznych obciążeń, idącej w takt stawania się świata i wnoszącej w ten świat swoje polskie wartości. Piłsudski wygrał Polskę w orężnym zmaganiu — Piłsudski wygrał Polskę w jej stawaniu się codziennym. Jeżeli Piłsudski z pierwszego okresu jest „pomnikowy” — jest nie mniej „pomnikowy” w okresie drugim.

129.

Ze słów moich wynikałoby, że ktoś może „wygrać” Polskę w walce orężnej i „wygrać” ją w dniach pokoju. Jest rzeczą jasną i oczywistą, że tylko Polska może siebie samą „wygrać” taka jaka jest, jaką jest jej energia, siły twórcze, wola istnienia. Jest jednak nie mniej jasne i oczywiste, że udział w tym biorą poszczególni ludzie, różne środowiska społeczne, wybitne i niezwykłe jednostki.

130.

Polska nie była doskonała, tzn. życie polskie miało swe blaski i cienie, nie wypełniało sobą jakiegoś wzoru doskonałości proklamowanego przez myśl i wyobraźnię. Jest to normalne. Piłsudski lubił cytować słowa Napoleona: „*c'est la réalité des choses qui commande*”. Tak jest zawsze w stawaniu się wysiłku człowieka i wysiłku zbiorowego, nie tylko w Polsce ale na całym świecie. Ludzkie, tak bardzo ludzkie „jak być powinno” kroczy przed człowiekiem, mami, porusza wolę, energię, twórczość, każe dążyć, każe zdobywać, ponosić ofiary.

Polska w okresie, o którym mowa, „zdobywała” swoją polską

treść na miarę swych możliwości. Działo się to w warunkach wyjątkowo trudnych i tragicznych — w warunkach, w których powiedzenie Piłsudskiego: „zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska, przegrać i nie poddać się — to zwycięstwo” — było dla wielu z nas zrozumiałe.

131.

Podobnie jak każdy Polak jestem jednym z fragmentów polskiej rzeczywistości, tak jak każdy z momentów fizycznych jest momentem astrofizycznego *continuum*. Zgodnie z myślą Einsteina w *continuum* astrofizycznym nie ma momentów uprzywilejowanych, panuje tu doskonała równość — każdy z nich z równym powodzeniem może uchodzić za centrum fizycznego świata. Jest to prawda istnienia. Obok niej i na równi z nią w *continuum* fizycznym i *continuum* istnienia ludzkiego występuje różnorodność, hierarchia, akcenty istnienia dominujące w żywiole faktów i zjawisk. Tak dane jest istnienie. Taki jest obraz tego, co jest. Jest to nie mniej realne i nie mniej istniejące niż wersja Einsteina.

W obrazie Polski, który w nas jest i przed nami się pojawia, Piłsudski jest pozycją wyjątkową, niezwykłą, góruje nad innymi. W kompozycji polskiej rzeczywistości jest jednym z akcentów dominujących — w pewnej mierze jest dominantą.

132.

Ograniczam się do skonstatowania tego, przytaczam moje przeżycia i spostrzeżenia. Nie podejmuję dowodu, gdzie chodzi o argumenty obiektywne, bo one właśnie o dowodzie stanowią. Dowodów obiektywnych na niezwykłość i wielkość Józefa Piłsudskiego znalazłoby się na pewno niemało. Jednak w świecie ludzkim mają coś do powiedzenia, i to niemało, akcenty subiektywne. W układzie Piłsudski - Polska one właśnie grają wielką i niezastąpioną rolę.

Układ tych dwóch elementów — subiektywnego i obiektywnego — przybiera czasem niezwykle wymowny i olśniewający wyraz.

Jeśliby ktoś na rok przed śmiercią Marszałka szukał obiektywnych dowodów niezwykłości i wielkości Józefa Piłsudskiego, byłby zmuszony sięgać w głąb polskiej rzeczywistości i wydobywać na światło dzienne prawdę tej wielkości. W dzień śmierci

Marszałka olbrzymia fala tego co subiektywne stanęła przed trumną i dawała najbardziej wymowne świadectwo wielkości Józefa Piłsudskiego, kim był w Polsce i dla Polski. To co subiektywne i to, co obiektywne podało sobie ręce, świadczyło o realności tego, co jest. Dowód naukowy — obiektywny — podążał za tym, co się w duszach polskich działo, nie tracił nic ze swej powagi. To, że zgon był czymś najbardziej obiektywnym, nie zmienia postaci rzeczy. Można by zaryzykować powiedzenie, że to, co subiektywne „wystąpiło z brzegów”, załało polską rzeczywistość porwało falą to, co obiektywne. Duch obiektywizmu ujrzał światło poza nim zrodzone i podążył za nim.

Odnosi się wrażenie, że właśnie owo „subiektywne” towarzyszyło Józefowi Piłsudskiemu w polskim życiu, przybierało różne postacie, jak np. wspomniane już „rozmowy Józefa Piłsudskiego z Polską w cztery oczy” albo Jego „prywatna obecność” w Polsce, albo spontaniczny entuzjazm polskiego politycznego świata w chwili powrotu Piłsudskiego z Magdeburga, albo legiony, P.O.W., rok 1920 — zwycięstwo nad bolszewikami, albo...

Owo „subiektywne” związane z postacią i imieniem Józefa Piłsudskiego, istnieje i trwa po dzień dzisiejszy, gotowe w każdej chwili „wystąpić z brzegów”. Wspomnę wrzesień 1939 roku — postawę polskiego żołnierza i polskiego wojska, postawę całego narodu w przeddzień wojny z Niemcami i w tragizmie jej przebiegu. Było to szczytowe wzniesienie się polskie. Byłem w tym i patrzyłem na to. Było w tym właśnie owo „subiektywne” polskiej wielkości, które w swoim czasie miało Józefa Piłsudskiego za wodza. Potem powstała Armia Krajowa. I tu także cień Piłsudskiego panował. Pamiętam rozmowy z gen. Grotem-Roweckim. Zwracał nieraz uwagę na spontaniczną i powszechną obecność piłsudczyzny w organizacji i jej kierowniczy w całym ruchu udział.

I dzisiaj, gdy piszę te słowa, to „subiektywne” związane z Piłsudskim jest nie mniej realne, pomimo zawrotnych i oszałamiających wydarzeń naszych dni.

Mówiłem o niezwykłości i wielkości Józefa Piłsudskiego, o tym, co się w Polsce działo, gdy w Polsce był „obecny”. Widzimy Go w otoczeniu wzniosłości, siły i uroku polskiego życia, na tle wielkich wydarzeń i scen historycznych, w blasku

zwycięstw. Nie sposób jednak pominąć tego, co nie przynosi Polsce zaszczytu, — nie sposób pominąć imponderabiliów polskiej małości. Snuje się to w tkaninie polskiego istnienia, przebłyskuje, posiada swoiste prawo obywatelstwa, wplata się we wspaniałe desenie „Polski skazanej na wielkość”. Z załomów życia spoglądają cienie uprzedzeń, ludzkich nieporozumień niekiedy tragicznych, zawiści, skurcze bezsily, zautomatyzowana tępota lubiąca kroczyć na koturnach.

Życie ludzkie i panujące pomiędzy ludźmi stosunki nie są doskonałe. Każdy kraj i każdy naród posiadają swoje osobliwości. Przyznaję się, że „osobliwości” Polski nieraz wyprowadzały mnie z równowagi. A cóż dopiero mówić o Piłsudskim, który musiał wytrzymywać na sobie nieustanny skoncentrowany ich atak.

Piłsudski poza spontanicznym uznaniem napotykał na różnego rodzaju trudności i sprzeczności. Nie należy jednak całej tej sytuacji umiejscawiać tylko we wrogim Piłsudskiemu politycznym obozie narodowej demokracji, albo ograniczać do terenu działania wrogich Polsce obcych agentur. Tak zwany obóz Piłsudskiego także nie był bez grzechu. I tu także daje się zauważyć małość ludzka, nieudolność, demoralizacja ludzi, którzy znaleźli się u władzy. Wszystko to ciążyło nad poczynaniami Józefa Piłsudskiego, w pewnym stopniu hamowało i zniekształcało. Do tego dochodzi jeszcze temperament Marszałka, który w wielu wypadkach „dolewał oliwy do ognia”.

134.

Powracam do „kompleksu Raszowskiego”. Jest to zjawisko nagminne. „Kompleks”, ożywiony tendencją polityczną, albo taką lub inną osobliwością światopoglądową czy zgoła zwyczajową, doprowadza niekiedy do powszechnej, mającej prawo obywatelstwa obsesji. Opinie powstają przy udziale wszystkich, każdy z nas gra taką lub inną właściwą sobie rolę. Działają tu najprzeróżniejsze czynniki i ludzkie właściwości. Trudno niekiedy ustalić, kto jest za daną opinię odpowiedzialny — przyjaciel czy wróg, co sprawia, że jest tak a nie inaczej. Dla ilustracji toku moich myśli pozwolę sobie przytoczyć dwa przykłady nie pozbawione wymowy — fakty ogólnie znane.

Komenda Miasta; dni przewrotu majowego 1926 roku; słowa Piłsudskiego do dziennikarzy: „za dużo nieprawości” działo się w Polsce. Piłsudski przeciwko temu powstał. Taki

był sens „dni majowych” — ich racja. Parę tych słów wypowiedzianych zmęczonym głosem pojawiło się w ciszy Komendy Miasta, w ciszy tragizmu dni majowych. Z nich właśnie, w rozgwarze życia i w innych okolicznościach narodziło się słowo „sanacja” — związane z obozem Piłsudskiego i z Jego osobą. Słowo to nabrało swoistej treści, stało się wyzwiskiem, szyderstwem, nie zawierało akcentu poprawy istniejącego w Polsce stanu rzeczy, wręcz przeciwnie... mówiło o nieudaniu się jej, o swego rodzaju obłudzie i kompromitacji manewru. Jest rzeczą niewątpliwą, że w Polsce „pomajowej” zaczęło się dziać lepiej i niejedną cień zniknął z polskiej ówczesnej rzeczywistości... A jednak taka właśnie była przygoda tego słowa. Opowieść o przygodzie słów wypowiedzianych przez Piłsudskiego w Komendzie Miasta wkracza *in medias res* stawania się życia.

Podobnie stało się z „twórczością państwową”, ze słowem „państwowotwórczy”. Stało się ono epitetem mało pochlebnym, śmiesznym i satyrycznym. W pewnych sytuacjach miało to swoje usprawiedliwienie, podobnie jak „sanacja”. A jednak pojęcie twórczości państwowej rodziło się w blasku słońca odzyskanej niepodległości i zmartwychwstałego Polskiego Państwa. Współczesne mi pokolenie rozumie to dobrze, przeżywało chwile powstawania Polskiego Państwa jako chwile odświętne, wielkie, jedyne, jako radość, którą odtąd dane było oddychać. Stanowiło to o polskim samopoczuciu, było ambicją polskiego życia. Odnosi się wrażenie, że życie z czasem o ambicji tej zapomniało. Pojawiły się słowa inne, a „twórczość państwowa” czy epitet „państwowotwórczy” stały się tematem dowcipów i żartów. Nie tylko *habent sua fata libelli*, ale i słowa żyjące wśród nas przechodzą dziwne koleje.

135.

Poruszony przeze mnie temat kojarzy się z osobą Piłsudskiego, waży na szali opinii o Marszałku, który w owym czasie w opinii ogółu odpowiadał za wszystko — za to co się działo w polskim świecie politycznym, za działalność rządu, za wyczyny w swoim własnym obozie, tzn. za ludzi, którzy, rzecz jasna, nie byli w stanie idealnie pracować, musieli popełniać omyłki, a niejeden z nich nie dorósł do pełnienia odpowiedzialnego stanowiska, na które był powołany. Niejedno głupstwo wzięło sobie gniazdo. Piłsudski był wreszcie odpowiedzialny za siebie samego.

Był on żywym człowiekiem, człowiekiem niezwykłym, ale tylko człowiekiem o imponujących cechach umysłu i charakteru,

niesamowitej woli. I On mógł mieć swoje ludzkie skazy, jak każdy z nas. Skazy te kompensował swą olbrzymią wartością. I to decyduje o „rachunku prywatnym” Piłsudskiego, który zresztą składał się nie tylko ze „skaz” ale w przemożnej mierze z osobistego uroku, bardzo zniewalającego. Ten „prywatny rachunek” nie pomniejsza „rachunku historycznego”, w większości wypadków wzbogaca go. Pewne jednak zjawiska same przez się z nim się łączą, zabarwiają sobą historyczne fakty. Były takie chwile czy fakty — sceny rozgrywane na oczach wszystkich — które budziły niepokój a nawet sprzeciw nie tylko we wrogim Piłsudskiemu obozie politycznym. Dwie z nich pamiętam wyraźnie.

Rozmowa Piłsudskiego z Daszyńskim, ówczesnym marszałkiem sejmu, w chwili najścia oficerów do sejmowego gmachu. Przy rozmowie tej nie byłem. Znam ją ze sprawozdań. Jestem piłsudczykiem bez zastrzeżeń. A jednak moja sympatia w rozmowie Piłsudski - Daszyński była po stronie Daszyńskiego.

Takich chwil „marginesowych” było parę. Jedna z nich wymaga większego i bardziej wyczerpującego omówienia. Chodzi o Brześć - Berezę. Nie jest rzeczą łatwą określić, jak dalece były związane z osobistymi właściwościami Piłsudskiego, z Jego gwałtowną reakcją i podrażnieniem, na które tak długo i wytrwale pracowali ludzie z Berezy, a w jakim stopniu zadecydowała o wszystkim chęć utrzymania stabilizacji życia państwowego, nieunikniona w pewnych razach metoda postępowania czynnika odpowiedzialnego za państwo, w danym razie sprawującej władzę i odpowiedzialnej za wszystko jednostki. Z perspektywy naszych przeżyć za ostatnie dwadzieścia lat sprawa Berezy nie płonie tak jaskrawo jak płonęła wtedy. Przyznaję, że spalałem się w jej ogniu. Miałem wtedy rozmowę ze Śmigłym w cztery oczy, długą, gwałtowną. Wyszedłem sam, tzn. pozostawiony samemu sobie. Nie było to towarzystwo łatwe i kojące. Nie mogło być mowy o wyjściu z szeregu, o targnięciu się na oficjalny protest. Moje myśli biły o brzeg, nie mogłem się uspokoić i dojść z sobą do porządku. W miarę czasu dekoracje mego protestu, wołające o sprzeciw, zaczęły się rozsuwać i zza kulis zaczął dochodzić głos jakiejś racji przemawiającej za Berezą. Czułem obecność sytuacji innej — Berezę afirmującej. W miarę czasu czułem coraz wyraźniej, że Komendant miał rację. Bereza nie zmieniła mego stosunku do Komendanta, tylko tajemnica władzy stanęła przede mną w swej grozie przedtem mi nieznannej, uchyliła swe zamknięte podwoje, wskazała na brzemień odpowiedzialności, niełatwe do podźwignięcia. Wokół osoby

Piłsudskiego powstał wir niechęci, fala oburzenia. Życie polskie wir ten w siebie wchłonęło, fala oburzenia opadła, a polskie oczy trwały wpatrzone w Piłsudskiego, wierne...

136.

Piłsudski był postacią wielką, niezwykłą. Postać Piłsudskiego przeszła przez świat inaczej niż inne, pozostawiła po sobie nieśmiertelny ślad prawdy polskiej. Piłsudski leży w Krypcie Srebrnych Dzwonów na Wawelu, a Jego serce spoczywa w ziemi na Rossie w Wilnie. Wawel i Wilno czekają na dalszy ciąg.

V. WOJNA

137.

Rok 1939. W otaczającej nas rzeczywistości pojawił się nowy, nieznan element. Element ten zapanował nad wszystkim, przekreślił tryb naszego postępowania i rachunek ustalonych zamierzeń. Rzeczywistość raptownie stała się inna.

Wojna. Poza rocznikami powołanymi do wojska zagarnęła każdego z nas, weszła w życie jednostek, rodzin, zapanowała nad życiem narodu. Wszyscy stanęliśmy do dyspozycji wojny, wszystkich wojna porwała w swoje tryby.

Przyszły dzień inne, niepodobne do dni za czasów Pokoju. Zmieniły się warunki naszego bytowania. Ludzkie czynności nabrały innego znaczenia. Pojawiły się nowe zadania i obowiązki. Byliśmy tymi samymi, ale działo się w nas coś nowego i wszystko odbywało się inaczej.

Polska stanęła do walki o swoją wolność i swoje istnienie. Musiała walczyć z bronią w ręku w warunkach takich a nie innych, narzuconych z góry.

O drugiej wojnie światowej pisano już niemało. Nie mam zamiaru zabierać na ten temat głosu. Chcę jednak zwrócić uwagę na coś niezwykle istotnego, o czym mówiono conieco albo nie mówiono nic.

Gdy nadszedł dzień wojny, Polska stanęła do walki „jak jeden mąż”. Stanęła bez wahań, gotowa na wszystko. Wydawało się

to zrozumiałe samo przez się. Nie chcę pomniejszać innych, nie sposób jednak nie stwierdzić że nie wszędzie było tak jak w Polsce. Widzieliśmy objawy defetyzmu, różnego rodzaju rozterki, nie poczuwano się do obowiązku walki z przemocą. Mężowie stanu, politycy, intelektualiści świecili błyskotliwością myśli, wagą doświadczenia, odbłyskiem geniuszu reprezentowanych przez siebie narodów. Pamiętam tyrady, deklaracje, oświadczenia.

Wszystko to wcześniej czy później znalazło się w gotującym się kotle najkrwawszej w dziejach świata wojny. Były jeszcze państwa i narody neutralne. Nie zazdroszczę im wyrazu ich twarzy, przypatrujących się wojnie zza płotu „neutralności”.

Polska stanęła do walki „jak jeden mąż”. Była to decyzja pozbawiona rdzy wahań i obezwładniających kompromisów. A może, jak powiedzą niektórzy, była to przysłowiowa „polska lekkomyślność” albo „polska bohaterszczyzna”, odróżniająca na niekorzyść Polskę od narodów „poważnych i wyrobionych”. Ludzie, którzy tak mówią — Polacy i nie Polacy — sami nie wiedzą co mówią.

W życiu Polski można znaleźć niemało braków Polskę kompromitujących. Istnieją od tego „specjaliści” — niezliczone ich zastępy o różnych kondycjach intelektualnych i moralnych. Można prowadzić o Polsce dyskusje i dochodzić do różnych wniosków, ale bagatelizowanie, a nawet ignorowanie postawy Polski w dniu wybuchu wojny niedobrze świadczy o stanie umysłów.

Postawa Polski w Drugiej Wojnie Światowej, tzn. jej z niczym nie licząca się determinacja walki o wolność i swoje „Jestem” to wielki wkład Polski w stawianie się ludzkiego świata. Nie wiem, jak dalece zdawał sobie z tego sprawę Roosevelt, gdy mówił, że Polska jest „natchnieniem świata”.

Należy przypuszczać, że Roosevelt sprawę sobie z tego zdawał. Chodzi o to, by zdawali sobie z tego sprawę wszyscy, w pierwszym rzędzie Polacy.

W czasach najbardziej tragicznych Polska dała świadectwo prawdzie o człowieku i człowieczeństwie. Jest to wielka Polski wygrana w jej klęsce militarnej i ogromie wojennych zniszczeń. Wszystko zdawało się być straszliwą bezkształtną miazgą wdeptaną w błoto zbrodni, a strach i upadający kompromis wzywał bezkarnie z ówczesnej europejskiej rzeczywistości.

Postawy Polski nic nie jest w stanie pomniejszyć, ani braki i usterki aparatu rządzącego i politycznego, ani niedociągnięcia wojskowe, ani rozgardiasz jaki w Polsce zapanował pod deszczem niemieckich bomb lotniczych, padającym bezustannie na wieś,

drogi, miasta, linie komunikacyjne. W huku niemieckich bomb nie słyszano głosów nawołujących do poddania się. Wszystko wzywało do walki.

I to było istotą Polski. Stało przed ludźmi jak słup ognisty w mrokach klęsk militarnych, dekompozycji życia, beznadziei... chwilami zdawało się, że jestem w walącym się domu, zapada się nasze państwowe sklepienie.

Życie codzienne wystąpiło z brzegów, płynęło samopas przez polskie drogi i bezdroża pod groźnym niebem wojny. Lała się polska krew. Twarz codzienności zniekształcał skurcz przerażenia, niepokój, zwyczajny ludzki strach. Nie było to jednak wszystko — był jeszcze płomień walki nieustający, wiecznie żywy, młody. I to była Polska.

Jest zastanowienia godne, że ta właśnie pozycja w „urzędowych” obrachunkach powszechnie uznawanych politycznych autorytetów jest bądź przemilczana, bądź wymawiana „półgębkiem”. Bardzo charakterystyczne jest zachowanie poszczególnych osób ze świata intelektualnego, a także tych co lubią się „mądrzyć”. Twarze przybierają wtedy wyraz zatroskany, słyszymy słowa ubolewania, pojawia się majestat jakiejś wyższej racji...

Jakże inaczej wygląda rachunek stawania się człowieka i stawania się narodu pisany potokiem wydarzeń... rachunek, który jest i stanowi.

138.

Pierwsze dni wojny spędziłem w Łodzi. Dowódcą frontu na odcinku Warty był gen. Rómmel. Z nim właśnie miałem do czynienia. Co dzień wieczorem odwiedzałem go w Helenowie, gdzie mieścił się sztab. Dowiadywałem się o stanie rzeczy na froncie. Generał Rómmel robił na mnie wrażenie dodatnie. Był opanowany i pewny siebie. Niestety i tu ziścić się miało to, co dane mi było niejednokrotnie obserwować w różnych czasach — a mianowicie doskonałe rozminięcie się wyobraźni wojskowej z tym, co miało miejsce naprawdę. Generał tłumaczył mi z miną najbardziej autorytatywną, że Niemcy tylko markują. Wojna zacznie się wtedy, kiedy zostanie ogłoszona w Niemczech mobilizacja koni.

Zostało ustalone, że w razie ewakuacji w pierwszym rzędzie wycofuje się administracja, a wojsko wycofuje się ostatnie. Stało się inaczej. Kiedy po zakończeniu ewakuacji urzędu wojewódzkiego i instytucji państwowych w Łodzi wyjeżdżałem, zgodnie z umową udałem się do sztabu Rómmla, żeby się pożegnać;

ujrzałem pałac Helenowski nadwerężony, udekorowany ze wszystkich stron lejami bomb lotniczych i powyrywany z korzeniami drzewami. Generał Rómmel opuścił Łódź pierwszy. Pomimo pozostawionych mi wskazówek dopędzić generała nie mogłem. Zniknął mi z oczu i nie widziałem go więcej.

Nie będę opisywał ewakuacji Łodzi pamiętnej ostatniej nocy, ani perypetii podróży do Lubomla, wyznaczonego dla urzędu województwa łódzkiego. Stoją mi jeszcze w oczach czerniejące tłumy ludzkie sunące na przełaj na Wschód, zatarasowane drogi i szosy, oddziały wojska przebijające się przez ludzkie tłumy, zdruzgotane przez bomby lotnicze telegraficzne słupy, wreszcie bombardowanie kraju, miast, miasteczek, wsi... Pamiętam, jak noga za nogę przejeżdżałem przez pałacy się jednym płomieniem Kurów, a potem bombardowanie lotnicze Lublina.

Widziałem niejedno i przeżyłem niejedno. Makabryczne sceny paniki i załamania się człowieka. Ale, jak już wspomniałem, ani na chwilę nie przygasał w tym tłumie pędzonym przez wojnę na zatrącenie nie liczący się z niczym płomień walki o Polskę. Było to nie mniej realne niż ogłuszający ryk klęski.

139.

A więc wracałem na Wołyń, w moje „strony rodzinne”, w warunkach tak straszliwych i nieoczekiwanych... Luboml - Łuck. Po prowizorycznym rozlokowaniu Łódzkiego Urzędu Wojewódzkiego w Lubomlu i jego okolicy udałem się do Łucka, gdzie była siedziba Rządu. Spotkałem znane postacie warszawskie — ministrów, dygnitarzy, polityków rozspanych po domach i ulicach Łucka. Posiedzenia, narady, rozmowy. Spotkałem się także z moim „rodzinnym” Łuckiem, znajomymi, przyjaciółmi z czasów wołyńskich. Witali mnie jak swego. W Łucku znaleźli się także Stanisław Stempowski i Maria Dąbrowska.

Panował nastrój nerwowy, pełen niepokoju. Lotnicze bombardowania odbywały się systematycznie. Dochodziły najrozmaitsze wiadomości, które po mojemu „bombardowały” wyobraźnię i samopoczucie towarzystwa w Łucku. Nie można było odgadnąć dni mających przyjść. Pamiętam długą rozmowę z moim serdecznym przyjacielem Bogusławem Miedzińskim — marszałkiem Senatu. Miedziński mieszkał na plebanii łuckiej Katedry. W naszej rozmowie optymistą raczej był on. Ja patrzyłem czarno.

Pewnego dnia wezwał mnie premier i polecił bym jechał do Rumunii w charakterze specjalnego przedstawiciela Rządu.

Miałem zorganizować pobyt naszego Rządu w tym zaprzyjaźnionym z Polską państwie. O odmowie mowy być nie mogło. Zastosowałem taktykę zwlekania. Los mi sprzyjał. Juliusz Poniatowski, ówczesny minister rolnictwa, proponował mi, żebym się przyłączył do akcji propagandowej, którą organizowali Kostek-Biernacki, Grażyński i Poniatowski. Zgodziłem się skwapliwie. Poniatowski miał rozmawiać z premierem, aby zwolniono mnie z rumuńskiego przydziału. Co też się stało. Wtedy wystąpiłem z projektem: proponowałem, że zajmę się organizacją partyzantki na terenie Wołynia i Polesia, co w pewnej mierze mogło się koordynować z propagandą. Poniatowski się zgodził. Uważałem za stosowne pomówić o moim projekcie z Premierem. Realizację mojego projektu Premier uzależnił od Marszałka Rydza-Śmigłego, z którym porozumiał się niezwłocznie. Marszałek projekt mój zaaprobował i wezwał mnie do siebie dla omówienia całej sprawy. Wojsko miało mi dać pomoc. Decyzję Marszałka Premier zakomunikował mi późnym wieczorem, a nazajutrz o 5-tej rano jechałem samochodem do Włodzimierza, m.p. Marszałka i Naczelnego Dowództwa. Drogę z Łucka do Włodzimierza znałem dobrze, była to „moja” droga, zbudowałem ją za czasów mego wołyńskiego urzędowania.

To, co zobaczyłem, wyglądało niewesoło. Znowu przebiegałem się przez ludzkie mrowie sunące w kierunku Łucka. Na polach widziałem ustępujące oddziały wojskowe. Znałem ten widok jeszcze z Łodzi. We Włodzimierzu zastałem pustkę. Nieme, opuszczone domy. Nie widziałem ludzi ani psów, ani kotów... Miasto było martwe. Udałem się do gmachu klasztoru. Tu właśnie miało być m.p. Naczelnego Dowództwa. Przed bramą czekał z motocyklem podoficer-pancerniak. Po wylegitymowaniu poinformował mnie, że m.p. Naczelnego Wodza jest w przylegającym do szosy na Łuck lasku — odległym od Włodzimierza o kilkanaście kilometrów. Znałem to miejsce. I tu także nikogo nie zastałem. Daleko w stronę Łucka dojrzałem eskortujące Naczelnego Wodza „Karasje”, które się oddalały coraz bardziej.

W Łucku także nie zastałem nikogo, tzn. nikogo z Rządu. Przed Urzędem Wojewódzkim stało otwarte auto. Cekał na mnie z polecenia Marszałka Szczapa — płk Liljenfeld Krzewski. Szczapa wręczył mi pismo-rozkaz, abym niezwłocznie udawał się na Zaleszczyki i ruszył całym pędem na szosę Dubieńską.

Stempowskiego i Dąbrowską znalazłem w podziemnej cerkwi prawosławnego soboru. Był to miejski schron. Odwiozłem ich do mieszkania i tam po naradzie zdecydowaliśmy się jechać na Zaleszczyki. Miałem dobrego Buic'a, potrzebny zapas benzyny

i dobrego kierowcę mego przyjaciela. A więc ruszyliśmy szosą Dubieńską na Krzemieniec w potoku zmierzających tam aut.

Kilkanaście kilometrów od Łucka przejeżdżaliśmy koło sąsiadującego z szosą lasu. Siedziałem przy kierowcy. Poleciałem stanąć. Moim towarzyszom podróży powiedziałem, że na parę minut chcę się udać do lasu i pomówić z samym sobą. W lesie powstała decyzja — z Polski nie wyjadę. Stało się to jasne i oczywiste. Inaczej być nie mogło. Gdy powróciłem do auta, powiedziałem moim towarzyszom o tej decyzji. Ofiarowałem im do dyspozycji mój samochód. Kierowca zgodził się jechać. Rezultat był niespodziewany. Przyjaciele moi padli mi w objęcia i oświadczyli, że oni także z Polski nie wyjadą.

Zawróciliśmy do Łucka. I znowu posuwaliśmy się pod prąd mknących do Dubna wozów. W Łucku nastąpiło pożegnanie. Stempowski i Dąbrowska zostali w Łucku. Spotkaliśmy się po pewnym czasie w Warszawie za okupacji niemieckiej. Ja wyruszyłem na Kołki, Karasin, Moroczno do Pińska.

Jechałem „wilczym szlakiem”, ale cały czas widziałem niemieckie samoloty idące na Wschód. Nieraz musiałem przystawać i maskować się.

W Pińsku zajeżdżałem do hotelu Angielskiego. Hotel wypełniali po brzegi warszawiacy. Ministrowie, dygnitarze z rodzinami i bez rodzin. Przyjechali by przetrwać wojnę w gościnie ordynacji Radziwiłłowskiej. Mówiono o życiu na łonie przyrody. Powtarzano ser, masło, jaja... Z niemałym trudem udało mi się w hotelu ulokować. Zawdzięczam to uprzejmości lokatorów, którzy przyjęli mnie owacyjnie, i gościnności gospodarza hotelu.

Miałem plan wyraźny. Postanowiłem przystąpić do organizowania partyzantki przeciwko Niemcom. Liczyłem na Polaków i miejscową ludność niepolską, którą znałem dobrze. Nie miałem od Naczelnego Wodza rozkazu na piśmie, ale miałem jego słowo przekazane mi przez Premiera.

Okoliczności wydawały się sprzyjać. Taką sprzyjającą okolicznością było spotkanie w Pińsku Loreta. Znalazł się on tu wraz z dyrektorami Dyrekcji Lasów Państwowych.

Po wtajemniczeniu Loreta w moje plany uzyskałem od niego pismo do Administracji Lasów Państwowych, wzywające służbę leśną do wykonywania moich poleceń. Pismo podpisał Loret jako główny dyrektor Lasów Państwowych i wszyscy towarzyszący mu dyrektorzy. Dokument ten był opatrzony odnośnymi pieczęciami i... wydrukowany na chusteczce do nosa pani Loretovej. To ostatnie nastąpiło na moją prośbę. Była to reminiscencja

tradycji peowiackiej, kiedy dowody osobiste i pisma pisano na płótnie.

Loret z otoczenia wyjechał do Baranowicz i miał zamiar przejechać się do Wilna. W Baranowiczach wpadł w ręce krasnoarmiejców. Słuch o nim zaginął.

Z kolei zwróciłem się do Komandora Flotylli Pińskiej. Stał on pod Pińskiem i dowodził flotyllą. Był to mój dobry znajomy. Komandor Zajączkowski wraz z dowodzoną przez niego flotyllą stanął do mojej dyspozycji.

Służba leśna była pozycją wielkiej wagi, ale Pińska Flotylla z batalionem marynarzy i wspaniałym wyposażeniem dawała do ręki gotową i niezwykle wartościową siłę. Na odprawie sztabu Komandora przedstawiłem mój plan działania. Został on po krótkim omówieniu przyjęty bez zmian. Zgodnie z tym planem moim m.p. i m.p. dowództwa partyzantki miał być Stolin.

Nazajutrz wyruszyłem autem do Stolina. Poza moim przyjacielem G. był ze mną naczelnik wydziału Dyrekcji Lasów — Siedlce, przydzielony w charakterze łącznika z administracji Lasów Państwowych — b. oficer ułan.

W Stolinie zajęchaliśmy do nadleśnictwa. Po chwili adiutant leśnik sprowadził p. Jana Bzurę, nadleśniczego, który zgodnie z pismem Loreta stanął do mojej dyspozycji.

W konferencji z p. nadleśniczym poruszyłem sprawę łączności z terenem i wskazałem na konieczność przygotowania map. Tak dobrze się stało, że w tym właśnie czasie przebywało w nadleśnictwie paru inżynierów-leśników. Zasadzono ich z miejsca do pracy, a ja udałem się na spoczynek. Położyłem się na słomie w sąsiednim pokoju i od razu zasnąłem.

Wczesnym rankiem nazajutrz, było to 17 września, przyszedł p. nadleśniczy i zakomunikował, że wojska sowieckie przekroczyły polską granicę i posuwają się na Zachód. A więc... wszystko się skończyło. Nie mogło być mowy o partyzantce.

Odwrót. Brakowało benzyny. Udaliliśmy się na rynek do sklepu Monopolu Spirytusowego i tam w ogólnym zamieszaniu i ścisku udało się napełnić karnistry spirytusem. Dawało to możliwość powrotu do Pińska.

Chciałem jeszcze być w starostwie. Ale było zamknięte. Wzrok mój padł na wydobywający się z komina dym. Palą dokumenty. Obszedłem starostwo, przelazłem przez płot otaczającego starostwo ogrodu i znalazłem się w starościńskim urzędzie. Rzeczywiście... krzątano się i palono papiery. Wicestarosta przedstawił mi się i wprowadził do gabinetu starosty. Na chwilę

siadłem za biurkiem. Trzeba było o wszystkim pomyśleć, a nie było czasu myśleć.

Gdy tak przez parę minut trwałem, wicestarosta zakomunikował mi, że prosi o widzenie ks. Radziwiłłowa — ordynatowa. Gdy weszła, towarzyszyła jej gromadka przeważnie znanych mi postaci ze świata arystokracji. Siedziałem za biurkiem. Było jeszcze jedno krzesło, które zaproponowałem mojej interesantce. Towarzystwo stanęło pod ścianą. Księżna w paru słowach opisała sytuację. Na jej opiece znalazło się wiele rodzin z Warszawy i rodziny radziwiłłowskiej administracji. Księżna postanowiła nie opuszczać swoich podopiecznych i zostać w majątku. Wywarło to sprzeciwu „tych osób”, tu ręką wskazała na zgrupowane pod ścianą postacie. Kiedy księżna dowiedziała się, że jestem w Stolinie, stanęło na tym, że będzie tak, jak postanowię... Teraz zrozumiałem, dlaczego towarzystwo wpatruje się we mnie z takim niepokojem. Mojej petentce powiedziałem, że nie ma chwili do stracenia. Należy zmobilizować wszystkie środki lokomocji i jechać za Bug. Na twarzy księżnej malowało się rozczarowanie... twarze towarzyszących jej osób ożyły.

140.

Wracałem do Pińska. Przejeżdżałem przez te same wsie i miejscowości. Jakże inaczej patrzyły na mnie, gdy zdążyłem do Stolina. Odnosiłem wrażenie, że wszystko się odwróciło. Ludność patrzyła innymi oczami. Nie były to oczy moich *in spe* partyzantów. W obecnym stanie umysłów należało szybko się wycofać. Gdybym opóźnił moją podróż do Pińska, zapewne nie dojechałbym.

Zdawałem sobie sprawę, że było to przejściowe. Jestem przekonany, że dzisiaj, gdy piszę te słowa, mógłbym na nich liczyć jak na partyzantów przeciwko Sowietom i na jak najlepsze pomiędzy nami stosunki.

141.

Pińsk zrobił na mnie wrażenie jak po trzęsieniu ziemi. Armia generała Kleeberga, administracja i wszystko co żyło odchodziło z Pińska jedną wielką falą, odchodziło w nieznaną, przed siebie. I ja także w tej fali się znalazłem. Dotarłem do Lubieszowa. Wczesnym rankiem usiłowałem dojść do generała Kleeberga, ale generał spał. Jego sztabowcy przyjęli mnie życzliwie i chcieli się

mną zaopiekować. Zaproponowali mi mundur i byli gotowi przebrać mnie jako oficera w chwili poddania się Niemcom korpusu oficerskiego.

Zdecydowałem przedostać się za wszelką cenę do Warszawy. Po rannym śniadaniu na polanie leśnej w pobliżu cmentarza oznajmiłem moim towarzyszom podróży, niedoszłym partyzantom, że jedziemy do Warszawy przez Siedlce. W Siedlcach mój adiutant — naczelnik Wydziału Dyrekcji Lasów — miał na kolonii własny dom. Tam właśnie mieliśmy się na parę dni zatrzymać.

Droga prowadziła przez bezkresy poleskiego kraju, lasów, grzęzawisk, błot, przez polską dżunglę rezonującą na zbliżanie się frontów niemieckiego i sowieckiego. Napotykałem przeziwne postacie — skupiska inteligencji perorującej na tematy polityczne po leśnicówkach i nadleśnictwach, zagubione oddziały i oddziały wojska, spotkałem nawet maszerującą luźnie kolumnę więźniów kryminalistów wypuszczonych z więzienia w jednym z województw. Rozmowy, dialogi i monologi były niezwykle oryginalne, a niekiedy dziwaczne. Ocierałem się o różne wydarzenia. W jednej z wsi sąsiadujących z nadleśnictwem zaczął się organizować komitet rewolucyjny. Były momenty niebezpieczeństwa przybierające różne postacie. W pewnej chwili zrezygnowaliśmy z samochodu i posuwaliśmy się pieszo. Potem wróciliśmy do zamaskowanego w gęstwinie auta. Różnie bywało.

Pamiętam, jak pewnego razu zaczęliśmy się w gęstwinie lasu tuż nad szosą Brześć - Kowel. Szosą sunęły nieprzerwanie niemieckie jednostki pancerne. Huk szedł kilometrami i mącił ciszę.

Zdobyliśmy się na dość ryzykowny manewr. W pewnej chwili, gdy pozwalał na to odstęp między pancernymi maszynami, przejechaliśmy raptownie przez szosę. Siedziałem przy kierowcy. Stał mi w oczach obraz tego, co na szosie się działo... samochody, czołgi, motocykle, kabel biegnący brzegiem szosy. Gdyśmy na szosę wypadli, wszystko się zakotłowało, zachyotały się głowy w ciężkich niemieckich hełmach. Doszło to niezwykle wyraźnie do mojej świadomości. Czekałem na strzelaninę. Wpadliśmy jednak na drugą stronę szosy i nim się Niemcy zorientowali, zginęliśmy w leśnym gąszczu.

Opowiadanie o podróży i przygodach zajęłoby niemało miejsca. Może kiedyś na to się zdobędę.

Do Siedlec zbliżaliśmy się chyłkiem. Na szosie widziało się nieustanny ruch Niemców. Samochód zostawiliśmy w lesie dobrze zamaskowany. Jak pamiętam, weszliśmy do Siedlec od strony stawów. Znalazłem się w mieszkaniu mego adiutanta — naczelnika Wydziału Siedleckiej Dyrekcji Lasów.

Znalazłem się więc w okupacji niemieckiej. Radio i napływające zewsząd informacje mówiły o stanie rzeczy i rozwijających się wydarzeniach.

Po pewnym czasie Niemcy się wycofali i na ich miejsce przyszedł Sowiety. Na ulicach Siedlec ujrzałem „krasných boj-ców” i sowieckie oddziały. Miasto przywarło w sobie. Przyjazne uczucia demonstrowali Żydzi i oni właśnie organizowali uroczyste powitanie sowieckich wojsk.

Nie pamiętam, jak długo bawiłem w Siedlcach. Nadszedł dzień wyruszenia do Warszawy. Wyruszyliśmy pieszo. Omija-liśmy szosę i posuwaliśmy się drogami wiejskimi. Nocowaliśmy po wsiach. W owych czasach — czasach „wędrowki narodów” — wieś załatwiała sprawę noclegów. O stosunku gospodarzy do nas mam jak najlepsze wspomnienia. Nie pomniejszam wartości tego zjawiska, pozwolę sobie jednak zauważyć, że im dalej na Zachód, tym wieś stawała się interesowniejsza. Na Wołyniu nie chciano brać żadnych opłat.

Rytm wiejskiego życia zniekształciła wojna. Na każdym kroku spotykaliśmy uchodźców z miast, a zwłaszcza z Warszawy, wy-czekujących na dalsze swoje losy. Różnymi drogami nadchodziły wiadomości ze świata. Od rana do wieczora mówiono i dysku-to-wano.

W naszej peregrynacyjnej grupie liczącej 5 osób były dwie panie, żony oficerów, które przedostawały się do Warszawy żeby zasięgnąć wiadomości o losie ich mężów. Jedna z nich miała rodzinę w Mińsku. Zdążaliśmy więc do Mińska jak do stacji naszej podróży. Do Mińska przyszedliśmy 2 października. Zostaliś-my przez p. majorową i jej rodzinę gościnnie przyjęci. Trwało to jednak tylko parę godzin. Właśnie 2 października Niemcy pozwolili na wjazd do Warszawy. Ruszył kto mógł. I my znaleźliśmy się na furmance zdążającej w towarzystwie innych pojazdów do Warszawy przez Grochów.

VI. OKUPACJA

142.

Grochów... gruzy... wypalone domy. Im dalej się posuwaliś-my, tym ciężiej stawało się na duszy. Zatrzymaliśmy się w miesz-kanianu p. majorowej na Saskiej Kępie. Do mieszkania zajrzała

wojna. Okna nie miały szyb, a przymrozki październikowe dawały o sobie dotkliwie znać. Mój pierwszy wypad do Warszawy dał obraz koszmaru. Gruzy, spalone domy, sterczące w niebo wypalone mury. Ulice, jak np. Nowy Świat, były usypiskami sięgającymi do drugiego piętra. A po wszystkim tym snuło się zbiedniałe, przeredzone ludzkie mrowisko. Staje mi przed oczami scena... zdaje się, że było to koło Pomologu. Na bruku leży zabity koń, a koło niego krążą kobiety. Siekierami i nożami wyrrywają kawały mięsa i chowają do worków i koszyków. Panie te wyszły po sprawunki.

Jest to skromne preludium do utworu „Warszawa”. Chodzi o wielogłosową fugę. Nie wiem czy utwór taki powstał.

Nie tylko w ten sposób Polska dawała o sobie znać. Chodziło mi o coś nie mniej realnego i dotykającego jak gruzy, — chodziło o świat polskiej walki, polskiego niepoddawania się straszliwej burzy najprzeróżniejszych zniszczeń, chodziło o wieczne to samo polskie „Jestem”.

Już w pierwszych dniach spotkałem na Nowym Świecie pułkownika Roweckiego. Ludzie w ten sposób odnajdywali siebie i dochodzili do siebie. Płk Rowecki zaprowadził mnie do generała Tokarzewskiego.

Padliśmy sobie w objęcia. Wkrótce zostałem powołany na stanowisko Komendanta Warszawy i Okręgu Warszawskiego w organizacji „Służba Zwycięstwa Polski”.

Przystąpiłem do pracy, wokół której skupiała się polska wola walki, z czasem stała się potężnym frontem tej walki ogarniającym całą polską rzeczywistość i zabłysła literami AK.

Praca ta pochłaniała mnie bez reszty, wypełniała sobą życie. Z generałem Tokarzewskim — Komendantem Głównym — widywałem się służbowo. Wykonywałem zlecenia i rozkazy. Nie mało pomogło mi moje przeszkolenie wojskowo-konspiracyjne w Kijowskiej K.N. III. P.O.W.

Polska rzeczywistość, polskie życie sprzyjało naszej akcji. Miałem tego niezliczone dowody. Nie była to akcja wbrew masie ludzkiej, jak np. Legiony Piłsudskiego w pierwszym okresie walki — nasza akcja uosabiała to, czym ludzie żyli i oddychali. Jest to okoliczność najbardziej doniosła i to decydowała.

Organizacja Polski Podziemnej i jej historia zostały opisane przez niejednego autora. Na te tematy ukazało się niemało dzieł, pomimo obowiązującej w Polsce Ludowej rezerwy i wyraźnego nakazu pomniejszania AK. Z natury rzeczy pozycją dominującą,

największej wagi i znaczenia są publikacje wydane przez ośrodki dowodzący AK, który przebywa w Londynie — jest to wersja „urzędowa”, najbardziej miarodajna i jedynie miarodajna.

Ograniczę się do poruszenia paru tematów i moich wspomnień osobistych z okresu okupacyjnego związanych z historią AK.

143.

Przed chwilą zrobiłem spostrzeżenie, że AK nie było tworem sztucznym, pozbawionym łączności z otaczającym go życiem — było wyrazem tego, co w życiu polskim tkwiło i o wyraz swój wołało. Tylko tak zjawisko AK należy rozumieć. Wszelka inna interpretacja rozmija się z prawdą.

Niemal w każdej warszawskiej kamienicy od strychu do suteren „mieszkała” konspiracja. Życia nie trzeba było mobilizować — mobilizowało się samo. Nieraz powstawały sytuacje niezwykle wymowne, niepozbawione swoistego komizmu.

Na początku września 1943 roku karetka pogotowia zajęła przed pewien dom przy ul. Śliskiej. Na noszach wyniesiono nieruchomą postać rannego. Nosze powędrowały do mieszkania dr Idalii Korsak. Rannym byłem ja. Dr Korsak, jedna z moich bliskich współpracowniczek i towarzyszek broni, ryzykowała. Tłumek na chodniku przy wynoszeniu rannego... ranny... nie były to szczęśliwe i niewinne momenty w ówczesnym okupacyjnym życiu. Ale jakoś się udało. Dr Korsak zapewniła mnie, że dom jest zupełnie „czysty”, po prostu sterylny; konspiracja nie miała tu wstępu.

I oto dowiaduję się, że naprzeciwno, od strony schodów kuchennych, leży już od paru tygodni ranny akowiec. I jego i mnie odwiedzają chirurdzy. Z czasem dom zaczął się coraz bardziej kompromitować. Okazało się, że na poszczególnych piętrach mieszka niejeden konspirator. A szczytem wszystkiego było to, że o piętro niżej pod mieszkaniem dr Korsak objawiła się centrala kolportażowa moich wydawnictw. Byłem zawstydzony.

Podobnych sytuacji było niemało. Cała Warszawa stała się jedną wielką rodzinną konspiracją.

Zjawiskiem nie mniej doniosłym i istotnym była demokratyzacja polskiego życia. Polska „jaśniepańska” ginęła w oczach. Demokratyzacja następowała sama przez się. Nie proklamowano haseł, ani prowadzono propagandy, życie samo załatwiało rzecz całą po swojemu, załatwiało najbardziej realnie, do głębi. Wąt-

lały i rozsypywały się w ogniu wydarzeń stanowe różnice, tak drażniące i odróżniające Polskę od świata Zachodu. Jeżeli można mówić o pozytywnych i twórczych osiągnięciach Polski w okresie niemieckiej okupacji, jednym z nich, a może nawet czołowym była demokratyzacja polskiego świata — samoczynna i samoistna, polska, nie wprowadzona przez nikogo i przez nikogo nie narzucana.

Gdy myślę o czasach okupacji, nie wszystko ogranicza się do spraw budujących. Były zjawiska dość wątpliwej wartości, a nawet odrażające. Były to jednak pozycje marginesowe, które nie mogły wpływać na istotę tego, co działo się i było powszechne.

Takim najbardziej odrażającym zjawiskiem budzącym spontaniczny odruch sprzeciwu i nie znoszącego kompromisu osądu były wypadki zabójstwa Polaków walczących z niemiecką przemocą. Zabójstwa dokonywane rękami polskimi. Mówiąc o tym, nie mam na myśli agentów narodowości polskiej na służbie Gestapo albo NKWD. Takie wypadki się zdarzały. Nie chodzi mi w danym razie o agentów — mam na myśli wyczyny ONR, bo tak o tym mówiono i takie było przeświadczenie ogółu.

Właśnie ludzie ONR zabili naczelnika wydziału w BIP-ie inż. Makowieckiego, jego współpracownika Widerszała, a uprzednio prof. Handelsmana. Były to mordy polityczne w całym tego słowa znaczeniu.

Pamiętam, jak dnia jednego zawiadomiła mnie Komenda Główna AK, że został wydany na mnie wyrok śmierci i muszę się pilnować. Na pytanie, kto wydał taki wyrok, zmieszany kapitan powiedział: Polacy. Dalszy bieg wydarzeń potwierdził to w sposób najbardziej realny. Sam obserwowałem postacie kręcące się wokół mojego mieszkania na Barbary 10, a potem, już podczas mej nieobecności, jeden z obsady zjawił się na Śliskiej, w mieszkaniu dr Korsak, i miał z nią rozmowę dotyczącą m.p. mojej osoby.

Nie mało padło z polskich rąk agentów narodowości polskiej — agentów na służbie Gestapo albo NKWD. Była to walka z wrogiem Polski. Ale mordy polityczne wśród walczących z przemocą niemiecką Polaków wymagają najbardziej surowych wyroków — są czymś najbardziej odrażającym.

AK było pozycją centralną koordynującą wysiłki społeczeństwa polskiego w walce z niemieckim okupantem i w tym znaczeniu było dowództwem narodu. Nie znaczy to by społeczeństwo polskie nie było zróżniczkowane politycznie tak jak zawsze. Działały sztaby stronnictw od dawna znanych i uznanych. Wymownym tego wyrazem była bujnie się krzewiąca prasa pod-

ziemna. Poza znanymi i uznanymi stronnictwami powstawały jak grzyby po deszczu inicjatywy lokalne albo poszczególnych ugrupowań i organizacji. Jednym z licznych tego przykładów była grupa KOP — dawnych oficerów KOP. Wydawali oni własne pismo. Jak się dowiedziałem, w piśmie tym brała udział Zofia Kossak-Szczucka.

Zjednoczenie czynników politycznych było zadaniem Delegatury — zadaniem AK było objęcie i podporządkowanie swemu dowództwu lokalnych poczynań wojskowych. W miarę czasu osiągnano coraz lepsze wyniki.

Znaczną pozycją były Bataliony Chłopskie. Nie było z nimi większego kłopotu. Układ z AK łatwo doszedł do skutku. Nie można tego powiedzieć o Narodowych Siłach Zbrojnych — endecko-oerenowskiej formacji ultra-nacjonalistycznej. Dowództwu AK Narodowe Siły Zbrojne podporządkowały się dopiero za czasów Bora-Komorowskiego.

Różnicowanie się podziemia, o którym mowa, nie zmieniało stanu rzeczy, który wspomniałem na początku. AK była jedyną miarodajną reprezentacją walczącej Polski Podziemnej i w miarę czasu stawiała się nią coraz bardziej.

Osobne omówienie należy się komunistom. Polskie rodzime ośrodki komunistyczne w walce z Niemcami odgrywały rolę znikomą, albo nie odgrywały jej wcale. Akcja ich w porównaniu z tym co się działo była nieskończenie mała. Dopiero interwencja Moskwy, tzn. moskiewskie pieniądze i kadry moskiewskich agentów pochodzenia polskiego wniosły pewien efekt forsowany z wielką energią, nie zmieniający jednak istniejącego stanu rzeczy.

Akcja moskiewska doprowadziła do ustalenia w Polsce władzy zależnej od Moskwy na czele z Bierutem — kursantem akademii NKWD i oficerem NKWD. W tym samym czasie weszła na moskiewskich drożdżach Polska Partia Robotnicza, jako jedyna przedstawicielka polskiego narodu. Należy to ocenić jako sukces polityczny.

Inaczej przedstawiał się „sukces” moskiewski w polskiej walce konspiracyjnej z Niemcami. Tu sukcesu nie było. Ruszono więc wszystko, by uzyskać w tej sprawie sukces propagandowy. Byliśmy i jesteśmy świadkami gwałtownego i nie przebiegającego w środkach pomniejszania AK, zmierzającego do wykreślenia jej z dziejów Polski. Natomiast nędzną i nie odgrywającą w Polsce żadnej roli moskiewską imprezę walki konspiracyjnej z Niemcami winduje się na piedestał wielkiego i jedynego czynu narodowego. Czynniki uprawiające tę akcję nie zdają sobie często sprawy, jak same się dyskredytują. Klasyczna pod tym względem jest

apoteoza „Café Clubu”... podniesienie tej imprezy do godności wielkiego czynu.

Z legendą AK trwa nieprzerwana walka. Jest to przedsięwzięcie w Polsce beznadziejne. Nawet oportunizm b. akowców zasilających szeregi ZBOWiD-u nie pomoże, ani pożałowania godne zachowanie się poszczególnych jednostek, zajmujących kiedyś eksponowane stanowiska w Komendanturze AK.

AK nie pokryje rdza zapomnienia, a żałosny i nędzny twór NKWD nie osiągnie szczytu wielkości — pomimo wszystko, tzn. pomimo zależności od Moskwy i oportunizmu poszczególnych żołnierzy AK, którzy „chcą jakoś żyć”...

Piszę te słowa w dniu 31 lipca 1962 roku. Przede mną leży *Życie Warszawy* z dzisiejszą datą. Czytam enuncjację: „W rocznicę Powstania”. Mówi się w niej w pierwszym rzędzie o AL, o „czci poległym na przyczółku Czerniakowskim”, o „komentarzu wojskowym w kwaterach poległych żołnierzy z 1939 r.”, „Armii Ludowej”, wreszcie wspomina na końcu, na dodatek, o Armii Krajowej... Gdy czyta się to w Warszawie, jest to bardzo wymowne i nie wymaga komentarzy.

W rozmowach z Grotem usłyszałem już na samym początku, że piłsudczycy stanowią trzon organizacji i znajdują się na czele organizacyjnej fali. Było to spostrzeżenie obiektywne i miarodajne. Nie miało nic z propagandy ani z piłsudczykowskiego patriotyzmu. Jest to pozycja, która nie może być niezauważona. Pozycja ta ma swoją wymowę.

Poza ogólną postawą narodu w pierwszych dniach wojny, o czym już wspomniałem, poza wszechobejmującą polski świat walką z Niemcami za czasów okupacji objawiał się w niej cień Piłsudskiego. W tych tragicznych, pełnych grozy czasach Piłsudski był z Polską, był z całym narodem i ze swoimi żołnierzami w walce o wolność.

Tak należy to rozumieć. Nie mogło być mowy o jakiejś organizacji piłsudczyków w rzędzie politycznych ugrupowań i stronnictw. Akcent piłsudczyzny stał się akcentem uniwersalnym w walce o Polskę. W roku 1939 w łunach i burzy wojennej Piłsudski „rozmawiał z Polską w cztery oczy”, jak czynił to za życia... i rozumieli się wzajemnie.

Jak już wspomniałem, mój udział w organizującej się Armii Krajowej zaczął się od objęcia stanowiska Komendanta Warszawy i Okręgu Warszawskiego w istniejącej wówczas organizacji powołanej przez gen. Tokarzewskiego — „Służbie Zwycięstwa Polski”. Było to w październiku 1939 roku i trwało do chwili przemianowania SZP na Związek Walki Zbrojnej — ZWZ.

Stało się to na mocy rozkazu gen. Sikorskiego i Sosnkowskiego. Pamiętam, jak ze wzruszeniem czytaliśmy go — Tokarzewski, Grot i ja.

Statut ZWZ mówił wyraźnie, że na stanowiskach dowodzących mogą być tylko wojskowi. Zawodowym wojskowym nie byłem. Miałem co prawda przeszłość Komendanta Naczelnego K.N.III.P.O.W. w Kijowie, a zarazem reprezentanta Naczelnego Dowództwa na wschodnich obszarach Europy i szefa dywersji na głębokich tyłach wroga, czyli swoją tradycję wojskową, nie byłem jednak zawodowym oficerem i dlatego zameldowałem generałowi Tokarzewskiemu, że obecnego stanowiska piastować nie mogę. Tokarzewski nie chciał o tym słyszeć. Po dłuższych dyskusjach przekonałem Tokarzewskiego i Roweckiego, że inaczej być nie może. Nie chcę znaleźć się w fałszywej sytuacji. Zgodziłem się na propozycję współpracy osobistej z Komendą Główną, a ściślej z Komendantem Głównym w sprawach politycznych. Zostałem więc w dalszym ciągu związany z AK i przez całą okupację obowiązki te pełniłem.

Kiedy Grot został aresztowany, a na jego miejsce przyszedł gen. Bór-Komorowski, z rozkazu Bora gen. Pełczyński zawiadomił mnie, że wszystko pozostaje jak dawniej i w imieniu Komendanta Głównego będzie ze mną współpracował gen. Pełczyński.

Przez cały czas okupacji niemieckiej moja praca odbywała się w zasięgu AK — z nią połączyłem moje losy i w niej znalazłem oparcie.

Pod koniec nawiązał ze mną łączność Delegat Rządu i stamtąd także miałem pomoc w zakresie moich wydawnictw.

W mojej pracy w AK brałem udział w różnych sprawach politycznych, z różnymi osobami miałem do czynienia. Sytuacja moja pod pewnym względem była wyjątkowa. Świat polityczny wyrzekł się wszystkiego, co trąciło „sanacją” czy piśsudczyzną. Nie było to nawet wyrzeczeniem — było wyraźnie wrogim i wyraźnie wrogo akcentowanym stosunkiem. W tych warunkach, biorąc zwłaszcza pod uwagę, że swego piśsudczykowskiego zaangażowania nie ukrywałem i deklarowałem je wyraźnie, nie mogło być mowy o moim udziale w oficjalnych politycznych przedstawicielstwach. Przyznać jednak należy, że pewien autorytet polityczny z moją osobą się łączył i to sprawiało, że z różnymi politycznymi czynnikami miałem do czynienia a nawet współpracowałem.

Już w okresie początkowym, wkrótce po moim zjawieniu się w Warszawie, spotkałem się z Niedziałkowskim. Spotkanie było serdeczne. Niedziałkowski był w dobrej formie. Jego udział

w Polsce Podziemnej jakby dodawał mu skrzydeł. Niestety, Niedziałkowski w krótkim czasie zginął — Palmiry. Spotykałem się potem z Pużakiem, a z czasem nawiązałem stały kontakt z Zygmuntem Zarembą i Tadeuszem Sturm de Stremem. Trwało to przez całą okupację. Widywaliśmy się często. Załatwialiśmy i omawialiśmy różne sprawy.

Łączyły mnie także przyjazne stosunki ze Stronnictwem Ludowym. Niebawem po moim pojawieniu się w Warszawie złożyłem wizytę Ratajowi. Gdy zbliżałem się do Hożej 14, zaczęły mnie ogarniać pewne wątpliwości. Jak Rataj przyjmie ortodoksyjnego piłsudczyka? Rataj spotkał mnie niezwykle serdecznie. Na moje pytanie czy wie, z kim ma do czynienia — i tu zaakcentowałem moje piłsudczykostwo — Rataj z wylewnością oświadczył o swoim najbardziej pozytywnym i zaszczytnym dla mnie ustosunkowaniu się do mojej osoby. Po załatwieniu tej „formalności” przystąpiliśmy do omawiania aktualnych spraw. Było ich niemało.

Uderzyło mnie, że Rataj, który robił na mnie wrażenie człowieka o gołęmbim sercu, z furią i namiętnością wzywał do ukarania sprawców klęski wrześniowej. Podług jego mniemania było to potrzebne dla zadośćuczynienia potrzebom życia i „rozładowania atmosfery”.

W kręgu poruszanych przez nas spraw wysunąłem zagadnienie władz Stronnictwa Ludowego, które w moim rozumieniu muszą rezydować w Kraju i mieć swą ekspozyturę na emigracji, a nie odwrotnie. Po dyskusji Rataj się na to zgodził. Zaproponowałem, że trzeba zacząć od Młodzieży Wiejskiej, która stanowiłaby zrąb organizującego się w Polsce Stronnictwa. Ratajowi myśl ta przypadła do gustu. Za zgodą Rataja rozpocząłem niezwłocznie akcję. Byłem wówczas we władzach „Służby Zwycięstwa Polski” i miałem możliwość działania. Poza tym miałem przez lata powiązania z Młodą Wsią. Uwinąłem się prędko. Sprowadziłem do Warszawy działaczy młodzieży wiejskiej, a tych, którzy ze mną pracowali w wojsku, skierowałem do Stronnictwa. Rataj był zaskoczony szybkością działania. Przedstawiłem mu, że cały manewr winien się odbyć „w trybie rewolucyjnym” i nie ma czasu na żmudne posiedzenia, przewlekłe rozważania itd. Rataj się z tym zgodził. Tak powstało Stronnictwo Ludowe w Kraju. Był Niećko. Był „Roch” i bliska moja z ludowcami współpraca. Wszystko szło dobrze do chwili pojawienia się w *Polska Walczy* artykułu w rocznicę śmierci Piłsudskiego 12 maja. Nadeszła z Londynu dyspozycja zerwania ze mną. Ludowcy przestali kolportować *Polska Walczy*, co czynili dotąd

z całą gotowością, i zerwali ze mną. Niektórzy widywali się ze mną „konspiracyjnie”, w największej tajemnicy, żeby nikt nie wiedział.

Trzecim środowiskiem, z którym nawiązałem kontakt, było Stronnictwo Demokratyczne. Idylla współpracy prędko się skończyła. Nie było z kim współpracować.

Poza tymi środowiskami powstało jeszcze zagadnienie organizacji obozu pilsudczyków. Nie byłem zwolennikiem tej koncepcji, uważałem rzecz całą za nierealną. Patrzyłem na to inaczej. Dałem temu wyraz w umieszczonym w jednym z numerów *Polska Walczy* artykule.

Były jeszcze poszczególne postacie ze świata politycznego i intelektualnego, z którymi miałem do czynienia i którym nie mało zawdzięczam. Była wreszcie mityczna „grupa Olgierda”.

Moimi wrogami, jak zawsze, byli endecy, zwłaszcza ONR, i komuniści, których w istocie rzeczy nie było do chwili włączenia się moskiewskiej inicjatywy i moskiewskich pieniędzy.

Moja akcja wydawnicza zawierała parę pozycji. Pierwszą z nich był *Biuletyn Informacyjny* — pismo Okręgu Warszawskiego SZP. Na konferencji z redaktorem Aleksandrem Kamińskim został ustalony charakter pisma. Jak się z czasem okazało, *Biuletyn Informacyjny* stał się pozycją wyjątkowo udaną. Po moim wyjściu z Komendy Warszawskiej *Biuletyn* przeszedł do Komendy Głównej i ukazywał się przez cały czas okupacji niemieckiej, aż do ostatnich dni Powstania, stając się pozycją znaną i cenioną w całej Polsce. Rzeczą godną uwagi jest, że przez cały czas istnienia *Biuletynu* redaktorem pozostawał Aleksander Kamiński.

Drugą pozycją mojej działalności wydawniczej była *Polska Walczy* — *Głos Polskiej Myśli Demokratycznej*. Było to pismo nie akowskie, lecz moje własne, popierane i subwencjonowane przez AK. Ja osobiście odpowiadałem za treść i kierunek pisma. Nie byłem niczym skrupowany. O piśmie świadczą egzemplarze, które się zachowały w różnych dzisiejszych instytucjach państwowych. Nie będę dawał jego charakterystyki. Wspomnę tylko, że od pierwszych numerów począwszy w każdym numerze był artykuł o Rosji Sowieckiej. Nie ograniczałem się jedynie do Niemców. I to właśnie odróżniało *Polskę Walczy* od pozostałej prasy podziemnej. Pismo miało własny kolportaż. Poza tym kolportowali go na początku ludowcy, a przez cały czas okupacji WRN.

Wydałem także parę broszur. Jedna z nich, „Teoria rewolu-

cji", stała się tematem niezwykle cennej dla mnie dyskusji z prof. Ludwikiem Krzywickim i paru towarzyszącymi mu profesorami.

Po pewnym czasie zacząłem wydawać *Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej*. I tu także korzystałem z wydajnej pomocy Komendy Głównej AK. Generał Grot przydzielił mi drukarnię przy ulicy Odolańskiej, zbudowaną kosztem paruset tysięcy złotych. *Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej* musiały mieć własny aparat kolportażowy, obsługujący Kresy od Wilna do Lwowa.

Wreszcie już po „wyzwoleniu”, tzn. za rządów Bieruta ukażała się *Polska Niezawista*, subwencionowana przez Delegaturę Wojskową na Kraj. Delegatem po aresztowaniu Nila został płk Rzepecki. Był on u mnie częstym gościem i *Polskę Niezawistą* kolportował.

Osobny rozdział należałby się płk. Rzepeckiemu i szeregowi postaci, z którymi miałem do czynienia za czasów Podziemia, którzy przeszli tak bardzo wymowne „metamorfozy”. Na przykład Kazimierz Banach albo Czesław Wycech, albo Radosław, albo... Nie mówię już o Tatarze, Kirchmayerze.

Na razie tematu tego poruszać nie będę. Ale słów parę powiedzieć chcę o Rzepeckim, z którym swego czasu współpracowałem jako Komendant Główny Okręgu Warszawskiego SZP. Rzepecki został mi przydzielony przez Komendę Główną jako naczelnik Wydziału Wojskowego w moim sztabie. Po pewnym czasie zameldowałem się u Grota i prosiłem o zabranie Rzepeckiego. Pracę jego oceniałem ujemnie. Wkrótce przestałem być Komendantem Warszawy, a Rzepecki, jak słyszałem, objął stanowisko szefa BIP-u.

Drogi nasze się rozeszły. Po pewnym czasie parę razy spotkałem się z Rzepeckim jako szefem BIP. Odniosłem wrażenie, że się co do mojej osoby „uspokoił”. Potem, po dłuższym niewidzeniu, zjawił się u mnie w Milanówku jako łącznik gen. Okulickiego — Niedźwiadka i doprowadził Niedźwiadka do mnie.

A potem, kiedy było już po wszystkim i powstała Delegatura Wojska Polskiego na Kraj, Rzepecki przyszedł się radzić, czy ma zostać „delegatem” po aresztowaniu płk. Nila. Delegatem został i nawiązał ze mną ścisłą współpracę. Mieszkalem wtedy w Podkowie Leśnej. Rzepecki był prawie codziennym gościem, subwencionował wydawaną przeze mnie wówczas *Polskę Niezawistą*, kolportował ją. Przypominam, jak pewnego dnia przyniósł i odczytał mi list Radosława pisany do niego i swoją ostrą nań odpowiedź. Pamiętam, jak wielkie nadzieje łączył z Mikołajczykiem. A potem nastąpiło aresztowanie Rzepeckiego i proces. Znany jest powszechnie przebieg procesu i „uniewinnienie”.

Było to widowisko przykre i odrażające. Pamiętam rozmowę o procesie i zachowaniu się Rzepeckiego z siostrą jego, p. Pohowską. Była to rozmowa bardzo tragiczna. Nie będę jej powtarzał, ale nie mogę usunąć jej z pamięci.

Może w żadnym czasie nie zarysowały się tak wyraziście jak wtedy blaski i nędze ludzkiego życia. Co prawda, i teraz nie-mało tego jest.

Tak już jest, że mamy do czynienia z postaciami niesympatycznymi a nawet odrażającymi, a jednocześnie otaczają nas ludzie wspaniali, wzruszający, budzący najlepsze uczucia. Ileż takich postaci koło mnie się przewinęło. Wspaniała polska młodzież... Szare Szeregi. W czasach normalnych, pokojowych, kiedy „nic się nie dzieje”, przechodzimy przez życie nie widząc tego co nas otacza, przechodzimy jak ślepi. A kiedy piorun wojny i wydarzeń tragicznych uderzy, owo codzienne szare i niedostrzegalne życie zakwita niezwykle kwiatami, tak bardzo ludzkimi, przemijającymi do głębi wyrazem. Człowiek staje się ładny. To właśnie wyjrzało na mnie w owych czasach.

Z Grottem z pewnymi przerwami widywałem się systematycznie. Omawialiśmy niejedno. Z czasem zapanowała między nami droga dla mnie przyjaźń.

W porównaniu ze mną i moją przeszłością kijowską Grot był konspiratorem na dorobku. Nie był dostatecznie ostrożny i przewidujący. Konspiracja szwankowała, nie stała na wysokości zadania. Całe szczęście, że Niemcy byli tępi i pozbawieni wyobraźni. Gdyby to byli ludzie „normalni”, podobni do czekistów i agentów NKWD, a nawet do polskiej Bezpieki, świat ówczesnej konspiracji wojskowej nie potrwałby długo.

Wystarczy wspomnieć sztabowy lokal gen. Tokarzewskiego przy ulicy Pięknej. Było to najdoskonalsze i najbardziej irytujące zaprzeczenie konspiracji. Lokal ten robił wrażenie gwarne-go, rozgadane-go biura. W poszczególnych pokojach odbywały się rozmowy i konferencje. Przewalały się gromady interesantów. Wszyscy mogli siebie oglądać i wszyscy się znali. Nie zapomnę, jak pewnego razu po zakończeniu rozmowy Tokarzewski wziął mnie za ramię i chciał wprowadzić do pokoju łączniczek, mówiąc że niewiasty chcą zobaczyć i poznać Olgierda. Wykręcałem się, jak mogłem, ale z dwoma czy trzema łączniczkami musiałem się poznać i dałem się zobaczyć. Do Karasia mam sentyment, a rzecz, o której wspominam, nie pozbawiona jest uroku.

Moje służbowe odwiedziny już za czasów Grota nabrały charakteru przyjacielskiej wizyty. Opiekowała się tym p. Ela. Tego rodzaju protokół wpłynął odciążająco na skurcz napiętych ner-

wów towarzyszący naszej ówczesnej pracy. Miało to w sobie coś z instynktu samozachowawczego.

Z biegiem lat lokal przy Pięknej został skasowany. Zapanał styl bardziej konspiracyjny i surowy. Spotykałem się z Grotem w biurze technicznym maskującym pokój konferencji. Było to w pobliżu „małego getta”. Lokal ten skończył się w dość osobliwych okolicznościach. Pamiętam, jak po dwugodzinnej konferencji wyszliśmy razem z Grotem na ulicę i natknęliśmy się na niemiecką tyralierę i karabiny maszynowe rozlokowane na chodniku. Miała nastąpić akcja. Niemcy wpatrzeni w „małe getto” nie zwracali na nas uwagi. Przemknęliśmy się przez nich i wyszliśmy z matni.

Grot lubił spacerować w biały dzień po ulicach Warszawy. Była to nieostrożność granicząca z lekkomyślnością. Grot wiedział, że jest usilnie poszukiwany i sam mi najszczegółowiej o wszystkim opowiadał.

Lokal przy Placu Narutowicza, w którym ostatnio spotykałem się z Grotem, przypadł mi wyjątkowo do gustu. Był zaciszny, spokojny. Drzwi otwierała mi miła staruszka i przeprowadzała do pokoju Grota. Dobrze się tam rozmawiało. Ale i tu czekały niespodzianki. Skończyliśmy rozmowę. Było jeszcze słonecznie i jasno. Grot zaproponował spacer. Szliśmy więc rozmawiając Alejami Jerozolimskimi do skrzyżowania ulicy Marszałkowskiej. Tu Grot wsiadał do tramwaju i wracał.

Grot był wielkim komendantem AK, miał urok osobisty, był moim serdecznym przyjacielem, ale nie był stworzony do konspiracji.

Z biegiem czasu, niedługo przed zamachem na mnie, zostały nawiązane stosunki z Delegaturą Rządu. Premier Jankowski wydelegował do rozmowy ze mną Leopolda Rutkowskiego i starszego pana, jakiegoś posła czy senatora z Wileńszczyzny — nazwiska zapomniałem. Odbyła się konferencja ustalająca moją współpracę z Delegaturą, która zaopiekować się miała moimi wydawnictwami i ustaliła subwencję dla *Polska Walczy*.

Nie będę wyliczać ludzi, z którymi pracowałem i miałem do czynienia. Był to świat bardzo mi bliski. O paru nazwiskach już wspominałem. Obecnie dodam jeszcze parę osób, które wryły się w moją pamięć. Są to płk Kazimierz Stamirowski, mój współpracownik z Komendy Warszawskiej, Zygmunt Hempel, gen. Pełczyński - Grzegorz. Wspomnę o moim dawnym przyjacielu, Stanisławie Stempowskim, współpracującym w redakcji *Polska Walczy*.

Był jeszcze Artur Śliwiński i inni. Stoi mi w oczach uroczą postać Leszka Raabe — lewica PPS. Towarzyszem niezwykle bliskim i serdecznym był Aleksander Kamiński, redaktor *Biuletynu Informacyjnego*, i wielu, wielu innych. A moje otoczenie osobiste... Był to świat, w który się wpatrzyłem i czułem na sobie jego wzrok. Wzrok ten mówił, że warto żyć. Istnienie ludzkie zawiera w sobie sens nie dający się wyrazić słowami, a tym, co jest...

Mudryj. Nie pamiętam dobrze daty, kiedy zjawił się u mnie wysłannik Delegatury Rządu w sprawie b. posła na sejm, Mudrego. Zostałem poinformowany, że w Londynie powzięto decyzję wprowadzenia do Rady Narodowej pełniącej rolę jakby parlamentu Polski przedstawiciela ukraińskiej ludności Rzeczypospolitej.

Mudryj był w świecie ukraińskim Małopolski postacią czołową. Obiecałem powierzoną mi sprawą się zająć, tzn. uzyskać zgodę Mudrego na wyjazd do Londynu i podjęcie proponowanej tam roli. Technika sprowadzenia Mudrego do Warszawy i jego wyjazdu do Londynu miała się zająć Delegatura.

W ostatnich latach przed wojną nastąpiło pomiędzy Mudrym a mną pewne zbliżenie, a także zbliżenie grupy sejmowej UNDO z ukraińskimi posłami z Wołynia UWO — *Ukraińskie Wołyńskie Objednannia*. Na początku były to dwa bieguny. Z czasem Undowcy zaczęli ze mną rozmawiać jako z człowiekiem, którego nie można pomijać w sprawie ułożenia stosunków polsko-ukraińskich. Nie byłem jednak pewien, jak zareaguje Mudry na propozycję Delegatury Rządu w czasach tak innych i okolicznościach niezwykłych.

Po zasięgnięciu informacji postanowiłem zgłosić się do prof. Uniwersytetu Warszawskiego Baley'a, Ukraińca, znanego psychologa. Profesor był uprzedzony o moim przyjeździe i czekał na mnie. Nie znaliśmy się. Już wstępna rozmowa stała się miłą niespodzianką. Baley oświadczył, że wie, z kim rozmawia i jest do mojej dyspozycji. Co się tyczy Mudrego, o czym mu zakomunikowałem, rzecz przedstawia się o tyle pomyślnie, że Mudryj był jego uczniem i łączy go z nim jak najlepsze stosunki. Wy tłumaczyłem profesorowi, o co chodzi. Oświadczył, że gotów jest natychmiast wyjechać do Lwowa i z Mudrym się rozmówić. Tak się też stało.

Po powrocie profesora spotkała mnie druga miła niespodzianka. Mudryj kazał przekazać, że jest do mojej dyspozycji i wykona wszystko, o co się do niego zwracam, oraz oświadczył, że moja osoba jest dla niego wystarczającą gwarancją, że propo-

zycję Delegatury Rządu należy przyjąć. Wreszcie zastrzegł, że prosi o moją obecność przy jego rozmowie z Delegatem Rządu.

Zawiadomilem Delegaturę Rządu o stanowisku Mudrego. Sprawa ucięła i na tym się skończyło. Nie wiem, co się stało z Mudrym. Delegatura więcej się do mnie nie zwracała. Dla porządku rzeczy stwierdzam, prof. Baley odmówił zwrotu kosztów swej podróży do Lwowa.

Jasieniec. Rok 1943. Wspomniałem już o gotującym się na mnie zamachu ze strony polskiej tych samych ludzi, co dokonali znanych politycznych mordów. Mówiono o czynnikach ONR-owskich. Po pewnym czasie zostałem zaalarmowany przez Komendaturę Główną o szykującym się na mnie zamachu z inicjatywy moskiewskiej. Temat ten poruszyłem w rozmowie z Grzegorzem. Grzegorz wyraził zdziwienie, twierdząc, że nie jest to przez Moskwę praktykowane — obiecał rzecz całą zbadać. Z biegiem czasu okazało się, że wersja akowskiej „dwójki” odpowiadała prawdzie.

Moje osobiste obserwacje wskazywały na coraz silniejszą inwigilację. Mieszkałem na Barbary 10. Pewnego dnia umówiliśmy się z Myszą, tzn. z p. Krzyżanowską, że pójdziemy na imieniny do naszych wspólnych znajomych. Wyszliśmy koło godziny 5-tej. Koło bramy stał wyraźnie ten, kto mnie pilnował. Szliśmy w stronę Poznańskiej. Kiedy minęliśmy Poznańską, zobaczyłem idącego naprzeciw znanego mi akowca, kapitana „dwójki”. Było przyjęte, że na ulicy nigdy się z nikim nie witałem i nikomu nie kłaniałem. Kapitan przeszedł koło mnie. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Po paru krokach usłyszałem, że mnie dopędza. Przechodząc koło mnie powiedział, że zamach ma być lada chwila.

Poszliśmy z Myszą na imieniny. Po imieninach do domu już nie wróciłem. Udałem się do moich przyjaciół i tam mieszkałem kilka dni. Postanowiłem wyjechać gdzieś pod Warszawę i zatrzeć za sobą ślady. Mój dobry znajomy i serdeczny przyjaciel, p. Lucjan Niemyski zawiózł mnie do Jasieńca koło Grójca i ulokował w gajówce w jakimś prywatnym leśnictwie. Mieszkałem tak parę miesięcy. Miałem dobre warunki i życzliwych koło siebie ludzi.

Dwa razy w tygodniu miałem łącznika z Warszawy. Moja praca odbywała się dalej bez przerwy. Pisma wychodziły normalnie. Tam właśnie w gajówce przyszła wiadomość o aresztowaniu Grota i śmierci Sikorskiego.

Pewnego wieczora stało się to, co się stać miało. Graliśmy

w brydża w moim małym pokoju w chałupie chłopskiej (bo tak wyglądała gajówka). W pewnym momencie na tle ciemnego nieba nocy, w otwartym oknie tuż nad podłogą ukazała się blada, nerwowa twarz i dwoje rąk — w każdej po brauningu. Facet w najwyższym zdenerwowaniu zaczął nieprzytomnie strzelać z obu maszyn. Siedziałem plecami do okna. W chwili zawołania „ręce do góry” stanąłem z boku tuż koło ramy okiennej. Po paru sekundach albo minucie facet przestał strzelać i znikł, jakby się zapadł pod ziemię. Wtedy stało się coś, czego nie mogłem rejestrować. Skonstatowałem, że jest ciemno i nic nie widać. Uświadomiłem sobie, że leżę na ziemi w czymś mokrym. Była to krew. Nie czułem żadnego bólu. Myśl funkcjonowała powoli, ze spokojem, nie śpiesząc się. Umieram — pomyślałem. I wtedy zjawiła się powszechnie znana informacja, że przed umierającym przesuwają się filmy całego życia. Odniosłem wrażenie, że nie wszystko jest w porządku... i raptem ujrzałem broczące krwią, leżące, trafione celnie moimi kulami dziki — wspaniałe dziki. Nastąpiło jakieś zbratanie się z „kabanami”, jakbym się poczuł w towarzystwie. Panowała niczym nie przerywana cisza. Przy brydżu było nas czterech — mój towarzysz broni Janusz Sipayłło, gospodarz i letnik z Warszawy. Zapytałem, co się z nimi dzieje. Janusz odpowiedział słabym głosem, że nie może się ruszyć, gospodarz wypadł z pokoju a warszawski gość zemdłał. Nic mu się nie stało.

Moje zachowanie w okolicznościach, które opisuję, może wydawać się nieco dziwne. Obowiązywała mnie dyspozycja gospodarzy: napadającej bandzie nie trzeba stawiać oporu. Bandy te grasują w okolicy od dawna. Chodzi o pieniądze w portfelach i kieszeniach i o nic więcej.

Wreszcie w domu zaczął się ruch. Zamiast rozbitej lampy wniesiono nową zapaloną. Rozpoczął się film, którego opisywać nie będę. Zabrałoby to za wiele czasu i miejsca. Znalazłem się wreszcie z Januszem w prywatnym niemieckim szpitalu dr. Webera na ulicy Chmielnej. Zjawiła się w całej okazałości medycyna, tzn. chirurgia. Byliśmy obaj mocno uszkodzeni granatem defensywnym. Do dnia dzisiejszego moja doczesna powłoka nafaszerowana jest odłamkami granatu różnej wielkości. Stał się to mój osobisty inwentarz. Miałem mocno rozharataną lewą nogę. Janusz także miał pogruchotane kości w jednej nodze.

Szpital wspominam dobrze. Decydując się na prywatny szpital niemiecki wychodziłem z założenia, że nie będzie tu rewizji

dokumentów jak w innych szpitalach. Grono najlepszych przyjaciół dotrzymywało wiernie towarzystwa.

Po paru dniach zjawił się delegowany przez Komendę Główną pułkownik Nil. Zaproponował przeniesienie mnie ze szpitala do luksusowej willi, gdzie będę miał jak najlepsze warunki.

Podziękowałem i prosiłem, żeby pozostawiono mnie w szpitalu pod opieką najbliższego „towarzystwa”. Do Nila zwróciłem się z prośbą nieco inną. Uważałem, że wypada zlikwidować bolszewickich agentów, którzy wykonali zamach.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że z owej pięcioosobowej bolszewicko-komunistycznej grupy pow. grójeckiego pozostał jeden, który uciekł. Resztę zastrzelono.

Jeszcze raz spotkałem się ze sprawą zamachu w gajówce. Było to w roku 1953 podczas śledztwa na Mokotowie. „Śledź” był o wszystkim doskonale poinformowany. Na pytanie co miało miejsce w gajówce, odpowiedziałem, że napadli jacyś bandyci. Wtedy „śledź” wybuchnął. Walnął pięścią w stół. Rozległa się „wiązanka” — bo tak się to w gwarze złodziejskiej nazywa. W końcu „śledź” wrzasnął „nie prowokować”. I tu z największym autorytetem stwierdził, że byli to „komuniści — żołnierze” i że jeden z nich zajmuje obecnie wysokie stanowisko. A więc... dosięgła mnie dyspozycja moskiewska, o której swego czasu informował mnie oficer „dwójki” AK.

Jak już wspominałem, po wyjściu ze szpitala przewieziono mnie na noszach do mieszkania dr Idalii Korsak. Tu „urzędowałem” przez pewien czas. Codzienne opatrunki chirurgów, morfina... dokonano nawet trwającej 40 minut operacji kolana, która się nie udała. Nie tylko to wypełniało moje „urzędowanie” — przychodzili bliscy mi ludzie z AK i ze świata politycznego. *Polska Walczy* pojawiała się możliwie systematycznie. Tam też odbyły się Święta. Przed Wilią, w tajemnicy przed dr Korsak, moja siostra zrobiła mi dobry zastrzyk eukodalu. Podczas Wili trwał błogi, domowy nastrój. Pod wiosnę zacząłem się poprawiać. Pewnego dnia a raczej wieczoru Komenda Główna dała znać, że miejsce mojego pobytu znane jest Gestapo i w każdej chwili mogą przyjść po mnie. Wieczorem nie mogłem nigdzie się ruszyć. Wyruszyłem rano, ale noc nie była przyjemna. Dr Korsak odwiozła mnie „ekadeczką” do Leśnej Podkowy. Nie byłem lokatorem pożądanym. Miałem nogę w gipsie i ledwo się ruszałem. Ale od czego są przyjaaciele... Udało mi się w Leśnej Podkowie zamieszkać. Kiedy zrobiło się ciepło, przeniósłem się do Milanówka. Tam właśnie był mój punkt organizacyjny i tam przebywał mój ranny Janusz.

Podkowa - Milanówek - Podkowa. Był to okres wielkich wydarzeń. Powstanie Warszawskie przeżywałem leżąc ranny na poddaszu willi niedaleko „Ostoi”, która była prawdziwą i niezawodną ostoją dla mnie i moich najbliższych i dla wielu innych osób.

O Powstaniu dawały znać błyski wybuchów i świecące bomby lotnicze nad Warszawą. Nadchodziły najbardziej ponure i tragiczne wieści.

Po zakończeniu Powstania w Milanówku znalazła się Delegatura Rządu i pewne szarże AK. Atmosfera stała się intensywna i naelektryzowana. Miałem wiele odwiedzin. Między innymi miałem długą rozmowę z Zygmuntem Zarembą. Oczywiście mówiliśmy o Powstaniu, tzn. on mówił, a ja słuchałem. Zabrałem głos i wyraziłem moją mało pochlebną opinię o Rządzie i przedstawicielstwie politycznym urzędującym w Warszawie przez cały czas Powstania. W moim przekonaniu Rząd nie mógł nie zabrać głosu — powinien był wydać manifest o Powstaniu, wesprzeć je swoim autorytetem, nie dać bezkarnie hulać różnym niepowołanym opiniom, wydawać Powstanie na żer przygodnych osądów jak bezpańskie dziecko. Wojskowe komunikaty z placu boju nie załatwiały sprawy. Zaremba był urażony: nie tego spodziewał się od Olgierda. Do dnia dzisiejszego stanowiska mego nie zmieniłem. Nic nie jest w stanie wyrównać szkody, jaka powstała ze względu na brak „Manifestu”. Byłby to jeden z najbardziej wzruszających aktów w naszej historii. Miałem także wizyty innych panów z Delegatury, świata politycznego i wojskowych. Kiedy po pewnym czasie Milanówek zajęły wojska sowieckie, jakiś major — sowiecki komisarz Milanówka — zwykł był mawiać: *„u mienia zdieś maleńkij Łondon”*.

Obiektem zainteresowania mieszkańców Milanówka stał się Pruszków — miejsce wyładowywania i przeładunku ewakuowanej z Warszawy ludności. Zaczęto także przedostawać się do Warszawy. Nadchodziły straszne wiadomości. W parę dni po zakończeniu Powstania był w Warszawie Artur Śliwiński. Opowiadał na co oczy jego patrzyły i jak płakały, gdy jechał przez warszawskie ulice.

W miarę czasu coraz natarczywiej dawała o sobie znać wieść o zbliżaniu się sowieckiego frontu.

Aż nadszedł dzień... Siedziałem w moim pokoju na poddaszu i rozmawiałem z p. K. o jego artykule na tematy gospodarcze. Byliśmy mocno zaaferowani rozmową. Od rana przez ulicę przesuwiał się nieprzerwanie tabor wyładowanych, pakownych niemieckich wozów. Wszystko wyglądało solidnie — wozy, konie,

eskorta oficerów i żołnierzy. Mówiono, że tabor zajmuje szereg kilometrów i udaje się w stronę Błonia.

W pewnej chwili wybuchła kanonada, jak się wydawało, tuż, tuż. I wtedy zaczęło się przedstawienie jedyne w swoim rodzaju, nieoczekiwane, raptowne. Niemiecka eskorta w największym pośpiechu zeskakowała z wozów i koni i przyskała na strony, kryła się w zabudowaniach, krzakach, drzewach. Widziałem, jak paru Niemców przeskakiwało przez płot i biegło do ogrodu. Wpadłem na parter i kazałem zamknąć wszystkie drzwi i okna. Niemcy próbowali się dostać, ale czas nagle i wiali dalej.

Gdy wróciłem na swoje poddasze i spojrzałem przez okno, wozów i koni prawie już nie było. To ludność Milanówka dawała sobie radę. Dojrzałem ostatnie już postacie uprowadzające wozy, konie, dźwigające na plecach worki, jakieś tłumoki, poćcie słoniny. Bardzo prędko ulica doszła do normalnego stanu — była pusta, po Niemcach nie pozostało wspomnienia. Bardziej uważne przyjrzenie się wskazywało na pewien niezwykajny ruch w obejściach, pośród płotów i domów.

Wszystko stało się błyskawicznie. Najlepiej opracowany plan zlikwidowania niemieckiego obozu nie mógł się równać z tą swoistą improwizacją ludności Milanówka, ze znajomością rzeczy, sprawnością działania.

Gdy się wszystko uspokoiło i zapanowała cisza, a sylwetki kryjących się Niemców znikły z pola widzenia, dostałem się, tak jak zawsze, przez ogrody do Ostoi, gdzie zebrało się już całe moje „towarzystwo”. Tam właśnie ujrzałem przez okno sowieckie czołgi oblepione „bojcami”. Właśnie ten zagon czołgów zaatakował w Milanówku niemiecki transport.

Poczuliśmy się w innym świecie. Niemców nie było. Ciekawe rzeczy działy się także w nocy. Gdy zapadł mrok, w milanowieckim lesie został zaimprovizowany jarmark na niemieckie konie. Ludność wiejska z okolic Milanówka zjawiała się gromadnie. Starano się zachowywać ciszę. Uwiązane koło drzew konie gospodarze po zawarciu kupna odprowadzali do siebie na wieś.

A więc przyszło „wyzwolenie”... Były to dni może najtrudniejsze do przeżycia. Życie polskie trwało w nadludzkim wysiłku i w walce nieliczącej się z ofiarami, trwało w nadziei a nawet pewności, że przyjdzie dzień zmartwychwstania. Niemców w Polsce nie będzie. Będziemy wolni.

Niemcy poszli. Pojawiła się Rosja Sowiecka. Było tak, jakby zmartwychwstałemu z grobu Łazarzowi kazano znowu do grobu powrócić. Nie wyobrażałem sobie, by scena taka mogła mieć miejsce.

Po paru dniach, jak zawsze, przyszła na moje poddasze mleczarka — kobieta wiejska — i przyniosła zwykłą porcję mleka. Na moje zapytanie co się dzieje na wsi usłyszałem — „już trzeci dzień nie myjemy się i nie sprzątamy chałupy... z nimi inaczej nie można”. Była to ludność obyta z obcym najazdem, doświadczona. Instynkt samozachowawczy podpowiadał jej, jak się ma zachować.

VII. WYZWOLENIE ROSYJSKO-SOWIECKIE

144.

Czułem się jak podczas trzęsienia ziemi. Zmieniło się „wczorajsze” — przyszło „dzisiejsze”, w zgiełku najprzeróżniejszych wydarzeń, obce, wrogie... z czym nie można się pogodzić. W ogólnym rozgardiaszu trudno było zdobyć się na jakiś sensowny plan działania. Po pewnym czasie zdecydowałem wydawać *Polskę Niezawistą*. Niejednokrotnie rozmawiałem o tym z Arturem Śliwińskim, który inicjatywę moją popierał. W pewnej chwili przyszedł mi z pomocą Rzepecki — Delegatura Wojska na Kraj. Ale to sprawa dalsza.

W tym czasie pochłonięła mnie bez reszty propozycja Niedźwiadka — generała Okulickiego. Wiedziałem, że Niedźwiadek bawi w Częstochowie. Swego czasu dał mi znać, że przyjedzie i nawet przygotowałem na jego pobyt mieszkanie. Nie doszło to jednak do skutku.

Pewnego dnia zjawił się w Ostoi płk Rzepecki, przysłany przez Niedźwiadka. Oświadczył, że generał jest i chce się ze mną widzieć. Ustaliliśmy czas spotkania. Niedźwiadek się zjawił. Odbiliśmy parę długich rozmów w cztery oczy. Generał przyszedł z konkretną propozycją. Miałem stanąć z nim do współpracy jako szef wydziału politycznego i całej politycznej roboty w Podziemiu. Sprawy wojskowe należałyby do niego.

Niedźwiadek argumentował, że w powstałej sytuacji akcja AK powinna być gruntownie zreorganizowana. Mówił: „Mamy przed sobą nie Niemców i Gestapo, a Rosję Sowiecką i NKWD. To w sposób gruntowny zmienia stan rzeczy i wymaga innych metod działania. Ci, co nie zdają sobie sprawy z tego czym jest NKWD, nie mogą w organizacji brać udziału — po prostu nie nadają się”.

Niedźwiadek doszedł do przekonania, że nie mogą urzędować instancje zbiorowe, jak np. Rada Ministrów i Delegatura Rządu ze swoimi politycznymi i społecznymi przybudówkami, a dowództwo wojskowe także powinno ulec reorganizacji. Wysunął propozycję, abyśmy w całkowitym ze sobą porozumieniu objęli kierownictwo akcji — on odcinek wojskowy, ja polityczny.

Po wszechstronnym omówieniu tematu włącznie z personaliami stanąłem do dyspozycji. Podaliśmy sobie ręce. Na prośbę generała miałem zredagować wniosek o rozwiązaniu Rady Ministrów, a Niedźwiadek miał wniosek ten przedstawić na konferencji z Delegaturą Rządu. Rozmowa nasza trwała do późna wieczór. Dla zredagowania wniosku miałem noc. Na rano, na umówioną godzinę wniosek był gotów. Niedźwiadek nie przyszedł. Tak było przez parę dni. Wreszcie zjawił się Rzepecki. Na moje słowa, że muszę się zobaczyć z Niedźwiadkiem i dziwię się, że się do mnie nie zjawił usłyszałem „żeby się z Niedźwiadkiem rozmówić trzeba pojechać do Moskwy”. Zrozumiałem.

W rozmowach ze mną Niedźwiadek niejednokrotnie wspominał o „negocjacjach” Delegatury z „Pruszkowem”, wskazywał na bezsensowność tej inicjatywy i odnosił się do tego bardzo krytycznie. Niedźwiadek nie miał zamiaru brania udziału w tej imprezie, odzywał się o niej wyraźnie niepochylnie. A jednak wziął udział i razem z innymi wyjechał... Może doszedł do przekonania, że nie wolno mu opuszczać „towarzyszy broni”, może stało się coś najbardziej nieprzewidywanego.

Niedługo bawiłem w Milanówku. Powróciłem do Leśnej Podkowy. Rzepecki mnie nie odstępował, zjawiał się prawie co dnia i prowadziliśmy nieustanne rozmowy o sytuacji. Zafascynował go Mikołajczyk. Wydawałem *Polskę Niezawistą* przy materialnej pomocy Delegatury Wojskowej na Kraj.

W tym czasie zaczął się znowu mój kontakt z Londynem. Inicjatywa wyszła z Londynu, on zorganizował łączność. Wysyłałem sprawozdania. Zadomowiłem się w Podkowie na dobre. Moja praca rozwijała się pomyślnie. Zacząłem nawet malować...

Wydarzeniem, które wstrząsnęło mną do głębi, był proces moskiewski nad polskim prawowitym Rządem zwabionym, aresztowanym i przewiezionym na Łubiankę.

Nie jestem w stanie spokojnie o tym mówić. Nie można nad tym przejść do porządku i mieć do czynienia z Moskwą „jakby nic nie było”. Bezczelnie jawna, nie licząca się z niczym przemoc, cynizm i zbrodnia święciły swój triumf ku chwale Mos-

kwy. Ale może najbardziej jeszcze obrzydliwe były obliczenia zachodnich mężów stanu — sprzymierzeńców Polski, np. Churchilla, Edena i innych.

Ponure światło moskiewskiej zbrodni ukazało nieznane ich oblicze, niedostrzegalne w świetle dni codziennych i chwały wiekopomnych czynów, które przejdą do historii...

Przemknęła się także afera Mikołajczyka — żałosna, bzdurna, wydymana sztucznie przez ówczesnych potentatów politycznych Zachodu. Manewr Mikołajczyka spowodował niemałe zamieszanie w ówczesnym życiu Polski, wywołał tysiące nieporozumień, prowadził do mętnych sytuacji.

Utrwalała się z dnia na dzień władza Polski Ludowej z Bierutem na czele i z dobrodziejstwem moskiewskiego panowania. O wszystkim należało coś powiedzieć — a więc mówiono. Ruszyły do ataku przeróżne poglądy, rady praktyczne i teoretyczne, nie byle jakie przedstawienia dawał „zdrowy rozum”, nie mówiąc już o wyczynach czarującej myśli intelektualistów...

Dołem po miastach i wsiach płynął nieustępliwy nurt polskiej rzeczywistości. Postawa narodu nie zbaczająca z drogi i szła w jednym i tym samym kierunku.

Życie zabiłniało rany zadane przez wojnę, niemiecką okupację i rosyjskie wyzwolenie. Świeciły różne „gwiazdy zaranne”.

Karierę robili moskiewscy agenci, oportuniści głoszący, że „wszystko jest w porządku” albo chwale tego, co nadchodzi. Pomimo wszystko jednak Polska nie przestawała istnieć taka, „jaką ją Pan Bóg stworzył”. Wiecznie ta sama, wierna sobie i coraz to inna.

Moje „urzędowanie” w Podkowie miało się ku końcowi. Zaczęły pojawiać się znaki coraz bardziej wymowne. Łączność z Londynem wcześniej czy później musiała dać trop tym, co na mnie polowali. Nie będę opisywał tych nie pozbawionych emocji wydarzeń... Pewnej nocy zostałem otoczony niemałym oddziałem UB. Plan UB był dość pomysłowy. Była prowokacja, zamiana łączników itd. Może dlatego, że mieszkałem w lesie, zdołałem z matni się wydobyć. Wyzyskałem moje niemałe doświadczenie myśliwego na grubego zwierzaka. Ubecy szli na pewniaka. Wszystko mieli w ręku. Leżąc pod krzakiem obserwowałem ich przez pewien czas jak zajmowali willę, w której mieszkałem. Potem korzystając z lasu i wspaniałej nocy księżycowej wycofałem się z zastawionej pułapki i przez Milanówek trafiłem piechotą do Pruszkowa, a stamtąd autobusem do Warszawy. Ekadeczką była przez dłuższy czas obstawiona agentami, a w Warszawie, jak

miałem na to dowody, zatrzymywano przez parę dni panów z brodą.

Z Warszawy udałem się do Gliwic, a potem do Wrocławia. Przez cały czas nie traciłem kontaktu z moim „towarzystwem” w Polsce i z Londynem. Pamiętam mój elaborat pisany dla Londynu w przeddzień wystawy Wrocławskiej. Wystawa źle mi się przysłużyła. Nie mogłem się powstrzymać by jej nie zwiedzić, i tam mnie poznano.

We Wrocławiu było wielu małopolan, wileńczuków, wołyniaków. Musiałem zmienić moje miejsce pobytu. Zamieszkałem w Ostrówku, koło Klembowa, niedaleko Tłuszcza. Ale i tu nie bawiłem długo. Znowu na progu stanął cień UB. Ledwo się wyratowałem. Przez pewien czas mieszkałem w Radomiu, w końcu znalazłem się w Jaszczowie koło Lublina. Miałem zamiar zamieszkać tu na stałe. Stałem się znanym hodowcą orzecha włoskiego. Moją hodowlą zainteresowały się Puławy. Uniwersytet Lubelski zakupił partię dwulatków. Izba Ogrodnicza Lubelska weszła ze mną w ścisły kontakt. Nawet prof. Pieniążek napisał list, bardzo dla mnie jako hodowcy pochlebny, dziękując za partię jednoroczniaków, które moja firma przesłała na jego ręce do Skierniewic. Wreszcie w Jaszczowie nie uniknąłem losu tropionej przez *osiem lat* zwierzyny i... znalazłem się w Mokotowie w lutym, w roku śmierci Stalina.

W wyliczaniu miejscowości, w których w opisywanym okresie przebywałem, należy jeszcze wspomnieć o Skierniewicach, Sufczyńie koło Kołbieli i Warszawie.

VIII. WIĘZIENIE

Już samo aresztowanie dało mi serię niecodziennych przeżyć. Gdy znalazłem się w więzieniu, przeszedłem technikę przyjmowania i instalowania w celi, poczułem swą przegraną... Okazało się jednak, że ta przegrana nie była wszystkim — stanęło przede mną coś, co przegraną nie było, wskazywało na wartości nie mniej realne niż „przegrana”. Poczułem grunt pod nogami i ambicje nie byle jakich osiągnąć w odrażających więziennych warunkach bytowania.

Dochodziła jeszcze pozycja wyjątkowo dotkliwa. W związku

z moim uwięzieniem uwięziono kilkanaście osób z mego „towarzystwa”, i to jakich osób! Było to trudne do zniesienia. Gdy o tym myślałem, czułem się jak w ukropie, paliło mnie ogniem.

Pierwsze dni w więzieniu były dniami zamętu, niemożności uporządkowania myśli i uczuć. Czułem się jak osaczone zwierzę. Z biegiem czasu pojawił się jednak ów „grunt pod nogami”, o którym wspominałem i w dodatku jeszcze coś, co ostatecznie określało moją sytuację, samopoczucie i dało mi podstawy dla dalszego postępowania.

Stało się jasne, że w stosunku z władzami więziennymi, zwłaszcza prowadzącymi śledztwo, został wyeliminowany element ludzki. Człowiek nie mógł mnie obrażać bez względu na to co mówił i wyczyniał, nie mógł zawstydzić i zmusić, nie mogło być mowy o układzie, jaki jest między ludźmi, po prostu dlatego, że... człowieka nie było.

Nie czułem się między ludźmi. Przebywałem między jakimiś stworami czy zwierzętami w rodzaju pluskiew, pajaków, insektów. Czy można insektowi podać rękę, spojrzeć w oczy, obrazić się na pluskwę, mieć za złe że jest taka jak jest?

Usunął się poza burtę moich dni śledztwa balast stanów psychicznych właściwych obcowaniu człowieka z człowiekiem.

To określało i nadawało charakter moim stosunkom z władzami śledczymi i w pewnej mierze z administracją więzienną.

Sytuacja stała się wyraźna — chodziło o umiejętność manewru z insektami. Było w tym coś ze sportu — jak wykołować insekty, które z przedziwnym i nieustępliwym uporem dobierały się do mojej skóry?

Nie było to łatwe ani wesołe, czasem trudne do zniesienia, zwłaszcza wtedy gdy zapominałem, że mam do czynienia nie z ludźmi a ze stworzeniami udającymi ludzi. Stale musiałem przywoływać się do przytomności.

Obraz sytuacji i schemat postępowania wydają się łatwo zrozumiałe. Ale praktyczne stosowanie schematu wymagało z mej strony niemało wysiłku, dopóki się nie wdrożyłem. „Metoda” moja tłumaczy, dlaczego „śledzie” nie mogły mi nic złego zrobić nawet w wypadku gdyby mnie bili albo kopali, jak było w zwyczaju przedtem. W tej materii usłyszałem enuncjację majora — oficera śledczego, który nadzorował moje śledztwo. Moim „aniołem stróżem” był kapitan Dyduch, cieszący się na Mokotowie niemałą sławą. Major zjawiał się w pokoju śledczym Dyducha i brał udział w badaniu. Widziałem majora od czasu do czasu. Otóż pewnego razu, gdy badali mnie we dwójkę, moje odpowiedzi doprowadziły majora do szału. Wybuchnął i skoczył

do mnie. Siedziałem jak zawsze przepisowo w kącie pokoju na ascetycznym więziennym stołku. Gdy major przypadł do mnie z wrzaskiem wymachując rękami, byłem pewien, że uderzy... Byłby to „chrzest więzienny”, którego doznał niejeden z moich towarzyszy. Miałem ambicję żeby i mnie „ochrzczono”. Nie doszło jednak do tego. W największym rozdrażnieniu, głosem podniesionym wygłosił tyradę, której nigdy nie zapomnę i która ma wagę najbardziej urzędowej i autorytatywnej deklaracji. Cytuję z pamięci słowa majora i odpowiadam za treść enuncjacji: „Bezczelny... wie, że dzisiaj nie wolno bić... dwa lata temu leżałby z połamanymi żebrami we krwi u moich nóg...”.

Ubacy nie byli w stanie znieść mojej „moralnej ohydy” — wroga Bieruta, Stalina i Polski Ludowej. Wpadali w „święty gniew” i „wychodzili z nerw”, pełnili rewolucyjne apostołstwo, co podnosiło ich we własnych oczach i oczach reżymu.

W czasie śledztwa, które trwało ponad półtora roku, nie uderzono mnie ani razu, nie zadano żadnej z tortur fizycznych. Za to co do słów... dodawano sobie ducha. Słowo „kanalia” było raczej słowem towarzyskim przy zagajeniu rozmowy. Używano słów, których nie znałem i nie rozumiałem. Były to słowa gwary złodziejskiej, jak się potem przekonałem.

Czułem na sobie furię wyładowywanej wściekłości. Byłem wrogiem — nieprzejeżdżanym, najpodlejszym z wrogów. Cóż to za teren do popisu wobec siebie samego i władzy Polski Ludowej. Kapitan Dyduch tłumaczył mi niejednokrotnie, że moje przewinienia wobec Polski Ludowej są niczym w porównaniu z moimi grzechami wobec Moskwy. Dodawał zawsze, że będę wydany Moskwie i tam dopiero... Trwało to dobrych parę miesięcy. Zawsze deklarowałem, że chętnie do Moskwy pojadę. Powoływałem się nawet na zaproszenie ambasadora sowieckiego Antonowa-Owsiejnki, który mnie urzędowo do Moskwy zapraszał w roku 1930. Pytałem systematycznie, kiedy wyjazd nastąpi. Pewnego dnia Dyduch odburknął — „do Moskwy nie pojedziecie... osądzi was Polska Ludowa tak, że Moskwa będzie zadowolona”. Przerwały się nasze dialogi o moim wyjeździe, a Dyduch jeszcze raz potwierdził swój brak inteligencji. Zresztą było to nagminne.

Jeszcze jedną z wielu osobliwości Dyducha było bawienie mnie rozmową jak mnie będą wieszali i jak to będzie wyglądało. Poza tym upewniał mnie, że tu, w pokoju śledczym, decyduje się mój los. Wyrok będzie taki, jak zadecyduje UB i nikt nie ma tu nic do gadania. Mówi mi o tym dlatego, żebym się nie łudził...

Jak już wspomniałem, przez cały czas trwającego śledztwa nie wyrządzono mi żadnej krzywdy fizycznej, nie bito, nie stosowano zabiegów mających coś wspólnego z torturowaniem. Może być tylko mowa o metodach psychicznych.

Już to, że śledztwo trwało ponad półtora roku, miało swoją nie byle jaką wymowę. Chodzi o wysiłek fizyczny i zmęczenie psychiczne. Sprawa stanie się jasna po przytoczeniu paru szczegółów. Wyjawszy niedzielę, śledztwo trwało 6 dni w tygodniu — od 8-ej rano do 4-ej po południu i od 8-ej wieczorem do 12-ej w nocy, a więc dwanaście godzin na dobę. Dwanaście godzin śledztwa niełatwo wytrzymać. Przebywanie w pokoju śledczym nie było odpoczynkiem, a cela nie miała w sobie nic z sanatorium.

Stosowano różne metody od uśmiechu i częstowania papierosami, a czasem nawet gorącym śniadaniem, które „śledź” konsumował w mojej obecności podczas śledztwa w określonej godzinie, do „metod represyjnych”.

Przytoczę przykład nie pozbawiony wymowy. Pewnego dnia, gdy wszedłem do pokoju „śledzia” i jak zazwyczaj siadłem w kącie na moim stołku, padło pytanie: „kiedy poznaliście Tadeusza Sturm de Strema”. Odpowiedziałem: „w kuluarach sejmowych w okresie dwudziestolecia”. Po czym „śledź” kontynuował: — „kiedy ostatnio po wojnie widzieliście Sturm de Strema?”. Odpowiedziałem: — „Sturm de Strema ostatnio nie widziałem”.

I tu się zaczęło... o czym nie miałem pojęcia i czego nie podejrzewałem.

Głos „śledzia”: — „Rozumiecie po polsku?”

Głos mój: — „Rozumiem po polsku”.

Głos „śledzia”: — „Kiedy ostatnio widzieliście Sturm de Strema?”

Głos mój: — „Ostatnio Sturm de Strema nie widziałem”.

Głos „śledzia”: — „Czy rozumiecie po polsku?”

Głos mój: — „Rozumiem po polsku”.

Głos „śledzia”: — „Kiedy ostatnio widzieliście Sturm de Strema?”

Głos mój:

Głos „śledzia”:

I tak to trwało przez dwanaście godzin śledztwa. Równy tydzień. Przesuwał się dzień za dniem, taki sam. Trudno to wszystko wytłumaczyć. Trudno zrozumieć. Trudno powiedzieć sobie i innym, że tak było... A jednak tak było.

Po dwóch dniach Dyduch zwrócił mi uwagę — po co to

robię. Na swoje miejsce może wezwać oficera, który go zastąpi, a ja nie wytrzymam.

W każdej chwili mogłem przerwać tę „zabawę”. Mogłem odmówić zeznań. Sprawa była błaha. Nie zaszkodziłbym sobie ani Sturm de Stremowi, gdybym się przyznał, że go widziałem, że był u mnie.

Ale wśliznęła się jakaś ciekawość, zjawiała się przekora, coś w rodzaju ambicji sportowej. Czym się to skończy i kto kogo przetrzyma. Wyrażna przewaga była po stronie „śledzia”. Był młody, wypasiony, silny fizycznie... mógł każdej chwili wezwać zastępstwo.

Ale ja także miałem nie byle jaki atut. Nie mogłem być kandydatem na olimpiadę. Po paru dniach doszedłem do stanu dość żałosnego fizycznie, co „śledź” mógł sprawdzić u swego agenta, którego dał mi na towarzysza w celi. Agent mógł być moim wyglądem po śledztwie nieco zaniepokojony. Tak przesuwają się dni... i „śledź” mego widoku nie wytrzymał — skończył „zabawę”. W ten sposób sprawę wygrałem.

Nie jest to makabryczna scena tortur, o jakich słyszałem od moich towarzyszy więziennych przebywających w więzieniu dłużej niż ja. Miałem wrażenie a nawet pewność, że i w tym czasie w więzieniu Mokotowskim torturowano. Gdy o północy powracałem do celi ze śledztwa, słyszałem rozpaczliwe głosy męczonych ludzi. Były to krzyki, które nie kłamią.

Stale miałem do czynienia z kapitanem Dyduchem. Nie było to jego prawdziwe nazwisko. Taki był zwyczaj oficerów UB prowadzących śledztwo. Poza Dyduchem pojawiał się od czasu do czasu wspomniany już major kierujący śledztwem w imieniu wyższej instancji, parę razy przyszedł i zadał mi pytania pułkownik — szef mokotowskiej ekipy śledczej — nazwisko wyleciało mi z pamięci, raz podczas badania wieczornego zjawił się pułkownik Różański. Gdy wszedł do pokoju, Dyduch szarpnął się, stanął na baczność, zrozumiałem, że zjawił się ten, przed którym wszyscy drżeli. Różański siadł na krześle blisko mnie i przez cały czas wpatrywał się we mnie demonstracyjnie, miałem wrażenie, że na twarzy jego pojawiał się skurcz uśmiechu. Tak trwało przez godziny śledztwa. Różański zrobił na mnie wrażenie narkomana. Parę razy pojawiały się postacie prokuratorów — oczywiście wojskowych. Rozmowa z nimi nie odbiegała od dialogów ze „śledziami”. Co prawda nie używali brzydkich wyrazów...

Z czasem „otrząskałem się” ze śledztwem i „zadomowiłem” w gabinecie Dyducha. Mój pogląd na rzecz całą i zastosowana

przeze mnie metoda wykazały swą przydatność. Chwilami nawiedzały mnie wątpliwości, czy „przedstawienie” jest potrzebne; wydawało się, że jest bez sensu. Parę razy starałem się „śledziowi” wytłumaczyć, że jest to bezcelowe trwonienie państwowych funduszków, energii, niepotrzebna praca niemałej gromady ludzi. Zrobiłem nawet prowizoryczne obliczenie, że w tych warunkach państwo wydaje na mnie koło 600.000 zł rocznie. Dydych się nie obraził i nawet nie zareagował brutalnie — powiedział, że pieniądze są, ludzie są i nie ma mowy, żeby miało się coś zmienić.

„Przedstawienie” było bezsensowne, ale nie mogłem w nim nie brać udziału. Czasem czułem się jak primadonna na gościnnych występach. Nie mogłem nie brać udziału zważywszy na dobro Sprawy i pozbawienie „śledziów” punktów wygranych w rozgrywce pomiędzy mną i nimi. Chodziło wreszcie o moich kolegów aresztowanych w związku z moją osobą, o całe moje „towarzystwo” przebywające w Mokotowie. Moje zachowanie się na śledztwie mogło im życie ułatwić albo utrudnić. Czasem, i to dosyć często, „siódme poty na mnie biły”, żeby nie popełnić nierozważnego kroku i nie sprowadzić biedy na ich głowy. Czasem wolałem się przyznawać niżby mieli przyznawać się oni, a potem mieć wyrzuty sumienia.

Moje śledztwo obejmowało okres od roku 1905 do dnia mego uwięzienia. W 1905 roku miałem trzynaście lat, mieszkałem w Kijowie, byłem uczniem piątej klasy Kijowskiego Pierwszego Gimnazjum. Byłem zdumiony. Zadano sobie tyle trudu. Zdobyto materiały o społeczno-politycznej działalności trzynastoletniego chłopca. Do dnia dzisiejszego zachodzę w głowę, jak się to stało. W każdym razie jest to dowód zainteresowania moją osobą.

Niemało czasu zabrała sprawa K.N.III.P.O.W. Był to temat dla śledztwa „jak ulał”. „Śledzie” miały przed sobą szefa wywiadu na wschodnich obszarach Europy zajętych przez bolszewików i szefa dywersji na głębokich tyłach wroga.

„Śledź” olśnił mnie sztabowymi opracowaniami organizacji K.N.III. Oficerowie Polski Ludowej mieli w sprawie K.N.III niemałe ambicje. Mówiły o tym wykresy.

Oczywiście najbardziej drażliwe tematy, pogrążające mnie bez reszty w oczach prowadzących śledztwo, były „rozpracowane” i wykorzystywane z niemałą pasją i uporem.

W pewnej chwili drgnąłem: „śledź” z bazyliszkowym uśmiechem położył przede mną autentyczny dokument — wniosek o przyznanie mi *Virtuti Militari* V klasy podpisany przez płk. Koca,

mego bezpośredniego w owych czasach przełożonego. Adam Koc był zastępcą Komendanta Głównego POW.

Było rzeczą jasną, że wniosek ten znalazł się w ręku ubeków wraz z innymi dokumentami Sztabu Generalnego urzędującego na Placu Saskim. Właśnie w tak niezwykłych okolicznościach dane mi było dowiedzieć się, co myślały o mnie moje władze przełożone. Okazuje się, że K.N.III poniosło niemałą zasługę w przyłączeniu do Polski województwa Małopolski Wschodniej. Zgodnie z tekstem wniosku K.N.III zdecydowało o tym ostatecznie.

Na pytanie „śledzia”, czy odczytywany przeze mnie dokument jest autentyczny, odpowiedziałem, że nie jestem zaprzysiężonym grafologiem. On tylko może zabrać w tej sprawie głos miarodajny.

K.N.III przedłużyło śledztwo o dnie nużące i pełne udręki. „Śledzi” świat pastwił się nade mną jak mógł, ale ja miałem metodę postępowania z insektami. „Śledź” niemało się namęczył, ale pozostał taki mądry jak był i wiadomości swych o K.N.III nie poszerzył.

Przez całe „dwudziestolecie” byłem czynny politycznie i poza tym byłem specem od spraw Wschodu, byłem także wrogiem numer jeden Rosji sowieckiej, co potwierdzały urzędowe sowieckie publikacje. Wszystko to zapowiadało dla „śledzi” nie byle jaką ucztę. Mam jednak wrażenie, że „śledzie” obesli się smakiem. Nie będę opisywał, jaki magiel musiałem przejść...

Niemało kłopotu sprawiała im *Polska Walczy* i moje inne wydawnictwa. Ubecy zdobyli moje archiwum zakopane w Podkowie Leśnej. Pewnego dnia zobaczyłem w pokoju śledczym swoje pisma i dotknąłem ich. Doznałem ulgi... będą dobrze zabezpieczone, lepiej niż w ziemi.

Nie widzę potrzeby wymieniania wszystkich pozycji, jakie były tematem moich posiedzeń ze „śledziami” — ani mówienia o różnych zagraniach w moim badaniu. „Śledzie” — jak „śledzie”. Stawali na głowie, żeby się o różnych rzeczach dowiedzieć, organizowali różne prowokacje, a najważniejsze — od pierwszego dnia dali mi za towarzysza celi swego agenta, Witwickiego. Z tym właśnie Witwickim przesiedziałem w wyjątkowo izolowanej celi nr 28 na pierwszym piętrze trzynastcie miesięcy. Witwicki był wzorem uprzejmości, umiał opowiadać, twierdził, że jest oficerem amerykańskiego wywiadu z Monachium i puszczał nieskończony film swoich przygód. Twierdził, że przez dłuższy czas był nauczycielem ludowym pod Baranowiczami... zdradzał znajomość ludzi i terenu itd. Przyznam się, że nie zdawa-

łem sobie sprawę z tego, że Witwicki jest agentem UB. Dowiedziałem się o tym już na Ogólniaku. Dowiedziałem się także, że Witwicki był gestapowcem. Powiedzieli mi o tym więźniowie Niemcy, niemieccy żandarmi. Z Witwickim nie rozmawiałem na tematy polityczne. Powiedziałem, że nie będę o tym mówił i że jest za głupi... Witwicki zrobił obrażoną minę, ale przyjął to do wiadomości: musiał pełnić swą misję z przyjacielską miną.

Gdy przed rozprawą sądową dano mi do przeczytania protokoły śledztwa moich kolegów, tzn. tysiące stron maszynopisu, znowu „rzecz o człowieku” ukazała mi swój nieznany mi jeszcze profil. Odczytywałem stronic bohaterstwa, wielkości i niezłomności ludzi, jakże często niezauważanych w zgiełku dni codziennych. Odczytywałem teksty bardziej skomplikowane... Nie straciłem wiary w ludzi, wiary w siebie. Doszedłem do przeświadczenia, że śledztwu nic nie udało się skorzystać poza mało znaczącymi pozycjami marginesowymi. Mogłem mieć sumienie spokojne. Byłem pewny siebie.

Po mniej więcej roku śledztwa miałem przeżycie, które poruszyło mnie do głębi i uradowało. Do celi wszedł „młody śledź”, podkomendny Dyducha, i kazał mi iść z sobą. Szliśmy w stronę Ogólniaka, gmachu sąsiadującego z budynkiem, w którym mieściła się moja cela. „Śledź” w trakcie drogi uprzedził, że idę na rozprawę sądową paru osób z mego „towarzystwa”. Rozprawa ta miała miejsce w gmachu więziennym.

Gdy znalazłem się na sali rozprawy, oczy moje przypadły do ławy oskarżonych. Pierwsza siedziała pełna godności i właściwego sobie uroku Mysz — Michalina Krzyżanowska, obok niej Dina Korsak, dalej Nina Parysówna i jeszcze jedna pani. Panie były elegancko ubrane, stroje więzienne znikły. Wpadłem w radość i nic mnie poza tym nie obchodziło. Postawiono mnie o parę kroków na lewo od oskarżonych, przed sobą dojrzałem postacie obrońców. Kazano mi się odwrócić w stronę sądu z przydującym majorem.

Zobaczyć kogoś bliskiego... Było to marzenie, które wzmagало się w miarę upływu więziennego czasu. Używałem najprzeróżniejszych manewrów, by dojść do konfrontacji... „śledź” był nieporuszony. Raz tylko dane mi było zobaczyć przez wizjerkę Elę. A tu postacie moje bliskie miałem przed sobą i mogłem się w nie wpatrywać, słuchać ich głosu. Ten, kto nie siedział w więzieniu, nie zrozumie tego.

Na sąd i całe widowisko patrzyłem jak przez mgłę: „jawa” była na ławie oskarżonych. Po złożeniu przeze mnie zeznań odpowiadałem na pytania prokuratora, sądu, obrońców, co trwało

więcej niż godzinę. Kazano mnie wyprowadzić — świadek nie był już potrzebny. Przechodząc koło ławy oskarżonych zbliżyłem się do Myszy i pocałowałem ją w rękę. „Śledź” wrzasnął przeraźliwie, prezes sądu zerwał się z miejsca i także dobył głosu... „złapano mnie za łeb” i znalazłem się za drzwiami sali posiedzeń. Nie słuchałem tyrady „śledzia”. Odprowadzono mnie do celi. Byłem szczęśliwy. Był to pierwszy radosny dzień w mamrze.

I jeszcze jeden epizod. W przeddzień mojej rozprawy wprowadzono mnie do pokoju „małego śledzia”. Z „małym śledziem” spotykałem się od tygodnia. W jego właśnie obecności studiowałem godzinami protokoły zeznań mego „towarzystwa”. Naraz spotkałem w pokoju „śledzia” jakiegoś kapitana. „Śledź” poinformował mnie, że jest to prokurator na mojej sprawie.

„Śledź” i prokurator, przede wszystkim on, przemawiali do mnie „po przyjacielsku”. Chodziło o zawarcie jakiegoś układu co do mego sposobu bycia na rozprawie. Potraktowałem to na wesoło. Zachowałem się jak w rozmowie towarzyskiej. Stała się rzecz nieoczekiwana... Prokurator zerwał się z krzesła i z okrzykiem — „znowu zaczyna to samo” — wypadł z pokoju. „Mały śledź” wzburzonym głosem wygłosił monolog o swojej do mnie nienawiści; chciał bym o tym wiedział.

Nadszedł wreszcie dzień rozprawy sądowej. Rano wpakowano mnie razem z Marią i Januszem Sipayłami do więziennego samochodu i odwieziono pod osobistą eskortą do Okręgowego Sądu Wojskowego przy ulicy Nowowiejskiej. Droga nie była długa. Parę razy udało mi się rzucić okiem na ulicę, przechodniów, chodnik, jezdnię, na świat szczelnie zasłonięty dla mieszkańca mokotowskiej celi. Był to świat a nie więzienie.

Porozsadzano nas po niewielkich pokojach — swoistych celkach. Górna część zakratowanych okien wychodziła trochę ponad poziom chodnika ulicy. Przesuwały się stopy ludzkie, buty, pantofle. Był ruch... kawałek pozawięziennego świata.

Odczułem to jak ulgę. Poza tym miałem do czynienia nie z „klawiszami”, a z milicją. Byli to inni ludzie.

Rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych. Trwała dziesięć dni. Dziesięć dni karetka więzienna odwoziła nas do sądu i z powrotem. Komplet sędziów stanowili oficerowie. Prokuratorem był kapitan znany z przytoczonej sceny w pokoju „małego śledzia”.

Na ławie podsądnych siedziało trzech oskarżonych. Nie zrobiono jednej rozprawy dla całego mojego „towarzystwa”. Rozparcelowano ją na szereg spraw po parę osób. Na sprawach tych występowałem w charakterze świadka.

Naprzeciwko siedziało trzech obrońców. Każdy z nas miał swojego. Ja miałem obrońcę z urzędu: p. Pintarową. Z czasem doszło do mojej wiadomości, że bez porozumienia ze mną starał się o to Bolesław Chomicz, człowiek, którego poznałem przelotnie i z którym nic mnie nie łączyło. Na widzeniu z p. Pintarową przed rozprawą usłyszałem, że nie mogę się spodziewać niczego dobrego. Dyduch wiedział co mówi. Nie było to skądinąd pocieszające. — Zwracam się do pani z kategoryczną prośbą — powiedziałem — by na rozprawie nie próbowała mnie bronić, bo zrobię straszliwą awanturę, co skończy się niedobrze dla mnie i dla niej. W toku rozprawy p. Pintarowa stanęła na wysokości zadania. Jej krótkie przemówienie nie miało w sobie nic z obrony. Podziękowałem jej najserdeczniej.

Oskarżenie powołało, jeżeli się nie mylę, dwudziestu siedmiu świadków. W tej liczbie pięciu gestapowców z majorem Otto na czele. Wszyscy byli więźniami i siedzieli w Mokotowie. Świadczenie ci mieli złożyć dowody, że to właśnie ja wydałem Grota w ręce Gestapo. Tak poinformował mnie najbardziej urzędowo „śledź”. Udało mi się jednak „śledzia” przekonać, że nie należy tego robić. Gestapowcy na procesie nie wystąpili.

Pozycją, którą się przejąłem, która robiła wrażenie odrażające, była zapowiedź zeznań Jasia Płotnickiego, b. komendanta wojewódzkiego policji na Wołyniu. Łączyły nas stosunki przyjacielskie. Jaś miał świadczyć przeciw mnie, miał mnie oskarżać za moje zachowanie się na Wołyniu i moją wołyńską politykę. Widziałem już dość nieefektywną postać Jasia w sali sądu, słowa oskarżenia, piętnowanie mojej osoby, przed którą w owych latach stawał na baczność i był wiernym towarzyszem. Byłaby to scena bardzo odrażająca. Ale Jaś na sądzie się nie zjawił. Mówiono mi, że leży w mokotowskim szpitalu ciężko chory. Płotnicki był także więźniem. Za to Płotnicka, jak głosiły wieści, była zajadłą komunistką i robiła karierę... Można się domyślać, że Jaś uległ propagandzie żony.

Korowód świadków oskarżenia, bo świadków obrony nie było, chwilami był barwny i w różny sposób wymowny. Pamiętam paru oficerów b. „dwójki” — więźniów. Za ich zeznania nie miałem do nich pretensji, a raczej uznanie, że mówiąc tak długo, potrafili bardzo mało powiedzieć albo prawie nic.

Były także sceny nie pozbawione humoru. Były także tragiczne i obrzydliwe. Na ogół przypuszczałem, że będzie gorzej. Zespół sądzących zachowywał się spokojnie i nie zamącał biegu rzeczy. Prokurator „robił co mógł”, miał widać najlepsze chęci zmiażdżyć mnie swą wymową, ale zrobić wiele nie był w stanie.

Rozprawa odbywała się w dużej pustej sali. Ustawione rzędy krzeseł dla publiczności wskazywały, że bywało tu także ludno. Na naszej rozprawie publiczności nie było. Raz tylko, gdy mnie badano i musiałem mówić, co trwało ze dwie godziny, zjawily się i siadły w pierwszych rzędach krzeseł dwie postacie. Odniosłem wrażenie, że przyszły mnie oglądać.

Rozprawa jak rozprawa... Wszystko odbyło się „jak trzeba”. W końcu nastąpiło ostatnie przemówienie prokuratora — akt oskarżenia i proponowany wymiar kary. Wreszcie ostatnie słowo oskarżonego.

Po przemówieniu niezwykle gwałtownym i mało inteligentnym prokuratora, w chwili gdy pojawił się proponowany i żądany przez prokuratora wymiar kary, rozwarło się przede mną niebo... Byłem przekonany, że będę wisiał. Tak z całą znajomością rzeczy przedstawiał sprawę „śledź”... A tu prokurator żąda „dożywocia”. W takiej właśnie inscenizacji dane mi było przeżywać najprawdziwszą, niekłamana ludzką radość. Kiedy po rozprawie „klawisz” odprowadzał mnie do celi, coś się w „klawiszu” poruszyło i wyraził żal za owo „dożywocie”; z całą szczerością, rozradowany odpowiedziałem — „panie, jest tak, jakby mi ktoś podarował złoty zegarek”. „Klawisz” spojrział na mnie jak na wariata.

Po przemówieniu prokuratora i obrońców przewodniczący zespołu sędziów udzielił mi głosu w moim „ostatnim słowie”. Odmówiłem. Nastąpiła dość dziwaczna sytuacja. Przewodniczący namawiał mnie abym skorzystał z przysługującego podsądnemu prawa. Mówił z całym przekonaniem. Sytuacja stawiała się żenująca. Wreszcie, żeby z tym skończyć, powiedziałem, że to, co się dzieje na sali, w której się znajdujemy, nic mnie nie obchodzi. Dla ścisłości dodaję, że przez cały czas rozprawy nie wymówiłem słowa „sąd” albo „wysoki sędzie”. Gdy musiałem się zwracać, mówiłem — „panie majorze”, „panie kapitanie”. Za każdym razem przywoływano mnie do porządku. I tak szło. Wszystko to sprawiło, a może także moje niektóre repliki i odezwania, że po przyjsciu po skończonej rozprawie do więzienia zawiadomiono mnie o skierowaniu mojej osoby za karę na „Dołek”, gdzie przesiedziałem parę tygodni. Była to ceka w suterenie. W zakratowanym oknie migały tylko pięty więźniów i „klawiszy”. Na „Dołku” zastałem niezwykle towarzystwo — sześciu złodziei recydywistów i czterech księży, a między nimi ks. Pirożyńskiego, któremu swego czasu Boy zrobił reklamę w Polsce. Z ks. Pirożyńskim bardzo się zaprzyjaźniłem i mam o nim dotąd wzruszające wspomnienie. Nie mogę nie wspomnieć o złodziejach. Po

przedstawieniu się kolegom-więźniom jeden z nich odprowadził mnie do kąta, opuścił spodnie i ukazał na jednym z pośladków akuratnie wytatuowane oblicze Stalina. Tatuaż był wśród złodziei bardzo modny, widziałem najprzeróżniejsze obrazy, ale Stalina zobaczyłem tylko tam na „Dołku”. Kolega-złodziej kazał mi dotknąć żołądka i parę razy energicznie ruszyć ręką. Coś tam chrobotało. — Dowiedziałem się, że są to sprężyny, które połknął. Miałem przed sobą pierwszego „połyka”. Z czasem spotkałem ich niemało.

Przez parę tygodni przebywałem jeszcze w Mokotowie. Potem był Rawicz, a w końcu Wronki. 6 listopada 1956 roku jechałem z Wroniek do Warszawy jako urlopowany z więzienia chory. Dano mi po odbyciu komisji lekarskiej urlop chorobowy na jeden rok.

Najciężej było w Mokotowie w okresie śledztwa. Byłem odcięty od świata. Nie miałem widzeń, listów, prasy, książek, nie miałem jeszcze „wypiski”, tzn. paczek żywnościowych zakupowanych w magazynie więziennym.

W Rawiczu najgorsze było już poza mną. Stałem się normalnym więźniem, tzn. miałem przed sobą odsiadywanie kary i nic ponadto. Mogłem mieć raz na miesiąc widzenie z moimi bliskimi, pisać i dostawać listy, czytać prasę i książki z więziennej biblioteki, mogłem mieć „wypiski”. Rawicz robił na mnie przyjemne wrażenie pomimo że i tu przeżyłem niejedną obrzydliwą i tragiczną chwilę. Tu także zacząłem coraz poważniej chorować. Miesiącami przebywałem w szpitalu. Rawicz to były budynki poklasztorne, białe, nie budowane z myślą o więzieniu. I w tym właśnie tkwiło coś bardzo istotnego, wpływało w sposób sobie właściwy na samopoczucie.

We Wronkach było gorzej. Już sam gmach, olbrzymi gmach więzienny zbudowany przez Niemców wprawiał w przygnębienie. Tu wszystko było zrobione, by więzień czuł się więźniem. Tutaj także chorowałem, nawet więcej jak w Rawiczu. Miesiącami leżałem w szpitalu, chciano mnie nawet operować, ale nie dałem na to zgody. Wreszcie, jak już wspomniałem, dano mi roczny chorobowy urlop.

We Wronkach miałem pewne przeżycie ekstra. Nie wiedzieliśmy we Wronkach o „rewolucji” w Poznaniu i nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego dzieją się w więzieniu jakieś dziwne i dość niesamowite rzeczy. Przenoszono nas gwałtownie, nawet błyskawicznie, z jednego pawilonu do drugiego. W zarządzeniach władz wyczuwało się jakąś niecodzienną nerwowość. Okazało się, że

chodziło o wzmocnienie Wronek oddziałem wojska, zabezpieczeniem przed „rewolucją”. Były to wydarzenia o posmaku sensacji.

Przeżyciem olbrzymim był warszawski „październik”. O tym, co się dzieje w Warszawie, przeczytałem w *Trybunie Ludu*. Nie tylko w Warszawie ale nawet w więzieniu we Wronkach stało się jasno. Polska spojrzała w nasze oczy swym polskim wzrokiem. Było to zwycięstwo.

Do sensacji innego rodzaju należy zaliczyć zwrócenie się znanego adwokata z Krakowa o prowadzenie mojej sprawy, oczywiście bezinteresownie. Miałem z nim więcej niż godzinną rozmowę w obecności „klawisza”. Bardzo mu dziękowałem, ale przedstawiłem swoje racje, że nie będę się bronił i nie dam nikomu upoważnienia by stawał w mojej obronie. Rozstaliśmy się serdecznie.

Podobnie było ze znanym adwokatem warszawskim, moim przyjacielem, który z podobną propozycją przyjechał do mnie z Warszawy do Wronek.

Były także sensacje innego rodzaju. W mojej celi zjawia się „klawisz” i każe żeby z nim iść. Znaleźliśmy się na terenie biurowym więziennej administracji. Stajemy przed otwartymi drzwiami jakiegoś gabinetu. Ukazuje się oficer i zaprasza do środka. Szukam w kącie tradycyjnego stołka, ale kapitan wskazuje fotel koło biurka i sam zajmuje miejsce. Nie wiem, o co chodzi. Jeszcze bardziej nic nie rozumiem. Kapitan jest przy rewolwerze, a oficerowie w więzieniu chodzą bez broni. Wreszcie kapitan zagaja, mówi o więzieniu, o beznadziei więziennego życia, o nieuniknionym smutnym końcu... Po niemałej porcji podobnej elokwencji wychodzi na jaw „sprawa”. Kapitan namawia, żebym podał podanie o rewizję procesu. Odpowiadam, że tego nie zrobię, do nikogo nie mam pretensji, jest mi dobrze. „Złapaliście Józewskiego, teraz trzymajcie”.

Oficer się niecierpliwi. Przypuszcza, że ja się boję, żeby rewizja nie zwiększyła kary. Oświadcza, że mnie nie rozumie i dodaje, że prokurator może wystąpić w każdej chwili o rewizję procesu. Rozmowa dobiega końca. Pytam, z kim mam przyjemność. Dowiaduję się, że rozmawiam z delegowanym oficerem Komisji Bezpieczeństwa przy Prezydium Rady Ministrów w Warszawie dla omówienia ze mną sprawy rewizji procesu. Jak wiadomo, instytucja ta powstała po zlikwidowaniu Ministerstwa Bezpieczeństwa i zastępuje ministerstwo.

Przeszło parę tygodni. Leżałem w szpitalu. Nie byłem w stanie się ruszać. Zostałem wezwany do prokuratora. Wniesiono mnie na noszach do jednego ze szpitalnych gabinetów. Za biur-

kiem siedział starszy pan — był to prokurator. Nastąpiła analogiczna rozmowa. Prokurator przemawiał uczuciowo. Zaznaczył, że należy do starszego pokolenia i wie, kim był Józewski. Namawiał na rewizję procesu. Odmówiłem.

Wreszcie przysłała Komisja Lekarska i dała mi zwolnienie na rok.

Wszystko to wskazuje, że się mną zajmowano i „urzędowanie” w mojej sprawie odbywało się poza mną. Nieraz o tym myślałem, ale nie mogłem sobie tego wytłumaczyć. Po paru miesiącach przesłano mi do Warszawy, w której mieszkałem na mocy chorobowego urlopu, urzędowe pismo z zawiadomieniem o przeprowadzonej na wniosek prokuratora rewizji procesu. Okres dwunastoletni, który po amnestii zamienił moje „dożywocie”, został zmniejszony do lat sześciu. Przed 6 listopada 1957 roku, kiedy pakowałem rzeczy i wybierałem się z powrotem do Wroniek, nadeszło przedłużenie mego chorobowego urlopu o trzy miesiące. Tuż przed upływem trzech miesięcy nadeszło pismo o „zwolnieniu warunkowym”. Byłem wolny. Byłem poza murami więzienia. Zawdzięczam to prokuraturze, a może jeszcze komuś, o kim nie wiem...

146.

Więźniowie

Więźniowie. Pisząc o więzieniu, nie wspomniałem jeszcze o więźniach. Parę słów powiedziałem o sobie — więźniu, i do tego się ograniczyłem. Więzienia nabierają ciała i krwi, ze stanu potencjonalnego przechodzą w kinetyczny, tylko wtedy kiedy budynki więzienne wypełniają się masą jednakowo ubranych więźniów, a więzienna administracja i „śledzie” przede wszystkim zawałeni są robotą.

Więzienie bez „śledzi”, tzn. budynki, w których odsiaduje się karę i nic ponadto się nie dzieje, trwa w rytmie więziennej, sennej codzienności. Tu właśnie jednostajność bierze człowieka w swe kleszcze, kleszcze dużych wyroków, nawet „dożywotki”. Czasem jednak jednostajność jest zakłócana, bywają chwile niecodzienne, tragizmu i męki. I takich chwil różnego autoramentu jest niemało...

W dniu, w którym zamknęła się za mną więzienna brama Mokotowa, budynki więzienne były wypełnione po brzegi masą ludzką. W ogromnej większości byli to więźniowie polityczni. Kryminalistów prawie nie było.

Ujrzałem świat ludzki w osobliwej inscenizacji, w swoistych dekoracjach pełnych wyrazu i pełnych znaczenia rekwizytów. Wszyscy byli jednakowo ubrani, w żałosnych szaro-więziennych ubraniach, monotonnie jednakowych. Indywidualność ludzka zamknięta została w pułapce. I tylko przez szczeliny tego „odrutowania” błyskały różne oczy, inaczej zaciskały się usta, dawały o sobie znać ruchy i wyrazy zachowania się człowieka.

Tak przesuwali się postacie, blondyni, bruneci, szatyni — wszyscy zresztą ostrzyżeni — wielcy, mali, starzy, młodzi, korpuetni, ale przeważnie szczupli. Odnosiłem wrażenie, że oczy wszystkich wpatrzone są w to, co się z ludźmi w więzieniu dzieje, wpatrzone w nieznaną i spodziewaną taką a nie inną przyszłość. Oczy te nie mogły oderwać się od przeszłości i od wolnego, pozawięziennego świata.

W nużaco jednakowych więziennych ubraniach kryły się różne, niesamowicie różne ludzkie losy, takie same i coraz to inne... Były to „osobiste” sprawy więźniów kryjące się w zapiętych więziennych kurtkach. Nad wszystkim zawisło przeświadczenie o czasowości, większej lub mniejszej, dłuższej albo krótszej...

Są to uwagi i spostrzeżenia o ogólnym zarysie rzeczywistości, w której się znalazłem. Obraz ten można urozmaicić gamą stanów psychicznych więźniów. Byli ideowcy, ludzie niezłomni, świadomi toczącej się walki i swojego w niej udziału. Gorzej było z tymi, którzy znaleźli się w więzieniu nie popełniając żadnego „przestępstwa”, wskutek nieporozumienia, omyłkowo. Jednak takich było mało. W większości wypadków każdy miał jakiś „grzech” na sumieniu.

Byli tacy, co wytrzymywali i tacy, co się załamywali. Schemat ten pojawia się w nieskończenie różnych odmianach: załamanie się zupełne, niezupełne, wybaczone, niewybaczone.

Więzienie „weryfikuje” ludzi. Każdy więzień przechodzi przez „weryfikację więzienną” i dostaje swą legitymację czy dowód osobisty wydany przez więzienne życie. Nie są to dokumenty pisane, opatrzone podpisami i pieczętkami, nie stoi za nimi autorytet państwowego urzędu. Niemniej jednak legitymacja taka przenika świat człowieka głębiej, przedostaje się tam, gdzie penetracja państwa a nawet przesączanie się normalnego życia — nie są w stanie dotrzeć. Nawet człowiek sam ze sobą nie jest w stanie tego odkryć w warunkach nie-więziennych. „Legitymacja więzienna” coś znaczy.

W świetle „weryfikacji więziennej” obraz naszego istnienia wygląda w wielu razach inaczej niż obraz człowieka przebywającego na wolności. Zestawienie tych dwóch pozycji jest bardzo

pouczające. Dowiadujemy się o rzeczach dziwnych, nieoczekiwanych, podnoszących na duchu i odrażających, z którymi nie jesteśmy w stanie się pogodzić, wywołujących sprzeciw i osąd. Jedni w więzieniu olbrzymieją, inni staczą się w małość i upadek. Jedni zakwitają, inni szarzeją. Jest rzeczą godną uwagi i zastanowienia, że w wielu razach nasze przewidywania a nawet pewność zawodzą... Bywa tak, że ludzie w aureoli uznania i sławy zdobytych w życiu na wolności, w więzieniu szarzeją a nawet dochodzą do stanu odrażającego. Bywa także inaczej. Jednostki niedostrzegalne i szare w wolnym świecie w więzieniu nabierają blasku. Świecą wielkością ludzką.

Są to wypadki sporadyczne, ale większość ludzi zdaje egzamin i „weryfikacja więzienna” daje temu świadectwo.

Oczy moje patrzyły na sceny przeróżne, wzbogacające wiedzę o człowieku. Więzienie ma swoją metodę, która mówi, że obraz człowieka jest niemożliwie, aż do bólu, aż do przekleństwa skomplikowany. Nie tylko więzienia ten stan rzeczy ujawniają. Istnieją warunki i sytuacje mówiące o tym nie mniej wyraźnie. Rzecz cała polega na tym, żeby mowę tę zrozumieć. „Mowa” więzienna przyszła do mnie i wskazała mi na niejedno.

Widziałem na przykład osobę dawno mi znaną, ogólnie szanowaną, biorącą udział w walce z okupantem, której życie poza murami więzienia wydało legitymację najbardziej zaszczytną. I ta właśnie osoba będąc w więzieniu zachowywała się okropnie... popełniała czyny najbardziej odrażające, paskudne, obrzydliwe. Gdy człowiek ten opuścił mury więzienia i powrócił do wolnego życia, znowu wszystko jest w porządku... cieszy się dobrą opinią, ma przyjaciół, uznanie. Człowiek ten zniszczył swą „więzienną legitymację”. I nikt o niczym nie wie. Doszedłem do wniosku, że sam ten człowiek „o niczym nie wie” i zachowuje się jakby nigdy nic. Ale „legitymacja więzienna” jest faktem i z kompozycji istnienia tej jednostki usunąć się nie da.

Przychodzi na myśl, że owo „jak gdyby nigdy nic” jest w świecie ludzkim uniwersalne, przyjmuje nieskończenie różną postać, nie pozbawione jest swoistej dyskrekcji, z którą człowiekowi jest „do twarzy”.

Przytoczyłem przykład bardzo jaskrawy. Niemало jest sytuacji, które skłonni jesteśmy przyjmować jako „rzeczy zwykłe”, znane. Nie wywołują gwałtownej reakcji... Najbardziej gwałtowną reakcję wywołała we mnie sprawa Tatara. Sprawa ta nie da się pomyśleć w towarzystwie okoliczności łagodzących.

Z Tatarem i towarzyszem jego procesu Kirchmayerem spotkałem się na Ogólniaku w Mokotowie i Rawiczu. Byli z nami

„jakby nigdy nic”. I dzisiaj jest „jakby nigdy nic”. Kirchmayer parę lat temu umarł, po wyjściu z więzienia napisał książkę wydaną przez MON, stał się *persona grata*. Tatar żyje i, jak słyszę, dobrze mu się powodzi.

Sprawa Tatar, Kirchmayera i reszty znikła w archiwum historii, tzn. z archiwum UB. Istota jej polegała na tym, że Tatar i kilku jego kolegów, a między innymi Kirchmayer, podjęli się odegrania z góry ustalonej sceny. Zeznawali w sądzie o istnieniu organizacji nieistniejącej. Proces ten był potrzebny dla policyjnych celów Bieruta. Chodziło o Gomulkę i Spychalskiego, o skonstatowanie ich współpracy z podziemną organizacją i Londynem... Oczywiście „podziemnej organizacji” nie było, a zarazem dawała o sobie znać że jest w procesie i w toku zeznań oskarżonych.

Proces ten rzucił niepokojący cień na przeciwników Bieruta w rozgrywkach partyjnych. Jak mnie informowano, wydano trzydzieści dwa wyroki śmierci, z czego dziewiętnaście wykonano.

Tatar, Kirchmayer i inni mieli pewnie swoje „grzechy” na sumieniu i mogli być przez władze szantażowani. Ale „grzechy” te nie miały wiele wspólnego z procesem.

Proces Tatar był przedstawieniem nieznanym jeszcze w dramaturgii świata. Niejedno można na ten temat powiedzieć. Ale wykonanie wyroku śmierci na dziewiętnastu ludziach będących poza tym wszystkim ma swą wymowę. Śmierciom tym kazano milczeć. I jest tak „jakby nigdy nic”.

Niemało jest sytuacji, które skłonni jesteśmy przyjmować jako „rzeczy zwykłe”. Chęć wydobycia się człowieka z więziennego świata robi swoje. Załamanie się ludzkie ma różne skale i barwy. Nie mówię o tych, którzy przeszli na służbę UB. Są to rzeczy znane, w pewnym znaczeniu „normalne”. Na ogół skłonni jesteśmy przyjmować je do wiadomości.

Przytoczone przeze mnie uwagi i spostrzeżenia nie wpływają na moją ocenę więziennego świata, tzn. zachowania więźniów w swej masie, ich postawy i samopoczucia. Było w tym coś krzepiącego. Ludzie nie tracili twarzy — zdawali egzamin wobec siebie samych i społeczeństwa. Już na progu więziennego życia uderzała ogólna więzienna solidarność, więzienny *savoir vivre*. Nie świadczyło to o służalczości, chęci przypodobania się, unizoności. Świat więzienny miał swój „honor” i tylko bardzo nieliczne jednostki sprzeniewierzały się ogólnie przyjętemu nakazowi. Z czasem stawaliśmy się więźniami-zawodowcami, czuliśmy się w celach jak we własnych pokojach. Ustalał się swoisty tryb ludzkiego istnienia, w którym rozwijały się ludzkie walory, czło-

wiek stawał się coraz bardziej sobą i dowiadywał się o innych, co powodowało ową więzienną „bliskość”.

Pisząc o więźniach, miałem na myśli więźniów politycznych. Ale spotkałem się także z kryminalistami. W czasach, o których piszę, było ich mało. Poszczególne grupki jednak były. W Mokotowie, jak już wspomniałem, spotkałem ich na „Dołku” i nieco większą grupę na Ogólniaku. Poza tym Rawicz, Wronki...

Świat kryminalny znałem tylko z powieści. Po raz pierwszy miałem do czynienia ze złodziejami-recydywistami, bo oni właśnie w więzieniach świat kryminalny głównie reprezentowali. Byli wśród nich typy okropne i antypatyczne, ale spotkałem też ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem, byli mi sympatyczni, bliscy, koleżeńscy. Słowo „kradzież” przestało budzić panikę, stało się równie towarzyskie jak wiele innych słów. Nabrałem zaufania do złodziei a oni do mnie. Miałem niejednego tego dowód.

W tym właśnie towarzystwie spotkałem się z „połykami”. Jest to zjawisko godne studiowania. Odsłania niejedną właściwość ludzkiej psychiki. Właśnie wśród więźniów-kryminalistów skazanych z reguły na małe wyroki nabrała prawa obywatelstwa postawa, którą może najlepiej charakteryzują słowa „ja im pokażę”. Są to odruchy buntu, walki, niegodzenia się z losem. Jest to świadomość górowania nad rzeczywistością, w którą człowieka wtłoczono przemocą. Jest to „fason” morowych chłopców o nieraz niezbyt awantazownych gębach. Na własne oczy widziałem — było to na Ogólniaku w Mokotowie — jak facet połknął lancet chirurgiczny chytrze ukryty w kieszeni. Połknął go dlatego, że nie chciał w transporcie więziennym wyjeżdżać do Rawicza. Facet postawił na swoim i z Mokotowa nie wyjechał. Pozostał w szpitalu. Facet „im pokazał”.

W Rawiczu słyszałem wiele opowiadań o „połykach”, spotykałem się z nimi w szpitalu. Od doktora dowiedziałem się, że miał do czynienia z pięćdziesięciu dwoma „połykami”. We Wronkach w sali przedoperacyjnej szpitala widziałem faceta, który po raz jedenasty szedł na operację jako „połyk”. Był w stanie beznadziejnym. W tychże Wronkach mój przyjaciel — więzień o imieniu Hermenegild — młody jeszcze, niewielkiego wzrostu, tłumaczył mi przybierając odpowiednie pozy, jak w swoim czasie połykał wyprostowany uprzednio uchwyt od wiadra.

U więźniów-kryminalistów nie spotkałem się z objawami uniżoności czy służalczości w stosunku do władz, wręcz przeciwnie, spotkałem się z arogancją. Władze ją tolerowały. Taki był przywilej kryminalistów w odróżnieniu od politycznych.

Pomimo wszystko przyzwyczaiłem się do moich dni więziennych. Więzienie dało mi wiele.

Ogólniak na Mokotowie, Rawicz, Wronki... Tam odnalazłem nieznanych mi przedtem przyjaciół, z którymi jestem do dnia dzisiejszego. Już to samo wzbogacało i dodawało blasku memu istnieniu. Są oni moją najbliższą rodziną.

Wzruszające wspomnienie pozostawiły kobiety-więźniarki. Czasem udawało się dojrzeć ich postacie. Były one także więźniami politycznymi. Świadomość, że dają sobie radę i trzymają się w tych okropnych warunkach mobilizowała wolę i wiarę w człowieka, kazała stawać na baczność.

Więzienia dały mi nieznane jeszcze stronice opowieści o człowieku, pozwalały orientować się w istnieniu inaczej niż przedtem. W tym znaczeniu żyłem więzieniem. Ale myśl przebywała także poza więziennymi murami, w świecie ludzi wolnych. Dzięki więziennej rzeczywistości świat poza murami nabierał nieznanego jeszcze uroku, stawał się ładny i wspaniały jak nigdy. Spotkania z ludźmi najbliższymi i ludźmi w ogóle tam, poza więziennymi murami, wyobrażałem sobie jako niezwykłe, nieuświadomiane dotąd szczęście, radość i sens istnienia. Właśnie w więzieniu mój stosunek do ludzi nabrał nieznanej dotąd i tak bardzo wzruszającej treści. Robiłem sobie wyrzuty... jak mogłem tego nie widzieć, kiedy byłem razem z ludźmi. Z więzienia wyszedłem lepszy niż byłem, kiedy przekraczałem próg więzienny. ... Życie stało się bogatsze, przyszły do mnie nowe możliwości i perspektywy stawania się ludzkiego świata. Na tym kończę moje więzienne wspomnienia. Jest w tym coś z idylli. Nie zmogła mnie więzienna zbrodnia, która zza murów więziennych szczyrzy swe zęby. Zazwyczaj wspomnienia więzienne mówią o „zębach”. Ale nie wyczerpuje to tematu.

Nie mogę nie nadmienić jeszcze jednej pozycji. Ogromnej dla mnie wagi, a może mającej znaczenie nie tylko dla mnie. Mam na myśli powstałą w więzieniu „Opowieść o istnieniu”, przemyślaną w Mokotowie, pisaną w Rawiczu i Wronkach. Ostatni jej rozdział powstał już po moim wyjściu z więzienia, w Warszawie.

Zaczęła się w najgorszych czasach śledztwa. Po zazwyczaj ośmiogodzinnym rannym badaniu powracałem do celi na parę godzin, a potem o ósmej wieczorem zaczynało się dalsze śledztwo. Powracałem w stanie wielkiego zmęczenia. Po spożyciu więziennego posiłku siadałem na stołku, Witwickiego prosiłem o ciszę i zapadałem w stan odrętwienia, które nie było odrętwieniem a raczej kontemplacją i ruchem myśli.

Musiąłem myśleć o sprawach spoza śledztwa, więzienia, a nawet spoza codziennego życia. Tak powstawała „Opowieść o istnieniu”. Odpoczywałem i nabierałem sił myśląc. Tak wyłaniały się „Elementy filozofii oczywistości” albo „filozofia doświadczenia pojętego szerzej”.

Wygląda to nieco dziwacznie i nieprawdopodobnie, ale tak było. Pisać zacząłem w Rawiczu, kiedy uzyskałem już możliwość pisania. Pisałem leżąc na łóżku szpitalnym w celi mieszczącej trzydziestu chorych. Gwar, krzątania, sensacje. Doszedłem jednak do doskonałości odgradzania się od otaczającego mnie życia. W Mokotowie, jak mówię, rzecz sprowadzała się do rozmyślań. Nie będę wspominał biegu moich myśli i przygód, które przy tym przeżywałem. Pamiętam jak pewnego razu stanęło przede mną „Credo” w całym swym majestacie i poczułem, że w jego ramach mieszczą się najbardziej istotne wątki filozofii świata śródziemnomorskiego. Były to chwile, które mnie nachodziły.

Henryk JÓZEWSKI

WSPOMNIENIA I RELACJE

Wiktor SUKIENNICKI

AKCJA INTERWENCYJNA AMBASADY P.R. W ZSSR

Po zwolnieniu w ostatnich dniach 1941 roku z sowieckiego łagru w krasnojarskim kraju na Syberii zaczęły dochodzić mnie wieści, że interesuje się mną ambasada R.P. w ZSSR. Istotnie, gdy w połowie stycznia 1942 udało mi się dotrzeć do Buzułuka, gdzie znajdowało się dowództwo tworzącego się wojska polskiego, zostałem telegraficznie wezwany o natychmiastowe przybycie do Kujbyszewa. Tam profesor Kot, którego dotąd osobiście nie znałem, zapytał, czy po pobycie w sowieckim obozie czuję się zdolny do podjęcia trudnej i odpowiedzialnej pracy: chodziło o interwencje w sprawach obywateli polskich nie zwolnionych dotąd z więzień i łagrów. Ponieważ do niedawna sam byłem jednym z nich, odpowiedziałem pozytywnie i od 21 stycznia 1942 zostałem kierownikiem działu interwencyjnego ambasady.

Dotąd sprawami interwencyjnymi (obok innych funkcji) zajmował się przybyły z Anglii pierwszy sekretarz ambasady Maciej Załęski, który został mianowany delegatem ambasady na Dalekim Wschodzie i wyjeżdżał do Władywostoku (ob. załącznik 2). Dział interwencyjny miał być rozbudowany i istotnie poza urzędniczką MSZ Teofilą Jelińską pracowali tam później czasowo przebywający w Kujbyszewie byli więźniowie sowieccy m.in. pp. Stanisław Skrzypek, Eugeniusz Lubomirski, Dominik Maciejko i Andrzej Romankiewicz.

1 lipca 1942 zostałem mianowany radcą prawnym ambasady i przed opuszczeniem działu interwencyjnego sporządziłem dla MSZ w Londynie niżej drukowaną „Notatkę informacyjną” wraz z dwoma załącznikami. Ponieważ w lipcu nastąpiły nowe aresz-

towania Polaków w ZSSR i stosunki sowiecko-polskie zaczęły ulegać coraz dalej idącemu pogorszeniu, „akcja interwencyjna” ambasady musiała zasadniczo zmienić swój charakter i ogłoszona „Notatka” jest jedynym historycznym dokumentem omawiającym całość akcji interwencyjnej ambasady w sprawie wykonywania protokołu dodatkowego do układu Sikorski-Majski.

Wiktor SUKIENNICKI

Londyn w grudniu 1981 r.

NOTATKA INFORMACYJNA W SPRAWIE
WYKONANIA PROTOKOŁU DODATKOWEGO
DO UKŁADU Z 30 LIPCA 1941 ROKU

(Z DWOMA ZAŁĄCZNIKAMI)

Tekst Protokołu Dodatkowego

„Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych Rząd Sowiecki udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSSR, bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych odpowiednich podstawach”.

Postanowienie to według przekonania strony polskiej miało niezwłocznie przywrócić wolność około 1½ miliona obywateli polskich, wywiezionych przymusowo z Kraju w głąb ZSSR i tu całkowicie lub częściowo pozbawionych wolności.

Na liczbę tę składali się:

1) jeńcy wojenni z kampanii 1939 r., wzięci do niewoli przez Armię Czerwoną,

2) wojskowi polscy internowani w Państwach Bałtyckich, w szczególności na Litwie, wywiezieni latem 1940 r. w głąb ZSSR,

3) aresztowani w Kraju i skazani na podstawie wyroków sądów radzieckich lub „osobowego sowieszczenia NKWD” na zamknięcie w więzieniach lub poprawczych obozach pracy za różne „przestępstwa” polityczne, usiłowanie przekroczenia granicy itp.,

4) aresztowani z tych samych tytułów i pozostający w więzieniach śledczych,

5) osadnicy wojskowi i cywilni, leśnicy, urzędnicy państwowi

i samorządowi, wojskowi czynni i rezerwy, rodziny aresztowanych i wojskowych, uchodźcy z terenów okupowanych przez Niemców itp. itd., masowo wywożeni z Kraju w lutym, kwietniu, czerwcu 1940 roku.

Sytuacja prawna tych osób w ZSSR była rozmaicie unormowana. Stosownie do wyjaśnień, udzielonych Ambasadorowi R.P. przez Zastępcę Komisarza Spraw Zagranicznych w rozmowie z 20. 9. 1941 r., „system administracyjnego ograniczania wolności w ZSSR przewiduje 3 stopnie: 1) indywidualne wysyłanie do określonej miejscowości, w której dana osoba żyje zupełnie swobodnie i pracuje według własnego uznania, nie ma jednak prawa opuszczania danej miejscowości i pozostaje pod nadzorem milicji, 2) osiedlanie na specjalnych gospodarstwach wyposażonych nie-raz w inwentarz i narzędzia gospodarcze, tak zwanych *spec-posiołkach*, gdzie praca odbywa się w normalnych warunkach, a zesłany korzysta z zupełnej swobody poruszania się w danej okolicy, nie wolno mu jednak wyjeżdżać dalej niż do najbliższego miasta rynkowego ani zmieniać zajęcia, 3) zamknięcia w obozach przymusowej pracy, którą mieszkańcy zarabiają na życie, z całkowitym pozbawieniem wolności”.

Kobiety z dziećmi oraz rodziny z reguły umieszczane były „na wolnym zesłaniu” lub w *spec-posiołkach*, samotni mężczyźni w obozach pracy. Część zesłańców została następnie aresztowana i skazywana za „przestępstwa” popełnione już na zesłaniu — przeważnie za „wychwalanie stosunków w kapitalistycznej Polsce” — na osadzenie w więzieniu lub obozach pracy.

6) „Niepewni politycznie”, masowo wywożeni w czerwcu 1941 roku z terenów przyfrontowych (przeważnie ziemie północno-wschodnie Rzplitej oraz Państwa Bałtyckie) i bez sądów i wyroków umieszczeni: mężczyźni z reguły w poprawczych obozach pracy, kobiety i dzieci na „wolnym zesłaniu” lub w *spec-posiołkach*.

Formalne wykonanie Protokołu Dodatkowego

Nazajutrz po przyjeździe *chargé d'affaires* a.i. R.P. p. Retingera do Moskwy, w dniu 12. 8. 1941 r., został ogłoszony dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSSR treści następującej: „Udzielić amnestii wszystkim polskim obywatelom znajdującym się obecnie w zamknięciu na terytorium radzieckim, czy to w charakterze jeńców wojennych lub na innych dostatecznych podstawach”.

Powyższa norma generalna nie spowodowała jednak automatycznego przywrócenia wolności pozbawionym jej obywatelom polskim. Zwolnienie w praktyce następowało na podstawie indywidualnych zarządzeń władz centralnych, przy czym w ciągu pierwszego miesiąca po wydaniu dekretu zostali zwolnieni:

1) część jeńców wojennych — a) około 400 osób, przeważnie oficerów przewiezionych w maju-czerwcu 1940 roku z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie do obozu w Pawliszczewie-Bór (*obłast* Smoleńska), a następnie w Griazowcu (*obłast* Wołogodska), b) około 20.000 przeważnie szeregowych, którzy pracowali przy budowie dróg oraz w kopalniach na Ukrainie, następnie zaś w czerwcu 1941 roku zostali umieszczeni w obozie w Starobielsku oraz w obozach Jużskim i Suzdalskim Iwanowo-Wozniesienskiej *obłasti*,

2) około 1.100 wojskowych internowanych w 1939 roku na Litwie, następnie w lipcu 1940 roku przewiezionych do obozu w Kozielsku, w lipcu zaś 1941 roku w Griazowcu,

3) część osób przebywających w więzieniach i obozach na podstawie wyroków sowieckich lub bez takowych. O ile można się zorientować, zostało zwolnionych wówczas z osób posiadających wyroki około 75 %, z osób zaś umieszczonych w obozach bez wyroku znacznie mniej, około 20 %-30 %,

4) w przeważającej większości zesłańcy administracyjni.

Zwalniani otrzymywali specjalne zaświadczenia amnestyjne (*udostowierienja*), przy czym teoretycznie pozwalano im wybierać miejsce zamieszkania (w praktyce przeważnie wyznaczano) oraz wydawano bezpłatne bilety kolejowe do miejsca przeznaczenia, jak również strawne na okres podróży po 15 rb. dziennie (*aide-mémoire* LKSZ z 28. 8. 1941 roku).

W rozmowie z 10. 9. 1941 roku na zapytanie Ambasadora, do kogo mam kierować zapytania o obywateli polskich, na których nam specjalnie zależy, dotąd nie odnalezionych: „Dużo jest takich...” Wyszyński odpowiedział: „... tymi sprawami się zajmujemy, jak Pan Ambador poda wykaz osób, na których mu zależy, jak najzyczliwiej i najszybciej sprawę tę załatwimy”. W praktyce na obejmujące kilkaset nazwisk spisy złożone przez Ambasadę w ciągu września i października 1941 roku LKSZ udzielił informacji o zwolnieniu 54 osób.

W ciągu pierwszego miesiąca zwalniania władze sowieckie nie czyniły żadnych dyskryminacji narodowościowych wśród zwalnianych obywateli polskich. Dawało się nawet zauważyć jak gdyby pewne uprzywilejowanie mniejszości (w szczególności żydowskiej) przy zwalnianiu w pierwszej turze. Jednakże już podczas rozmów

w pierwszych dniach września 1941 roku przedstawiciele władz sowieckich, określając ilość obywateli polskich deportowanych oraz zamkniętych w obozach i więzieniach na około 400.000 osób, zaznaczali, że „liczba ta dotyczy jednak tylko osób, które nie nabyły, z braku sowieckich podstaw prawnych, lub wskutek własnego oporu, obywatelstwa sowieckiego”.

W związku z nadchodzącymi do Ambasady wiadomościami i skargami w dniu 27. 9. 1941 roku została złożona w LKSZ pierwsza nota interwencyjna, wymieniająca wypadki:

- a) przetrzymywania licznych obywateli polskich grupowo i indywidualnie w obozach pracy przymusowej i więzieniach,
- b) uniemożliwiania obywatelom polskim porozumiewania się z Ambasadą,
- c) uniemożliwiania obywatelom polskim wyboru i zmiany miejsca zamieszkania,
- d) zmuszania ich do pracy na warunkach więźniów,
- e) odmawiania im wydania świadectw „amnestyjnych”.

Akcja interwencyjna Ambasadora

Wobec stwierdzenia faktu, że wśród zwolnionych brakuje całego szeregu nader wybitnych osobistości, Ambasador podniósł tę kwestię w rozmowie z Wyszyńskim w dniu 20. 9. 1941 roku i uzyskał od niego obietnicę zajęcia się całokształtem sprawy zwolnień oraz dostarczenia w najbliższym czasie szczegółowych danych odnośnie polskich uczonych, specjalistów i artystów, lekarzy, magistratury, prokuratorów itp.

Obietnicę tę powtórzył Wyszyński w rozmowie z Ambasadorem w dniu 6. 10. 1941 roku, kiedy to również została poruszona w oficjalnej rozmowie dyplomatycznej sprawa „zaginionych” jeńców wojennych z 1939 roku.

Notą osobistą dnia 12. 10. 1941 roku Ambasador przedstawił Wyszyńskiemu całokształt spraw związanych z wykonaniem Układu z 30. 7. 1941 roku i w szczególności Protokołu Dodatkowego, podkreślając konieczność zwolnienia „obywateli polskich z więzień, obozów pracy i miejsc przymusowego osiedlenia w jak najszybszym terminie, w każdym razie przed nadejściem zimy, podczas której wydostanie się z wielu okolic będzie bardzo trudne, jeżeli nie wręcz niemożliwe”.

Nota stwierdzała ponadto niewykonanie przez stronę sowiecką obietnicy dostarczenia odnośnych wykazów obywateli polskich zwolnionych z zamknięcia oraz podkreślała, że podczas gdy komu-

nikaty PAT'a z Londynu i New Yorku ogłaszały światu o zwolnieniu obywateli polskich z więzień i obozów w ZSSR, Ambasada otrzymuje informacje, „iż w szeregu więzień i obozów znajdują się jeszcze tysiące obywateli polskich, których w ogóle nie powiadomiono o zawartym 30. 7. 1941 roku Układzie lub też wręcz oświadczono im, że postanowienia tego Układu oraz Dekretu Rady Najwyższej ZSSR z 12. 8. 1941 roku do nich się nie odnoszą”. W nocy oraz w dołączonym do niej załączniku były przykładowo wyliczone liczne miejsca przetrzymywania w zamknięciu obywateli polskich ze wskazaniem bądź to konkretnych nazwisk, bądź też ogólnych danych ilościowych.

Zamiast obiecanych wykazów, ogólnikowe dane statystyczne odnośnie wykonywania protokołu dodatkowego zostały Ambasadrowi udzielone przez Wyszyńskiego podczas rozmowy w dniu 14. 10. 1941 roku. Wynikało z nich, że „na 387.962 *byłych* obywateli polskich pozbawionych wolności przez ZSSR przypadało na poszczególne kategorie:

I-sza kategoria (zasądzeni lub siedzący pod śledztwem)	71.481
II-ga kategoria (osiedleni w <i>spec-posiołkach</i> i deportowani do miejsca przymusowego pobytu)	291.137
III-cia kategoria (jeńcy wojenni)	25.314

Z tej liczby na dzień 1. 10. 1941 roku zwolnionych 345.511. Zatem pozostało jeszcze pozbawionych wolności 42.421 osób”.

Wobec zakwestionowania przez Ambasadora powyższych danych, w toku dość podnieconej dyskusji przedstawiciele LKSZ wyjaśniali, że „liczby te nie zawierają *byłych* obywateli polskich, którzy na mocy ustawy radzieckiej z 1. 10. 1939 roku uzyskali obywatelstwo radzieckie”. W toku tej samej rozmowy Ambasadur wyraził nadzieję, że gdy gen. Sikorski przyjedzie do ZSSR, znajdzie już na wolności wszystkich swoich oficerów, Wyszyński zaś, zapewniając, że „oddamy Wam wszystkich ludzi jakich mamy”, proponował, by Ambasada przysyłała dane o niedociągnięciach władz lokalnych na piśmie „a będziemy naciskać na władze lokalne”.

Sprawa nie całkowitego wykonywania przez władze sowieckie postanowień protokołu dodatkowego oraz udzielanych w tej materii obietnic poruszana była również w rozmowie Ambasadora z Komisarzem Spraw Zagranicznych Mołotowem w dniu 22. 10. 1941 roku. Mołotow zapewnił wówczas, że „na skutek amnestii zostali zwolnieni wszyscy obywatele polscy, ale niewątpliwie w szeregu okręgów pozostali w dotychczasowych miejscach swego zamieszkania” oraz tłumacząc się wielkimi trudnościami transportowymi i administracyjnymi, ponownie obiecał

okazanie „Rządowi Polskiemu w tej sprawie całkowitej pomocy w ramach naszych możliwości”, w szczególności przez udzielanie „wiadomości o osobach, na których Panu Ambasadorowi zależy” na podstawie składanych do LKSZ „list imiennych”. Ambasador w odpowiedzi podkreślił, iż listę „zaginionych” oficerów W.P. z obozów jeńców w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie generał Anders złożył już kompetentnym władzom sowieckim oraz prosił o wydanie poleceń przyspieszenia załatwienia tej sprawy.

Po złożeniu w dniach 25 i 31. 10. 1941 roku dwóch not wyliczających kilkaset konkretnych nazwisk i adresów obywateli polskich przetrzymywanych w zamknięciu lub na zesłaniu, Ambasador w nocy osobistej dnia 1. 11. 1941 roku na imię Komisarza Mołotowa stwierdzał, że gen. Sikorski oczekuje przed ustaleniem ostatecznej daty przyjazdu do ZSSR „przyspieszenia pełnego wykonania Protokołu Dodatkowego do Układu polsko- sowieckiego z 30. 7. 1941 roku oraz Dekretu z 12. 8. 1941 roku”.

W nader ożywionej rozmowie Ambasadora z Wyszyńskim w dniu 2. 11. 1941 roku ten ostatni, twierdząc kategorycznie, że wszyscy Polacy zostali już oswobodzeni, kwestionował ścisłość podawanej przez Ambasadora liczby 9.500 „zaginionych” oficerów-jeńców wojennych oraz powoływał się na zasadniczą zmianę warunków (ewakuację Moskwy) uniemożliwiającą mu wykonanie obietnic co do udzielenia danych, gdzie znajdują się obywatele polscy zwolnieni z zamknięcia, lecz zatrzymani na miejscu ze względów transportowo-technicznych. Na prośbę Ambasadora umożliwienia wysłania delegatów Ambasady, którzy by w towarzystwie funkcjonariuszy NKWD objechali obozy z przetrzymywanymi tam obywatelami polskimi, przyszli im z pomocą i dodali otuchy, ułatwiającej im przetrwanie zimy, Wyszyński wyraźnie niezadowolony „ze sposobu stawiania sprawy przez Pana Ambasadora” i chęci kontrolowania władz sowieckich przez wysłanników Ambasady oświadczył, że „mamy zestawienia wszystkich żywych albo umarłych, obiecałem dane i dostarczę ich” oraz prosił w dalszym ciągu o składanie do LKSZ imiennych list brakujących osób.

Twierdzenie, że zgodnie z Dekretem z 12. 8. 1941 roku „wszyscy obywatele polscy, którzy byli pozbawieni wolności jako jeńcy wojenni lub na innych dostatecznych podstawach, zostali zwolnieni”, było powtórzone w nocy osobistej Komisarza Mołotowa do Ambasadora z dnia 8. 11. 1941 roku i odtąd jest stale podtrzymywane przez przedstawicieli LKSZ i innych władz sowieckich we wszystkich rozmowach oraz dokumentach pisem-

nych. Zaznaczyć w tym miejscu należy, że według informacji otrzymywanych przez Ambasadę w okresie od połowy października do początków listopada 1941 roku z licznych obozów i więzień zostały istotnie zwolnione dość duże partie przetrzymywanych tam dotąd obywateli polskich, z czego jednak nie wynikało, aby zwolnieni zostali wszyscy, tj. by twierdzenie noty Komisarza Mołotowa odpowiadało rzeczywistości.

W dniach 8-13 listopada 1941 roku Ambasada złożyła w LKSZ spisy obejmujące kilkaset nazwisk bardziej wybitnych obywateli polskich — wojskowych i cywilnych, „jeszcze nie zwolnionych z więzień i obozów do odszukania w pierwszej kolejności”. Spisy te pozostały w zasadzie bez oficjalnej odpowiedzi LKSZ, aczkolwiek część wymienionych w nich osób została następnie z zamknięcia zwolniona, na skutek zresztą przeważnie dalszych interwencji Ambasady pisemnych i ustnych.

Ponadto w ciągu listopada 1941 roku Ambasada złożyła w LKSZ cztery dalsze kolejne wykazy obywateli polskich przebywających w więzieniach i obozach pracy przymusowej. Wykazy te obejmowały nazwiska 511 osób z podaniem adresów miejsc przetrzymywania ich w zamknięciu oraz dat z których pochodziły odnośne informacje Ambasady.

Po poruszeniu sprawy wykonywania Protokołu Dodatkowego w rozmowie Ambasadora z Prezesem Rady Kom. Lud. Stalinem w dniu 14. 11. 1941 roku i uzyskaniu od niego oświadczenia, że sowiecka amnestia nie zna wyjątków i wszyscy uwięzieni Polacy winni być z zamknięcia zwolnieni, *aide-mémoire* LKSZ z 19. 11. 1941 roku, powtarzając twierdzenie o „wprowadzeniu w życie pełnego zastosowania amnestii do obywateli polskich” jednocześnie dodawał, że „jest samo przez się zrozumiałe, iż amnestia nie mogła być rozszerzona na osoby odbywające karę za przestępstwa pospolite, na hitlerowskich agentów, na Niemców, Włochów, Rumunów, Węgrów i innych spośród *byłych* obywateli polskich”.

W odpowiedzi nota Ambasady z 3. 12. 1941 roku stwierdzała, że „w praktyce jeszcze znaczne ilości obywateli polskich pozbawione są na terenie ZSSR wolności, czy to w więzieniach, czy to w obozach pracy przymusowej, czy wreszcie w miejscach przymusowego osiedlenia” oraz, powołując się na oświadczenie Stalina z 14. 11. 1941 roku, że „amnestia wobec obywateli polskich jest powszechna i bezwarunkowa” protestowała przeciwko próbom *aide-mémoire’u* jednostronnego jej ograniczenia oraz wyrażała „nadzieję, że zostaną podjęte energiczne kroki mające na celu jak najszybsze pełne wprowadzenie w życie zwolnień

obywateli polskich przez wykonawcze organy władzy". Obszernie motywując powody dla których Ambasada nie może się zgodzić na sformułowane w *aide-mémoire* ograniczenia stosowania amnestii nota ponawiała prośbę o przysyłanie do Ambasady „spisów obywateli polskich znajdujących się jeszcze w więzieniach i obozach z tego czy innego powodu oraz zwalnianych z nich z podaniem miejscowości, do których się kierują”.

Podczas swego pobytu w ZSSR prezes Rady Ministrów gen. Sikorski również poruszał sprawę wykonywania postanowień protokołu dodatkowego. W dniu 3. 12. 1941 roku złożył on Stalinowi m.in. spisy „zaginionych” Starobielszczan, Kozielszczan, Ostaszkowców, obejmujące około 4.000 nazwisk. Poza powtórzeniem twierdzenia o całkowitym wykonaniu „amnestii” i obietnic o przedsięwzięciu kroków w celu ustalenia miejsc pobytu osób zaginionych w ZSSR — z jednoczesną sugestią, iż po zwolnieniu z obozów uciekły one prawdopodobnie poza granice ZSSR — nie otrzymał konkretnej odpowiedzi.

Natomiast bezpośrednio przed wyjazdem gen. Sikorskiego z Kujbyszewa do Moskwy w dniu 1. 12. 1941 roku wpłynęła do Ambasady nota LKSZ, w której po raz pierwszy została wyraźnie postawiona teza sowiecka w sprawie uzależnienia posiadania obywatelstwa polskiego od narodowości poszczególnych osób, która to teza była dotychczas podawana tylko ustnie i to w sposób zawoalowany i dość enigmatycznie (vide cytowane uprzednio rozmowy z pierwszych dni września oraz z 14. 10. 1941 r.).

Odnośny ustęp tej noty brzmiał jak następuje: „Wszyscy obywatele zachodnich okręgów Ukrainiejskiej i Białoruskiej SRR, którzy znajdowali się na terytorium wskazanych okręgów 1/2 listopada 1939, nabyli, zgodnie z ustawą o obywatelstwie ZSSR z 19. 8. 1938 roku, obywatelstwo ZSSR. Gotowość rządu sowieckiego uznania za obywateli polskich osób narodowości polskiej, zamieszkujących do 1/2 listopada 1939 roku na wyżej wskazanym terytorium, świadczy o dobrej woli i uступliwości rządu sowieckiego, ale bynajmniej nie może być podstawą dla analogicznego uznania za obywateli polskich osób innych narodowości, w szczególności ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej, ponieważ zagadnienie granic między ZSSR i Polską nie jest rozstrzygnięte i podlega rozpatrzeniu w przyszłości”.

W parę dni potem (3. 12. 1941 r.) nastąpiło zaareztowanie przez organa NKWD Ludwika Ehrlicha i Wiktora Altera, o zwolnieniu których jako obywateli polskich zakomunikował LKSZ Ambasadzie notą Nr 13 z 23. 9. 1941 roku.

W toku ustnych interwencji Ambasadora w sprawie ich zwol-

nienia Wyszyński wysunął początkowo zarzut współdziałania z Niemcami (rozmowa z 6. 12. 1941 r.), następnie zaś LKSZ w nocy z 26. 1. 1942 roku, powołując się na przytoczone wyżej stanowisko w sprawie obywatelstwa osób narodowości nie-polskiej, (nota z 1. 12. 1941 r.), zakwestionował ich polskie obywatelstwo i, pomijając milczeniem przytoczone w notach Ambasady z 7. 3. 1942 i 4. 4. 1942 roku argumenty logiczne i prawne, odmówił notą z 12. 4. 1942 roku wszelkiej dalszej dyskusji na ten temat.

Pisemne noty interwencyjne Ambasady

Ambasada R.P., odrzucając *a limine* stanowisko LKSZ w sprawie dyskryminacji narodowościowej obywateli polskich, w ciągu grudnia 1941 roku złożyła 9 not z przytoczeniem nazwisk i adresów dalszych 767 obywateli polskich, przetrzymywanych w więzieniach i obozach sowieckich. Informacje natomiast LKSZ w sprawach „osób, którymi się interesuje Ambasada” napływały bardzo powoli i fragmentarycznie. W ciągu grudnia 1941 roku nadeszły 4 noty LKSZ zawierające nazwiska 49 osób, wymienionych w uprzednich notach Ambasady, z tym, że znajdują się one już na wolności. W kwestii zasadniczej LKSZ, w odpowiedzi z dnia 9. 1. 1942 r. na notę z dnia 3. 12. 1941 r. podtrzymywał twierdzenie *aide-mémoire* z 19. 11. 1941 r. o konieczności zatrzymywania w zamknięciu osób, „które ze względu na swoje stosunki oraz swoje sympatie narodowe mogą stanowić niebezpieczeństwo dla sprawy ZSSR i jego sojuszników”, względnie, które są uważane przez władze sowieckie za przestępców kryminalnych, jako „osoby zasądzone za przestępstwa kryminalne (rozbój, rabunek, zabójstwo, kradzież itd.)”. Jednocześnie LKSZ ponownie zapowiadał przysłanie Ambasadzie spisów obywateli polskich znajdujących się jeszcze w zamknięciu „w miarę ich otrzymywania od właściwych organów władz sowieckich” oraz zaznaczał, że „w praktyce” zwalnianie obywateli polskich następowało „niezależnie od jakichkolwiek spisów nadchodzących z Ambasady”, które, „jak Ambasadzie wiadomo”, „dotyczyły tylko kilkuset ludzi, gdy tymczasem ilość zwolnionych obywateli oblicza się na kilkaset tysięcy”.

Nadmienić należy, że w końcu grudnia 1941 roku były ponownie większe zwolnienia obywateli polskich przetrzymywanych dotąd w zamknięciu i że istotnie ilość faktycznie zwalnianych w rezultacie interwencji Ambasady osób była większa niż ilość zwolnień notyfikowanych przez LKSZ Ambasadzie. Pomimo to

ilość obywateli polskich przetrzymywanych w więzieniach i obozach była ciągle jeszcze bardzo duża. Informacje o coraz nowych nazwiskach i adresach napływały stale do Ambasady i były przez nią przekazywane w notach do LKSZ. (Dane statystyczne o ilości interwencyjnych not Ambasady i wymienionych w nich nazwisk oraz o odpowiedziach LKSZ na powyższe noty w poszczególnych miejscach I-go półrocza 1942 roku — ob. załącznik 2).

W odpowiedziach LKSZ od stycznia 1942 roku zaczęły się pojawiać rubryki zapowiedziane w *aide-mémoire* z 19. 11. 1941 oraz w nocy z 9. 1. 1942 roku. Poczynając od noty Nr 11 z 18. 1. 1942 roku, LKSZ obok osób zwolnionych z zamknięcia w konkretnie wskazanych datach oraz osób „także znajdujących się na wolności” stale komunikował również o osobach, które są zatrzymywane w zamknięciu „jako przestępcy kryminalni”, w stosunku do których „kompetentne organy dysponują materiałami świadczącymi o ich działalności szpiegowskiej na rzecz Niemiec”, względnie które „nie są obywatelami polskimi”. Udzielając Ambasadzie tego rodzaju wyjaśnień, LKSZ nie wskazywał jednak przesłanek, na podstawie których odnośne organy sowieckie dochodziły do komunikowanych Ambasadzie wniosków. Ponieważ zaś Ambasada z reguły nie dysponowała bliższymi danymi o osobach, o które interweniowała w swych notach, w większości wypadków, ze względu na elementarną ostrożność, nie była w stanie nalegać na zwolnienie osób, które istotnie mogły się okazać bandytami, względnie agentami nieprzyjaciela. Zaznaczyć jednak należy, że w szeregu wypadków do Ambasady dochodziły następnie wiadomości o zwolnieniu z zamknięcia poszczególnych z tych „bandytów” względnie „szpiegów”, co świadczyłoby, że informacje podawane przez LKSZ nie zawsze widocznie były dość dokładne i ścisłe. Dotyczyło to również niekiedy osób, o zwolnieniu których LKSZ komunikował Ambasadzie, a które, według informacji otrzymywanych następnie przez Ambasadę, w rzeczywistości pozostawały nadal w zamknięciu.

Ze swej natomiast strony LKSZ domagał się od Ambasady informacji bardzo dokładnych i wyczerpujących. W licznych notach, a także w poszczególnych rozmowach, LKSZ wytykał Ambasadzie niedokładności w brzmieniu podawanych w notach imion i nazwisk oraz domagał się podawania odnośnie osób, o które Ambasada interweniowała, możliwie najbardziej szczegółowych danych personalnych, oświadczając, iż na podstawie samych tylko nazwisk nie jest w stanie udzielać żadnych informacji.

Zadośćuczynienie powyższym żądaniom LKSZ było niezmierznie trudne, a nawet wręcz niemożliwe. Dane do not interwen-

cyjnych Ambasada otrzymywała bądź to od zainteresowanych rodzin, bądź też od osób zwalnianych z zamknięcia. Ze względu na trudności wynoszenia z więzień i obozów sowieckich jakichkolwiek zapisek (niekiedy tylko udawało się wynieść zaszyte w bieliźnie lub ubraniu gałganki z zapisanymi na nich danymi personalnymi pozostałych w zamknięciu więźniów) spisy osób zatrzymywanych w poszczególnych więzieniach i obozach były przeważnie odtwarzane z pamięci przez osoby nader wyczerpane fizycznie i umysłowo długotrwałym więzieniem. Jeśli uwzględnić jeszcze fakt, iż wielu obywateli polskich po aresztowaniu podawało władzom sowieckim zmyślane nazwiska i inne dane personalne, podczas zaś pobytu w więzieniach i obozach nie kwapiło się do zwierzeń w stosunku do często przypadkowych współwięźniów, wystąpią w całej pełni trudności, na jakie natrafiała Ambasada przy podawaniu LKSZ konkretnych danych o przetrzymywanych w zamknięciu obywatelach polskich. Podawanie zaś danych ogólnikowych, w szczególności bez wskazywania adresów miejsc zatrzymywania w zamknięciu poszczególnych osób, było w praktyce bezcelowe, wobec kategorycznego twierdzenia władz sowieckich, że „amnestia” została już w pełni wykonana i wszyscy Polacy zwolnieni. Takie stanowisko LKSZ utrudniało, a nawet uniemożliwiało interwencje Ambasady w sprawach bardzo wielu osób, o których się wiedziało, że w Kraju zostały aresztowane i wywiezione następnie w głąb ZSSR, lecz nie mogło się wskazać dokładnego adresu miejsca zamknięcia, w którym były przetrzymywane.

Co się tyczy osób uznawanych przez władze sowieckie za „nieobywateli polskich” to tu z reguły figurowały nazwiska o brzmieniu niepolskim. I odwrotnie, nazwiska o brzmieniu niepolskim z reguły nie trafiały się wśród osób o zwolnieniu których (lub „znajdowaniu się na wolności”) LKSZ komunikował Ambasadzie. (O rezultatach akcji interwencyjnej Ambasady R.P. odnośnie obywateli polskich narodowości żydowskiej oraz stosunku do nich władz sowieckich — obacz oddzielną notatkę)*.

* Tekstu „Notatki służbowej w sprawie akcji interwencyjnej Ambasady R.P. odnośnie obywateli polskich narodowości żydowskiej oraz stosunku do nich władz radzieckich; z załącznikiem: 'Jak władze obozowe i przedstawiciele prokuratury usiłują powaśnić obywateli polskich — Polaków, Żydów i Ukraińców — i zabić w nich uczucia patriotyczne'” w aktach swoich nie odnalazłem. Wraz ze zbiorom dokumentów w sprawach Ehrlicha i Altera oraz Schorra Sommersteina notatka ta została 13 lipca 1942 wysłana z Kujbyszewa do Londynu razem z drukowaną „Notatką informacyjną”. Świadczy to, jak duża waga była wówczas przywiązywana do sprawy Żydów obywateli polskich.

Dla ścisłości zaznaczyć należy, że podanie w nocy LKSZ tego lub innego nazwiska wśród nazwisk nie podlegających „amnestii” obywateli „niepolskich” w rzeczywistości bynajmniej nie oznaczało, by dana osoba nie została następnie z obozu lub z więzienia zwolniona i by przy zwolnieniu nie otrzymała zaświadczenia stwierdzającego fakt jej zwolnienia na podstawie dekretu z 12. 8. 1941 roku.

Istotny stosunek władz sowieckich do składanych przez Ambasadę not interwencyjnych ujawnił się w całej pełni w toku rozmowy I sekretarza Ambasady W. Arleta z kierownikiem IV Europejskiego Oddziału LKSZ p. Nowikowem w dniu 28. 2. 1942 roku.

Oto najbardziej charakterystyczne ustępy z tej rozmowy:

Nowikow zwrócił uwagę na powtarzanie się w notach Ambasady błędów i niedokładności w nazwiskach i w danych personalnych, podkreślając, że władzom trudno czynić poszukiwania w tych wypadkach: „Ambasada przysyła dużą ilość nazwisk, po kilka not na tydzień, i parę osób spośród personelu, które się tym w LKSZ zajmują, ma z tym dużo kłopotu”. W związku z powtórными zapytaniem o osoby co do których LKSZ udzielił już odpowiedzi, trzeba po raz drugi powtarzać tę samą robotę. „Chcielibyśmy, by na przyszłość tego nie było”.

Arlet: — Jak Ambasada już uprzednio wyjaśniała, podaje ona wszystkie szczegóły, które posiada, nie zawsze jednak rozporządza dokładnym materiałem. Gdyby Ambasada tak jak GUŁag była w posiadaniu dokładnej ewidencji wszystkich aresztowanych obywateli polskich, ze wszystkimi danymi oraz wszelkimi dokumentami osobistymi, które aresztowanym odebrano, niewątpliwie niedokładności by się nie zdarzały. Powtarzania nazwisk postaramy się uniknąć. Jednak jedynym sposobem zaprowadzenia zupełnego ładu w tej dziedzinie byłoby dostarczenie Ambasadzie spisów imiennych obywateli polskich, znajdujących się w obozach i więzieniach, o co Ambasada bezskutecznie upomina się od końca sierpnia ub. roku.

Nowikow: — Ambasada otrzymuje o osobach, które ją interesują coraz więcej danych. Ilość odpowiedzi jest znaczna, jak Pan sam wie. Jednak niezrozumiałe jest, po co Ambasada w notach swych powtarza stale formułkę, żądającą zastosowania amnestii wobec osób, których nazwiska podaje. Na postępowanie

władz sowieckich nie ma to żadnego wpływu. Przecież bodaj że jeszcze 19 listopada 1941 roku komisarz Mołotow oświadczył, że wszyscy obywatele polscy, do których amnestia się stosuje, zostali zwolnieni, a zatrzymano te osoby, które, jak więźniowie kryminalni itp., znajdują się na *osobym uczotie*.

Arlet: — Składanie wykazów imiennych przez Ambasadę zostało wprowadzone wskutek niewypuszczenia przez władze sowieckie licznych obywateli polskich. W jednej z rozmów Ambasadora Kota z Przewodniczącym Wyszynskim, bodaj że 20 września, p. Wyszynski zaproponował Ambasadadorowi składanie przez Ambasadę wykazów osób do zwolnienia w pierwszej kolejności. P. Mołotow w Moskwie, podczas rozmów z Ambasadorem przyznał, że możliwe jest przetrzymanie w wielu obozach Polaków jako siły roboczej i niestosowanie do nich amnestii po prostu dlatego, by nie zmniejszać produkcji danego obozu. Jeśli jakiś dyrektor obozu ma dobrego *lesoruba*, będącego poza tym pierwszorzędnym konstruktorem czy inżynierem, to go po prostu zatrzymuje, nie zwracając uwagi na zarządzenie władz centralnych. Zresztą praktyka wykazała, że w wielu wypadkach zwolniono osoby, o które Ambasada się dopominała po 8 listopada, a więc po dniu, w którym p. Mołotow na piśmie oświadczył Ambasadadorowi, że wszyscy Polacy są zwolnieni.

Nowikow (ironicznie): — Ludzie są ludźmi. I każdemu wolno mieć złudzenia. Jeśli Ambasada chce nam takie formułki powtarzać, to trudno. Proszę bardzo.

Arlet: — Istotnie, nie pomylił się Pan, ludzie są dla nas jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym zagadnieniem. W czasie, gdy wskutek działalności *niemieckich* okupantów tysiące najlepszych naszych ludzi zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych i prac przymusowych w Rzeszy Niemieckiej, gdy Niemcy niszczą nam najlepszych profesorów uniwersytetów, przedstawicieli wolnych zawodów i w ogóle inteligencję, każdy człowiek ma dla nas wartość. Liczymy też w pełni na współpracę sojuszniczego rządu sowieckiego w ratowaniu naszych ludzi, którzy znajdują się tutaj.

Nowikow: — No, naturalnie. My rozumiemy to i będziemy się starali w miarę możliwości załatwiać sprawę”.

Aczkolwiek, jak to — może zbyt otwarcie i szczerze — podkreślił Nowikow, żądania Ambasady zastosowania do poszczególnych osób postanowień Protokołu Dodatkowego do Układu z 30. 7. 1941 roku „na postępowanie władz sowieckich nie miały

żadnego wpływu”, noty interwencyjne musiały przypominać władzom sowieckim o całokształcie problemu oraz podkreślały fakt nieścisłości twierdzeń LKSZ o całkowitym wykonaniu „amnestii”. Obejmowały one jednak zaledwie drobną część obywateli polskich faktycznie zatrzymywanych w zamknięciu po dacie 8. 11. 1941 roku, kiedy to, według twierdzenia noty osobistej komisarza Mołotowa, „amnestia” miała już być całkowicie wykonana.

Według informacji otrzymanych przez Ambasadę od stycznia-lutego 1942 roku do poszczególnych *obłasti* ZSSR zostali wysłani specjaliści delegacji *Narkomjustu* (Komisariat Sprawiedliwości) w celu przeprowadzenia rewizji spraw zatrzymywanych w zamknięciu obywateli polskich. W jednym wypadku miała przy tym miejsce „nieoficjalna” współpraca delegata *Narkomjustu* z przedstawicielem polskich władz wojskowych, według informacji którego, po sprawdzeniu akt osób zatrzymywanych w zamknięciu, w dwóch *obłastach* centralnej Syberii zostało wygotowane około 2.600 wniosków na oswobodzenie obywateli polskich, dotąd zatrzymywanych w zamknięciu pod ogólnym zarzutem „działania na rzecz wspólnego wroga mocarstw sprzymierzonych”, przy jednoczesnym zaakceptowaniu dalszego zatrzymania w zamknięciu czterdziestu kilku przestępców kryminalnych oraz 4 spraw spornych — osób oskarżanych przez władze sowieckie o zbrodnię szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Zważywszy, że z tego samego terenu Ambada zdołała uzyskać i podać w notach do LKSZ wiadomości zaledwie o około 50 zatrzymywanych tam w zamknięciu obywatelach polskich (co stanowi około 2 % ogółu osób, o zwolnienie których wystąpił delegat *Narkomjustu*) można, uważając powyższe dwie *obłasti* centralnej Syberii za typowe, dojść do wniosku, że ogólna ilość obywateli polskich zatrzymywanych w początku 1942 roku w obozach i więzieniach na całym terytorium ZSSR wynosić mogła około 230.000 osób (ob. tablica o rezultatach działalności Ref. Interw. — załącznik 2).

Jeśli się uwzględni powszechne przekonanie społeczeństwa polskiego o deportowaniu w głąb ZSSR około półtora miliona ludności z terenów polskich, okupowanych w swoim czasie przez Armię Czerwoną, i zestawí tę liczbę z liczbami podanymi przez stronę sowiecką w rozmowie z 14. 10. 1941 roku (ob. wyż. str. 4), oraz liczbą około 400.000 objętych ewidencją lokalnych delegatów Ambasady, — to, uwzględniając nawet bardzo wysoką śmiertelność wśród osób wywiezionych do ZSSR — liczba około ćwierć miliona obywateli polskich, zatrzymywanych w początkach 1942 roku w zamknięciu na całym terytorium ZSSR, nie wydaje

się być przesadzona. Prawdopodobieństwo jej wzmacnia jeszcze fakt, że z terenów od dawna znanych jako klasyczne rosyjskie tereny zesłania i katorgi — Kraj Jakutów, Kamczatka, dorzecze Kołymy, wyspy na Oceanie Lodowatym itp. — Ambasada nie posiada właściwie żadnych konkretnych danych, poza fragmentarycznymi wiadomościami, iż były tam w swoim czasie skierowywane bardzo znaczne ilości obywateli polskich, wróciły zaś stamtąd nieliczne jednostki.

Charakterystycznym jest, zauważmy nawiasem, że do lipca 1942 roku poza jedynym wyjątkiem prof. Schorra, LKSZ nie zakomunikował Ambasadzie o żadnym wypadku śmierci obywateli polskich w obozach i więzieniach sowieckich. W kilku wypadkach nazwiska osób, o śmierci których Ambasada uzyskała informacje z innych źródeł, w odpowiedziach LKSZ umieszczone były wśród osób nie odnalezionych pod wskazanymi w notach Ambasady adresami.

Ograniczając się na tym miejscu do stwierdzenia, że wielokrotnie powtarzane przez przedstawicieli władz sowieckich obietnice dostarczenia stronie polskiej dokładnych spisów obywateli polskich, zwolnionych na podstawie „amnestii” oraz zatrzymanych w zamknięciu, zrealizowane nie zostały, pozostawić należy otwartą kwestię, w jakim stopniu odpowiadało rzeczywistości wypowiedziane przez Wyszyńskiego w dniu 2. 11. 1941 roku twierdzenie o posiadaniu przez władze sowieckie zestawień wszystkich „żywych i umarłych” (ob. wyżej), to jest w jakim stopniu rozbieżność pomiędzy oficjalnymi oświadczeniami LKSZ a obiektywną rzeczywistością była wynikiem czyjejś złej woli, a w jakim skutkiem niedokładności funkcjonowania aparatu sowieckiego. Nie jest bowiem wykluczone, że władze sowieckie same dokładnie nie wiedziały i nie wiedzą, ilu obywateli polskich zostało z Polski wywiezionych, ilu zwolnionych oraz ilu i gdzie pozostaje w zamknięciu. W każdym bądź razie stwierdzić należy, że nadsyłane Ambasadzie informacje LKSZ, zarówno w ich całości, jak i odnośnie poszczególnych osób, nie zawsze odpowiadały obiektywnej rzeczywistości.

Szczególnie charakterystyczna pod tym względem jest odpowiedź LKSZ z 2. 5. 1942 r. na notę Ambasady z 25. 4. 1942 r. W tej niezwykle szybko nadesłanej odpowiedzi LKSZ, po zakomunikowaniu, że jedna (na 181) z osób wymienionych w nocie Ambasady nie może być zwolniona jako szpieg niemiecki, że o jednej już LKSZ udzielił odpowiedzi w poprzedniej nocie, że los dwóch nie może być wyjaśniony z powodu niepodania LKSZ szczegółowych danych personalnych, że dwie nie są obywatelami polskimi

oraz że o jednej są zbierane informacje, oświadcza w końcu: „co się tyczy pozostałych obywateli wymienionych we wspomnianej notcie Ambasady, to znajdują się oni na wolności”.

Powyższa nota z 2. 5. 1942 roku była zresztą ostatnią jak dotąd notą LKSZ, w której udziela on Ambasadzie jakichś merytorycznych informacji odnośnie osób, o które Ambasada interweniowała. W ciągu maja i czerwca 1942 roku Ambasada wysłała 8 not zawierających 1.531 nowych nazwisk i adresów obywateli polskich przetrzymywanych, według otrzymanych przez Ambasadę [...], w zamknięciu, LKSZ zaś w ogóle żadnej odpowiedzi Ambasadzie nie udzielił.

Pomimo to faktycznie jednak zwolnienia obywateli polskich następowały mniejszymi lub większymi partiami ciągle, do końca czerwca 1942 roku włącznie. Wiadomości o tych zwolnieniach dochodziły do Ambasady tylko wypadkowo i nosiły fragmentaryczny charakter. Dlatego też Ambasada nie dysponuje obecnie danymi co do ilości osób faktycznie zwolnionych z więzień i obozów w ciągu I-szej połowy 1942 roku.

Całokształt spraw związanych z wykonywaniem przez stronę sowiecką Protokołu Dodatkowego do Układu z 30. 7. 1941 roku poruszony został w memorandum złożonym przez Ambasadę LKSZ w dniu 19. 5. 1942 roku. Odpowiedź na to memorandum nadeszła w formie *aide-mémoire* w dniu 10. 7. 1942 roku.

Oto kolejno najważniejsze sprawy poruszone w memorandum oraz odpowiedzi na nie LKSZ:

1) Sprawa dotąd nie zwolnionych z zamknięcia, względnie zaginionych w ZSSR polskich uczonych i działaczy kulturalnych. Memorandum wymieniało w formie przykładu 43 nazwiska osób wywiezionych w głąb ZSSR, o których Ambasada nie posiada żadnych wiadomości.

Odpowiedź LKSZ: Amnestia została całkowicie wykonana. Fakt iż pewna liczba obywateli polskich nie dała o sobie znaku życia Ambasadzie nie znaczy, iżby pozostawali oni w zamknięciu. Możliwe, że po zwolnieniu uciekli nielegalnie za granicę ZSSR (*aide-mémoire* przytacza przykładowo 2 nazwiska osób, które przeszły czy też usiłowały przejść linię frontu niemieckiego oraz 9 nazwisk osób, które przeszły do Iranu, względnie Afganistanu). W sprawie konkretnych osób wymienionych w memorandum LKSZ zakomunikował, że 8 z nich zostało w swoim czasie zwolnionych, 6 zmarło w więzieniach i obozach, 3 nie są obywatelami polskimi, 1 los się wyjaśnia. Pozostałe 25 nazwisk pominął milczeniem.

2) Sprawa zaginionych w ZSSR b. jeńców wojennych z Kosielska, Starobielska i Ostaszkowa.

Odpowiedź LKSZ: Jak wyjaśniono w rozmowach z Ambasadorem oraz podano w *aide-mémoire* Rządowi R.P. w Londynie, wszyscy b. jeńcy wojenni, również oficerowie, zostali zwolnieni. Przedłożone przez stronę polską spisy przeszło 4.000 zaginionych oficerów nie zasługują na zaufanie, jako zestawione na podstawie chwiejnych i niepewnych źródeł.

3) To samo co pierwsze, odnośnie polskich działaczy społecznych i politycznych. Memorandum wyliczało 36 nazwisk zaginionych w ZSSR polityków i społeczników.

Odpowiedź LKSZ: To samo, co pod 1-szym (w *aide-mémoire* wzmiankował również o znanych Ambasadzie licznych wypadkach śmierci obywateli polskich po ich zwolnieniu z zamknięcia). W sprawie konkretnych osób — 4 zmarły w więzieniu i obozach, 5 nie jest obywatelami polskimi, 2 pozostali na terenach okupowanych przez Niemców. Pozostałe 25 nazwisk pominięto milczeniem.

4) To samo odnośnie polskich prawników, sędziów, prokuratorów, urzędników administracyjnych oraz funkcjonariuszy P.P. Memorandum podawało 84 nazwiska.

Odpowiedź LKSZ: To samo, co pod 1-szym, w sprawie konkretnych osób — 10 zostało zwolnionych, 4 zmarły w więzieniu i obozach, 1 został na terenie okupowanym, 1 uciekł z etapu i nie został schwytany. Pozostałe 68 nazwisk pominięto milczeniem.

5) Zatrzymanego przez NKWD we wrześniu 1939 roku radcy MSZ p. Matusińskiego oraz nie odnalezionych w ZSSR współpracowników MSZ.

Odpowiedź LKSZ: „Odnosnie Matusińskiego zostało ustalone, iż nie był aresztowany”. Odszukanie pozostałych współpracowników utrudnia czy też uniemożliwia niepodanie przez Ambasadę szczegółowych danych personalnych.

6) Trudności uzyskiwania przez Ambasadę adresów oraz danych personalnych obywateli polskich przetrzymywanych w zamknięciu.

Odpowiedź LKSZ: Wywody Ambasady pominięte milczeniem, ponownie podkreślone fragmentaryczne i ułamkowe podawanie danych personalnych przez Ambasadę z taką konkluzją: „Jednakże jest zupełnie jasne, że bez przedstawienia elementarnych danych o interesujących Ambasadę osobach (nazwisko, imię, imię

ojca, rok i miejsce urodzenia, nazwa miejsca zamknięcia) kompetentne organy pozbawione będą możliwości dokonywania na przyszłość sprawdzenia informacji odnośnie tych osób”.

7) Wynikających stąd błędów w nazwiskach oraz niemożności podawania LKSZ bardziej szczegółowych danych personalnych.

Odpowiedź LKSZ: Jak wyżej pod pkt. 6.

8) Ułatwienia przetrzymywanym w zamknięciu obywatelom polskim komunikowania się z Ambasadą.

Odpowiedź LKSZ: Twierdzenie Ambasady o trudnościach w tej kwestii nie odpowiada rzeczywistości, „gdyż wszyscy znajdujący się z tych lub innych przyczyn w zamknięciu mają zupełną możliwość utrzymywania pisemnej łączności pocztowej, telefonicznej, zgodnie z ustalonym w miejscach zamknięcia trybem takiej korespondencji”.

9) Głodówki na tym tle 18 polskich wojskowych w styczniu 1942 roku.

Odpowiedź LKSZ: Jest przeprowadzone śledztwo, o rezultatach którego będzie zakomunikowane Ambasadzie.

10) Dostarczenie przez władze sowieckie wielokrotnie obiecywanych spisów obywateli polskich przetrzymywanych w zamknięciu.

Odpowiedź LKSZ: Pominięte milczeniem.

11) Prawnej niemożliwości jednostronnej interpretacji zwężającej Protokołu Dodatkowego do Układu z 30. 7. 1941 roku.

Odpowiedź LKSZ: „Nie widzi konieczności powracania do kwestii... ponieważ odpowiednie wyjaśnienia zostały w wyczerpujący sposób przedstawione w nocie LK z 9. 1. 1942 roku.

12) Tzw. w notach LKSZ „byłych obywateli polskich”.

Odpowiedź LKSZ: Pominięte milczeniem.

13) Zatrzymywanych w zamknięciu obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, i w szczególności Posła na Sejm Śląski Jana Kowala.

Odpowiedź LKSZ: Pominięte milczeniem.

14) Tzw. w notach LKSZ „agentów hitlerowskich”.

Odpowiedź LKSZ: Jest to pojęcie identyczne ze szpiegiem niemieckim.

15) Obywatele polscy odbywający karę w więzieniach sowieckich za przestępstwa pospolite.

Odpowiedź LKSZ: Wywody pominięte milczeniem, zakomunikowano o zwolnieniu 8 osób (na 13), o których uprzednio komunikowano, iż byli zatrzymani jako przestępcy kryminalni.

16) Obywatele polscy oskarżeni o akcję szpiegowską z omówieniem szeregu wypadków i propozycji wspólnego rozpatrywania zarzutów.

Odpowiedź LKSZ: „Kompetentne organy sowieckie posiadają wszystkie możliwości samodzielnego rozstrzygania kwestii o tym, kto mianowicie spośród obywateli polskich i w jakim stopniu stanowi groźbę dla bezpieczeństwa państwowego ZSSR”.

17) Komunikowanie się przedstawicieli Ambasady z obywatelami polskimi oskarżonymi o ciężkie przestępstwa.

Odpowiedź LKSZ: Pominięte milczeniem.

18) Trudności ustalania obywatelstwa polskiego wobec masowego odebrania i niezwrócenia przez władze sowieckie dokumentów polskich aresztowanym lub zesłanym osobom.

Odpowiedź LKSZ: „Pogląd LKSZ... o odniesieniu tych lub innych osób do obywatelstwa polskiego był wyłożony w swoim czasie... wobec czego nie ma potrzeby ponownie do tej kwestii wracać... Co się tyczy zwrotu dokumentów amnestionowanym obywatelom polskim, to we wszystkich wypadkach, gdy było to faktycznie możliwym, dokumenty te były zwracane przy zwalnianiu”.

19) Tzw. „bezpaństwowców” względnie obywateli polskich uznanych za Litwinów, Łotyszów lub Estończyków.

Odpowiedź LKSZ: Pominięte milczeniem.

Kujbyszew, dnia 12 lipca 1942 roku.

ZAŁĄCZNIK 1

PRACE ORGANIZACYJNE W ZAKRESIE INTERWENCJI I WYJAZDY W TEREN

Ambasada dokłada wszelkich starań, aby zebrać jak najwięcej danych o obywatelach polskich trzymanyh w zamknięciu. W tym celu Ambasada i jej delegaci, Sztab Armii i wojskowe punkty dworcowe, przesłuchiwały bardzo dużą liczbę zwolnionych z obozów i więzień.

ZAŁĄCZNIK 2
DANE STATYSTYCZNE WYDZIAŁU INTERWENCYJNEGO PRZY AMBASADZIE R.P. W ZSSR
ZA OKRES OD STYCZNIA DO CZERWCA 1942 ROKU WŁĄCZNIE

Miesiąc	Interwencje Ambas. RP		Odpowiedzi Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSSR																
					zwolnionych										Ogółem nie odnalezionych	zatrzymanych			
	Ilość not Amb.	Ilość wym. nazw.			Ilość not LKSZ	Ilość wym. nazw.	ogółem	w tym						będących na wolności		Ogółem	Szpie- dzy nie- mie- cycy	Prze- stępcy krym.	Nie- obyw. polscy
								do m. X 1941	w XI. 1941	w XII. 1941	w I 1942	w II. 1942	w III. 1942						
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18		
Styczeń	12	1082	9	268	186	34	23	8	—	—	—	121	17	65	10	4	51		
Luty	5	468	5	340	266	85	36	38	30	3	—	74	10	64	3	3	58		
Marzec	6	900	7	472	261	32	11	28	14	2	1	173	118	93	4	1	88		
Kwiecień	6	553	13	271	134	15	5	20	19	9	1	65	39	98	8	3	87		
Maj	3	710	5	194	178	1	—	—	—	2	—	175	10	6	2	2	2		
Czerwiec	5	821	4	10	1	—	—	—	—	—	—	1	2	7	7	—	—		
Razem:	37	4534	43	1555	1026	167	75	94	63	16	2	609	196	333	34	13	286		

W połowie marca 1942 roku opracowano specjalną szczegółową instrukcję co do sposobu zbierania informacji od osób zwolnionych z zamknięcia.

W końcu października wyjechali, jako delegaci objazdowi, na *obłast* Gorkowską, Kirowską, Mołotowską i ASSR Komi inż. Jenicz i dr Pehr, którzy poza pracami organizacyjnymi w zakresie opieki mieli polecenie wywarcia odpowiedniego nacisku na miejscowe władze obozowe i więzienne. Działalność ich przyspieszyła zwolnienie pewnej liczby obywateli polskich z więzienia gorkowskiego i z obozów w ASSR Komi. W lutym utworzono specjalną delegaturę Ambasady we Władywostoku, której głównym zadaniem miało być zbadanie stosunków w nieznanych zupełnie Ambasadzie obozach na Dalekim Północo-Wschodzie. Ambasada miała poważne wiadomości, że w obozach tych znajduje się bardzo duża ilość naszych obywateli, a w szczególności jeńcy wojenni z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Niestety prace tej delegatury od samego początku sparaliżowane zostały przez władze sowieckie. W początkach lipca br. delegat we Władywostoku został, mimo posiadania paszportu dyplomatycznego, pozbawiony na kilka dni wolności, a następnie wysiedlony z granic ZSSR. Delegatura we Władywostoku została przez władze sowieckie przymusowo zlikwidowana.

Dr Jan KARSKI

PRZYWÓDCY WOLNEGO ŚWIATA WIEDZIELI O ZAGŁADZIE W 1943 ROKU

Stephen J. Solarz z Nowego Jorku
w Izbie Reprezentantów, wtorek, 15 grudnia 1981 r.

Kongresman Solarz: Panie Przewodniczący, w Departamencie Stanu odbyła się ostatnio znamienna i głęboko wzruszająca konferencja. Zorganizowana przez Amerykańską Radę Pamięci Ofiar Zagłady pod przewodnictwem Elie Wiesela, Międzynaro-

dowa Konferencja Oswobodzicieli zwołana została w dniach 26-28 października dla upamiętnienia cierpień i poświęceń ofiar nazistowskich obozów koncentracyjnych podczas drugiej wojny światowej oraz wyzwolenia tych, którzy je przeżyli. Cytują tu słowa Prezydenta Reagana, Kongres stanowił „dla sumienia świata dobitne przypomnienie tego, co stało się w tym okresie dziejów, i co utwierdza nasze zdecydowanie, aby nie dopuścić do powtórnego stoczenia się ludzkości w otchłań takiego koszmaru”.

Uczestnicy konferencji przybyli z wielu krajów. Znajdowali się wśród nich zarówno ci, którzy brali udział w oswobodzaniu obozów, jak i ci, którzy sami przeżyli terror nazistowski. Brałem udział w tej konferencji, ale nie będę tu relacjonował moich własnych reakcji. Powiem tylko, że konferencja była dla mnie przeżyciem wyjątkowym.

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę moich kolegów na jedno szczególnie ważne przemówienie, wygłoszone podczas konferencji. Tematem dyskusji było „Odkrycie istnienia planu 'ostatecznego rozwiązania'”. Innymi słowy: kiedy wolny świat dowiedział się po raz pierwszy o nazistowskich planach i działaniach, których celem było wyniszczenie Żydów? Czy stało się to dopiero po zakończeniu wojny, kiedy oddziały alianckie oswobodziły obozy koncentracyjne? Czy też ludzie gnębieni przez nazistów mieli możliwość powiadomić świat o Zagładzie już podczas trwania wojny? A jeżeli przywódcy wolnego świata dowiedzieli się o Zagładzie podczas wojny, to jakie podjęli działania? Jeden z mówców miał szczególne prawo do udzielenia odpowiedzi na te pytania. Był nim dr Jan Karski, bohater polskiego podziemia, tajny wysłannik na Zachód a dziś profesor Uniwersytetu Georgetown.

Dr Karski urodził się w Polsce. Był pracownikiem służby dyplomatycznej, w 1939 roku został zmobilizowany i dostał się jako jeńiec wojenny w ręce armii sowieckiej. Wkrótce potem udało mu się zbiec; włączył się do polskiego, anty-nazistowskiego ruchu oporu, który działał w okupowanej przez Niemcy Polsce. W roli kuriera podziemia odbył w czasie wojny kilka tajnych podróży do Francji, Wielkiej Brytanii i Ameryki. Dr Karski przewoził meldunki i apele nie tylko przywódców polskiego ruchu oporu, ale również od dwu żydowskich organizacji, Bundu i syjonistów. Miał upoważnienie aby występować w imieniu wszystkich tych grup.

Zgodnie z pokładanym w nim zaufaniem przekazywał desperackie apele i nadzieje tych, których reprezentował. Przedstawił jasno położenie Żydów, stałe zagrożenie w którym żyli, oraz określone zalecenia działań w ich obronie, które kierowali do wolnego świata. Raport dr. Karskiego ukazuje, że niektórzy reagowali na te apele pozytywnie, inni — o hańbo — nie. Udzielił teraz głosu samemu dr. Karskiemu. Jedno jednak jest całko-

wicie jasne: już w 1943 roku przywódcy wolnego świata zostali poinformowani o Zagładzie. Wiedzieli o niej.

Panie Przewodniczący, zwracam się do Pana z prośbą, aby przemówienie dr. Karskiego podczas Konferencji Oswobodzicieli zostało włączone do protokołu z dzisiejszej sesji Izby Reprezentantów.

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA OSWOBODZICIELI

Temat „Odkrycie istnienia planu 'ostatecznego rozwiązania'” wymaga rozważenia następujących problemów:

Czego i kiedy zachodni przywódcy i zachodnia opinia publiczna dowiedzieli się o Zagładzie?

W jaki sposób dotarły do nich te wiadomości?

Jaka była reakcja? Jakie są na to dowody?

Byłem jednym z wielu, którzy odegrali w tej sprawie pewną rolę. Opracowując swoje sprawozdanie miałem na myśli nie tylko naszą konferencję, ale również dokumentację historyczną.

W środku lata 1942 roku otrzymałem wiadomość od Delegata Rządu Polskiego na obczyźnie na kraj, Cyryla Ratajskiego, wyrażającą zgodę na moją prośbę odbycia tajnej podróży do Londynu jako kurier z ramienia przywódców partii politycznych zrępowanych w Centralnym Komitecie Politycznym, oraz samego Delegata. Wyprawa ta miała stanowić moją czwartą tajną podróż z Warszawy do Paryża i Londynu.

We wrześniu 1942 roku Delegat Rządu poinformował mnie, że przywódcy dwu podziemnych organizacji żydowskich: socjalistycznego Bundu i syjonistów, dowiedziawszy się o mojej misji, zwrócili się o pozwolenie skorzystania z moich usług w celu przekazania poleceń swoim przedstawicielom w Londynie, Rządowi Polskiemu i władzom alianckim. Delegat odniósł się do tej prośby przychylnie a ja wyraziłem zgodę.

Wkrótce potem odbyłem dwa spotkania z przywódcami żydowskimi. Brali w nich udział obaj dla podkreślenia, że wiadomości, które chcą przekazać, wysyłają w imieniu wszystkich polskich Żydów, niezależnie od ich poglądów politycznych. W celu zidentyfikowania się obaj przywódcy wymienili pełnione funkcje (rzecz jasna nie nazwiska). Cała powojenna literatura przedmiotu identyfikuje ich jako Leona Feinera (przywódcę Bundu) i Adolfa Bermiana (syjonistę). Dla porządku muszę dodać, że naukowiec izraelski Walter Laqueur w swojej niedawno wydanej książce *The Terrible Secret* sugeruje, że przywódcą syjonistycznym mógł być Menahem Kirschenbaum.

Przywódcy żydowski przesłali przeze mnie rozmaite meldunki, instrukcje i apele skierowane pod rozmaite adresy. Wybieram tylko te, które wiążą się bezpośrednio z dyskutowanym tematem. Inne, jakkolwiek ważne, z żalem pominię.

Moja misja do Rządu Polskiego oraz rządów alianckich:

Bezprecedensowe wyniszczanie całej ludności żydowskiej nie jest umotywowane potrzebami militarnymi Niemiec. Celem Hitlera i jego podwładnych jest całkowita likwidacja narodu żydowskiego przed końcem wojny i bez względu na jej wynik. Rządy polski i alianckie nie mogą lekceważyć tego faktu. Żydzi w Polsce są bezsilni. Nie mają własnego kraju. Nie mają niezależnego głosu w naradach alianckich. Nie mogą polegać na polskim podziemiu ani na ogóle ludności polskiej. Mogą one ratować poszczególne jednostki, ale nie są w stanie przeciwdziałać eksterminacji. Jedynie potężne rządy alianckie mogą udzielić skutecznej pomocy.

Polscy Żydzi apelują do Rządu Polskiego i do rządów alianckich.

Obarczą oni Rząd Polski i rządy alianckie historyczną odpowiedzialnością, jeśli takie kroki nie zostaną podjęte.

Żydzi domagają się:

Podania do wiadomości publicznej, że zapobieganie fizycznej eksterminacji Żydów stanowi część ogólnej strategii wojennej aliantów.

Powiadomienia narodu niemieckiego za pomocą radia, ulotek i innych metod o przestępstwach popełnianych przez ich rząd na Żydach; ogłaszania wszystkich dostępnych danych dotyczących gett żydowskich, obozów koncentracyjnych i obozów zagłady; nazwisk urzędników niemieckich bezpośrednio związanych z przestępstwami; statystyk; faktów; dokładnego opisu stosowanych metod.

Publicznego i formalnego żądania dowodów, że wyżej wymienione formy nacisku zostały zastosowane i że hitlerowskie metody działania wymierzone przeciwko Żydom uległy wstrzymaniu.

Obarczenia odpowiedzialnością całego niemieckiego narodu, gdyby wezwanie nie odniosło skutku i wyniszczanie trwało nadal.

Publicznego i formalnego stwierdzenia, że w świetle bezprecedensowych przestępstw popełnianych przez nazistów na Żydach i w nadziei, że przestępstwa te ustaną, rządy alianckie winny podjąć bezprecedensowe kroki: w ramach akcji odwetowej

pewne okolice i obiekty w Niemczech zostaną zbombardowane. Ludność niemiecka byłaby informowana przed i po każdym nalocie, że trwanie akcji wyniszczania Żydów przez nazistów stanowi uzasadnienie bombardowań.

Przywódcy żydowscy w Londynie, a w szczególności Szmul Zygelbojm (Bund) i dr Ignacy Szwarcbard (syjonista) mają zlecone czynić wszystko, co w ich mocy, aby Rząd Polski formalnie przekazał Aliantom niniejsze żądania.

*Do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Władysława Raczkiewicza*

Wielu spośród tych, którzy pośrednio lub bezpośrednio przyczyniają się do tragedii żydowskiej, wyznaje wiarę katolicką. Żydzi z Polski oraz Żydzi z innych krajów Europy, wywiezieni do Polski, mają prawo oczekiwać — na gruncie humanitarnym i duchowym — opieki ze strony Watykanu. Sankcje religijne łącznie z ekskomuniką należą do uprawnień papieskich. Publiczne ogłoszenie takich sankcji może wywrzeć wpływ na naród niemiecki. Mogą one skłonić do refleksji nawet Hitlera, ochrzczonego katolika.

Z uwagi na charakter tego posłania i na jego źródło, oraz ze względu na wymogi protokołu dyplomatycznego, zgodnie z otrzymaną instrukcją miałem przekazać je wyłącznie Prezydentowi Rzeczypospolitej, zostawiając jego sumieniu i mądrości sprawę dotarcia do papieża. Stanowczo zakazano mi dyskusowania tego tematu z przywódcami żydowskimi. Jakaś niezręczność z ich strony mogłaby wywołać skutek przeciwny do pożądanego.

*Do Premiera i Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego,
Ministra Spraw Wewnętrznych Stanisława Mikołajczyka, Zygelbojma i Szwarcbarda*

Jakkolwiek ogół ludności polskiej współczuje Żydom i usiłuje im pomóc, wielu kryminalistów szantażuje, grabi, denuncjuje i morduje Żydów w ukryciu. Władze Podziemia muszą zastosować przeciwko nim sankcje karne, włączając w to egzekucje. W tym ostatnim przypadku tożsamość winnych i rodzaj przestępstwa, jakiego się dopuścili, należy ogłaszać w prasie podziemnej.

Zygelbojm i Szwarcbard muszą używać wszelkich form nacisku, aby spowodować wydanie odpowiednich instrukcji.

Dla uniknięcia jakiegokolwiek ryzyka rozniecenia antypolskiej propagandy miałem wyraźny zakaz omawiania tego tematu z przywódcami żydowskimi nie pochodzącymi z Polski. O tej części moich instrukcji miałem poinformować Zygelbojma i Szwarcbarda.

Do wszystkich rządów alianckich, do przywódców rządowych i społecznych i do wszystkich przywódców żydowskich na świecie

Istnieje możliwość uratowania pewnej części Żydów, gdyby znalazły się na to fundusze. Gestapo jest skorumpowane nie tylko na szczeblach niskim, ale nawet na średnich i na wysokich. Można liczyć na ich współpracę za złoto lub twarde dewizy. Przywódcy żydowscy mają możliwość nawiązania odpowiednich kontaktów.

Niektórzy Żydzi mogliby opuścić Polskę pod warunkiem posiadania oryginalnych zagranicznych paszportów. Pochodzenie tych paszportów nie odgrywa roli. Należy nam przesłać możliwie jak największą ilość takich paszportów. Muszą być *in blanco* (nie wypełnione). Władze niemieckie — oczywiście za pieniądze — pominą fałszywe nazwiska i inne szczegóły osobiste.

Żydzi, którym uda się opuścić Polskę, muszą mieć zapewnione prawo zamieszkania w państwach alianckich lub neutralnych.

Niektórzy Żydzi o wyglądzie niesemickim mogą opuścić getto, otrzymać fałszywe dokumenty niemieckie i żyć wśród innych Polaków pod przybranymi nazwiskami. Potrzebne są pieniądze na przekupywanie strażników getta i urzędników (np. *Arbeitsamt*’u).

Pieniądze, lekarstwa, żywność i odzież są pilnie potrzebne dla ludności w gettach. Pomoc otrzymywana od Delegata Rządu Polskiego oraz z innych funduszy, a również fundusze przekazywane rozmaitymi kanałami przez międzynarodowe organizacje żydowskie, są całkowicie niewystarczające. Niezwłoczna wysyłka twardej waluty jest sprawą życia i śmierci dla tysięcy Żydów.

Oprócz wszystkich meldunków, jakie mi powierzono, obaj żydowscy przywódcy zobowiązali mnie uroczyście do użycia wszystkich możliwych sposobów, aby w imieniu Żydów wstrząsnąć opinią publiczną. Złożyłem uroczystą przysięgę, że jeżeli

dotrę żywy do Londynu, to nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei.

Pod koniec naszego drugiego spotkania przywódca Bundu wysunął następującą propozycję. On zna Anglików. Mogą uznać mój raport za nieprawdopodobny. Moja misja mogłaby okazać się skuteczniejsza, gdybym mógł powiedzieć, że sam byłem świadkiem tragedii żydowskiej. Podziemie żydowskie ma pewne kontakty, nawet z Gestapo. Mogą mnie przemycić do getta warszawskiego. A nawet — w przebraniu — do obozu w Bełżcu. W getcie on sam byłby moim przewodnikiem. W Bełżcu — byłbym pod opieką jakiegoś urzędnika nazistowskiego. Obie wyprawy byłyby niebezpieczne, ale są do załatwienia. On nie ma prawa mnie namawiać. „Ale” — „Witoldzie (mój ówczesny pseudonim), wiem dużo o tobie i twojej pracy. Czy nie zechciałbyś pomóc nam, Żydom?”. Zgodziłem się.

Byłem dwukrotnie w getcie w połowie października 1942 r. W kilka dni później byłem w Bełżcu — wszystkie trzy wyprawy odbyły się pomyślnie. Stanowiły one ostatni etap zbierania danych, meldunków, instrukcji i zażeń rozmaitych przywódców politycznych podziemia. Dwa lub trzy dni potem wyruszyłem w moją tajną podróż do Londynu.

Ta wyprawa również odbyła się pomyślnie. Podróż trwała 21 dni. Warszawa - Berlin - Bruksela - Paryż - Lyon - Pergignan - pieszo przez Pireneje, Barcelona - Madryt - Algeciras - Gibraltar. Uroczysta kolacja z gubernatorem. Dobrze przespana noc. Samolot czekał. W ostatnich dniach listopada 1942 składałem już meldunki w Londynie. Należy oczywiście pamiętać, że moje żydowskie sprawozdania stanowiły tylko część mojej ogólnej misji. Miałem też wracać do Polski — po raz piąty. Kancelaria premiera Rządu Polskiego, która zorganizowała wszystkie moje kontakty, zwracała się do każdej osoby, do której miałem posłanie, aby nie ujawniano mojej tożsamości.

Nie byłem jedynym przekazicielem materiałów żydowskich. Od 1941 roku funkcjonowało tajne połączenie radiowe z Londynem. Zaszyfrowane dane dotyczące deportacji z getta i eksterminacji Żydów były regularnie przekazywane z Polski do Londynu w celu informowania szerokiego ogółu. Jednak uważano większość meldunków za niewiarygodne. Szefem tajnego radia podczas całej wojny był Stefan Korboński, który został potem ostatnim szefem polskiego państwa podziemnego.

Oto najważniejsze osobistości w Anglii, którym złożyłem sprawozdanie o sytuacji żydowskiej (listopad 1942 - czerwiec 1943):

(1) *Polacy:*

Wszyscy przywódcy polityczni i rządowi; przedstawiciel kardynała Hlonda (w tym czasie przebywającego w Watykanie); Monsignor Kaczyński; przywódcy żydowscy: Zygelbojm (Bund); Szwarcbard (syjoniści); Grosfeld (socjaliści).

(2) *Anglicy — czterech członków gabinetu:*

Anthony Eden, minister spraw zagranicznych; Arthur Greenwood, Partia Pracy; Lord Cranborne, Partia Konserwatywna; Hugh Dalton, minister handlu. Ponadto Lord Selbourne z ministerstwa wojny, europejski ruch oporu; pani Ellen Wilkinson, Partia Pracy, członek parlamentu; Owen O'Malley, ambasador brytyjski przy rządzie polskim; Anthony D. Biddle, ambasador amerykański przy rządzie polskim.

Komisja do badania zbrodni wojennych przy Narodach Zjednoczonych, Sir Cecil Hurst, przewodniczący.

Domagałem się skontaktowania mnie z kilkoma osobistościami nie należącymi do rządu i udało mi się to wobec następujących:

H. G. Wells, światowej sławy pisarz; Arthur Koestler, światowej sławy pisarz; Victor Kollancz, właściciel domu wydawniczego o tej samej nazwie; Allen Lane — wydawca domu wydawniczego Penguin; Kingsley Martin, redaktor naczelny *New Statesman and Nation*; Ronald Hyde, redaktor *Evening Standard*; Gerald Berry, redaktor *New Chronicle*.

Wynik mojej misji oraz — niewątpliwie — i innych sprawozdań:

7 grudnia 1942 roku, w dwa tygodnie po złożeniu przeze mnie raportów, polska Rada Narodowa uchwaliła rezolucję na temat eksterminacji Żydów, zobowiązującą rząd do bezzwłocznego działania (tekst w oficjalnych publikacjach).

W trzy dni później 10 grudnia 1942 Rząd Polski wystosował formalny apel do rządów alianckich, dotyczący eksterminacji Żydów w Polsce.

17 grudnia 1942 Rada Sojusznicza (złożona z przedstawicieli wszystkich rządów alianckich) uchwaliła jednogłośnie apel Sprzymierzonych Narodów w sprawie Żydów.

Dwa dni później, 19 grudnia 1942 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wysłał list do papieża Piusa XII, prosząc go o interwencję na rzecz Żydów. (Tekst ten był po wojnie wielokrotnie przedrukowywany w rozmaitych publikacjach).

Miesiąc później, 18 stycznia 1943, polski minister spraw zagranicznych Edward Raczynski przedstawił Radzie Sojuszniczej

żądania swojego rządu w sprawie Żydów polskich: domagał się odwetowego bombardowania Niemiec z powodu trwającego nieprzerwanie wyniszczania Żydów; przekazania Berlinowi żądań wypuszczenia Żydów z terenów państw okupowanych przez Niemcy; kroków, które zmusiłyby zarówno państwa sojusznicze jak i neutralne do przyjmowania Żydów, którym udało się, lub może się udać opuścić okupowane tereny.

Brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości odrzucił wszystkie żądania, składając niesprecyzowane obietnice interweniowania w niektórych państwach neutralnych. (Protokół z sesji został po pewnym czasie udostępniony do wglądu).

Od marca 1943 zaczęto tajne egzekucje polskich zbrodniarzy, którzy działali na szkodę Żydów. Nazwiska przestępców oraz rodzaj wykroczeń, jakich się dopuścili były publikowane w prasie podziemnej.

Kierownictwo Walki Cywilnej, które organizowało podziemne procesy sądowe, funkcjonowało już od roku 1942. Szefem był Korboński. Skoro o nim mowa, mieszka niedaleko stąd. W kwietniu ubiegłego roku — 36 lat po zakończeniu wojny — otrzymał on z rąk ambasadora Izraela medal Yad Vashem, odznaczenie dla Sprawiedliwych pośród Narodów. Proponowałem mu, żeby tu przyszedł i wysłuchał mojego sprawozdania. Powiedział, że z chęcią by to zrobił, ale go nie zaproszono.

Na początku roku 1943 ukazało się w prasie brytyjskiej wiele artykułów, opartych na przekazanych przeze mnie informacjach. Organizowane były manifestacje. W maju 1943 roku ukazała się broszura opracowana przez znanego pisarza sowieckiego Aleksieja Tołstoja, niemieckiego pisarza Tomasza Manna i przez mnie (określonego mianem „uczestnika Polskiego Podziemia”). Tytuł jej brzmiał „Los Żydów”.

Moja misja w Stanach Zjednoczonych

W czerwcu 1943 roku, na skutek sugestii ambasadora amerykańskiego Biddle'a, zostałem wysłany do Waszyngtonu, nadal tajnie, pod przybranym nazwiskiem Jan Karski. Byłem tam do sierpnia 1943 roku; mieszkałem na terenie ambasady. Ambascador polski, Jan Ciechanowski, roztaczał pieczę nad moją działalnością i organizował mi spotkania.

Składałem raporty następującym osobom (wymienię jedynie najważniejsze): Franklin Delano Roosevelt, Prezydent Stanów

Zjednoczonych; Cordell Hull, Sekretarz Stanu; Henry Stimson, minister wojny; Francis Biddle, prokurator generalny; Colonel Donovan, Office of Strategic Services (O.S.S.); delegat apostolski, kardynał Ameleto, Giovanni Cicognani; Arcybiskup Mooney; Arcybiskup Spellman; Arcybiskup Strich; Dr Nahum Goldman, Prezes Kongresu Żydów Amerykańskich; Rabin Stephen Wise, Prezes Światowego Kongresu Żydów; Waldman, Kongres Żydów Amerykańskich; Felix Frankfurter, Sędzia Sądu Najwyższego, Joint Distribution Committee. Wydawcy i komentatorzy: Pani Ogden Reed, wydawca, *New York Herald Tribune*; Walter Lippmann; George Sokolsky, Leon Danned, redaktor, *The American Mercury*; Eugene Lyons; Dorothy Thompson; William Prescott, *The New York Times*; Frederick Kuh, *Chicago Sun*.

Kiedy wróciłem do Londynu premier Mikołajczyk zawiadomił mnie, iż dopokąd trwa wojna nie zamierza mnie wysłać do Polski. Spotkałem zbyt wiele osób w Stanach i stałem się zbyt dobrze znany. Niemieckie radio wspominało o mojej działalności, określając mnie jako „bolszewickiego agenta na żołdzie amerykańskich Żydów”. Dodatkowym utrudnieniem, tłumaczył, były widoczne blizny na moich obu kciach. W czerwcu 1940 roku — podczas mojej trzeciej tajnej wyprawy — dostałem się w Preszowie na Słowacji w ręce Gestapo. Nie będąc w stanie wytrzymać tortur, usiłowałem popełnić samobójstwo nacinając sobie żyły ukrytą uprzednio żyłką. Próba się nie udała. Wieziony do Polski w celu dalszego śledztwa, zostałem odbity przez siły podziemia. Mimo operacji kosmetycznej blizny jednak pozostały. Gestapo z pewnością miało moje akta, gdyż stałem się znaną postacią — dowodził premier.

Dwa miesiące później w październiku 1943 roku zostałem wysłany do Stanów Zjednoczonych — po raz drugi, ale już całkiem otwarcie, choć wciąż pod nazwiskiem Karski — aby przemawiać, pisać, informować szeroką publiczność w sposób jawny.

W okresie od października 1943 roku do końca wojny wygłosiłem 200 referatów w Stanach Zjednoczonych, od wybrzeża do wybrzeża, od Rhode Island aż po Florydę. We wszystkich tych referatach mówiłem o tragedii Żydów. Wszystkie moje prelekcje omawiane były w lokalnej prasie.

Pisałem artykuły o tym, czego domagają się Żydzi i co sam widziałem w getcie warszawskim i w Bełżcu. Pisałem do *Colliers*, *New York Times*, *The American Mercury*, *La France Libre*, *The Jewish Forum*, *Common Cause*, *Herald Tribune*, *New Europe*, *Harper's Bazaar*. Wiele moich artykułów było ilus-

trowanych — niektóre pod moim nadzorem. Urządzane były rozmaite wystawy.

W 1944 roku, jeszcze podczas wojny, ogłosiłem książkę *The Story of a Secret State*. Tematem były moje wyprawy do getta warszawskiego i do Bełżca. Książka zdobyła tytuł „książki miesiąca” i wkrótce została wydana w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Szwajcarii i Francji.

Wielu z państwa było świadkami żydowskiej gehenny. Należy się państwu szacunek. Bóg zlecił mi abym mówił i pisał o niej w czasie wojny, kiedy — tak mi się zdawało — mogło to odnieść jakiś skutek. Nie odniosło jednak.

Kiedy wojna się zakończyła dowiedziałem się, że rządy, przywódcy, naukowcy, pisarze nic nie wiedzieli co się działo z Żydami. Byli zaskoczeni. Wymordowanie sześciu milionów niewinnych ludzi było sekretem. „Potwornym sekretem”, jak go nazwał Laqueur.

Wówczas stałem się Żydem. Podobnie jak rodzina obecnej tu na sali mojej żony — która cała wyginęła w gettach, obozach koncentracyjnych i piecach krematoryjnych — tak wszyscy wymordowani Żydzi stali się moją rodziną.

Jestem chrześcijańskim Żydem. Katolikiem praktykującym. I choć nie jestem heretykiem, wierzę, że:

Ludzkość popełniła Drugi Grzech Pierworodny: z nakazu, czy zaniedbania, z samo-narzuconej niewiedzy lub nieczułości, z egoizmu czy hipokryzji, czy też z zimnego wyrachowania.

Grzech ten będzie prześladował ludzkość do końca świata.

Prześladuje mnie. I chcę, żeby tak pozostało.

DOKUMENTY

Jan CIECHANOWSKI

JÓZEF RETINGER (1888-1957) W ŚWIECIE RAPORTÓW BRYTYJSKIEGO WYWIADU Z LAT 1913 DO 1941

Józef Retinger, bliski i zaufany współpracownik i doradca Sikorskiego a następnie Mikołajczyka w latach 1940-44, był jedną z najbardziej niesamowitych i tajemniczych postaci polskiego Londynu, postacią wokół której nagromadziło się wiele najróżniejszych podejrzeń, nieudowodnionych i insynuacji¹. Przede wszystkim pomawiano go powszechnie o współpracę z brytyjskim wywiadem².

Stąd jest rzeczą niezmiernie ciekawą, co wiedziała i jak oceniała go brytyjska służba wywiadowcza. Pewne przynajmniej światło na tę nieznaną dotychczas sprawę rzucają jej raporty o nim z lat 1913-1941, przedłożone polskiemu II-mu Oddziałowi w Londynie w 1943 roku.

Z raportów tych, które poniżej przytaczam w całości lub w obszernych wyciągach, aby uniknąć niepotrzebnych powtórzeń, wynika, że Intelligence Service podejrzewała Retingera o kontakty ze „skrajną lewicą” i że przynajmniej do drugiej połowy 1941 roku nie był on jej agentem.

Oczywiście nie wyklucza to możliwości, iż wstąpił on do

1. O szczegóły patrz: Z. S. Siemaszko: „Retinger w Polsce w 1944 r.”, *Zeszyty Historyczne* nr 12/1967. Dalej: Siemaszko i J. Pomian (ed.) *Joseph Retinger*, London 1972; J. Nowak: *Kurier z Warszawy*, Londyn 1978; W. Babiński: *Przyczynki Historyczne*, Londyn 1967, oraz L. Mitkiewicz: *Z Generałem Sikorskim na Obczyźnie*, Paryż 1968.

2. J. Nowak, *op. cit.*, str. 252.

Intelligence Service w późniejszym okresie swej londyńskiej działalności, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne w świetle przytoczonych o nim angielskich i amerykańskich opinii.

Pewne niesprawdzone dane o powiązaniach Retingera ze „skrajną lewicą” po 1941 roku uzyskał też II-gi Oddział własnymi środkami. Wszystkie te dane angielskie i polskie, Szef II-go Oddziału, płk dypl. Stanisław Gano przedstawił gen. Sikorskiemu 21 kwietnia 1943 roku. Sikorski nie wyciągnął z nich jednak żadnych konsekwencji w stosunku do Retingera, chociaż sam nie zawsze się o nim najlepiej wyrażał, nazywając go wobec prof. Kota „włóczęgą” i „intrygantem” wkrótce po podpisaniu lipcowego układu z Moskwą. „Ja nie wiem” — oświadczył wówczas Sikorski — „dla kogo on pracuje”³. Niestety nie wiemy dokładnie, co się za tym oświadczeniem kryło. Nasuwa się podejrzenie, że gen. Sikorski prowadził jakąś z góry ukartowaną grę wobec Retingera i zamierzał go wykorzystać dla jakichś sobie tylko wiadomych celów.

Za możliwością tą przemawia, w pewnym przynajmniej stopniu, powojenna wypowiedź gen. M. Kukieła, wojennego ministra obrony narodowej i serdecznego przyjaciela gen. Sikorskiego, na temat skoku Retingera do kraju w 1944 roku⁴.

Zdaniem gen. Kukieła Retinger „jechał do Polski aby zorientować się, czy porozumienie z Rosjanami było możliwe. Mikołajczyk zgodził się na skok Retingera do kraju, gdyż po zajęciu Polski przez Rosjan mógł on być pośrednikiem w rozmowach ze Stalinem. Bór Komorowski powinien był porozmawiać z Retingerem na ten temat. Nie orientował się on jednak we wszystkich niuansach różnych spraw. Był zbyt prostolinijszy. Nie widział wszystkich aspektów bardzo skomplikowanego problemu”⁵.

Wydaje się pewne, że gen. Kukiel mówiąc te słowa musiał znać raport płk. Gano. Znał go też chyba premier Mikołajczyk, zgadzając się na skok Retingera do Polski. Czyżby więc w tym pośredniczeniu w ewentualnych rozmowach ze Stalinem miały pomóc Retingerowi jego rzekome kontakty ze „skrajną lewicą”? Z drugiej strony, dlaczego Mikołajczyk przedstawiał Retingera Delegatowi Rządu jako wysłannika zastrzegającego na „pełne zaufanie i cieszącego się pełnym zaufaniem naszych gospodarzy”⁶?

Niewątpliwie sprawa była nieco bardziej skomplikowana.

Powstaje jeszcze jedno — dla historyka zasadnicze — pytanie: czy płk dypl. F. Demel, szef oddziału operacyjnego i zaufany oficer gen. Sosnkowskiego znał raport płk. Gano, wysyłając swą

3. St. Kot: *Listy z Rosji*, Londyn 1956, str. 536.

4. O szczegóły patrz Siemaszko, str. 64 i dalsze, oraz J. Pomian, *op. cit.*, str. 147 i dalsze.

5. J. Ciechanowski: „Notatki z rozmów z gen. Marianem Kukielem”, *Zeszyty Historyczne*, nr 29/1974. Str. 143.

6. Siemaszko, str. 79.

osławioną depeszę do kraju w sprawie Retingera, domagającą się „obrania” go z wziętego materiału, a może nawet i likwidacji w imię „najżywniejszych spraw polskich”, wobec których ustąpić muszą wszelkie „szlachetne skrupuły”⁷.

A jeżeli raportu Gano nie znał, to dlaczego?

Według gen. Kukiela Retinger leciał do Polski „z własnej inicjatywy, we własnym imieniu, za pozwoleniem premiera, z pomocą gen. Gubbinsa jako szefa SOE”⁸.

Z Gubbinsem łączyły Retingera bliskie stosunki służbowe i osobiste o czym świadczą zachowane dokumenty⁹.

Jak podaje Jan Nowak, Retinger omawiał w Warszawie z krajowymi władzami kwestię wprowadzenia komunistów do rządu jako piątego stronnictwa. Szukał też na własną rękę kontaktów z komunistami¹⁰.

W połowie stycznia 1944 roku wypytywał Nowaka jako emisariusza Komendy Głównej AK, czy nie sądzi, że „w obecnej sytuacji Polacy powinni podzielić się rolami? Rząd w Londynie powinien być tym Rejtanem, który prowadzi politykę nieustępliwą, a kierownictwo w kraju w cichym porozumieniu z polskim Londynem winno szukać na własną rękę możliwości ułożenia się z Moskwą także w sprawie współpracy Armii Krajowej z Armią Czerwoną i w wypadku wkroczenia Rosjan utworzyć za ich zgodą drugi rząd w Warszawie”¹¹.

Nowak rozmawiając z Retingerem był przekonany, że mówi z brytyjskim agentem¹².

Jak widzimy, niedomówienia i pytania w sprawie Retingera i jego właściwej roli mnożą się i czas już najwyższy na ich pełne wyjaśnienie. Niestety główni aktorzy i świadkowie ówczesnych nader skomplikowanych wydarzeń — Sikorski, Mikołajczyk, Sosnkowski, Kukiel, Retinger, Gano i Demel — zeszli już ze sceny i swe tajemnice zabrali ze sobą.

Nam pozostała tylko cała masa domysłów, szereg niepełnych relacji i część dokumentów. Mam nadzieję, że ich ukazanie się w druku zachęci żyjących jeszcze świadków historii i badaczy ówczesnych czasów do wypowiedzenia się na ich temat. Gdyż tylko w ten sposób możemy zbliżyć się do poznania pełnej prawdy o życiu tego tajemniczego człowieka, który dla jednych był „wielkim Europejczykiem”, za którym szły „wielkie rzeczy”, a dla drugich zwykłym agentem i wcieleniem wszelkiego zła.

Kończąc chciałbym zaznaczyć, że sam Retinger zawsze utrzymywał iż brzydził się wywiadem i wszelkim szpiegostwem¹³.

7. *Tamże*, str. 82-83.

8. *Tamże*, str. 110.

9. Instytut Historyczny Gen. Sikorskiego Kol. 69/I.

10. J. Nowak, *op. cit.*, str. 322.

11. *Tamże*, str. 253.

12. *Tamże*, str. 252.

13. J. Pomian, *op. cit.*, str. 176.

Zdaniem Kajetana Morawskiego Retinger spędził swe życie „na przemian w budce suflera i w kulisach wielkiej sceny politycznej. Sam nie lubił na niej występować, nie przejmował się nadmiernie treścią sztuki, ale zaprzyjaźniony z wieloma aktorami kierował po mistrzowsku ich zgrupowaniem i grą reflektorów. Dbał o to, aby wystawa była barwna i urozmaicona... Gdy na końcu polskiej tragedii wojennej zapadła kurtyna, zaczął umiejętnie montować odmienne europejskie widowisko”¹⁴.

Niestety — na pytanie *cui bono* działał Retinger — do dziś nie ma odpowiedzi. Kto wie — może po prostu był graczem dla samej gry?

Jan CIECHANOWSKI

SZEF O. WYW.

L. dz.

Londyn, dn. 21. IV. 43

PAN GENERAL WÓDZ NACZELNY

w miejsu.

Przedstawiam Panu Generałowi, w myśl otrzymanego rozkazu, całość materiałów posiadanych przez Oddział Wywiadowczy Sztabu N.W., dotyczących osoby p. RETINGERA Józefa.

Równocześnie melduję, że Oddział Wywiadowczy nie interesował się osobą p. Retingera ani z inicjatywy własnej, ani na rozkaz przełożonych; materiały, które przedstawiam, dostały się do akt oddziału przypadkowo, nie były rozpracowywane, ani też wykorzystywane na zewnątrz.

Jeżeli chodzi o ich wartość dokumentalną — dokumentem nie są, nie mogą więc służyć jako podstawa do dochodzeń, czy też do wyciągania daleko idących wniosków.

Jedyne, co stwierdzić można, to fakt interesowania się osobą p. Retingera przez służby wywiadowcze (bezpieczeństwa) Anglii i Stanów Zjednoczonych od roku 1913.

W szeregu fragmentarycznych meldunków przewija się stale opinia, że p. Retinger jest w kontakcie ze skrajną lewicą, że jest „podejrzany”, brak jednak konkretnych stwierdzeń.

Szereg ujemnych opinii bazuje się na wypowiedziach poważnych osobistości np. Sir H. Kennerd¹ (str. 7 i 8 zestawienia).

O kontaktach p. Retingera z Jasparem nic powiedzieć nie mogę; załączony meldunek rtm. Gilewicz jest wynikiem jego przypadkowej znajomości z p. Collonem, a więc znów dziełem przypadku, a nie rozpracowania.

14. K. Morawski: *Wspólna Droga*, Paryż, str. 171.

1. Ambasador brytyjski przy rządzie polskim w latach 1935-1941.

Przedstawiając Panu Generałowi załączone akty, usilnie proszę o nierobienie z nich użytku na zewnątrz, gdyż może to b. skomplikować stosunki, łączące Oddział Wyw. Szt. N.W. z wywiadem angielskim, i poderwać zaufanie, jakie do nas mają.

SZEF. O. WYW.
(—) G A N O
Płk Dypl.

ARKUSZ EWIDENCYJNY

Nazwisko i imiona: RETINGER Józef

Używane pseudonimy: —

Imiona rodziców: —

Zawód: —

Obywatelstwo: —

Narodowość: —

Inne dane personalne: —

Data założenia aktu: —

Podejrzany o: —

Wynik przepracowania: —

Sposób załatwienia:

Szef Wywiadu O. II. Sztabu N.W. dowiedział się od p. Jana Horodyskiego, że władze brytyjskie odnoszą się z podejrzeniem do p. Retingera Józefa.

Wobec tego, że p. Retinger zajmuje wybitne i wpływowe stanowisko przy Rządzie Polskim w Londynie — szef Wywiadu utrzymując osobisto-służbowe stosunki z brytyjską „Intelligence Service” zapytał się, czy posiadają jakieś akta, dotyczące osoby R. Krótco potem „I.S.” dała odpowiedź twierdzącą — po czym szef Wywiadu wydelegował mjr. Langenfelda i u.c. Galinównę do biura „I.S.”, gdzie dokonano odpisu akt.

Odpisy tych akt, których treść podana jest niżej, szef Wywiadu przedstawił Szefowi O. II Szt. N.W. płk. dypl. Gano, który w dn. 15. 3. 1943 wręczył [je] zast. Szefa Szt. N.W. płk. dypl. Mitkiewiczowi.

Płk M[itkiewicz] akt ten razem z gen. Kl[imeckim] i płk. Borkowskim przedstawili N.W.

1) Treść aktów znajdujących się w Intelligence Service.

Po raz pierwszy nazwisko Józefa Retingera pojawia się w aktach Intelligence Service w grudniu 1913 roku. Według dochodzeń stwierdzono, że Retinger przybył do Anglii w październiku 1913 r. i zamieszkał w Londynie przy Pemberton Gardens 43 wraz

z żoną. W czerwcu 1914 r. oboje Retingerowie wyjechali do Rosji, skąd powrócił sam Retinger w sierpniu 1914 r. Posiadał paszporty: austriacki i rosyjski, ponadto starał się przez francuskie MSZ o paszport francuski.

Na gruncie angielskim Retinger utrzymuje stosunki z wpływowymi osobistościami rozmaitych narodowości jak Japończykami, Włochami, Holendrami, Egipcjanami oraz Anglikami, przeważnie ze sfer intelektualnych i politycznych.

Pod datą 3. 2. 1917 r. jest pismo do Foreign Office z „M.I.5” donoszące o skonfiskowaniu Retingerowi dwóch listów japońskich w chwili gdy opuszczał Anglię. Listy te przesłano do zbadania.

Po wyjeździe z Anglii Retinger jest w dalszym ciągu pod obserwacją angielskiej Intelligence Service, o czym świadczą doniesienia placówek angielskich z kontynentu. I tak pod datą 3. 4. 1925 r. figuruje notatka, iż na zjeździe międzynarodowej federacji Związków Robotniczych Retinger głosował za komunizmem, ponadto pozostawał w kontakcie z podejrzanymi ludźmi. Na tymże samym zjeździe w Amsterdamie Retinger pozostawał w stosunkach z John Brownem, komunistą, z którym omawiał sprawę Meksyku (not. z 2. 1. 26). W Holandii — jak mówi notatka placówki angielskiej z dn. 11. 6. 26 — nie zdołano natrafić na miejsce zamieszkania Retingera, którego ukrył w swym mieszkaniu John Brown.

Pod datą 7 lipca 1928 r. donosi Scotland Yard, że Retinger objął posadę w Związku Zawodowym Robotników w Polsce, pod datą zaś 3. 10. 1928 r., że władze polskie zdają sobie sprawę z zainteresowania Retingera Międzynarodową Federacją Związków Zawodowych, lecz w Polsce jest mało czynny, natomiast działa za granicą. Władze polskie zwróciły uwagę na jego działalność w związku z ruchami robotniczymi w Dąbrowie Górniczej oraz kolejarzy. Podejrzewa się go o kontakt z „PROFINTERN” w Moskwie.

Pod datą 4. 12. 37 kapitan Liddell z „M.I.5” wydaje polecenie stwierdzenia pełnego nazwiska i imienia osobnika podpisującego korespondencje z Londynu do prasy polskiej inicjałami „J.H.Re”. Dn. 23. 12. 37 r. notuje, że inicjały te znaczą: Józef Hieronim Retinger, oraz podaje szereg informacji, jak, że 3. 3. 25 Retinger wyjechał do Meksyku i pracował dla Browna z British Minority Movement, że 7. 4. 26 r. zaręczył się ze Stellą Morel, a w latach 1935, 36 i 37 przyjeżdżał do Anglii celem odwiedzenia dzieci.

W raporcie pod datą 5. 1. 1938 r. wzmianka, że Retinger w czasie poprzedniej wojny światowej uchodził za agenta działającego na korzyść każdego rządu, który by chciał go użyć. Jest więc osobnikiem niepożądanym i wydano nawet zarządzenie wydalenia go z Anglii.

W raporcie z dn. 12. 10. 1939 r. donosi O. E. Sargent, że Sir H. Kennard (b. amb. ang. w Warszawie. Przyp. wł.) ostrzegł go

przed niejakim Retingerem, podobno nieoficjalnym agentem polskim, który prawdopodobnie intrygować będzie przeciw ambasadorowi polskiemu w Anglii celem odwołania go z Londynu. Jest to osobnik podejrzany i należy traktować go z podejrzliwością.

Raport dla płk. V. Vivian z S.I.S. z dn. 5. 11. 39 mówi że w latach 1914/18, w czasie wojny światowej, Retinger był podejrzany o pracę w charakterze agenta na rzecz Niemiec i przyjechał do N. Yorku wraz z ówczesnym ambasadorem niemieckim hr. Bernsdorfem, z którym zamieszkał w hotelu Ritz Carlton.

List z dn. 21. 7. 40 do p. Frosta (którego referat obejmował również zagraniczny dział BBC) zawiera ostrzeżenie na wypadek gdyby BBC przyznało transmisje rządowi polskiemu, „albowiem przedstawiciel prasowy i propagandowy gen. Sikorskiego jest niepożądanym osobnikiem. Jest nim Józef Retinger, który w r. 1931 był podejrzany o przysyłanie funduszków do Zjednoczonego Królestwa na propagandę komunistyczną”.

Dn. 20. 4. 41 amerykańskie władze bezpieczeństwa zapytują się „I.S.” co jest jej wiadome o Hieronimie Retingerze, który towarzyszył gen. Sikorskiemu w charakterze sekretarza. State Department został ostrzeżony przed nim, którego uważają za identycznego z osobnikiem zamieszanym w sabotaże w St. Louis w r. 1921, a którego deportowano wówczas do Polski.

W piśmie „M.I.5” z dn. 29. 7. 41 w związku z zezwoleniem na pobyt w Anglii dla niejakiego Juliusza Bisno znajduje się uwaga, że Józef Retinger jest czy był wiceprezesem polskiej sekcji „Bnai Brith” (żydowska masoneria) w Londynie.

2) Notatka służbowa dla Szefa Wywiadu

Dn. 22. 2. 43 rtm. Gilewicz melduje, iż dn. 11. 2. 43 widział się ze swym znajomym Belgiem Collonem, radcą belgijskiego MSZ, który opowiadał mu, iż Retinger utrzymuje zażyłe stosunki z posłem belgijskim przy rządzie czeskim Jasparem, a za jego pośrednictwem z ambasadorem sowieckim Bogomołowym. Collon czytał raport Retingera o pobycie N.W. w Ameryce i dał do zrozumienia, że przez Jaspara raport ten doszedł do rąk Bogomołowa. Collon oświadczył dalej, że Belgowie uważają Retingera za agenta bolszewickiego.

3) Notatka służbowa dla Szefa Wywiadu

W uzupełnieniu meldunku z dn. 22. 2. 43 rtm. Gilewicz podaje w dn. 25. 2. 43, że Collon, z którym widział się ponownie oświadczył, że czytał raport Retingera dla Jaspara i że nie ma wątpliwości, iż raport ten trafił do rąk bolszewików, a nawet był dla

nich przeznaczony, gdyż Collon uważa Jaspara za łącznika między Bogomołowym a grupą polityków współpracujących z bolszewikami jak Retinger, Ripka i inni.

Notatkę powyższą Szef O. II. płk dypl. Gano przedstawił w dn. 15. 3. 43 Szefowi Sztabu N.W. gen. Klimeckiemu.

Dossier zawiera:

- 1) Odpis akt, znajdujących się w dossier Intelligence Service. (w języku angielskim kartek 7, w przekładzie kartek 9).
- 3) Notatkę służbową rtm. Gilewicza z dn. 25. 2. 43².

DRUGI BRYTYJSKI RAPORT W SPRAWIE RETINGERA

Poniżej zamieszczam treść ostatniej — piątej — strony nie datowanego i nie podpisanego, lecz obszernego, drugiego brytyjskiego raportu o Retingerze, we własnym tłumaczeniu. Raport ten, zatytułowany: „Dr. Joseph Hieronimous Retinger” został przekazany do Instytutu Generała Sikorskiego¹ przez płk. dypl. W. Bąkiewicza, długoletniego szefa II-go Oddziału 2-go Korpusu, 19 lutego 1963 roku.

Treści pierwszych czterech stron raportu nie podaję, gdyż pokrywa się ona w zasadzie z informacjami o Retingerze, które przedstawił Naczelnemu Wodzowi płk. Gano w 1943 roku, po otrzymaniu ich od wywiadu brytyjskiego. Świadczy to najlepiej o ich autentyczności oraz pochodzeniu. W obydwu wypadkach musiały one wyjść z biur Intelligence Service.

Niemniej, ponieważ nie żyjący już dzisiaj płk Bąkiewicz, przekazując ten niezmiernie ważny dokument nie ujawnił, kiedy, od kogo i dla czego go otrzymał, trudno jest dzisiaj ustalić, jaki z niego zrobił użytek. (Np. komu uprzednio go udostępnił i jaki to mogło mieć wpływ na stosunek i postępowanie wtajemniczonych wobec Retingera).

Nie ulega kwestii, iż wiele dodatkowych informacji i wyjaśnień w sprawie roli i powiązań Retingera mógłby udzielić płk dypl. M. Protasewicz, Szef IV-go (krajowego) Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza w latach 1942-44, oraz jego następca płk dypl. M. Utnik. Chodzi tylko o to, aby to jak najszybciej zrobili.

„Wkrótce po wybuchu wojny okazało się, iż Retinger był używany przez Sikorskiego jako jego zaufany agent, działający niezależnie od oficjalnych źródeł, co wywoływało sprzeczny wśród

2. Instytut Historyczny Gen. Wł. Sikorskiego, kol. 97/25.

1. Kol. 97/25.

oficjalnych reprezentantów polskich. W czerwcu 1940 roku Retinger, w kontakcie z polską ambasadą w Londynie, działał jako osobisty doradca polityczny generała Sikorskiego i otrzymał rangę radcy ambasady².

Stanowisko to zawdzięcza swym powiązaniom z gen. Sikorskim, datującym się jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, oraz reputacji człowieka posiadającego rozległe znajomości wśród członków brytyjskiej partii pracy i partii liberalnej.

Retinger, chociaż Żyd z pochodzenia, jest katolikiem i poza niesprawdzonymi raportami z 1931 roku nie ma żadnych dowodów wskazujących na to, że przed rokiem 1940 interesował się specjalnie sprawami żydowskimi. W 1940 roku został wiceprezesem polskiej sekcji „Bnai Brith”, niepolitycznej żydowskiej organizacji dobroczynnej o światowym zasięgu. Mówi się, że Retinger w początkach 1940 roku zorganizował spotkanie pomiędzy dr. Brotskym z Żydowskiej Rady Deputowanych w Wielkiej Brytanii a członkami rządu polskiego w Paryżu, a w maju 1941, kiedy towarzyszył gen. Sikorskiemu w jego podróży do USA, spotykał się z przedstawicielami amerykańskiego żydostwa. Utrzymywał też kontakty z żydowskimi organizacjami syjonistycznymi.

W sierpniu 1941 Retinger udał się do Moskwy jako członek polskiej misji a następnie jako polski *chargé d'affaires* omawiał z ministrem Mołotowem sprawy dotyczące polskich Żydów internowanych w ZSSR. Retinger powrócił do Anglii 12 września 1941. Wkrótce po jego powrocie doniesiono, iż pozostawał w ścisłym kontakcie ze Stefanem Litauerem³, który był w zażyłych stosunkach z Andrew Rothsteinem z Agencji TASS.

Utrzymuje się, iż Litauer i Rothstein, przy pomocy Retingera, wywierali szkodliwy wpływ (z polskiego punktu widzenia) na rosyjską politykę Sikorskiego, ale nie uzyskano żadnych szczegółowych dowodów na potwierdzenie tych zarzutów.

Istnieje szereg niesprawdzonych donosów z różnych okresów, szczególnie z lat 1928 i 1931, że Retinger pracował dla komunistycznej międzynarodówki. Brakuje jednak szczegółowych danych na potwierdzenie tych donosów.

W kwietniu 1941 władze amerykańskie stwierdziły, iż Retinger, chociaż ogólnie rzecz biorąc utrzymywał przyjazne stosunki z komunistami, nie mógłby być poważnie oskarżony z tego tytułu. W amerykańskich raportach Retinger figuruje jako „człowiek niedyskretny i pozbawiony rozsądku” oraz nie nadający się do żadnej tajnej działalności. Jest traktowany jako człowiek niegodny zaufania i gotowy sprzedać swe usługi temu, kto więcej płaci. Ściśle mówiąc — oportunistą”.

2. O szczegóły patrz: E. Raczyński, *W sojusznictwie Londynie*, Londyn 1960, str. 56 i dalsze.

3. Korespondent PAT w Londynie.

W świetle tych raportów Retinger wychodzi na osobnika niegodnego wielkiego zaufania, jakim rzekomo darzył go gen. Sikorski. Co ciekawsze, wbrew tym raportom Retinger nadal pozostał „doradcą” Sikorskiego a następnie Mikołajczyka. Powstaje dręczące i trudne do rozwiązania pytanie — dlaczego?

Może ktoś zna odpowiedź na to pytanie?

Jan CIECHANOWSKI

J. TAYLOR

WIĘZIENIA PRL — R. 1980*

PRZEMÓWIENIE ADWOKATA JANUSZA TAYLORA** NA
OGÓLNOPOLSKIM ZJEŹDZIE ADWOKATÓW W POZNANIU
W DNIU 1 STYCZNIA 1981 ROKU

Pragnę zwrócić się do Uczestników Zjazdu, aby podjęli uchwały, których projekty przedstawię i krótko uzasadnię. Przemawiam w imieniu delegacji gdańskiej. Nam, Gdańszczanom, sprawy praworządności leżą szczególnie na sercu, toteż tej własnie dziedziny dotyczą przedstawione przeze mnie postulaty.

Istnieje pilna potrzeba ujawnienia i zmiany przepisów regulujących odbywanie kary, ujawnienia danych dotyczących tego zagadnienia, a także powołania społecznej kontroli więziennictwa. Ta konieczność wynika z aktualnego obrazu więziennictwa w Polsce, a sprawa jest tym ważniejsza, że dotyczy poważnej części populacji kraju. Jakiej części? Cała problematyka więziennictwa jest objęta tajemnicą. Oficjalnie nie wiadomo ile jest więzień, gdzie są i ilu jest więźniów. Od 1972 roku dane na ten temat przestały być publikowane w rocznikach statystycznych. Wiadomości prasowe pozwalały sądzić, że w 1974 roku było w więzieniach ok. 120.000 osób. Obliczenia prowadzone na podstawie danych resortowych dotyczących wyroków pozwalają szaco-

* Tekst ten, wydany bez wiedzy i zgody Autora, przedrukujemy za NZS Warszawa.

** Mecenas J. Taylor, ur. 1939 r., absolwent Wydziału Prawa UAM, członek adwokatury gdańskiej, obrońca znanych działaczy związkowych, m.in. Andrzeja Gwiazdy, Marka Kozłowskiego, T. Szczudłowskiego, Dariusza Kobzdeja, pełnomocnik L. Wałęsy w sprawach przed sądem pracy, doradca prawny MKZ Gdańsk, członek Komitetu Więzionych za Przekonania.

wać liczbę więźniów na ok. 145.000, jednak chodzi tu tylko o odbywających karę. Przypuszczać należy, że obecnie jest w Polsce około 200.000 osób pozbawionych wolności, a więzień mamy ok. 200. Podana liczba nie obejmuje oczywiście zatrzymanych na 48 godzin, a zatrzymania te są zjawiskiem masowym, niekontrolowanym, stosowanym praktycznie bez ograniczeń przez MO, umożliwiającym nękające pozbawianie wolności, skoro ponawia się je po paru minutach przerwy lub 2 razy w ciągu tygodnia. Istnieje opracowanie Komitetu Badań i Prognoz PAN „Polska 2000”, przeznaczone do użytku wewnętrznego, pt. „Elementy problemu patologii społecznej w Polsce”. Mówi ono, że wymiar kar orzekanych przez sądy ulega u nas systematycznemu zaostrzeniu, dla którego swoistym skokiem przyspieszającym stało się wydanie nowego kodeksu karnego. W 1966 roku średnia kara bezwzględnego więzienia wynosiła 13,9 miesięcy, w 1974 r. — 22,5 miesięcy, a w 1979 r. — 24,4 miesięcy. Podobnie jest z grzywnami: w latach 1967-1974 średni wymiar grzywny wzrósł o 105 % (wskaźnik płac realnych tylko o 40 %). Co się dzieje ze skazanymi i aresztowanymi? Regulamin odbywania kary nie jest dostępny, podobnie jak i inne regulujące tę sprawę przepisy. Wiemy jednak, że kary regulaminowe są szczerze stosowane, a charakterystyczny jest niezwykle szeroki zakres władzy naczelników więzień, którzy mają ostatnie słowo we wszystkich sprawach bytowych więźniów. Anonimowość naczelników i personelu sprzyja ich degradacji moralnej. W więzieniach panują straszne warunki, cele są przeludnione — bywa, że na więźnia przypada poniżej 1 m². Brak urządzeń sanitarnych, oświetlenia, a nawet łóżek, odzież przekazywana jest kolejnym użytkownikom bez odpowiedniej dezynfekcji. Stawka żywieniowa dla niepracujących wynosi 6,80 zł, a dla pracujących 10,80 zł — ponadto z różnicy żywienia w różnych więzieniach wynika, że zdarzają się kradzieże na szkodę więźniów. W grudniu 1980 roku więźniowie przebywający w więzieniu w Gdańsku dwa razy jedli ziemniaki, a mięsa ani razu. Żywią się wodnistą zupą. Paczki żywnościowe max. 3 kg w czasie odbywania kary traktowane są tylko jako nagroda przysługująca najczęściej 2 razy w roku. Praktyk religijnych w zasadzie więźniowie wykonywać nie mogą. Msza święta bywa tylko w bardzo nielicznych zakładach. Indywidualnego kontaktu z kapłanem więźniowie sobie nie wyobrażają. Za to powszechnie są stosowane kary fizyczne, m.in. tzw. pasy — odpowiednie urządzenia istnieją w każdym więzieniu i teoretycznie służą do unieruchomiania więźniów, którzy np. dostali ataku szału. W rzeczywistości jednak jest to często stosowane narzędzie tortur. Więzień krępowany przez specjalną ekipę funkcjonariuszy jest bity, uciska mu się pasami klatkę piersiową i kończyny, aż do częściowego zahamowania krążenia. W pasach trzyma się ofiarę od kilku do kilkunastu godzin. Po oswobodzeniu więzień nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach.

Często następują trwałe uszkodzenia kończyn (niedowłady) będące skutkiem długotrwałego zahamowania krążenia oraz przypadki zgonu na serce. Aby torturę uczynić jeszcze bardziej uciążliwą, pod plecy więźnia podkłada się twarde przedmioty. Władze więzienne nie wstydzą się tych praktyk. Biorą w nich udział lekarze więzienni, badający ofiary przed i po torturze. Znam przypadek stosowania pasów wobec 69-letniego więźnia we Wronkach, który w trzy tygodnie później zmarł. Lekarz więzienny wprowadził stwierdził, że przyczyną zgonu była ostra niewydolność krążeniowo-oddechowa (tak brzmi karta zgonu), jednak przeprowadzona w szpitalu poza więzieniem sekcja zwłok pozwoliła lekarzowi spoza więzienia ustalić, że przyczyną zgonu były tępe urazy głowy, klatki piersiowej i jamy brzusznej. W sprawie tej toczy się śledztwo i nie można przesądzić jego wyniku.

Warunki w więzieniach są zdecydowanie lepsze od tych, które panują w obozach pracy zwanych ośrodkami przystosowania społecznego. Czas pobytu w tych ośrodkach — jak wiadomo — nie jest z góry określany, może trwać do 5 lat. OPS-y orzekane są przez sądy zaocznie, pozbawiając skazanego możliwości obrony. Warunki panujące w OPS-ach są straszne. Opinia mówi o wyjątkowym skorumpowaniu strażników i ich okrucieństwie. O tym, że władze zdają sobie sprawę z sytuacji w OPS-ach świadczy fakt, że o ile możliwe jest zwiedzanie więzień przez studentów prawa i pracowników resortu, o tyle wnioski o takie wybieżki do OPS są zawsze załatwiane odmownie.

Za ten stan rzeczy w więziennictwie odpowiedzialność ponosi kierownictwo resortu. Nie może jej przerzucić na nikogo ani tłumaczyć się niewiedzą o potwornych warunkach odbywania kary w Polsce, bo „kto chce ten się dowie”.

Stan więziennictwa woła o ujawnienie przez Ministerstwo Sprawiedliwości i zmianę przepisów regulujących odbywanie kary, a także o zainstalowanie społecznej kontroli więziennictwa, a tymczasem choćby poprzez odpowiednich społecznych kuratorów. Chcę poinformować państwa, że w dniu 25 listopada 1980 roku w Warszawie zgłoszono do rejestracji Stowarzyszenie Pomocy Osobom Uwięzionym i ich Rodzinom „Patronat”, który ma być kontynuacją istniejącego od czasów carskich do 1948 r. Towarzystwa Pomocy Więzionym — Patronat. Tę organizację usiłowano już dwukrotnie lecz bezskutecznie reaktywować w ostatnim trzydziestoleciu. Była to organizacja niezmiernie zasłużona, zwłaszcza w czasie okupacji. Wśród nas znajduje się mecenas Karol Pędewski z Warszawy, czołowy działacz „Patronatu” warszawskiego, człowiek niezwyklej miary i zaślugi.

W PRL nie istnieje podział na więźniów kryminalnych i politycznych. Tymczasem mamy już i tę drugą grupę. Od jesieni siedem osób przebywa w więzieniach pod zarzutami typowo politycznymi, a więc zmierzania do obalenia ustroju, nawoływania do czynów skierowanych przeciwko naszej jedności sojuszni-

czej, rozpowszechniania fałszywych wiadomości na szkodę PRL. Tak zakwalifikowano nie co innego, tylko jawne głoszenie swych poglądów politycznych. Przepisy prawa karnego stają się instrumentem walki politycznej, a są przy tym interpretowane w sposób niedopuszczalny. Co do Moczulskiego na przykład — uwięziono go we wrześniu ub. roku za udzielenie wywiadu niemieckiemu pismu — za słowa. W 1977 roku za to samo został tylko skazany przez kolegium do spraw wykroczeń, a więc za nieobyczajny wybryk. Ta dawna kwalifikacja była oczywiście śmieszna, ta obecna jest złowroga. Wojciech Ziemiński — uwięziony za wydawanie pisma bezdebitowego *Rzeczpospolita*, robił to od dawna, o czym władze śledcze dobrze wiedziały. To władze mają przecież obowiązek, a nie uprawnienie, natychmiast po dowiedzeniu się o popełnieniu przestępstwa wszcząć postępowanie karne. Przez całe lata tego nie robiły, a Ziemiński pisał. Wreszcie zarzucono mu, że przez te lata... Ale dotychczas pozwalali mu na to, zatem mógł być przekonany, że jego postępowanie nie będzie zakwalifikowane tak jak się to obecnie stało, jako przestępstwo polityczne. W jak złym świetle z moralnego i prawnego punktu widzenia stają nasze władze, tak postępując! Mamy obowiązek im to powiedzieć. Nie lękajmy się! Nie musi to wcale oznaczać identyfikacji z poglądami politycznymi tych osób, ale oznacza potępienie zasady stosowania prawa karnego do walki politycznej. Nasza korporacja, nasz zjazd powinien uchwalić wysłanie petycji do władz centralnych i domagać się natychmiastowego uchylenia aresztów zastosowanych wobec wymienionych osób oraz niezwłocznego umorzenia postępowań karnych, a także zaniechania takiej praktyki w przyszłości. Projekt takiej petycji składam komisji wnioskowej. Niech nas nie wstrzymuje obawa w czasie, kiedy pękła już bariera strachu.

Nie tylko w tym zakresie stosowanie prawa karnego przedstawia się u nas alarmująco. Łamanie praworządności w tej dziedzinie stało się nagminne. Zamiast systematycznego ujęcia chcę krótko opowiedzieć o jednej tylko sprawie karnej, w której uczestniczyłem a w której doszło do wielokrotnego i bezceremonialnego pogwałcenia praworządności przez Prokuraturę, MO, SB i Sąd.

Dnia 3. V. 1980 r. dwudziestokilkuosobowa bojówka SB dokonała brutalnego pobicia niebroniących się kilku osób (dziesięciu), w tym czterech kobiet i małego dziecka. Chodziło o aresztowanie jednej z nich. Do Komendy MO zabrano wówczas cztery osoby, nadal bijąc je w drodze dość wymyślnie: w nasadę nosa, w tył głowy. Jedną z tych osób nieprzytomną porzucono za miasmem. Jeden z zatrzymanych wraz z inną osobą stanął przed kolegium do spraw wykroczeń, które obradując w trybie przyspieszonym wieczorem, poza swą zwykłą siedzibą, wymierzyło kary po trzy miesiące aresztu. Uniknięto w ten sposób obecności świadków obrony, obrońców i widzów. Jeden z obwinionych był

pobity w sposób widoczny, lecz kolegium nie zwróciło na to uwagi choćby przez wpisanie odpowiedniej wzmianki do protokołu rozprawy. Sąd rozpoczął odwołanie obrońców wbrew obowiązki ustawowemu, nakazującemu utrzymanie jednomiesięcznego terminu, dopiero po upływie 2 miesięcy i 10 dni, wcześniej wielokrotnie odmawiając uchylenia aresztu. Orzeczenie kolegium zostało zatwierdzone. Na rozprawę sądową wpuszczono widzów za imiennymi kartami wstępu, przy wydawaniu których sekretarka, nie z własnej inicjatywy, sporządzała listę osób pobierających przepustki i legitymujących się w tym celu dowodami osobistymi. U wielu z tych osób przeprowadzono niezadługo rewizje mieszkaniowe. W sprawie pobicia 10 osób zwróciłem się do Prokuratury Wojewódzkiej w Gdańsku o wszczęcie ścigania. Po wielu tygodniach odpowiedziano mi, że nie można rozpocząć postępowania karnego, ponieważ do mego wniosku załączyłem zamiast oryginałów tylko kserokopie pisemnych oświadczeń osób pobitych. Moje dalsze pisemne żądania kierowane do Prokuratury Generalnej pozostały już bez odpowiedzi, nikogo z zainteresowanych nawet nie przesłuchano. Upłynęło już osiem miesięcy, a więc ta bezczynność chyba coś znaczy.

Uważam, że adwokatura w dziedzinie obrony praworządności nie wyczerpuje swych możliwości. Proszę o uchwalenie, iż zjazd zobowiązuje wojewódzkie rady adwokackie do utworzenia komisji zbierających przypadki łamania praworządności w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości, badających je i podejmujących oficjalne kroki przeciwdziałające. [...]

J. TAYLOR

POLEMIKI

P. T.

O TAJEMNICZEJ ŚMIERCI M. NOWOTKI I B. MOŁOJCA

Sprawa zagadkowych śmierci Marceliego Nowotki i Bolesława Mołojca¹ wzbudziła ostatnio szerokie zainteresowanie. Otworzyły dla niej swe łamy liczne gazety, jak np. *Życie Warszawy*, *Gazeta Krakowska*, *Kurier Polski*, dzienniki w Szczecinie, Lublinie, Łodzi, czasopisma jak *Stolica*, *Płomienie*, tomaszowskie *Włókna Sztuczne* itd. W sprawie ujawnienia tej tajemnicy i rehabilitacji braci B. i Z. Mołojców wypowiadają się uczestnicy licznych spotkań i zebrań, zwłaszcza b. członkowie KPP, KZMP, dąbrowszczacy, żołnierze z okresu okupacji, a także ludzie z młodszej generacji — głównie dziennikarze, historycy, prawnicy, studenci i różni działacze społeczni.

Temat, który przez dziesięciolecia traktowany był jako tabu, strzeżone przez najwyższych strażników tajemnic partyjnych, obecnie do tego stopnia wypływa na światło dzienne, że nawet taki autorytet służbowy dla „środków przekazu” jak Stefan Olszowski stwierdził, że w tej sprawie „być może potrzebne jest ponowne oświadczenie, które powinien złożyć Instytut Podstaw Mark-

1. W dalszym tekście używać będziemy wymiennie imion, nazwisk i pseudonimów w następującym brzmieniu: Marceli Nowotko „Stary” „Marian”; Bolesław Mołojec „Edward”; Paweł Finder „Paweł”; Franciszek Józwiak „Witold”; Zygmunt Mołojec „Zenek”; Małgorzata Fornalska „Małgosia”; M. Podlasiak „Marylka” „Marysia”; Władysław Gomułka „Wiesław”; Maria Rutkiewiczowa „Marysia”.

sizmu-Leninizmu, gdyż chodzi o tradycję i historię ruchu robotniczego” (*Głos Robotniczy* z 27 maja 1981). Jednocześnie wspomniany sekretarz KC PZPR poinformował zebranych, że na stanowisku dyrektora IPML zaszła zmiana: Andrzeja Werblana zastąpił Augustyn Wajda. Wiadomo, że prof. A. Werblan należał do tych członków kierownictwa partyjnego, którzy uważali, że „dla dobrej sprawy” pierwotną wersję o „zbrodni Mołojców” należy zmumifikować i przeciwdziałać przenikaniu do wiadomości publicznej informacji i ocen kolidujących z tą legendą. Stanowisko takie jednak trudne było do utrzymania. Nawet wśród centralnych działaczy partyjnych zaczęły ujawniać się wahania, czy w odniesieniu do tej sprawy nie byłoby celowe pójście na ustępstwa wobec faktu, że jest to sprawa „zaprzeszła” i że na przestrzeni bez mała czterech dziesięcioleci kierownictwo PPR i PZPR było monitorowane przez ludzi, którzy nie dawali wiary w winę braci Mołojców.

W roku 1943, a następnie w 1956, 1957, 1972, 1980 i 1981 wpływały na ręce I sekretarzy KC partii pisma podpisywane przez dziesiątki osób — współtowarzyszy, przyjaciół, podkomendnych i rodzinę Bolesława Mołojca, nie wymieniając listów indywidualnych. Ostatnio takie zbiorowe pisma skierowano do VII Zjazdu PZPR, jak również do IX Nadzwyczajnego Zjazdu, na ręce Stanisława Kani. Oprócz tego Czesław Cyniak, pochodzący z Tomaszowa, rodzinnego miasta Mołojców, napisał indywidualną petycję w tej sprawie. Nie bacząc na te apele i ich motywacje, A. Werblan utrzymywał, że lepiej w tej sprawie nie wprowadzać żadnych innowacji. Dał temu wyraz m.in. w swojej wypowiedzi na zebraniu pracowników poczytnego dziennika wiosną br. Oświadczył wtedy kategorycznie, że wątpliwości w sprawie winy Bolesława Mołojca są bezzasadne. Głównym jego argumentem było stwierdzenie, że M. Nowotko został zabity w miejscu, w którym miał się spotkać z „Edwardem”. Było to wkrótce po opublikowaniu na łamach *Życia Warszawy* (z dnia 8. IV. 1981) listu siostry B. i Z. Mołojców, wyrażającego protest przeciwko szkalowaniu jej braci, poległych w najbardziej tragiczny sposób, „bo z rąk własnych towarzyszy”. Kiedy obecni na tym spotkaniu dziennikarze próbowali zadawać dalsze pytania, A. Werblana nie było już na sali. Po prostu oświadczył swoje i... wyszedł. Czy następca jego na stanowisku dyrektora Instytutu zastosuje podobną metodę postępowania — nie wiadomo. Na razie wiemy tylko, że człowiek znajdujący się na wyższym piętrze niż kierownik IPML — bo Stefan Olszowski — uważa, że ustanowienie nowej obowiązującej „formuły” (a może nie nowej)

jest głównym zadaniem w rozstrzygnięciu kłopotliwego dylematu. Nie rewizja sprawy, nie analiza dokumentów, zeznania uczestników wydarzeń, argumenty sygnatariuszy sześciu szeroko umotywowanych pism zbiorowych, ekspertyza prawna postępowania „sądowego”, lecz podyktowanie „publikatorom” „ponownego oświadczenia”.

Od początków 1980 roku krążą wśród ludzi interesujących się dziejami PZPR i jej prekursorów dwa dokumenty: Władysław Gomułka „Notatka w sprawie zabójstwa I sekretarza KC PPR Marcelgo Nowotki” z dnia 26. XI. 1977 oraz zapisana przez dr. Antoniego Przygońskiego (niepełna) relacja Franciszka Józwiaka z dnia 6. XI. 1959 na ten sam temat (brak w niej trzech stron maszynopisu). Ostatnio (w kwietniu 1981 r.) wydawnictwo „Głos” przedrukowało (z pewnymi zniekształceniami) obie te wypowiedzi, opatrzone obsesyjnym komentarzem Leopoldy. Zakładając, że czytelnik zna już wymienione relacje W. Gomułka i F. Józwiaka, nie będziemy ich streszczać, ograniczając się tylko do niezbędnych informacji. Zwłaszcza „Notatka” Wł. Gomułka nie będzie tu poddana analizie, uczyniła to bowiem dr. Romana Toruńczykowa, autorka wykładu na ten temat, wygłoszonego w Towarzystwie Miłośników Historii w lutym br., którego stenogram również krąży wśród osób interesujących się tą sprawą. Pomiędzy treścią relacji „Witolda” i „Wiesława” istnieją różnice i sprzeczności tak duże, że osoba bezgranicznie wierząca Wł. Gomułce mogłaby jego tekstem obalić relację F. Józwiaka, a z kolei osoba wierząca Józwiakowi mogłaby jego relacją obalić „Notatkę” Gomułka. Piszący te słowa nie może jednak dać wiary żadnemu z wymienionych autorów, gdyż w ogóle nie wchodzi w rachubę jakakolwiek wiara w czyjeś słowa. Każde źródło jednakowo wymaga krytycznego osądu i weryfikacji. Zanim ujawnimy rozbieżności, należałoby wymienić wspólne cechy tych zapisów: 1) obaj autorzy stwierdzają, że „Edward” był winien śmierci M. Nowotki; 2) obaj podkreślają, że głównym dowodem winy Bolesława Mołojca było zeznanie jego brata Zygmunta, jakoby jego starszy brat był inspiratorem zabójstwa, a on wykonawcą tej decyzji. Każdy jednak z tych autorów, uważający siebie za osobę najlepiej wtajemniczoną w arkana sprawy, kreśli inny przebieg wydarzeń, podaje inne okoliczności i nawet niekiedy wymienia inne osoby uczestniczące w dramacie. Dodać należy, że obie te relacje pochodzą od ludzi, którzy przyznają, że pod kierownictwem „Pawła” prowadzili dochodzenie w sprawie zabójstwa M. Nowotki, orzekli karę śmierci na Bolesława Mołojca i byli wraz z P. Finderem i M. Fornalską organi-

zatorami wykonania tego wyroku. Obaj też, zarówno Wł. Gomułka jak F. Jóźwiak, po straceniu „Edwarda” wraz z „Pawłem” jako nowym I sekretarzem PPR weszli w skład kierowniczej „trójki” partyjnej, na miejsce poprzedniej, w której byli: M. Nowotko, B. Mołojec i P. Finder.

Franciszek Jóźwiak w pierwszym zdaniu swojej relacji stwierdza, że „z uwagi na charakter sprawy nie będzie mógł przedstawić wszystkich okoliczności”. Zapis jego wypowiedzi kończy się na pytaniu dr. A. Przygońskiego, „czy sprawa była konsultowana z towarzyszami radzieckimi?”, ale na tym właśnie tekst się urywa, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi (być może dlatego, że zawieruszyła się kartka maszynopisu, być może z innych powodów). Co znajdujemy szczególnego w relacji spiętej takimi klamrami? Już na początku swej wypowiedzi „Witold” zastrzega się, że zapisu rozmowy nie będzie mógł autoryzować. Jest to całkowicie zgodne z jego zwyczajami człowieka doświadczonego i czujnego w traktowaniu spraw własnych. Zapis A. Przygońskiego jest na pewno autentyczny. Gomułka w swojej „Notatce” stwierdza, że Fr. Jóźwiak ustnie potwierdził go w 1960 roku. Dr Antoni Przygoński zreferował publicznie (pod wpływem pytań z sali) jego treść w Towarzystwie Miłośników Historii. Podpis tego historyka pod tekstem wywiadu nie wzbudza zastrzeżeń co do wierności zapisu. Oprócz tego protokołu są jeszcze inne zbieżne w treści wypowiedzi A. Przygońskiego na ten temat.

Fr. Jóźwiak stwierdza, że P. Finder poinformował go o śmierci M. Nowotki „w dzień lub dwa po zabójstwie”. Finder już wtedy wymienił B. Mołojca jako sprawcę zbrodni. Pierwszy na tę osobę wskazał jednak Jóźwiak. Finder to potwierdził. Tu warto zauważyć, że o „zasługę” zdemaskowania „Edwarda” ubiegały się dwie osoby. Fr. Jóźwiak twierdzi, że to on pierwszy wymienił „Edwarda”, Wł. Gomułka natomiast dziesięć lat wcześniej na III Plenum w listopadzie 1949 roku powiedział: „To ja go zdemaskowałem”. Powtórzył to także w wymienionej „Notatce”. Uważna lektura kilku dokumentów nasunąć jednak musi wniosek, że pierwszeństwo w wysunięciu tego oskarżenia należy się raczej „Pawłowi” (pierwszeństwo wobec Fr. Jóźwiaka i Wł. Gomułki). Tak logicznie bowiem potrafił P. Finder przedstawić rozmówcom przebieg swojej rozmowy z „Edwardem” po śmierci „Starego”, że chociaż nie wymienił pierwszej osoby B. Mołojca jako złooczyńcy, osiągnął nieomylnie zamierzony efekt. I tak „Witold” relacjonuje, że już 29 lub 30 listopada w czasie rozmowy z P. Finderem obaj mieli pewność, że zabójcą Nowotki jest „Edward”. Z „Notatki” Gomułki dowiemy się, iż dwa

tygodnie po śmierci Nowotki P. Finder w rozmowie z „Wiesławem” twierdził, że *nie wie*, kto zabił „Starego”, tak jednak opisał przebieg swojej rozmowy z B. Mołojcem, że „Wiesław” bez trudu odgadł, kto jest zabójcą. „Paweł” „zgodził się” z tym domysłem, dodając zbieżne motywacje. W ten sposób hipoteza Wł. Gomułka stała się punktem wyjścia i kierunkowskazem „dochodzeń”. Warto też wspomnieć, że radiotelegrafistka KC PPR Maria Rutkiewiczowa w swoich wspomnieniach pisanych w ubiegłych dziesięcioleciach oraz w czasie rozmowy zorganizowanej przez Tadeusza Hołuję w dniu 20 marca w „Kuźnicy” stwierdziła (cytuje za Dorotą Terakowską według jej artykułu w *Gazecie Krakowskiej* z 28. IV. 1981), że zaraz po śmierci Nowotki („dzień czy dwa dni później”) postępowanie P. Findera dało jej do zrozumienia, że to „Edward” jest sprawcą tego zabójstwa. A oto szczegóły: w dniu tym „Paweł” był umówiony z B. Mołojcem (miało to być spotkanie „trójki”, ale M. Nowotko już nie żył). „Paweł” postanowił nie pójść na to spotkanie, wysyłając na nie M. Rutkiewiczową, aby spytała „Edwarda”, czy wie o śmierci „Starego” i następnie dokładnie powtórzyła P. Finderowi wszystko, co usłyszy w odpowiedzi. „Marysia” powiedziała Finderowi, że „ze słów Mołojca wynikało, że jest tą śmiercią równie wstrząśnięty jak inni”, na co „Paweł” zaklął siarczyście. „W ten sposób dowiedziałam się — mówi Maria Rutkiewicz — że nasza organizacja oskarża Mołojca o śmierć I sekretarza KC PPR”. Wszystkie te epizody będą miały duże znaczenie przy analizie przebiegu „procesu dochodzeniowego”, o którym szczegółowo napisał Wł. Gomułka w 1977 roku.

Z relacji Fr. Józwiaka wiadomo, że o miejscu i czasie ostatniego spotkania M. Nowotki z B. Mołojcem wiedział P. Finder. Józwiak twierdzi, że „zgodnie z obowiązującymi zasadami [Marceli] zawsze informował P. Findera, dokąd idzie, z kim ma się spotkać i o której godzinie”.

M. Rutkiewiczowa w czasie wspomnianego spotkania w „Kuźnicy” stwierdziła, że o miejscu spotkania B. Mołojca i M. Nowotki oprócz nich wiedział tylko Finder. Gomułka podaje, że Finder znał miejsce i termin tego spotkania, bo był obecny, kiedy „Edward” umawiał się ze „Starym”. Czy jeszcze ktoś wiedział? Nie można przy tym pytaniu nie wspomnieć pisarstwa *niekoniecznie prawdziwej* autorki „Pamiętnika łączniczki”, Ireny Szczypiorskiej, która podaje, że M. Nowotko miał obowiązek „opowiadać się” Edwardowi Bonisławskiemu, Dobrzyńskiemu albo jej, swojej łączniczce, ilekroć był umówiony z „Edwardem”. Jeśli był umówiony z inną osobą — „nie opowiadał się” (Szczy-

piorska pisze, że jeszcze za życia M. Nowotki „wiadomo było”, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony „Edwarda”). A więc o spotkaniu „Edwarda” z „Marianem” zapewne wiedziały osoby trzecie, a co do tego że wiedział o nim „Paweł” „Edward” wiedział na pewno.

Józwiak w swojej relacji opisuje imponującą wprost operatywność, jaką „Paweł” wykazał w tej sprawie. 29 lub 30 listopada Finder miał już następujące ustalenia: 28 listopada zginął M. Nowotko. Jeszcze tego samego dnia wieczorem „granatowi” policjanci zawiadomili o tym jego gospodynię na Żoliborzu. Na polecenie Findera rozpoczęto poszukiwanie zwłok. Ciało M. Nowotki podówczas nie było już w prosektorium. Ustalono, że zostało ono pochowane w zbiorowej mogile na Powązkach. Finder polecił Edwardowi Bonisławskiemu odkopać zwłoki, zidentyfikować je i pochować w osobnym grobie. Porozumiał się też — zanim rozmawiał z „Witoldem” — z Teodorem Duraczem i Małgorzatą Fornalską i „zdecydowano utworzyć komisję dla zbierania okoliczności śmierci sekretarza KC PPR. Przewodnictwem tej komisji Finder proponował złożyć w ręce T. Duracza i M. Fornalskiej — w skład komisji mieli wejść także Fr. Józwiak oraz Wł. Gomułka — sekretarz Komitetu Warszawskiego PPR. P. Finder polecił Józwiakowi — jako szefowi Sztabu Głównego GL — zająć się śledztwem w sprawie zabójstwa Nowotki. Miało być ono prowadzone w głębokiej tajemnicy przed B. Mołojcem, który był w tym czasie szefem Wydziału Informacji Sztabu Głównego GL”.

Z tego zatłoczonego obrazu wydarzeń wybierzemy na razie tylko niektóre punkty: Edward Bonisławski — adiutant „Witolda”, ten sam, który według I. Szczypiorskiej miał obowiązek strzec bezpieczeństwa M. Nowotki — był według „Witolda” od początku wtajemniczony w nieznanne w partii detale sprawy. Fr. Józwiak twierdzi, że poza wspomnianą ekshumacją E. Bonisławski wykonał tak ważne zadania jak przesłuchanie młodszego brata B. Mołojca Zygmunta i następnie brał wspólnie z J. Krasickim udział w zabójstwie „Edwarda”. Otóż o tej osobie i jej roli Wł. Gomułka nie wie nic i wręcz ironizuje, że „ów niezwykły detektyw” — Bonisławski — uczestniczył w śledztwie, „przesłuchaniu” Zygmunta Mołojca, rozmawiał ze świadkami zbrodni i brał udział w wykonaniu wyroku na Bolesławie. Wł. Gomułka podaje nazwisko Mieczysława Hejmana (a nie Bonisławskiego) jako współwykonawcy wraz z J. Krasickim „likwidacji” B. Mołojca. Podaje nawet taki szczegół, że bardzo się ucieszył, kiedy po raz pierwszy od lat spotkał się z „Mietkiem”

zaraz po tej „akcji likwidacyjnej” (nie wyklucza to jednak udziału w niej także Bonisławskiego). Nie wytrzymuje też próby weryfikacji stwierdzenie „Witolda”, jakoby tzw. „komisja Duracza” powstała w 1942 roku, za życia „Edwarda”, zaraz po śmierci „Starego”. Ustalenie okresu działalności Teodora Duracza w związku z tą sprawą odbyło się w latach pięćdziesiątych z udziałem jego syna — Jerzego Duracza — i żony Jerzego „Anity” (Anna Duraczowa), którzy zapamiętali, że prace te ich ojciec prowadził już po śmierci „Edwarda”. To samo pisze też w „Notatce” Władysław Gomułka. Stwierdza on, że Finder powołał trzyosobową komisję, w której skład weszli: Teodor Duracz jako przewodniczący oraz Małgorzata Fornalska i „Olek” Kowalski jako członkowie. Komisja ta miała za zadanie sporządzić „dla historii zapis tego tragicznego wydarzenia”. A więc pod przewodnictwem T. Duracza pisało się tylko protokół; zgładzenie „Edwarda” było już podówczas faktem dokonany. Cała legenda o przewodnictwie Teodora Duracza w „sądzie partyjnym” nad Bolesławem Mołojcem jest po prostu wymysłem. Trzyosobowa komisja wykonywała swą rolę w okresie, gdy P. Finder, Fr. Józwiak i Wł. Gomułka byli już nie tyle członkami zakonspirowanej wewnątrz partii „czwórki” (wraz z M. Fornalską), potajemnie sądzącej Bolesława Mołojca, co nowym oficjalnym kierownictwem. Udział w tej komisji wynikał z dyrektywy nowej „trójki” kierowniczej — czynnika najbardziej autorytatywnego.

Informacja „Witolda”, jakoby Bolesław Mołojec był w tym czasie „szefem Wydziału Informacji Sztabu Głównego GL” jest kłamliwa i więcej mówi o obsesjach Fr. Józwiaka aniżeli o rzeczywistym składzie dowództwa. Bolesław Mołojec był od początku drugim po M. Nowotce sekretarzem KC PPR i głównym dowódcą Gwardii Ludowej. Fr. Józwiak wielokrotnie mówi przy różnych okazjach, także w omawianej relacji, iż M. Nowotko, „nie mając odpowiednich zaufanych ludzi”, zwrócił się w marcu 1942 roku do Georgi Dymitrowa z prośbą, aby skierowano mu do pomocy Józwiaka (oczywiście w związku z kłopotami z Mołojcem). W wyniku tej interwencji „Witold” w kwietniu powrócił z radzieckich oddziałów partyzanckich z Ukrainy do Polski „do dyspozycji sekretarza KC PPR”. Informacja ta, podobnie jak większość innych, wydaje się nierzetelna. Wiadomo, że w okresie od grudnia 1941 (od wylotu Grupy Inicjatywnej) do czerwca 1942 M. Nowotko i cała „trójka” na skutek zagubienia radiostacji nie mieli kontaktu z G. Dymitrowem, że pierwsze ich depesze radiowe datowane były dopiero w czerwcu.

W depeszach tych żadnych konfliktów M. Nowotki z Mołojcem nie odnotowano, a w jednej z nich M. Nowotko przekazał nawet następujące słowa, dotyczące „trójki”: „Pracujemy na opracowanej wspólnie z Wami platformie zgodnie, żadnych rozbieżności nie ma”.

Niełatwo jest dzisiaj osobom czytającym wspomnienia takich osób jak Fr. Józwiak zrozumieć ich mentalność i wczuć się w motywy ich postępowania. Z dumą pisze on, jakoby M. Nowotko powiedział mu, „że jego [„Witolda”] głównym zadaniem będzie jednak ‘popatrzeć na ręce B. Mołojca’ i informować o wszystkim sekretarza partii”. A może rzeczywiście Józwiak dostał od kogoś podobne polecenie, tyle że na pewno nie w związku z korespondencją Dymitrowa z Nowotką przed czerwcem 1942 roku?

Jedną z najbardziej cynicznych informacji przekazanych przez Fr. Józwiaka jest wyjaśnienie, dlaczego „śledztwo potoczyło się niespodziewanie szybko”. Oczywiście swojej osobie „Witold” przypisuje główną w tym zasługę. Oto co czytamy w protokole: „Nastąpiło to przez przypadek. W kancelarii Sztabu Głównego GL, której kierownikiem była żona Fr. Józwiaka „Lena” (Helena Wolińska), pracowała również łączniczka „Marysia” [Podlasiak] — naręczona Z. Mołojca. Zapytana przez Wolińską o swe osobiste stosunki z narzeczonym, „Marysia” zwierzyła się swojej koleżance, że jej narzeczony ostatnio był mocno zdenerwowany”. Nagabywany o to Z. Mołojec zwierzył jej się, że zabił kilka dni temu człowieka — wprawdzie prowokatora i agenta Gestapo, ale było to przykre przeżycie. W tej „akcji likwidacyjnej” brał też udział jego starszy brat Bolesław. Informację tę H. Wolińska przekazała Fr. Józwiakowi, a ten Finderowi i Duraczowi. Chwalił się „Witold” w wywiadach: „Gdzie diabeł nie może, tam kobietę pośle”. Cała ta historia jest kolejnym wymysłem. Łączniczka „Marysia” nie była naręczoną Zygmunta, który od kilku lat miał żonę Felicję („Martę”), uczestniczkę ruchu oporu we Francji. Lena nie rozmawiała z „Marysią” o jej narzeczonym: w ogóle nie знаła „Marysi” i z nikim takiej rozmowy nie prowadziła. Gdy w 1979 roku dowiedziała się od znajomych, że Józwiak wymienił ją jako ważnego świadka w oskarżeniu B. Mołojca, przysłała z Oxfordu do Warszawy oświadczenie, że nie potwierdza tych informacji. Oświadczenie to jest archiwalnie zabezpieczone.

I wreszcie najważniejszy dowód winy „Edwarda” według relacji Fr. Józwiaka: „ustalenia” E. Bonisławskiego. Oto poszedł on na miejsce zbrodni u zbiegu ulic Kolejowej i Przyokopowej. Udało mu się rozmawiać ze „świadkiem” wypadku — właści-

cielką niewielkiego barku. Według niej jakiś mężczyzna (barczysty, z wąsami) zamówił piwo, chwilę z nią rozmawiał i wyszedł. Wkrótce usłyszała strzały, zobaczyła, że jej niedawny gość leży zalany krwią, a po obu stronach ulicy uciekają dwaj mężczyźni; określiła ich wygląd itd. Fr. Józwiak stwierdza, że „E. Bonisławski znalazł również kolejarza, który był naocznym świadkiem zajścia. Widział on, jak wysoki mężczyzna z wąsami podszedł do niższego od siebie szczupłego osobnika (...) padły strzały (...) Wysoki mężczyzna ugodzony (...) upadł (...) obaj zaś sprawcy uciekli. Ich wygląd opisany przez kolejarza również zgadzał się z wyglądem obu Mołojców”. Irena Szczypiorska w „Pamiętniku łączniczki” opisała na kilku stronach tę samą legendę, z tą różnicą, że opisała to jako ustalenia swojej matki i własne. Pomniejszyła w ten sposób „zasługi” E. Bonisławskiego. Podała jednak szczegół, którego zapobiegliwy Fr. Józwiak w swojej relacji już nie odnotował. Oto Irena Szczypiorska zarówno w książce jak w zapiskach archiwalnych podała do publicznej wiadomości imię, nazwisko, zawód i miejsce zamieszkania rzekomego świadka zbrodni, owego „kolejarza”, o którym mówił Fr. Józwiak. Ogłosiła mianowicie, że świadkiem był Jakub Rakowski. Gdy pozostałe przy życiu rodzeństwo Bolesława i Zygmunta Mołojców, najstarszy ich brat Józef i siostra Barbara, przeczytali relację I. Szczypiorskiej, udali się do wskazanego przez nią „świadka” zabójstwa M. Nowotki, aby dowiedzieć się dokładnie, co widział w krytycznym dniu i po czym rozpoznał braci Mołojców. „Świadek” ten stwierdził kategorycznie, że wszystko co napisała Irena Szczypiorska w związku z jego osobą jest *wysane z palca*. Oświadczenie jego, urzędowo poświadczane, znajduje się w Centralnym Archiwum partyjnym. Znajduje się tam również taśma dźwiękowa z zapisem pełnej wypowiedzi tego głównego „świadka”. Oba te dokumenty dementują w całej rozciągłości twierdzenia Fr. Józwiaka i I. Szczypiorskiej. Irena Szczypiorska, opisując obrazowo to wszystko, co Jakub Rakowski rzekomo widział w dniu 28 listopada 1942 roku, zdradza się zresztą sama: Bolesław Mołojec był tak pokaźnego wzrostu, że żaden świadek jego spotkania z Nowotką nie mógł go określić jako „osobnika niższego” od Nowotki, bo było akurat odwrotnie. Jako „znawca sprawy” i autorka licznych paszkwili o B. Mołojcu Irena Szczypiorska powinna była to wiedzieć. Identyczną gafę popełniła w swej książce B. Sowińska, zdradzając w ten sposób, że opowiadania „Witolda”, I. Szczypiorskiej i B. Sowińskiej mają wspólny rodowód.

Władysław Gomułka, nie wiedząc, że opowieść Józwiaka o

zeznaniach „świadków” została już obalona, stwierdza w swojej „Notatce”, że żadnego świadka nie było, a Fr. Józwiak świadomie przeinacza fakty.

Również informacje „Witolda” o przebiegu rzekomego przesłuchania w Warszawie Zygmunta Mołojca przez E. Bonisławskiego mają nie więcej cech wiarygodności aniżeli to, co miało pochodzić od H. Wolińskiej. Wł. Gomułka twierdzi i chyba ma rację w tym przypadku, że takiego przesłuchania w ogóle nie było. Zygmunta „przesłuchano” w obwodzie kielecko-radomskim, w chacie chłopskiej, i niezwłocznie zgładzono. Według bardzo wiarygodnych relacji współtowarzyszy Zygmunta zginął on rzeczywiście w Radomskim, nie przyznając się do niczego. Według tego co podał w swej relacji Józwiak, E. Bonisławski uzyskał od Zygmunta zeznanie, w którym wszystkie epizody „pokrywały się z relacją świadków morderstwa i oględzinami zwłok”. Pokrywały się z relacją świadków... tj. Jakuba Rakowskiego, bo żadnej właścielki barku ani też barku w tej okolicy nie było.

Na koniec jedyna chyba prawdziwa informacja pochodząca od Fr. Józwiaka. Oceniam ją jako miarodajną, w odróżnieniu od stanowiska Wł. Gomułka, który się w danej sprawie myli, zarzucając Józwiakowi „nikczemne kłamstwo”. Chodzi o okoliczności śmierci „Marylki”. Kiedy „Witold” mówi, że „zapadła decyzja o likwidacji zarówno Zygmunta Mołojca jak i jego (...) łączniczki” — nie kłamie. Marylka rzeczywiście została skazana. Wł. Gomułka w to nie wierzy, pyta: za co? A za co skazano na śmierć łączniczkę „Edwarda” „Krysię”? Za co skazano inne osoby z jego otoczenia? Długi jest ten „korowód cieni”. Fr. Józwiak nie byłby jednak sobą, gdyby podając fakt prawdziwy nie otoczył go sfałszowaną legendą. Czytamy więc w jego relacji o śmierci Zygmunta i „Marylki”: „oboje zostali wysłani do partyzantki GL w Radomskim i tam zginęli”. Nie. Nie oboje. „Marylka” została zadenuncjowana gestapowcom i zginęła na Szucha. Przed śmiercią zdołała wysłać gryps o swoim losie. Zarówno ona jak wcześniej „Zenek” i „Krysia” winę za to, co ich spotkało przypisywali „Witoldowi” (ona pośrednio, oni bezpośrednio — imiennie). Zygmunt nawet użył określenia: „w partii jest prowokator”.

W zapisie relacji „Witolda” czytamy: „Okoliczności ich [Zygmunta i Marylki] śmierci Fr. Józwiak nie zna. Na dodatkowe pytanie, kto podjął decyzję o ich likwidacji, oświadczył, że nie może na to pytanie odpowiedzieć”.

Tyle o protokole rozmowy A. Przygońskiego z Franciszkiem Józwiakiem z 1959 roku. Tak samo jak wszystkie inne materiały

mające świadczyć o winie braci Mołojców, zeznanie to, pomimo ewidentnej tendencyjności, nawet w najmniejszym stopniu nie potwierdza zasadności oskarżenia. Podobnie jak to było z „Notatką” Władysława Gomułki, analiza relacji „Witolda” potwierdza, że żadnych materialnych dowodów winy braci Mołojców nie było, a główne argumenty przeciwko nim (zeznania „świadków” zabójstwa, „przyznanie się” Zygmunta, świadectwo Leny Wołińskiej) były po prostu sfabrykowane. Być może głębsza analiza sytuacji w PPR i GL pomoże ustalić, dlaczego na przełomie 1942 i 1943 roku dokonano w tak odrażających i dramatycznych okolicznościach zmiany kierownictwa partii. Jest jeszcze wiele niewiadomych w tej sprawie, ale jedno nie ulega wątpliwości: wina braci Mołojców nie została udowodniona i nie zrobiono niczego, aby dać im prawo obrony. „Edwarda” zabito bez sądu na mocy tajnego porozumienia czterech osób, które — jak to ujawnił Wł. Gomułka — nawet ani razu nie zebrały się w komplecie. W momencie, gdy się to stało, Bolesław Mołojec był I sekretarzem partii.

P. T.

RECENZJE

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

NAJNOWSZA PRACA O STOSUNKACH POLSKO-UKRAIŃSKICH

Wydana drukiem maszynowym, na lichym papierze, w serii publikacji Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, praca ta* stanowi skrót doktorskiej rozprawy autora, obronionej w roku 1975 na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu. Praca obejmuje 22 strony przypisów oraz 8 stron wykazu cytowanych pozycji. Głównym tematem książki jest omówienie myśli politycznej i stosunku piłsudczyków do problemu polsko-ukraińskiego oraz innych zagadnień kresowych w okresie od maja 1926 do tzw. pacyfikacji na jesieni 1930. W pierwszym z dwóch rozdziałów książki autor szczegółowo porusza koncepcje polityczne „miarodajnych” piłsudczyków: Henryka Józewskiego, Stanisława Srokowskiego, Bogusława Miedzińskiego, oraz innych raczej pobieżnie. W drugim rozdziale autor omawia poglądy tzw. ukrainofilów: publicystów i polityków o zdecydowanym obliczu ideologicznym i politycznym w sprawach stosunków polsko-ukraińskich: Leona Wasilewskiego, Tadeusza Hołównki, Piotra Dunin-Borkowskiego. O Józefie Piłsudskim pisze stosunkowo niewiele.

Dużo miejsca w tych rozdziałach zajmują cytaty z pism takich jak *Epoka*, *Głos Prawdy*, *Droga*, *Robotnik* i inne.

Autor uważa, że jakkolwiek Józef Piłsudski nie wyłożył na piśmie swych poglądów na sprawę ukraińską, to można je jednak

* Piotrkiewicz (Teofil), *Kwestia ukraińska w Polsce w koncepcjach piłsudczyzny, 1926-1930*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 1981, str. 165. Nakład 500 egzemplarzy.

skonstruować na podstawie jego pism, mów i rozkazów z roku 1920, w świetle których Marszałek uchodził za przyjaciela Ukraińców. Jednak z tym określeniem, pisze autor, można się zgodzić tylko w aspekcie koncepcji Piłsudskiego powołania do życia samodzielnej Ukrainy za Zbruczem. W sprawach ukraińskich w obrębie Polski był on obrońcą interesów państwa i jego zwartości. Dużą wagę przywiązywał do roli języka polskiego jako jedynego urzędowego, podkreślał wielkie znaczenie wojskowego osadnictwa na kresach, domagał się by na terenie trzech województw południowo-wschodnich przestrzegano zasad prawnych i unikano zadrażnień. Na Wołyniu natomiast zalecał, by władze państwowe były „mocne i surowe ale sprawiedliwe”.

Jednak w cztery miesiące po objęciu władzy, 20 września 1926, polecił ministrowi WROP (Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego) A. Sujkowskiemu by wystąpił w Sejmie z projektem stworzenia Uniwersytetu Ukraińskiego. Sprawa ta jednak upadła na skutek opozycji prawicy oraz — rzecz zastanawiająca — głosów posłów mniejszości narodowych. Autor miał na myśli posłów ukraińskich z Wołynia, Chełmszczyzny, Podlasia i Polesia, gdyż galicyjscy Ukraińcy zbojkotowali wybory do Sejmu w 1922 r.

Najbardziej kontrowersyjną decyzją Marszałka w sprawach ukraińskich było polecenie dane F. Sławojowi Składkowskiemu w jesieni 1930 roku przeprowadzenia tzw. pacyfikacji w Małopolsce Wschodniej jako reakcji na masowe akty sabotażu. Pacyfikacja, w której brało udział około 1.000 policjantów i jednostki kawaleryjskie — trwała 10 tygodni, od 10 września do 30 listopada 1930 (w pracy swej autor konsekwentnie używa terminu Małopolska Wschodnia).

Kreśląc sylwetkę Henryka Józewskiego, wojewody wołyńskiego od połowy roku 1928, autor stwierdza iż działał on „w ścisłym porozumieniu z Piłsudskim”. W pracy swej wojewoda musiał działać po linii supremacji idei państwa w życiu politycznym, z drugiej zaś strony uwzględniać relatywnie słabe (w porównaniu do Galicji) poczucie świadomości i nurtów nacjonalistycznych wśród ludności ukraińskiej na Wołyniu. W związku z tym Józewski starał się redukować przenikanie wpływów ukraińskich z Galicji (kordon sokalski), jak i realizować plan asymilacji państwowej, czyli pogodzenie wołyńskich Ukraińców z państwowością polską, przy równoczesnym rozwoju ukraińskiej kultury, języka, szkolnictwa, itd.

Równocześnie Józewski ze szczerym przekonaniem głosił idee stworzenia w przyszłości niepodległej Ukrainy za Zbruczem, co Piotrkiewicz określa jako jego prometeizm. W związku z tym Józewski podtrzymywał bliskie stosunki z Ukraińcami naddnieprzańskimi a szczególnie z petlurowcami. Te propetlurowskie sympatie wojewody wywołały burzę w prasie sowieckiej, oskarżającej Polskę o przygotowywanie nowej wyprawy na Kijów; obu-

rzyło to także prasę pravicową, określającą politykę Józewskiego jako szaleńczą.

W rozdziale o piśsudczykach „miarodajnych” autor omawia opinie B. Miedzińskiego, jednego z najbliższych ludzi Marszałka, które były zgrzytem w chórze przychylnych mniejszościom głosów. Mianowicie pod koniec listopada 1926 Miedziński zawyrokował, iż żadna ugoda czy też porozumienie rządu z Ukraińcami nie jest potrzebne, gdyż wystarczy zrealizować postanowienia Konstytucji marcowej, by usunąć istniejące konflikty. Całe zagadnienie sprowadza się do sprawy uzdrowienia administracji, a nie do reformy ustroju. Jednocześnie Miedziński określił jako bezmyślną dotychczasową politykę prowadzoną wobec Ukraińców. Wojciech Stpiczyński, godząc się z tym określeniem Miedzińskiego, przytoczył jako godny naśladowania okólnik MWROP z 16 listopada do kuratorów szkolnych wołyńskiego i innych północno-wschodnich województw, którego wyjątek warto przytoczyć:

„Wszelkie brutalne narzucanie zewnętrznych cech polskości, wszelkie próby nieliczenia się z tym, co dziecko przynosi z domu rodzinnego ... wszystko co może mieć cechy ucisku narodowego — odbija się zawsze najfatalniej na duszach młodego pokolenia, powoduje uczucie nienawiści i w krótkim czasie wrogię w stosunku do państwa nastroje... Nauczyciel, który tych rzeczy nie rozumie, inspektor szkolny, który ujmuje swą zaszczytną i odpowiedzialną rolę jako narzędzie walki z ludnością, źle służy sprawie wychowania publicznego i na stanowisku swoim zostać nie może”.

Odbiegając od chronologii autor przytacza treść kursującego w roku 1930 tekstu programu rozwiązania sprawy ukraińskiej Stanisława Srokowskiego, b. wojewody wołyńskiego, który negatywnie oceniał ówczesną politykę rządu. Na wschodzie rządzący — pisał on — przy pomocy policji i niedoskonałych praw. Ukraińcy i Białorusini nie widzą szans, by Polska mogła się przyczynić do spełnienia ich ideałów niepodległościowych, ideałów, które w naszych czasach „mają siłę emocjonalną nie mniejszą od tej, jaką kiedyś mieściły w sobie hasła religijne”.

Domagał się więc różnych ustępstw kulturalnych takich jak uniwersytet ukraiński, ochrona prawosławia, odrzucenie myśli o polonizacji, co w dużej mierze ułatwiłoby asymilację państwową tych mniejszości.

Swoje propozycje łączył Srokowski z daleko idącą reorganizacją podziału administracyjnego i form współżycia narodowości ukraińskiej, białoruskiej i polskiej w ramach państwa. Proponował on podział kresów na dwie jednostki: białorską i ukraińską. W ukraińskiej autonomii miałyby powstać dwoistość samorządów ukraińskiego i polskiego, poczynając od gminy wzwyż aż do wspólnego sejmiku krajowego we Lwowie. Od piśsudczyków

różnił się on tym, iż na pierwsze miejsce wysuwał niebezpieczeństwo niemieckie, któremu można się było przeciwstawić unikając szyszan wobec Ukraińców i Białorusinów.

Ale i on pisał, że: „Oto tylko zły polityk polski nie pragnąłby faktycznego rozpadnięcia się Rosji na jej części składowe... A jeżeli tak jest, jakże pogodzić z tym drażnienie naszych Ukraińców i Białorusinów”.

Rozdział drugi Piotrkiewicz rozpoczyna zarysem biografii Leona Wasilewskiego, a następnie przedstawia jego poglądy i teorie w sprawach ukraińskich i stosunków polsko-ukraińskich. Zdaniem autora Wasilewski był największym „ukrainofilem” w Polsce i najwybitniejszym wyrazicielem wolnościowej ideologii PPS oraz tradycji dawnych Legionów i powstań. Był mężem zaufania Józefa Piłsudskiego w sprawach narodowościowych i stosunków z Rosją. Dorobek badawczy i pisarski Wasilewskiego jest olbrzymi. Już w roku 1890 rozpoczął on pracę nad zagadnieniami narodowościowymi, pisząc o Galicji do pism polskich i rosyjskich. Jego pierwsza praca *Ukraina i sprawa ukraińska* ukazała się w roku 1911. Książka *Kresy Wschodnie* — w roku 1917, a następnie wiele innych publikacji. Najwięcej czasu Wasilewski poświęcił Ukrainie, wychodząc z założenia, iż wielka liczba ukraińskiej ludności oraz stosunkowo wysoki stopień uświadomienia narodowego predestynuje naród ukraiński na głównego sojusznika Polaków w walce z Rosją. Wiele uwagi poświęcał on również koncepcji wyzwolenia uciśnionych narodów imperium rosyjskiego i tej idei pozostał wierny do końca życia. Piotrkiewicz przy tej okazji informuje, że ideę wyzwolenia ludów nierosyjskich imperium „nazywamy prometeizmem”.

Na szczególną uwagę zasługują poglądy Wasilewskiego o roli narodu polskiego w odrodzonym państwie. Polska — pisał on — nie jest państwem narodowościowym jak Czechosłowacja, w którym Czesi stanowią mniejszość, lecz jest państwem narodowym, gdyż Polacy tworzą większość, są twórcami tego państwa i wobec tego powinni oni odgrywać rolę przodującą. Jednak duża liczba autochtonicznej ludności niepolskiej na kresach dyktuje Polsce prowadzenie polityki narodowościowej. Na tę politykę wpływa również istnienie licznych ośrodków polskich poza granicami Polski oraz taktyka bolszewików, którzy Białorusi i Ukrainie nadali status republik związkowych. Przy innej okazji Wasilewski przypomina iż od wieków na kresach sąsiadowały z Ukraińcami silne liczbowo, autochtoniczne obszary polskie.

Punktem wyjścia ideologii Wasilewskiego, podobnie jak i u innych piłsudczyków, jest supremacja państwa, którego zadaniem jest m.in. zwalczanie szowinizmu i egoizmu w stosunkach wzajemnych ugrupowań narodowościowych w granicach Polski.

Głównym celem polityki narodowościowej jest stabilizacja i wzmocnienie państwa polskiego, co można osiągnąć drogą jednolitego traktowania wszystkich odłamów ludności. Z programu

polityki narodowościowej należy usunąć wszystko, co mogłoby ograniczyć prawa mniejszości. Wasilewski zdecydowanie odrzucał polonizację, potępiał, zresztą jak wszyscy „ukrainofile”, utrakwistyczny system w szkolnictwie, natomiast pozytywnie traktował wprowadzenie języka ukraińskiego jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach średnich na obszarach posiadających duży odsetek ludności ukraińskiej.

Na kresach wschodnich należy prowadzić politykę „zrózniczkowaną”, a więc wobec Wołynia — językowe równouprawnienie i rozwój szkolnictwa, na Polesiu najważniejszym zadaniem jest gospodarcze podniesienie tego obszaru. W Galicji trzeba pogodzić się z koniecznością przyznania autonomii, gdyż takie były polskie zobowiązania międzynarodowe. Pisząc o autonomii Wasilewski miał na myśli obszary o zdecydowanej przewadze ludności ukraińskiej, a więc bez tarnopolskiego, lwowskiego oraz szachownic narodowościowych. Ideałem jego było stworzenie tego rodzaju warunków dla Ukraińców, by uważali oni Polskę za źródło pomocy w realizacji ich ideałów niepodległościowych. Równocześnie Wasilewski głosił konieczność wzmocnienia polskości państwa i kolonizację słabo zaludnionych obszarów, jednak bez uszczerbku interesów miejscowej ludności ukraińskiej. Myślał również o sprowadzeniu części zarobkowego uchodźstwa polskiego z różnych części świata.

Polski państwowy stan posiadania na kresach Wasilewski tłumaczył odwiecznym parciem żywiołu polskiego ku wschodowi. W tym samym kierunku posuwał się również element ukraiński, który skolonizował ogromne obszary na Lewobrzeżu, na Kubaniu i na wybrzeżach Morza Czarnego.

Po maju 1926 — pisze Piotrkiewicz — Wasilewski zamilkł by uniknąć konfliktów ze swymi przyjaciółmi, którzy w swe ręce wzięli kierownictwo nawą państwową. Nie jest to ścisłe, gdyż pozostał on czynny w akcji prometejskiej — był członkiem honorowym klubu Prometeusza — jak też otwarcie zabierał głos w sprawach polityki narodowościowej rządu, zamieszczał parę artykułów na łamach *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego* i udzielał cennych wskazówek redakcji tego pisma.

Tadeusz Hołówko, o 19 lat młodszy od Wasilewskiego, był czołowym przedstawicielem jego szkoły w sprawach narodowościowych oraz gorącym zwolennikiem prometeizmu. Jednak po maju 1926 roku pisał, iż polskiej polityki zagranicznej nie można budować na nadziei rychłego rozpadu Rosji oraz powstania wolnej Ukrainy i Białorusi, z którymi pokojowo będzie można ustalić naszą wschodnią granicę. W tym czasie przestał on również myśleć o autonomii terytorialnej dla Galicji — projekt ten stał się wówczas zupełnie nieaktualny. Nie zrezygnował jednak z konieczności wprowadzenia autonomii kulturalnej dla Galicji, która umożliwiłaby Ukraińcom stworzenie warunków dla rozbudowy własnej kultury na wzorach zachodnich.

Tego rodzaju koncepcja sprowadziłaby się właściwie do niewielkiej pomocy i popierania akcji kulturalnej prowadzonej przez Ukraińców głównie własnymi siłami. Wymienić tu należy chociażby osiągnięcia Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki we Lwowie, prace naukowców ukraińskich w Czechosłowacji, Niemczech, Polsce, Francji, itd. oraz prace Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie powołanego do życia uchwałą Rady Ministrów z 7 lutego 1930 roku. W czasie swego istnienia Instytut ten wydał ponad 50 różnych prac naukowych oraz podjął pierwsze w historii kultury ukraińskiej pełne wydanie dzieł T. Szewczenki, o czym Piotrkiewicz nie wspomina w swej pracy.

Za najważniejszy krok wiodący do wzajemnego zbliżenia uważał Hołowko wprowadzenie samorządów obejmujących Ukraińców, Polaków i Żydów. Był to jeden z postulatów Hołowki, który rząd zaczął wprowadzać w życie.

Hołowko wierzył, iż atrakcyjny wpływ kultury polskiej ułatwi zbliżenie między Polakami a Ukraińcami. Potępiał więc złośliwe utrudnianie pracy ukraińskich organizacji kulturalno-oświatowych jak „Proswita” jak i organizacji gospodarczych, odrzucał przemianę szkół ukraińskich na utrakwistyczne. Ostro krytykował trudności stawiane młodzieży ukraińskiej przy wstępowaniu na polskie uniwersytety, co w rezultacie zmuszało ją do studiowania na zagranicznych uniwersytetach w krajach wrogich lub niechętnych Polsce. Domagał się rozbudowy ukraińskiego szkolnictwa, nadania praw publicznych prywatnym ukraińskim szkołom średnim na Wołyniu. Projekt organizacji ukraińskiego szkolnictwa średniego na Wołyniu w pierwszym etapie przewidywał stworzenie równoległych klas ukraińskich przy polskich w szkołach. Dla wychowania kadry ukraińskich nauczycieli domagał się on otwarcia państwowych ukraińskich seminariów nauczycielskich. Uważał, iż Ukraińcy powinni mieć swój uniwersytet we Lwowie. Jako krok wstępny sugerował zorganizowanie Wydziału Filozoficzno-Historycznego przy Uniwersytecie Jana Kazimierza, jaki już istniał za czasów austriackich. Myślał o powołaniu do życia Akademii Rolniczej w Krzemieńcu lub ewentualnym przeniesieniu na Wołyń Ukraińskiej Akademii Rolniczej z Podebrad; na ten temat prowadził nieoficjalne rozmowy w czasie pobytu w Czechach.

Podobnie jak Józewski i inni „ukrainofile”, integrację ziem wschodnich z resztą Polski pojmował jako asymilację państwową w przeciwstawieniu do asymilacji narodowościowej (polonizacji), której był zdecydowanym wrogiem. Chodziło mu o „ulojalnienie” Białorusinów i Ukraińców, którzy wraz z Polakami staną się współrzędnymi państwa. O wschodniej Galicji myślał jak o Piemontie, z którego w przyszłości wyjdzie wyzwolenie Wielkiej Ukrainy.

Hołowko proponował otoczenie opieką Cerkwi Prawosławnej

i bronił jej przed ekspansją Kościoła Katolickiego, prowadzącego akcję neounijną na terenach ziem wschodnich, poza Galicją.

Zdaniem Hołówki należało zwrócić baczną uwagę na gospodarcze podniesienie kresów północno-wschodnich oraz na śmiałe przeprowadzenie reformy rolnej bez faworyzowania ludności polskiej kosztem mniejszości, oraz przeprowadzenie innych reform i akcji stosując „jak najmniej formalności, jak najwięcej ułatwień i zachęty”. Łączył się z tym niepodzielnie postulat zmian w aparacie administracyjnym na kresach i przyjmowanie Ukraińców do służby państwowej.

Objęcie przez Hołówkę stanowiska Naczelnika Wydziału Wschodniego MSZ w marcu 1927 na trzy lata oderwało go od zajmowania się sprawami ziem wschodnich. Po opuszczeniu tego stanowiska w lipcu-sierpniu 1930 roku powrócił do spraw narodowościowych.

We wszystkich swych planach i propozycjach nie liczył się on dostatecznie z faktem istnienia w Galicji i na Kresach w ogóle tzw. „drugiego rządu”, jakim były polskie organizacje prawicowe, wrogie wszelkim koncesjom na rzecz Ukraińców i które w praktyce uniemożliwiłyby wprowadzenie linii politycznej reprezentowanej przez piłsudczyków. Dla przeprowadzenia autonomii terytorialnej trzeba by, zdaniem premiera Bartla, wprowadzić „stan wyjątkowy w Małopolsce i to przeciw polskiej ludności tej dzielnicy”.

Hołówko uważany był za „ukrainofila” nie tylko z powodu wizji niepodległej Ukrainy nad Dnieprem, sprzymierzonej z Polską. Ten punkt widzenia przez pryzmat „Wielkiej Ukrainy” można przypisać prawie wszystkim piłsudczykom, a później znacznemu odłamowi sanacji. Jednakże piłsudczyków, którzy oprócz marzeń o osi Kijów-Warszawa ze zrozumieniem i z sympatią podchodziliby do problemu ukraińskiego, było w Polsce niewiele. Do nich należał Hołówko. Cała publicystyka Hołówki przepełniona była „głębokim humanizmem i zrozumieniem dla warunków, w jakich przyszło żyć i działać Ukraińcom w Polsce. Miał on na względzie przede wszystkim interes państwa, ale jednocześnie starał się zrozumieć trudne położenie i dążenia Ukraińców. Uważał, że dla normalizacji stosunków polsko-ukraińskich ... „trzeba przecież tak mało — tylko trochę serca i wyrównania najbardziej krzyczących krzywd”.

Piotr Dunin-Borkowski, mianowany wojewodą lwowskim w sierpniu 1927 roku, zadeklarował się jako gorący zwolennik idei współpracy trzech narodowości — Polaków, Ukraińców i Żydów — oraz usiłował wprowadzać ją w życie nawet z pewnym powodzeniem. Zbliżył się do umiarkowanego odłamu UNDO (Ukraińskie Narodowo-Demokratyczne Zjednoczenie [Objednania]), największej ukraińskiej partii politycznej w Galicji, i nie-

których odłamów Starorusinów, zdradzających sympatie ukraińskie. Rusofilów uważał za niebezpiecznych dla państwa.

Ten niewielki sukces wywołał ostrą reakcję skrajnie antypolskiego skrzydła UNDO przeciwko zwolennikom porozumienia z rządem polskim. Prąd ugodowy nie mógł się jednak rozwinąć na szerszą skalę wobec licznych argumentów społeczeństwa ukraińskiego, świadczących jeśli już nie o antyukraińskiej tendencji rządu, to przynajmniej o stosowaniu wobec nich dwutorowej polityki. Przytaczano kontynuowaną „ukrainożerczą” politykę szkolną, obowiązek prowadzenia dokumentacji finansowej w języku polskim, nawet przez prywatne zakłady ukraińskie.

Dunin-Borkowski utrzymał się na stanowisku wojewody lwowskiego zaledwie przez dziewięć miesięcy, po czym został mianowany wojewodą poznańskim. Dobrze orientując się w stosunkach wśród polityków ukraińskich, Dunin-Borkowski był zdania, że nadrzędnym celem większości nacjonalistycznych polityków ukraińskich było utworzenie na południowo-wschodnich obszarach państwa państewka zachodnioukraińskiego na wzór Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL), z ewentualnym włączeniem Wołynia.

Źródło napięć w stosunkach polsko-ukraińskich widział on w niezatartej pamięci i emocjach, jakie powstały w okresie galicyjskiej wojny polsko-ukraińskiej, zwłaszcza że „ukraińskie plany snute na wypadek zwycięstwa oraz codzienna praktyka władz ZURL wobec Polaków miały charakter wybitnie represyjny a nawet eksterminacyjny”.

Na skutek prowadzonej do przewrotu majowego kolonizacji Małopolski Wschodniej narastać zaczął konflikt między osadnikami a Ukraińcami. Nadwyżki rąk do pracy na wsi nie mógł wchłonąć prawie nie istniejący przemysł. Problem społeczny począł więc się pokrywać z narodowościowym. Załagodzenie tego konfliktu Borkowski widział w zaniechaniu polskiej kolonizacji w Małopolsce Wschodniej.

Borkowski przestrzegał przed stosowaniem jakichkolwiek prób ugody narodowości z państwem, w którym ona żyje, gdyż byłoby to uważane przez nią za etap w zdobyczach politycznych.

Najśmielszą propozycją Borkowskiego było zniesienie podziału Małopolski Wschodniej na trzy województwa i „po dodatku do niej połowy województwa lubelskiego” utworzenie tam autonomicznej jednostki terytorialnej. W ten sposób powstałby obszar o prawie równej liczbie ludności polskiej i ukraińskiej, na którym można by prowadzić globalną politykę narodowościową. Na tym polsko-ukraińskim obszarze administracyjnym łątwiejsza do przeprowadzenia byłaby zasada równoprawności Polaków i Ukraińców w polityce gospodarczej rządu. Należy wprowadzić równouprawnienie języka ukraińskiego w urzędach, z tym

że język ukraiński mógł być nawet wewnętrznym urzędowym, o ile ludność danej miejscowości czy okręgu wynosiłaby ponad 50 %. Borkowski ostrzega, że wprowadzenie autonomii kulturalnej dla Ukraińców przekreśli ich asymilację narodową, przyspieszy jednak asymilację państwową.

Podobnie jak Wasilewski i Hołowko proponuje zaniechanie systemu utrakwistycznego na rzecz wprowadzenia szkół narodowych i wprowadzenia nauczania języka ukraińskiego dla zapoznania administracji z kulturą drugiego narodu. Nie wspominając sprawy uniwersytetu ukraińskiego, Borkowski proponuje pracę w kierunku ugruntowania zakładów naukowych i kulturalnych ukraińskich.

Na dowód słuszności swych projektów przytaczał on politykę Austrii, która, dając galicyjskim Polakom szeroką autonomię kulturalną, zdołała ich zasymilować państwowo, czyli przyciągnąć do współpracy z aparatem państwa.

Borkowski podkreślał, iż w życiu każdego narodu musi istnieć ideał mający w sobie „zawsze coś z ogólnoludzkich założeń i celów. Takim ideałem na pewno nie była endecka zasada stosowania prawa pięści wobec Ukraińców... która... przyczyniała się do aktywizacji żywiołu polskiego”, ale jej zyski niweczyła obronna akcja Ukraińców, która spowodowała wzrost nastrojów antypolskich.

Borkowski proroczo pisał, że „albo pójdziemy drogą sojuszu z Ukraińcami w kraju i poza krajem, [sojuszu] może jeszcze odległego, ciężko wypracowującego się, to znów może zrywanego na pewien czas przez którąś ze stron, albo też wejdziemy w okres wojny domowej, wzajemnych prześladowań zależnie od stanu posiadania, zawsze okropnych dla pewnej części ludności Małopolski Wschodniej”.

Reasumując opinie i postulaty L. Wasilewskiego, T. Hołowki i P. Dunina-Borkowskiego Piotrkievicz pisze, iż nie byli oni altruistami w stosunku do Ukraińców, ani ukrainofilami w klasycznym tego słowa znaczeniu. Po prostu przewidując fatalne skutki waśni polsko-ukraińskiej w czasie ewentualnych kryzysów i wstrząsów, głosili konieczność ustępstw i uwzględnienie słusznych oraz niezbędnych dla pokoju reform w polityce narodowościowej. Wpływ ich jednak na uregulowanie problemu ukraińskiego był nikły, ich pisma miały ograniczony krąg odbiorców. Mimo to głoszone przez nich myśli znalazły wielu naśladowców wśród takich publicystów jak „Stanisław Łoś, Aleksander Bocheński, Włodzimierz Bączkowski i wielu innych” (podkreślenie moje). Mieli oni również pewien wpływ na kierunek polskiej polityki narodowościowej.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

BIBLIA OSTROGSKA

W CZTERDZIESTOLECIE WYDANIA 1581-1981

„Miasto w powiecie Zdołbunów w województwie wołyńskim, przy ujściu rzeki Wilii do Horynia, 10 km od kolei Zdołbunów-Sławuta, tuż nad granicą Ukrainy, z 13.303 mieszkańcami (większość Żydów), 3 kościołami katolickimi i 3 cerkwiemi, kilkoma szkołami średnimi, muzeum książąt Ostrogskich w zamku i kilka bibliotekami. (...) Z czasów dawnej świetności zachował się w Ostrogu po części zrujnowany zamek Ostrogskich, część dawnych obwarowań miejskich oraz kilka kościołów i cerkwi. Prastary ten gród ruski należał od roku 1386 do kniazia Fiedora Daniłowicza, protoplasty książąt Ostrogskich, którego syn Wasyl otoczył około roku 1430 miasto murami”. Tyle o mieście Ostrogu, dziś leżącym w obwodzie rowieńskim Ukrainiejskiej Republiki, pisała encyklopedia wydana w latach dwudziestolecia międzywojennego. W wieku szesnastym Ostrog to ruchliwy ośrodek prawosławnego życia religijnego i kulturalnego na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej. Staraniem księcia Konstantego Ostrogskiego powstała tu nosząca miano akademii szkoła, a przy szkole drukująca książki ruskie drukarnia. Spod jej pras wyszedł najpierw w roku 1580 w przekładzie na język cerkiewnosłowiański Nowy Testament i Psalterz z Kalendarzem, a w roku 1581 całe Pismo św. Było to tzw. wydawnictwo Biblii Ostrogskiej, wydawnictwo, którego czterechsetlecie obchodzi w bieżącym roku 1981 Kościół Prawosławny tak w Polsce jak i w sowieckiej Rosji, sowieckiej Ukrainie i sowieckiej Białorusi. A także w Serbii i Bułgarii.

Pisząc o wydawnictwie Biblii Ostrogskiej nie sposób wyłączyć poza nawias rozważań tła historycznego tego wiekopomnego dla prawosławia przedsięwzięcia. Na tło to złożyła się tak panująca w owych czasach na Wołyniu atmosfera religijno-kulturalna jak i osoba mecenasa wydawnictwa, Konstantego Ostrogskiego. W dalszych wywodach opieramy się na ustaleniach historyka dziejów prawosławia w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Kazimierza Chodynickiego.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XVI wieku społeczeństwo Wołynia nurtować poczyna dążność do podniesienia oświaty i naprawy stanu moralnego prawosławnego kleru. Oddziaływały na to przejawiające się w całej Europie zachodniej i przenikające także do Polski i na Ruś wpływy reformacji i katolickiego odrodzenia religijnego. W konfrontacji z protestan-

tyzmem nastąpił zwrot ku prawosławnym tradycjom i podobne skutki pociągnęła za sobą ofensywa potrydenckiego katolicyzmu. Kościół katolicki, odnoszący się dawniej biernie do Cerkwi Wschodniej, podjął teraz wysiłki pozyskania jej dla siebie. Odżyły piętnastowieczne idee unijne i obok dążenia do zjednoczenia Carogrodu i Moskwy z Rzymem powstał plan przyciągnięcia do katolicyzmu prawosławnych zamieszkujących państwo polskie. Myśl unii, zrodzona w Rzymie, propagowana jest przez nuncjaturę papieską i zakon jezuitów i stopniowo znajduje zwolenników także w granicach Rzeczypospolitej. Pierwsze wyraźne sformułowanie programu unii to broszura Piotra Skargi „O jedności Kościoła Bożego” wydana w roku 1577 w Wilnie. Nie określiła ona jeszcze metod postulowanego zjednoczenia i nie wskazała sposobów postępowania, ale rzuciła hasło, które nie bez oporów zrealizowane zostanie dwadzieścia lat później na synodzie brzeskim w roku 1596.

Prądy reformacji i unii przebudziły społeczeństwo Wołynia i w ogóle społeczeństwo ruskie w granicach ówczesnej Polski ze stanu odrętwienia. Broniąc się przed infiltracją protestantyzmu i propagandą katolicyzmu i unii wołyńscy prawosławni uswiadomili sobie potrzebę oświaty i uzdrowienia panujących we Wschodniej Cerkwi fatalnych stosunków. A przy tym tak w Koronie jak i w Wielkim Xięstwie Litewskim coraz bardziej rozwijające się szkoły jezuickie i protestanckie podziały jako memento, że warunkiem utrzymania się prawosławia jest zorganizowanie własnych szkół i podniesienie poziomu oświaty.

Ruch o którym tu mówimy objął wszystkie ziemie ruskie Rzeczypospolitej. Pod koniec XVI wieku główne ogniska szkolnictwa prawosławnego powstają co prawda we Lwowie i Wilnie, jednakże najwcześniej dążność do odrodzenia duchowego przejawiała się wśród prawosławnych na Wołyniu. Tu właśnie najpierw powstała szkoła, której zadaniem było wzmocnić i szerzyć kulturę grecko-słowiańską. Dwaj wybitni wielmoże odegrali w tym ruchu doniosłą rolę: jeden to przybyśz z Moskwy książę Andrzej Kurbski, szukający w roku 1564 schronienia przed gniewem carskim w Polsce, drugi to wspomniany już przez nas Konstanty Ostrogski, wojewoda kijowski.

Książę Kurbski w roku 1567 otrzymał od króla w dzierżawę starostwo kowelskie. Jako starosta uważał się za wszechwładnego pana. W chwilach wolnych od wypraw wojennych i zajęć związanych z administracją rozległych dóbr zajmował się lekturą Pisma św. i Ojców Kościoła. Wywiózłszy z Moskwy gorące przywiązanie do wiary prawosławnej i wszystkiego co rzymskie, czuł niechęć i przestrzegał przed „podstępnością” jezuitów, którzy składali prawosławnych do konwersji na katolicyzm. Nie przeszkadzało to, że udzielaną przez jezuitów naukę wysoko cenił. Gdy księżna Eudoksja z ruskiego jeszcze podówczas rodu Czar-toryskich miała zamiar wysłać syna do Akademii Wileńskiej,

myśl tę pochwalał, ponieważ uważał, że nauki świeckie i filozoficzne zdobyć trzeba choćby u przeciwników: tak jak to robili Ojcowie Kościoła, czerpiąc swą wiedzę od pogan.

Bardziej wrogo aniżeli do Kościoła Zachodniego usposobiony był Kurbski do reformacji, a zwłaszcza do arianizmu. Kto wie jednak, czy nie najbardziej raziło go nieuctwo otaczającego go duchowieństwa prawosławnego i w imię utwierdzenia współwyznawców w zasadach Kościoła Wschodniego zabrał się do tłumaczenia na język cerkiewnosłowiański greckich Ojców Kościoła, przede wszystkim Jana Chryzostoma.

Pomimo pewnych różnic w zapatrywaniach na stosunek prawosławia do protestantyzmu, łączyła Kurbskiego i Ostrogskiego głęboka przyjaźń i właśnie Kurbski pobudził swego przyjaciela do żywszej działalności w sprawach dotyczących się religii. W każdym razie wówczas, gdy Kurbski zaczął pracę nad przekładem Jana Złotoustego, Ostrogski interesować się począł sprawą wydania słowiańskiej Biblii. Rolę mecenasa mógł Ostrogski odegrać zarówno z tytułu posiadania olbrzymich majątków jak i ze względu na wpływy w Kościele prawosławnym. W jego obszernych włościach znajdowało się około 600 cerkwi i 10 monasterów, których duchowieństwo w znacznym stopniu było zależne od księcia. Dobra księcia Ostrogskiego zajmowały niemal 1/3 (32,67 %) województwa wołyńskiego. Ciągnęły się zwartym niemalże pasem od Pińszczyzny do Podola i od Rusi Czerwonej do województwa kijowskiego. W opinii współczesnych uchodził Ostrogski za „najbogatszego i najmożniejszego pana” w Rzeczypospolitej.

O założonej przez księcia w latach 1576-1580 akademii ostrogskiej znany jezuita Possewin wyraził się, że była to uczelnia poprzez którą „daleko i szeroko rozprzestrzeniła się schizma”. O programie i ustroju tej szkoły zachowało się niewiele wiadomości. Wiadomo, że główne jej zadanie polegało na przygotowywaniu kandydatów do stanu duchownego i nacisk spoczywał na nauce języka greckiego i cerkiewnosłowiańskiego, co nie znaczy by nie była wykładana łacina i takie sztuki wyzwolone jak dialektyka, gramatyka i retoryka. Wykładowcami szkoły ostrogskiej byli m.in. uczeni greccy, w tym również znany z rozległej erudycji Cyryl Lukarys, późniejszy patriarcha konstantynopolański. Godne odnotowania jest przy tym to, że Grecy przybywający na zaproszenie Ostrogskiego nie ograniczali się do pracy naukowej i pedagogicznej, lecz zajmowali się także sprawami politycznymi. Chodziło im przede wszystkim o wywieranie wpływu na politykę polską wobec Mołdawii i Wołoszczyzny.

Działalność kulturalno-oświatowa księcia Konstantego Ostrogskiego nie ograniczyła się do samego tylko Ostroga. W roku 1588 powstała z jego inicjatywy szkoła początkowa do nauki języka greckiego i słowiańskiego w wołyńskim Włodzimierzu. A w roku 1602, także dzięki niemu, doszło do założenia szkoły i drukarni przy prawosławnym klasztorze w Dermaniu.

Po wydaniu w roku 1581 słowiańskiego Pisma św., spod pras oficyny drukarskiej przy ostrogskiej akademii wyszły takie z pozycji prawosławnych pisane antykatolickie broszury polemiczne jak „O jedynoj prawosławnoy wierie i swiatoy sobornoj apostołskij cerkwi”, „Klucz carstwa nebesnaho” i „Kalendar rymskij nowyj” (rok publikacji 1587). A w roku 1598 ukazuje się „Kniżyca”, utwór jakiegoś polemizującego ze Skargą kleryka cerkwi ostrogskiej. Słowem pod sam koniec XVI wieku Ostrog to jedno z głównych centrów zwalczającego akt unii brzeskiej ruchu na rzecz autentycznego prawosławia. Wiadomo, że całemu temu ruchowi aż do swej śmierci w roku 1608 Konstanty Ostrogski niezłomnie patronował.

Oryginalny starosłowiański tytuł wydawnictwa Biblii Ostrogskiej w transliteracji brzmi: *Biblij siriecz knihy wetchaho i nowaho Zawieta po języku słowensku*. Nazwisko drukarza jest znane, był nim Iwan Fedorow, przybyły z Moskwy a po opuszczeniu Ostroga czynny jakiś czas we Lwowie jako wydawca książek ruskich. Przy druku wydawnictwa w ostrogskiej typografii użyto 6 rodzajów pisma, w tym również czcionki cyrylickiej i greckiej. Materiał ornamentacyjny stosował Fedorow z dużą powściągliwością, w sumie był on jednak dość obfity. Zachowane egzemplarze wykazują wiele wariantów w tekście, składzie i oprawie graficznej, co wskazuje, że praca nad doskonaleniem dzieła trwała aż do zakończenia druku.

Całość w formacie *in folio* wydanej starodruku Biblii Ostrogskiej liczy $8 + 276 + 180 \times 30 + 56 + 78$ czyli ogółem 628 kart. Na pierwszych ośmiu kartach następują po sobie: zreprodukowana w załączeniu ozdobna karta tytułowa z wyraźnie zaznaczonym rokiem druku 1581; herb księcia Ostrogskiego wraz z towarzyszącymi mu wierszami; przedmowa tegoż księcia po grecku i po słowiańsku; przedmowa redaktora wydawnictwa Herasima Smotryckiego; tytuły książek Starego i Nowego Testamentu. Na kartach 1-276 drugiego ciągu paginacyjnego idą historyczne księgi Starego Zakonu poczynając od Księgi Rodzaju a kończąc na Księdze Hioba. Zawartość kart trzeciej paginacji 1-180 to księgi prorockie i nauczające, od psalterza aż po prorocstwo Malachiasza. Czwartą paginacja 1-30 to księgi Machabejskie; piąta 1-56 to cztery Ewangelie; szósta 1-78 to reszta Nowego Testamentu wraz z kalendarzem, posłowiem i godłem drukarza Iwana Fedorowa oraz „słowem zamykającym” w języku słowiańskim i greckim.

Czytelników zainteresowanych trudem drukarza Ostrogskiej Biblii odsyłamy do obszernego studium pióra wybitnego współczesnego historyka Mieczysława Gębarowicza. Wedle tego co m. in. Gębarowicz pisze, nie powinno ulegać wątpliwości, że w osobie Iwana Fedorowa mamy do czynienia z entuzjastą sztuki drukarskiej i kimś, kto swą pracą położył epokowe zasługi dla prawosławia i ruskiej kultury. Entuzjazm Fedorowa dla drukar-

stwa przybierał niekiedy postać fanatyzmu, który odbierał mu nieraz zdolność doboru właściwych sposobów przy zdobywaniu środków do przedłużania akcji wydawniczej, ale rodził niezwykły, podziwu godny hart ducha. Zadanie swoje traktował jako „dzieło Boże”, a więc rodzaj misji społecznej, za której wypełnianie nie oczekiwał nagrody od ludzi. I w tym swym idealizmie i bezinteresowności przybyły z Moskwy Fedorow był prawdziwym wyjątkiem na tle stosunków w świecie wydawniczym na obszarze ówczesnej Rzeczypospolitej. Świat ten bowiem składał się przede wszystkim z przedsiębiorców-komercjalistów traktujących swój zawód jako źródło dochodu i pod tym kątem orientujących swą działalność.

Kilka słów o języku słowiańskim w życiu Cerkwi prawosławnej na ziemiach szesnastowiecznej Rzeczypospolitej. Otóż wszystkie historyczne świadectwa wskazują, że znajomość jego upadła wówczas bardzo nisko i upadek ten dawał nawet niekiedy powód do szyderstw. Tak np. Piotr Skarga w dziele „O jedności Kościoła Bożego” pisał:

„Wielce się oszukali Grekowie, narodzie ruski, iż ci wiarę świętą podając, językać swego greckiego nie podali, aleć na tym słowiańskim przestać kazali, abyś nigdy do prawego rozumienia i nauki nie przyszedł. Bo tylko dwa są języki, grecki i łaciński, którymi wiara święta po wszem świecie rozszerzona i szczepiona jest (...) i nie było jeszcze na świecie ani będzie żadnej akademijej ani kolegium, gdzie by teologija, filozofija i ine wyzwolone nauki inszym się językiem uczyły i rozumieć mogły. Z słowiańskiego języka nigdy żaden uczonym być nie może, a już go teraz prawie nikt doskonale nie rozumie”.

Jednak pod sam koniec XVI wieku i na początku wieku XVII w sytuacji języka cerkiewnosłowiańskiego zachodzi zwrot na lepsze i jako pomoce do jego studiowania ukazują się takie podręczniki jak w Wilnie w roku 1596 wydana *Gramatika Słowenska* Laurencjusza Zizaniego czy tegoż Zizaniego *Leksiso siriecz rieczenija*. I są podstawy by twierdzić, że bodźcem do większego zainteresowania się cerkiewną słowiańszczyzną u prawosławnych na ziemiach Rzeczypospolitej było m. in. właśnie ogłoszenie za sprawą księcia Ostrońskiego Słowiańskiej Biblii.

Powstanie tłumaczenia ostrońskiego poprzedziła podjęta przez mecenasa wydawnictwa i szeroko zakrojona akcja przygotowawcza. Szła ona w dwu kierunkach. Po pierwsze książkę starał się o zdobycie w możliwie najszerszym zakresie źródeł i te, gdy szło o teksty starosłowiańskie, ściągał zewsząd, przede wszystkim z Rusi Moskiewskiej, Serbii i Bułgarii, przy czym nie obeszło się jednak bez przetłumaczenia z Wulgaty niektórych ksiąg: jed-

nych jak np. Tobiasza, Judyty i Ezdrasza całkowicie, innych w części (Jeremiasza, Ezechiela i Przypowieści). Po drugie, nie szczędził Konstanty Ostrogski wysiłków o uformowanie i zatrudnienie przy tłumaczeniu wysoko kwalifikowanego zespołu teologów i literatów. W przeważnej części składał się on z Rusinów, ale także i ze ściąganych specjalnie w tym celu Greków.

Redaktorem całości prac przekładowych był rektor akademii w Ostrogu Herasim Daniłowicz Smotrycki. Spod jego to pióra wyszło otwierające wydawnictwo Biblii Ostrogskiej słowo wstępne. M. in. mowa jest tam o wysłaniu przez Ostrogskiego do Moskwy specjalnego wysłannika Michała Haraburdy i otrzymaniu przez niego w podarku od cara kodeksu z tłumaczeniem Biblii na język starosłowiański, jakiego dokonać miano jeszcze za rządów Włodzimierza Wielkiego.

Osobnego opracowania godna jest analogia zachodząca między datującymi się na rok 1581 poczynaniami księcia Ostrogskiego jako mecenasa cerkiewnosłowiańskiego przekładu Biblii a sfinansowaniem w roku 1563 przez Mikołaja Radziwiłła Czarnego brzeskiego przekładu Pisma św. na język polski. Jak to podniósł Gębarowicz, już współcześni zdawali sobie sprawę z tej analogii. Dowodzi tego list Andrzeja Kurbskiego do Ostrogskiego. Chodzi o odpowiedź na pismo, w którym Ostrogski, dziękując za dokonany przez Kurbskiego przekład jakiegoś dzieła Jana Złotoustego nadmienił, że „dla lepszego zrozumienia” trzeba było od razu kazać przetłumaczyć rzecz na język polski. Na co Kurbski odparł nie bez urazy: „Wierz mi Wasza Miłość, że *jeśli by się nawet zebrało wielu uczonych*, to giętkości form gramatycznych, a zwłaszcza słowiańskich i greckich kazań *nie zdołają wiernie przełożyć na polskie barbarzyństwo!*”. Gębarowicz na pewno ma rację wskazując, że z cytatu tego — obok wiary Kurbskiego w to, że językowi słowiańskiemu jako dorównującemu jego zdaniem greczyźnie przysługiwać winien priorytet — przebija wyraźna aluzja do wydawnictwa biblii brzeskiej jako dzieła zbiorowego.

Biblia Ostrogska przeszła do historii jako pierwsze pełne drukowane tłumaczenie Pisma św. na użytek wyznawców Cerkwi Wschodniej tak na ziemiach ruskich ówczesnej Rzeczypospolitej jak i w Wielkim Księstwie Moskiewskim i gdzie indziej. Po ostrogskim pierwodruku w roku 1581 kolejne edycje wyszły w Moskwie w roku 1665; w Petersburgu i Moskwie w latach 1751, 1756, 1759, 1762, 1763; w Kijowie w roku 1779; w Moskwie w latach 1778, 1784, 1790, 1797, 1802, 1806 i 1810, a oprócz tego wiemy jeszcze o wydaniu w Supraślu w roku 1743 i Poczajowie w roku 1797 (te ostatnie to wznowienia wydane staraniem unickich bazylianów). Przed publikacją *editio princeps* Biblii ostrogskiej w roku 1581 nie brakło co prawda drukowanych przekładów Pisma św. na język cerkiewnosłowiański, były to jednak tylko przekłady częściowe. Jeden z nich to tzw. Apostoł, prze-

kład Dziejów Apostolskich i Listów, opublikowany w roku 1564 w Moskwie.

Ciekawe, że temu na kartach moskiewskiego Apostoła ogłoszonemu częściowemu tłumaczeniu dane było przyciągnąć uwagę jednego z szesnastowiecznych polskich pisarzy biblijnych. Mamy na myśli Szymona Budnego, który w przedmowie do łoskiego wydania Nowego Testamentu z roku 1574 wystąpił z krytyką tekstu moskiewskiego przekładu:

„Widzisz, jakie wielkie fałsze w słowiańskich księgach i na Moskwie drukowanych, od których wszystkich łacińskie stare księgi są wolne (...). Co nie dlatego mówię, żebych łacińskie księgi za prawie prawdziwe miał, w których by żadnego fałszu nie było. Jużem wyżej powiedział, że snadź nie masz na świecie ni jednych ksiąg prawie szczyrych, ale to tylko mówię, że *łacińskie księgi mniej fałszu mają, a które mają, tedy nie tak szkodliwe*”.

Jak się okazuje, o Biblii Ostrogskiej pisali także autorzy polscy. Ze zrozumiałych względów wydawnictwem tej Biblii przede wszystkim zajmowali się i ciągle zajmują uczeni rosyjscy i ukraińscy. Nie brak studiów o stosunku ostrogskiego tekstu do rękopiśmiennych przekazów starosłowiańskiego Pisma św. Wśród zachowanych bowiem do naszych czasów zabytków cerkiewnej słowiańszczyzny jest cały szereg w wiekach XI-XV na Rusi powstałych kodeksów biblijnych. Najważniejsze z nich to Ewangelia Archangelska, Ewangelia Halicka, Psalterz Czudowski, Psalterz Tołstoja, Nowy Testament metropolity Aleksego, Biblia Gennadiusza. Skądinąd wiadomo, że jako pierwsi przekładali Pismo św. na język starosłowiański św.św. Cyryl i Metody, dokonany jednak przez nich przekład ograniczał się do tekstów używanych w liturgii.

Kończąc niech wolno będzie stwierdzić, że adresatami szesnastowiecznej Biblii Ostrogskiej byli wyznawcy Kościoła Wschodniego, posługujący się językiem cerkiewnosłowiańskim. Zarazem było to jednak przedsięwzięcie jak najściślej poprzez swe tło historyczne i osobę mecenasa związane z polską państwowością owych czasów i swobodami zapewnionymi prawosławiu na ruskich ziemiach Rzeczypospolitej.

Andrzej KEMPFI

SPIS TREŚCI

Henryk Józewski: <i>Zamiast pamiętnika</i>	3
II. — K.N. III	3
III. — Dwudziestolecie	44
IV. — Myśli o Józefie Piłsudskim	78
V. — Wojna	114
VI. — Okupacja	123
VII. — Wyzwolenie rosyjsko-sowieckie	141
VIII. — Więzienie	144

WSPOMNIENIA I RELACJE

Wiktor Sukiennicki: <i>Akcja interwencyjna ambasady R.P. w ZSSR</i>	164
Jan Karski: <i>Przywódcy wolnego świata wiedzieli o zagładzie w 1943 roku</i>	185

DOKUMENTY

Jan Ciechanowski: <i>Józef Retinger (1888-1957) w świetle raportów brytyjskiego wywiadu z lat 1913 do 1941</i>	196
J. Taylor: <i>Więzienia PRL — rok 1980</i>	205

POLEMIKI

<i>O tajemniczej śmierci M. Nowotki i B. Mołojca</i>	210
--	-----

RECENZJE

Włodzimierz Bączkowski: <i>Najnowsza praca o stosunkach polsko-ukraińskich</i>	221
Andrzej Kempfi: <i>Biblia Ostrogska</i>	230

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 10 FEVRIER 1982
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1982.

Imprimé en France.

N° d'édition : ISBN 2-7168-0000-6

N° d'impression 4645

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

